
OPINIA

KWARTALNIK SPOŁECZNY I NAUKOWY

Redaguje zespół:

*Marek Albiniak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Ryszard Czarnecki, Michał Janiszewski*
(sekretarz redakcji), *Jan Józef Kasprzyk, Adam Lewandowski* (sekretarz
naukowy), *Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki,
Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk, Piotr Wójcik*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Instytut Historyczny NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa
e-mail: ihoo@o2.pl

Numer w KRS – 0000331920

PKO BP – 54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

© Wszelkie prawa zastrzeżone

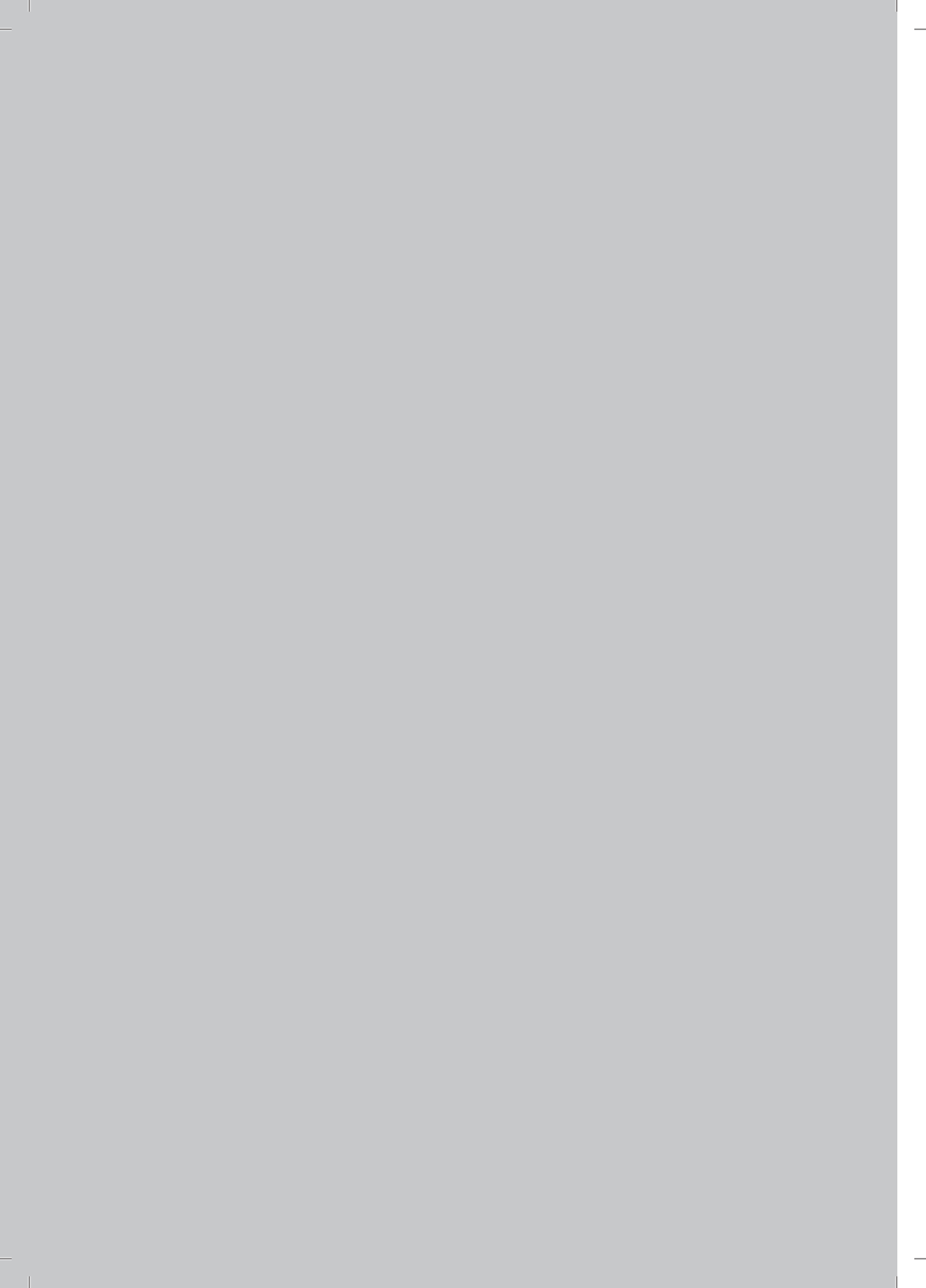
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa



SPIS TREŚCI

BIOGRAMY 6

ZAMIAST WSTĘPU

Zwyciężyła narracja Solidarności. Z Andrzejem Anuszem rozmawia
Łukasz Perzyna 7

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

O HISTORII

Wielkie miasto widzów 19

Polacy majowe święta obchodzili na ulicach 22

Polski początek maja 27

Majówka niepodległości. To Solidarność połączyła z pozoru sprzeczne tradycje 31

Po 4 czerwca od zmian nie było odwrotu 35

4 czerwca 1989: zmiana nie do zatrzymania 38

Zwyciężyła drużyna Solidarności 43

To były wolne wybory, walka o ten mandat z Żoliborza 47

Powstanie uratowało naszą państwowość 51

Stalin miał dwie opcje na stole. To Powstanie rozstrzygnęło 55

Sierpniowe daty zbudowały nowoczesną świadomość Polaków 58

Ludzie walczyli nie tylko o swoje, ale o wspólne 65

Nóż w plecy przesądził o klęsce 68

Rozstrzygnął siedemnasty, a nie 1 września 73

Piłsudski oszczędzał polską krew 77

My jako Naród przemówiliśmy 81

To był polityczny majstersztyk ponad podziałami. Nasz 11 Listopada.

Od Piłsudskiego do Moczulskiego 85

11 Listopada: roztropność ponad podziałami 90

Stan wojenny: czego jeszcze nie wiemy 95

Wygrała formuła długiego marszu. Na 40 rocznicę powołania Tymczasowej

Komisji Koordynacyjnej Solidarności 99

SPIS TREŚCI

O KOŚCIELE

Kościół wykonał wielką pracę na rzecz wolności i solidarności	105
Reakcją na zamach na Papieża były marsze przeciw przemocy	111
Kościół pierwszy upomniał się o 11 listopada.	115
Zarzuty wobec Papieża są ahistoryczne.	118
Pożegnanie Franciszka, oczekiwanie następcy.	121
Matematyk i mistyk. Pierwszy papież ze Stanów Zjednoczonych	125

O POLITYCE

Aktorzy pozostają ci sami, polityczna taktyka również	133
Ta reforma zbliżyła nas do Unii Europejskiej	137
Na szczęście zdążyliśmy wprowadzić Polskę do NATO.	141
Następcy rządzą na nasz koszt	144
Ważne, że nikt nie będzie wykluczony	148

ROZMOWY Z ...

ANDRZEJ ANUSZ, ANDRZEJ SADOWSKI, ŁUKASZ PERZYNA

Czuliśmy się wolni w tak dziwnym kraju jak PRL. Rozmowa z Markiem Borowikiem.	153
---	-----

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Jak woziłem „Opinię” do Przasnysza. Rozmowa z Tadeuszem Witkowskim, historykiem literatury, opozycjonistą antykomunistycznym i działaczem emigracyjnym	166
--	-----

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Pokazałem legitymację prasową i tyle. Rozmowa z Jerzym Surdykowskim, dziennikarzem niezależnym	178
--	-----

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z ks. Jerzym Błaszczakiem	190
---	-----

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z Antonim Piekalkiewiczem, byłym działaczem Konfederacji Polski Niepodległej, organizatorem marszów szlakiem Pierwszej Kadrowej	200
---	-----

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z Markiem Mikołajem Kamińskim, politologiem i socjologiem, wykładowcą Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine w USA, działaczem opozycji z lat 80.	220
---	-----

SPIS TREŚCI

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Pierwsze dziesięć lat wyszło nam doskonale. Rozmowa z Andrzejem Machalskim, działaczem opozycji antykomunistycznej, szefem Akcji Gospodarczej, szefem kampanii Komitetu Obywatelskiego Solidarność przed wyborami 4 czerwca 1989 r. 244

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Wolnorynkowym antykomunistą jest się na całe życie. Rozmowa z Andrzejem Sadowskim, prezydentem Centrum im. Adama Smitha, działaczem wolnorynkowej opozycji antykomunistycznej 259

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z Robertem Kwiatkowskim. Opozycjonistą, przewodniczącym Samorządu Studenckiego Uniwersytetu Warszawskiego w latach 80. 271

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

To nie ja zainteresowałem się historią. To ona mną się zainteresowała. Rozmowa z Bogdanem Rymanowskim, dziennikarzem, działaczem Federacji Młodzieży Walczącej z lat 80. autorem biografii Kornela Morawieckiego. 288

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Wyzwanie i spłata długu wdzięczności. Rozmowa z Janem Józefem Kasprzykiem, Ministrem – szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych 298

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

„Zarzucał mi, że amerykanizuję młodzież”. Rozmowa ze Stefanem Mizielińskim, trenerem i działaczem sportowym 324

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

W tenisie decyduje instynkt gry. Rozmowa z Bernardem Rejniakiem, znawcą i propagatorem tenisa, 344

NA ZAKOŃCZENIE

Czego jeszcze możemy się dowiedzieć. Z Andrzejem Anuszem rozmawia Łukasz Perzyna 354



ANDRZEJ ANUSZ (ur. 1965) jest politologiem, autorem i współautorem ponad dwudziestu książek o socjologii, polityce i historii najnowszej, w tym: „Nielegalnej polityki” (Akces 2019), „Kościoła obywatelskiego (Akces 2020) i „Osobistej historii Porozumienia Centrum” (Akces 2021).

Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie socjologii. Absolwent historii Uniwersytetu Warszawskiego i politologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Członek podziemnego Zarządu Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Uniwersytecie Warszawskim (1986-1989), redaktor podziemnego Kuriera Akademickiego (1987-1989).

W wolnej Polsce poseł na Sejm RPI (1991-1993) i III (1997-2001) kadencji.

Redaktor naczelny kwartalnika społecznego i naukowego „Opinia”, sekretarz redakcji „Niepodległości” czasopisma poświęconego najnowszemu dzieją Polski. Członek Rady Programowej „Biuletynu Informacyjnego” miesięcznika Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Redaktor w wydawnictwie Akces. Koproducent filmu fabularnego „Kamienie na szaniec” (2014).

ŁUKASZ PERZYNA (ur. 1965) jest dziennikarzem PNP 24.PL oraz autorem kilkunastu książek o polityce i historii najnowszej, w tym biografii Andrzeja Ostoi-Owsianego („Jak z Pierwszej Brygady”, wyd. Akces, Warszawa 2011) oraz opowieści o KPN („Konfederacja”, wspólnie z Andrzejem Anuszem, wyd. Akces, Warszawa 2009).

Absolwent Liceum Batorego i polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, studiował tam również dziennikarstwo. Stypendysta Alliance Francaise w Paryżu (1984 r.).

Współpracownik podziemnych pism „Nurt” i „Ulotka Świętokrzyska” oraz Oficyny Wydawniczej SOWA w latach 1986-88, działacz Organizacji Akademickiej Konfederacji Polski Niepodległej i redaktor „Orla Białego” (1988-89).

W wolnej Polsce pracował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Obserwatorze” TVP jako redaktor wydania, dzienniku „Obserwator Codzienny” jako kierownik działu krajowego, „Wiadomościach” TVP, „Sztandarze” i „Życiu”. Pisał również w „Res Publice”, „Trybunie” i „Tygodniku Solidarność”.

Autor filmu o Aleksandrze Kwaśniewskim (emisja TVP1, marzec 2006) wspólnie ze Sławomirem Koehlerem.

ZWYCIĘŻYŁA NARRACJA SOLIDARNOŚCI

Z ANDRZEJEM ANUSZEM ROZMAWIA ŁUKASZ PERZYNA

– We współczesnej Polsce prezydent Karol Nawrocki jest historykiem, co więcej dawnym prezesem Instytutu Pamięci Narodowej, podobnie absolwentem historii pozostaje premier Donald Tusk, który z kolei wydał album o dziejach Gdańska. Również historię ukończył poprzedni szef rządu Mateusz Morawiecki. Prezydent sprzed kilkunastu lat Bronisław Komorowski oraz niedawny wicepremier Jacek Sasin również są historykami. Czy coś konkretnego z tej prawidłowości wynika, że wśród osób decydujących o polskiej polityce aż tak wielu historyków znajdujemy?

– W polskich warunkach nie jest to na pewno rzeczą przypadku, lecz prawidłowością. Kolejne pokolenia absolwentów historii, zwłaszcza tych, co się specjalizują w dziejach najnowszych, szły do polityki. Historycy zostawali politykami w wolnej Polsce. Bo przed 1989 r. historia była polityką. Toczyły się zmagania o narodową pamięć, jedni świętowali 22 lipca rocznicę manifestu PKWN i 9 maja zakończenie wojny, inni 3 Maja i 11 Listopada, ale już 1 Maja począwszy od stanu wojennego zwykle odbywały się dwa konkurencyjne pochody, co w jednej z naszych wspólnych rozmów omawiamy szczegółowo. Kiedy skończył się dawny ustrój, Polacy zaczęli rocznicę zakończenia II wojny światowej obchodzić 8 maja jak na Zachodzie, a nie dziewiątego, jak w Związku Radzieckim a potem Rosji. To nie żadna numerologia jednak, tylko kwestia do jakiej tradycji i wspólnoty się przyznajemy. W wolnej Polsce pewien wybór został dokonany, nawet ci, co twierdzą, że „za komuny było lepiej” o 22 lipca już nie pamiętają. Teraz to data jak każda inna, czasem tylko programy informacyjne telewizji w sezonie ogórkowym przypominają jak świętowano w czasach PRL. Korowód nazwisk, jaki Pan wyliczył, nie jest przypadkowy. Tak

jak przed 1989 r. historia była polityką, tak po tej dacie polityka staje się historią. Obie żyją z siebie nawzajem. I w pewien sposób wzajemnie się nakręcają. Działa to jak perpetuum mobile.

– Ten proces jak „polityka staje się historią” po mistrzowsku opisywał w książce o tym właśnie tytule powiernik i biograf Prymasa Tysiąclecia Stefana Wyszyńskiego, Andrzej Micewski, później również doradca jego następcy Józefa Glempa, który sam jako nastolatek zdążył być w partyzantce a później już w wolnej Polsce posłem z listy PSL?

– Na pewno nie zawęży się to do jednej tylko generacji, nawet o tak bogatych kolejach losu jak Kolumbowie do których zaliczali się zarówno kapelan Armii Krajowej Wyszyński jak partyzant Micewski. Dostrzegam pełną ciągłość tego stawania się historii, co dotyczy również urodzonego w roku zniesienia stanu wojennego Karola Nawrockiego. Wiemy, jaką rolę podejście do dziejów najnowszych odgrywa w kolejnych polskich dyskusjach i kampaniach. W demokracji rola historii wcale nie osłabła. Znamy powiedzenie Jerzego Giedroycia, że Polską rządzą dwie trumny: Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego.

– Nawet trumny smoleńskie jego aktualności nie podważyły?

– Nie zmieniła jej związana z oceną 10 kwietnia 2010 r. polaryzacja społeczeństwa. W wolnej Polsce stoją zarówno pomniki Piłsudskiego jak Dmowskiego. W czasach opozycji antykomunistycznej historia stała się frontem. Znow nie przypadkiem, bo jej świadomość w społeczeństwie pozostawała większa i bardziej wyrazista niż znajomość ekonomii czy literatury. Piłsudski patronował tym, którzy chcieli z ustrojem walczyć. Dmowski raczej realitom, skłonnym się z nim ułożyć, co uzasadniano chronieniem wartości wyższej rangi.

– Obaj przy tym symbolizowali polską państwowość, idealizowaną z odległości międzywojenną II Rzeczypospolitą?

– Dogodny to symbol, skoro żaden z nich nie dożył klęski wrześniowej. Piłsudski odszedł w maju 1935 r, w dziewiątą rocznicę przewrotu, który dał mu władzę. Dmowski zmarł w majątku przyjaciół, od dawna schorowany, w tym samym roku, w którym kolejna wojna wybuchła. Pamiętano o zasługach ich obu, w odrodzeniu Polski z popiołów tej poprzedniej. I zawsze można było powiedzieć, że Polska upadła nie tylko wtedy, gdy ich zabrakło – ale z takiego właśnie powodu. Na pewno budującym przykładem, chociaż wzajemnie swoich

działań nie uzgadniali, pozostaje postawa ich obu z lat 1918/19. Piłsudski nie sięgnął wtedy po dyktaturę, tylko rozpiisał pierwsze w historii Polski powszechne i demokratyczne wolne wybory. Nie odwołał ich, chociaż prawica przeprowadziła operetkowy pucz na początku stycznia. Odbyły się 26 stycznia 1919 r, przy frekwencji wyższej niż niedawne z 15 października 2023 r. pomimo szalejącej epidemii grypy hiszpanki gorszej jeszcze niż znana nam pandemia koronawirusa i trzaskającego mrozu. Z kolei od biografów Dmowskiego w tym Krzysztofa Kawalca wiemy, że „pan Roman” odrzucił w trakcie narady swoich zwolenników w Paryżu suflowany mu pomysł obalenia siłą „rządów ludowych” w kraju. W tym samym mniej więcej czasie Piłsudski dumiał jak najlepiej zastąpić radykalny rząd Jędrzeja Moraczewskiego, który zdążył już wprowadzić 8-godzinny dzień pracy, prawo do strajku i zrzeszania się w związkach zawodowych bez porównania bardziej umiarkowanym gabinetem pod kierownictwem Ignacego Paderewskiego, pianisty światowej sławy i niezawodnego ambasadora interesów Polski, zanim jeszcze powstała – w zachodnich stolicach. Wszystko działo się w czasie, kiedy mawiano – często przytacza to powiedzenie prof. Wiesław Wysocki, że Polska jest niczym łaska Boża, bez granic...

– Bo wtedy granic rzeczywiście nie miała, a jeśli nawet już tak, to płonęły? Symbolem działań polityków różnych obozów, które się uzupełniały choć nie zawarli formalnego porozumienia, stała się skuteczna obrona kraju w 1920 r. do której przyczynili się Piłsudski jako autor manewru znad Wieprza, Wincenty Witos jako chłopski premier mobilizujący włościan do walki, socjalista Ignacy Daszyński jako jego zastępca, również Dmowski był wtedy członkiem Rady Obrony Państwa? Jednak kiedy przyszedł maj 1926 r, nie wszystkie podziały okazały się czytelne, skoro nawet Giedroyc, wtedy dwudziestolatek ale już weteran wojny z bolszewikami (wtedy służył w łączności, gdzie na Kresach wychowany wykorzystał znajomość wschodnich języków) początkowo zgłosił się do obrony Belwederu, bo był państwowcem. Ale później z tego samego powodu poparł Piłsudskiego?

– Narracja tego ostatniego okazała się skuteczniejsza. Piłsudski jako dawny redaktor „Robotnika” okazał się mistrzem propagandy. Całe życie ją uprawiał i to nie byle jak. Już w nocy z 10 na 11 listopada 1918 r. kiedy negocjował z przedstawicielami niemieckiej rady delegatów żołnierskich warunki wyco-

fania ich wojsk z Polski – umiał odwołać się do lewicowej frazeologii, bliskiej wtedy zrewoltowanym Niemcom a jemu samemu znanej z Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej. Z kolei kiedy w 1926 r. zwracał się do swoich, głównie Polaków o umiarkowanych przekonaniach, wskazywał na groźbę faszystowskiego zamachu, na obecność w kolejnym rządzie Witosza tych, którym nie bez powodu przecież przypisywał odpowiedzialność za zabójstwo prezydenta Gabriela Narutowicza z 1922 roku. Dmowski wtedy dużo pisał, ale w raczej gabinetowym i nieco staroświeckim stylu. Choć Narodowa Demokracja miała na swoich usługach też zręcznych publicystów, ze Stanisławem Strońskim na czele, autorem słynnego określenia „cud nad Wisłą”, przewrotnie pozbawiającego Piłsudskiego roli zwycięzcy w Bitwie Warszawskiej z 1920 r. bo skoro rozstrzygnąć miał czynnik nadprzyrodzony to już nie Naczelnik Państwa. Za to w 1926 Piłsudski zabrał się do rzeczy z pełnym znanstwem, zaczął operację przejmowania władzy od wywiadów prasowych, kiedy jeden z nich skonfiskowano, oburzenie w warszawskich kawiarniach okazało się powszechne, chociaż ludzie nie wiedzieli nawet, co zawierał. I tak bitwa okazała się wygrana, zanim jeszcze zagrzały działa. Świadomość tego miała strona przeciwna. Stanisław Grabski mówił ochotnikom w Belwederze, że rządzący nie dadzą rady tam się utrzymać, jak to Giedroyc usłyszał to zaraz odłożył karabin i poszedł do domu a potem już popierał sanację. Podobnie jak Czesław Miłosz, którego ojciec był peowiakiem.

– Aż w sześćdziesiąt lat później, akurat wtedy, kiedy Miłosz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla, w Solidarności spotkały się wszystkie te tradycje, znów, dodajmy, zwycięsko jak w 1920 r., choć tym razem niemal bezkrwawo acz nie z natychmiastowym efektem?

– Zapracował na to drugi obieg wydawniczy, skutecznie te tradycje Polakom przypominając. Do tego stopnia, że uznają za zasadne rozszerzenie pojęcia „drugiego obiegu” na całość niezależnych inicjatyw, taką typologię przyjąłem w swojej książce „Nielegalna polityka”. Pisanie z perspektywy „obserwatora uczestniczącego” czy jeśli przywołać jako niedościgniony wzór strategię „widza i uczestnika” tytułową dla słynnej książki francuskiego filozofa historii Raymonda Arona – pozwala skonfrontować własne doświadczenie z dokumentami i pracami historyków. Do szkoły średniej poszedłem akurat

w dzień po tym jak w Gdańsku podpisano Porozumienia Sierpniowe. Jako przedstawiciel pierwszego pokolenia, którego świadomość kształtował drugi obieg, a nie tylko nocne Polaków rozmowy, chociaż u mnie w domu ich nie brakowało, Ojciec był w Kedywie AK a rodzina mamy ratowała Żydów podczas okupacji – uznają publikacje historyczne za najistotniejsze dla tej generacyjnej tożsamości. Z dzieł Miłosza największe wrażenie wywierał „Zniewolony umysł”, co wypada stwierdzić, nic nie ujmując wierszom naszego noblisty. Kronika Powstania Warszawskiego Władysława Bartoszewskiego uzupełniała publikacje oficjalne z cenzuralnej konieczności skupione na batalistycie o codzienne obyczajowe realia tego zrywu i uwarunkowania polityczne. Podobnie jak książka Tadeusza Żenczykowskiego. Skromna broszurka Marcina Króla „Józef Piłsudski. Ewolucja myśli politycznej”, spisany tekst wykładu „uniwersytetu latającego” Towarzystwa Kursów Naukowych, krążyła wśród studentów i licealistów dosłownie zaczytywana i stała się odtrutką na oficjalny cykl publikacji Andrzeja Garlickiego, co wedle komunistycznych decydentów miał zachować monopol na wiedzę o Marszałku a sam monopolista po otwarciu archiwów okazał się konfidentem służby bezpieczeństwa. W okresie „karnawału Solidarności” spełniło się po sześćdziesięciu latach marzenie Stefana Żeromskiego. Autor „Przedwiośnia” nade wszystko pragnął, by czytali go polscy robotnicy. I wtedy właśnie niezależne wydawnictwo opublikowało „Na probostwie w Wyszkanie” o 1920 roku, a członkowie komisji zakładowych związku Solidarność prawie sobie tę broszurę z rąk wyrwali. Przywiązany do tradycji rodzinnej mogę tu mieć poczucie dumy i satysfakcji, że to mój stryjeczny pradziadek Antoni Anusz wieloletni towarzysz walki Piłsudskiego u Żeromskiego ten niezwykle szkic zamówił, gdy zawiadywał polską propagandą w trakcie wojny z bolszewikami.

– A po wielu latach ledwo czytelne broszury wygrały z opasłymi tomiszczami reklamowanymi w trakcie kiermaszu pod Pałacem Kultury i Nauki?

– Stało się to możliwe dzięki temu, że te „książki zbójckie” wpisały się w świadomość rodzinną i zbiorową, przypomniały ją i ożywiły. Cynicznych obserwatorów z zagranicy mogło szokować, że Polacy zamiast naprawiać gospodarkę domagają się, żeby kolejne pomniki budować, ale ci mądrzejsi, jak Timothy Garton Ash czy Norman Davies błyskawicznie to zrozumieli i nie

przypadkiem ich publikacje o Polsce okazują się najbardziej wartościowe. Zresztą nie dało się nie docenić duchowego podłoża polskich przemian, skoro nie można ich pojąć bez znajomości znaczenia wyboru kardynała Karola Wojtyły na stolicę Piotrową i kalendarium jego kolejnych pielgrzymek.

– W trakcie trzeciej z nich, w trudnym roku 1987, bo niedługo wcześniej komuniści ogłosili amnestię i wielu uznało, że skoro nie ma więźniów politycznych, to cel osiągnięto, więc po co w opozycji działać – w każdym razie wtedy Jan Paweł II w Gdańsku odwołał się do pamięci o Westerplatte. I znowu historia wpłynęła na współczesną politykę?

– Jan Paweł II wtedy starannie wybrał zdarzenie do którego nawiązuje: obrona Westerplatte trwała siedem dni zamiast zamierzonych kilku godzin ale też nie była stracénicza, lecz roztropna. Poległo piętnastu ludzi z załogi, Niemców dużo więcej. Przez te wszystkie dni słowa przez radio słyszane, że Westerplatte się broni, o czym wiemy z przekazów w tym także z wierszy, dodawały Polakom ducha. I wtedy w Trójmieście w 1987 r. w oczywisty sposób kojarzącym się z Solidarnością, z jej narodzinami, Papież powiedział: „każdy z Was

młodzi przyjaciele znajduje w życiu swoje Westerplatte. (...) Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć”. Ci, którzy słuchali, stali się później organizatorami strajków w 1988 roku nie tylko w Trójmieście, ale tam Stocznia Gdańska strajkowała dwa razy – w maju i w sierpniu. Co utarowało drogę ustępstwom władzy i doprowadziło do wyborów czerwcowych w rok później, rozstrzygających nie tylko o przyszłości Polski ale całego bloku wschodniego. Trudno o bardziej jednoznaczny przykład wpływu historii na współczesne zdarzenia, teraz ja Pana zapytam, czyż nie tak?

– Oczywiście, ale czy tej walki o pamięć historyczną nie postrzega Pan zbyt optymistycznie? Skoro narracja Solidarności zwyciężyła tak bezapelacyjnie, to dlaczego po 4 czerwca 1989 r. postkomuniści dwa razy wygrywali demokratyczne wybory: w 1993 i 2001 roku, a w dodatku jeszcze teraz obecny marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty wywodzi się z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w tym sensie w jakim Pan z Niezależnego Zrzeszenia Studentów czy ja z Konfederacji Polski Niepodległej?

– Narracja Solidarności w sferze historii zwyciężyła bezapelacyjnie. Zwalono pomniki Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie i Włodzimierza Lenina

w Nowej Hucie. Zdemontowano w stolicy za Żelazną Bramą ten szpetny monument ku czci poległych w walce o utrwalenie władzy ludowej wzniesiony akurat na 40-lecie PRL czyli w znanym z George'a Orwella roku 1984 a przez mieszkańców familiarnie zwany „ubeliskiem”. Nikt ich nie próbował odbudowywać, kiedy postkomuniści wracali do władzy, wręcz przeciwnie, oni wprawdzie bronili wysokich emerytur dla swoich, ale przedstawiali się zarazem jako proeuropejscy demokraci, co za demokratyzacją byli zawsze, na ile realia im tylko pozwalały.

– To zapewne obraz nie do końca fałszywy. Co trzeci z trzech milionów członków PZPR zapisał się do Solidarności, w tym członkini Biura Politycznego Komitetu Centralnego Zofia Grzyb, działały też struktury poziome PZPR najsilniejsze w Towimorze w Toruniu gdzie był charyzmatyczny sekretarz Zbigniew Iwanów, one głosiły to samo, co struktury Solidarności, u nas na Uniwersytecie Warszawskim symbolizował je Wojciech Lamentowicz?

– Jednak dla zwyczajnych Polaków to nie tow. Grzyb ani Iwanow symbolizują politykę PZPR z lat 80. tylko autorzy stanu wojennego: generałowie Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak oraz rzecznik rządu Jerzy Urban. Rozmawiamy przecież o narracji dominującej powszechnie w świadomości zbiorowej, a nie o chlubnych wyjątkach, które reguły potwierdzają. Iwanów został po 13 grudnia 1981 r. internowany a potem dostał paszport emigracyjny do USA, gdzie umarł. Zaś tow. Grzyb z czasem wypisała się z NSZZ „Solidarność” a została w biurze politycznym. Po 1989 r. nie toczył się żaden spór o ocenę wydarzeń tak tragicznych jak masakra górników Kopalni Wujek z 16 grudnia 1981 r. ani zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki w 1984 r., nawet jeśli ustalenie „morderców z za biurka”, inspiratorów czy rozkazodawców nie powiodło się tak jak pociągnięcie do odpowiedzialności tych, co pozostawali bezpośrednimi sprawcami zbrodni. Jeśli postkomuniści po 1989 r. władzę obejmowali, to nie dlatego, że Polacy ciepło wspominali nawet nie stan wojenny ale pochody pierwszomajowe i czyny społeczne – tylko z tego powodu, że nowa władza zamykała fabryki i PGR-y a koszty zmian okazały się wysokie, nawet jeśli po latach zmiany zaprocentowały tak pięknie jak w wypadku wprowadzonej za rządów Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności reformy samorządowo-

-administracyjnej, owocującej rozkwitem tysięcy Małych Ojczyzn i pozyskiwaniem przez nie zagranicznych funduszy pomocowych.

– **Mówi się, że historię piszą zwycięzcy?**

– To truizm, że zwycięzcy piszą historię. Zwykle składają opowieść o niej z elementów czasu, kiedy walczyli. W sferze świadomości zbiorowej to obóz solidarnościowy, nawet jeśli podzielony czy parę razy sromotnie przegrywający przy urnach – okazał się zwycięski. Historii w największym stopniu to dotyczy. Nasi przeciwnicy przejęli od nas język opisu, podstawowe pojęcia i oceny. Kiedy powstawał rząd Tadeusza Mazowieckiego, jego utworzenie stało się możliwe dzięki temu, że satelickie wcześniej wobec PZPR Zjednoczone Stronnictwo Ludowe przypomniało sobie o tradycji Polskiego Stronnictwa Ludowego: tak Wincentego Witosa jak Stanisława Mikołajczyka tuż po wojnie. Zaś Stronnictwo Demokratyczne – o dziedzictwie postępowej ale światłej inteligencji i rzemiosła. Przynajmniej w ten sposób na użytek mas członkowskich odwrócenie sojuszy tłumaczyli czy uzasadniali. Jednak świadomość historyczna okazuje się istotna nie tylko dla wewnętrznej polityki. Współdziałanie Józefa Piłsudskiego z Symonem Petlurą przy wyprawie kijowskiej z 1920 r. przypomniano w drugim obiegu i na emigracji. Komuniści forsowali inną narrację, symbolizowaną przez „Łuny w Bieszczadach” Jana Gerharda i film o ogniomistrzu Kaleniu Ewy i Czesława Petelskich. Z czasem Leszek Moczulski zasadnie zauważył wspólnotę losu Polaków i Ukraińców. Od prawie pięciu lat ma ona dla nas i dla nich zasadnicze znaczenie, jakoś się dopełnia, w postaci największej od zakończenia II wojny światowej akcji humanitarnej, jaką zwykli Polacy masowo podjęli na rzecz wojennych uchodźców ukraińskich. Poczuciu wspólnoty szkodzą spory o rzeź wołyńską, o gloryfikowanie przez Kijów Ukraińskiej Powstańczej Armii dla nas przecież zbrodniczej. Ale ostatecznie tej wspólnoty nie przekreślają. Leszek Moczulski potrafił się w latach 80. spotkać ze Sławą Stećko, ale miało to sens dlatego, że po drugiej stronie dostrzegł wolę porozumienia. I nawiązania do tej lepszej, a nie gorszej części wspólnej historii.

– **Z Rosją to nie wyszło? Pamiętam ocenę Moczulskiego z 1994 r. wtedy go dla Wiadomości TVP nagrywałem, że jeśli prezydent Borys Jelcyn przyjedzie na 50. lecie Powstania Warszawskiego, to może się szykować przełom podobny jak w 1970 r. z Niemcami za sprawą Willy Brandta? Nie**

było to utopią, skoro w październiku 1992 r. specjalny wysłannik Jelcyna, Rudolf Pichoja przywiózł do Polski archiwum katyńskie?

– Jelcyn potrzebował wtedy uznania Zachodu, żeby pozyskać kredyty, więc nadzieja ta nie była do końca płonna, chociaż przełom nie nastąpił. Pozyskanie przez nas archiwów dotyczących zbrodni NKWD na polskich oficerach podczas II wojny światowej stało się możliwe za sprawą optymalnego wykorzystania momentu historii, w jakim było to możliwe. Podobnie jak nasze wstąpienie do NATO: rząd Jerzego Buzka, koalicja AWS-UW wykorzystały ostatni moment kiedy Jelcyn po kryzysie z 1998 r. w świecie nazwanym po prostu rosyjskim potrzebował finansowej kroplówki z Zachodu a zarazem zanim w kolejnym roku powołał na premiera i przyszłego następcę twardogłowego szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa Władimira Putina, bo już bardziej od gospodarki interesowała go rękojmia bezpieczeństwa dla własnej rodziny, czego nie gwarantowali inni pretendenci do sukcesji.

– Do NATO przyjęto nas pod koniec drugiej prezydenckiej kadencji Demokracji Billa Clintona. Wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych prezydent zwykł decyzje odważne i o epokowym znaczeniu podejmować dopiero wówczas, kiedy nie może się o reelekcję już ubiegać? Ale też wiadomo, że kiedy Clinton przebywał w czasie zimnej wojny, uchylając się od służby w Wietnamie, na stypendium w Oksfordzie, jego wykładowcą i opiekunem był tam prof. Zbigniew Pełczyński uczestnik ruchu oporu w kraju podczas niemieckiej okupacji i weteran Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie? I to on ugruntował w nim przekonanie, że podział świata nie potrwa wiecznie?

– Znajdujemy więc kolejny doskonały przykład, jak historia wpływa na działania polityków. I rzutuje na ich decyzje, również tak istotne, że stają się historią znowu. Nie przypadkiem dla nowej Polski tej wolnej po 1989 r. polityka historyczna zachowuje tak istotne znaczenie. Czujemy się wspólnotą, kiedy spotykamy się zawsze 1 sierpnia w rocznicę Powstania Warszawskiego na Powązkach. Poczuliśmy się nią, kiedy przyszło nam pomagać Ukraińcom, chroniącym się u nas przed agresją rosyjską, doskonale nam znaną z naszej własnej historii. Na ulicach Warszawy w trakcie demonstracji przeciw stanowi wojennemu w 1982 r. rozlegało się hasło „Chodźcie z nami”, które ponad 150 lat wcześniej wznosili tam Podchorążowie Piotra Wysockiego podczas

ZAMIAST WSTĘPU

Nocy Listopadowej w 1830 r. Podobnie dawne zawołanie „Za wolność naszą i waszą” przypisywane Joachimowi Lelewelowi, który odnosił je do dekabrystów rosyjskich aktualizuje się niespodziewanie przy okazji wszechstronnej pomocy, udzielanej napadniętym przez Władimira Putina Ukraińcom. Ale też widzimy, że nie jest ona bezwarunkowa i dana na zawsze, że oni mogą naszą sympatię utracić, jeśli będą się upierać przy czczeniu UPA, sprawców rzezi wołyńskiej. Mamy więc problem, ale i kolejny argument, jak bardzo historia okazuje się ważna.

Na stronach 17–150 publikujemy wywiady Łukasza Perzyny z Andrzejem Anuszem, które ukazywały się w latach 2014–2026, na łamach „Samorządności” – gazety wydawanej przez Mazowiecką Wspólnotę Samorządową.

O HISTORII



WIELKIE MIASTO WIDZÓW

– **Ilu widzów zobaczyło już „Kamienie na szaniec”?**

– Premiera kinowa miała miejsce 7 marca, a w ciągu miesiąca od tej daty film obejrzało już 800 tys. widzów.

– **To tyle osób, ile mieszka w wielkim mieście, więcej niż liczba mieszkańców Krakowa czy Wrocławia. Czy producenci są zadowoleni z takiego zainteresowania?**

– Oczywiście, jest to liczba porównywalna z widzami innego filmu historycznego „Jack Strong” o pułkowniku Ryszardzie Kuklińskim. Mam nadzieję, że osiągniemy pułap miliona widzów w kinach.

– **Czy da się określić, kto obejrzał „Kamienie na szaniec”?**

– Grupą istotną są uczniowie, ich wycieczki na seans organizowały szkoły. Książka Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”, która stała się inspiracją dla twórców filmu, znajduje się na liście lektur dla trzeciej klasy gimnazjum. Wyjście do kina nie było więc dla uczniów wyłącznie atrakcją, ale częścią realizacji programu nauczania, chociaż oczywiście ekranizacja Roberta Glińskiego nie jest dosłowną adaptacją i nie zastąpi lektury książki Kamińskiego, powinna ją raczej uzupełniać.

– **Przy okazji premiery filmu ukazały się również materiały dla nauczycieli. Mam nadzieję, że to nie sztywny szablon, tylko raczej ramy, które pedagodzy mogą swoją inwencją wypełnić, omawiając na lekcji książkę Kamińskiego oraz film Glińskiego?**

– Publikacja materiałów dla nauczycieli wiąże się ze współpracą z wydawnictwem „Nowa Era”. Powstała pomoc naukowa, przydatna na lekcjach polskiego oraz historii czy wiedzy o społeczeństwie. Żaden szablon, raczej inspi-

racja, która pobudzi inwencję pedagogów i uczniów. Zanim jeszcze film miał swoją premierę kinową, w dniach 3–7 marca zorganizowano w różnych miastach Polski 30 pokazów „Kamieni na szaniec”, które obejrzało ok. 4 tys. nauczycieli. Gotowe zestawy, wydane przez „Nową Erę” przydadzą się do dyskusji na lekcjach. Zawierają m.in. wykład profesora Rafała Habielskiego, dotyczący sytuacji Polski w 1943 roku.

– **Ale nie wyprodukowaliście filmu wyłącznie dla szkół i pedagogów? „Kamienie na szaniec” nadają się... do oglądania, a nie tylko omawiania na lekcjach?**

– Film adresowany jest do miłośników historii, czy wszystkich widzów w jakimś stopniu nią zainteresowanych. Z danych, którymi dysponujemy wynika, że przekrój widzów jest podobny jak przy innych filmach. Oczywiście, że nie tylko uczniowie „Kamienie na szaniec” oglądają.

– **Przed ponad półwieczem Andrzej Wajda, ekranizując powieść Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament” odszedł od wskazań kostiumologów i konsultantów historycznych. Kreowany przez Zbigniewa Cybulskiego Maciek Chełmicki nosił skórzaną kurtkę i modne okulary, nie takie jak akowcy, tylko jak młodzież czasów Polskiego Października. Dziś jednak wszyscy wyobrażają sobie Chełmickiego tak, jak go Cybulski u Wajdy odtworzył. Czy podobnie postąpił Robert Gliński z bohaterami „Kamieni na szaniec”? Grający Alka, Zośkę i Rudego aktorzy bardzo współcześnie się zachowują i wyglądają?**

– Mogę tylko zgodzić się ze wskazaną przez Pana analogią. Wydaje się naturalne, że pragnąc przemówić do współczesnej młodzieży, twórcy filmu nadali aktorom, odtwarzającym historycznych bohaterów, wiele współczesnych cech. Bohaterów grają przecież młodzi aktorzy, w wieku Rudego, Zośki, Alka. Młodzież jest się w stanie utożsamić z tymi bohaterami. Stają się punktem odniesienia dla współczesnych dwudziestolatków. Nie szkodzi to staranności, by zachować niezbędną dla wiarygodności ekranizacji wierność książce. Książka nie jest dokumentem, chociaż powstała na podstawie pamiętników Zośki, który zdążył je przekazać Aleksandrowi Kamińskiemu. „Kamienie na szaniec” nie są dokumentem, powstawały raczej „ku pokrzepieniu serc”. Oczywiście, że pisząc swoją opowieść Kamiński literacko przetwarzał pamiętnik Tadeusza Zawadz-

kiego „Zośki”, zaś z kolei reżyser Robert Gliński budując adaptację jego opowieści przetworzył ją na język filmu i odwołał się do współczesności.

– Czy dla ludzi współtworzących film była to praca jak każda inna czy raczej rodzaj misji?

– Wiele spraw związanych z tymi czasami odbieram emocjonalnie, z powodu wątku rodzinnego. Mój tata Zbigniew Anusz urodził się w Warszawie. Złożył przysięgę jako żołnierz Armii Krajowej. Był w Kedywie, konspirował i walczył pod pseudonimem „Topór”. Zaś mój wujek Witold Winnicki „Pik” był kolegą „Zośki”, działał w Szarych Szeregach, walczył w Powstaniu Warszawskim w szeregach „Batalionu Zośka”. Gdy po wojnie zaczęły się represje, w wyniku których w więzieniu zamordowany został znany z „Kamieni na Szaniec” „Anoda” – wujek również był aresztowany w tej samej sprawie. Spędził za kratami wiele miesięcy. Znam tę historię z opowieści rodzinnych. Jako chłopiec przysłuchiwałem się rozmowom ojca i wuja. Rzeczywiście, z tych powodów w realizację filmu „Kamienie na szaniec” zaangażowałem się... również emocjonalnie.

– Czy sukces „Kamieni na szaniec” oznacza modę na pewnego typu film historyczny, nie mam oczywiście na myśli filmowych perypetii pierwszych Piastów tylko obrazy, skupione na dylematach ostatnich kilkudziesięciu lat i prezentujące je – jak „Kamienie na szaniec” Glińskiego – z patriotycznego punktu widzenia?

– 800 tys. widzów „Kamieni na szaniec” w ciągu miesiąca i również spore zainteresowanie filmem „Jack Strong” o Kuklińskim pokazują pewną stałą już tendencję, w tym roku powstaną jeszcze kolejne filmy o Powstaniu Warszawskim Jana Komasy.

– Jeśli jest tak dobrze, to odwróćmy pytanie. Jakie filmy o historii najnowszej... nie powstały, chociaż powinny. Jak to widzi socjolog i autor wielu książek historycznych?

– Skoro nakręcono już filmy o zamordowanym studencie z Krakowa Stanisławie Pyjasie, to na pewno na filmową opowieść zasługują losy i historia warszawskiej młodzieży z czasów stanu wojennego, jej ówczesna aktywność przeciw systemowi. Dla współczesnej młodzieży byłoby to niewątpliwie ciekawe.

POLACY MAJOWE ŚWIĘTA OBCHODZILI NA ULICACH

– Jak to się stało, że w stanie wojennym zaskoczył nas przebieg zarówno obchodów 1 jak 3 maja? To były pierwsze święta państwowe po 13 grudnia 1981, pierwsze z nich to oficjalne komunistyczne, drugie jeszcze przedwojenne – i nagle wtedy, w maju 1982 r. stało się coś ważnego?

– 1 Maja, Święto Pracy, aż do momentu powstania Solidarności pozostało zawłaszczone przez komunistów...

– Ale świadkowie przedwojennych pochodów pierwszomajowych też opisywali, jak one przebiegały. W tłum niby przypadkiem wjeżdżała ciężarówka, oddzielająca „nietykalnych” pepeesowców od komunistów po czym wyskakiwała sanacyjna policja i rozpędzała tych ostatnich...

– Pan o tym wie i ja też, ale tradycja ta nie stała się powszechna, bo los tych z obu stron wspomnianej ciężarówki prowadzonej przez tajniaka okazał się podobnie tragiczny: „funków” Komunistycznej Partii Polski wybił Stalin w trakcie wielkich czystek, zaś ci działacze PPS, których Niemcy nie zdążyli rozstrzelać w palmirskim lesie dogorywali później z wysokimi wyrokami w więzieniach komunistycznych, jak lider socjalistów Kazimierz Pużak. W czasach PRL pochody pierwszomajowe stały się okazją do manifestowania poparcia dla komunistycznej władzy ze strony różnych środowisk...

– ...ze szkolnych akademii dało się zapamiętać rymowanki: „**idzie Ochota, Praga, Wola, idą fabryki, sztolnie, pola, murarze, tkacze, metalowcy...**”?

– Nie szli oczywiście bezinteresownie w tym pochodzie, bo przy okazji można było w pobliskich kioskach kiermaszowych kupić papier toaletowy niedostępny w sklepach w czas permanentnego kryzysu, a później ludzie wraca-

li do domów z rolkami tego papieru na szyi niczym zwycięzcy starożytnych olimpiad z girlandami kwiatów... Podawano gorącą kiełbasę i można się było napić piwa.

– **Aż przyszła Solidarność i zepsuła festynową idyllę?**

– Ścisłej spróbowała powrócić do korzeni tego święta, upamiętniającego przecież okupiony krwią protest robotników z Chicago z XIX wieku. To była propozycja wpisania 1 Maja w kanon tradycji związków zawodowych i robotniczych wspólnot.

– **I mamy 1982 rok...**

– Wtedy struktury podziemne nawołują do upamiętnienia Świąta Pracy w sytuacji, kiedy wszystkie związki zawodowe, nie tylko NSZZ „Solidarność” zostały w stanie wojennym nominalnie zawieszane. Z punktu widzenia komunistów, była to trudna sytuacja, bo oni pamiętali, ich struktury siłowe również, że to zawsze było ich święto.

– **A przy tym na użytek sojuszników z „układu warszawskiego” i „rady wzajemnej pomocy gospodarczej”, przede wszystkim towarzyszy radzieckich ale też zachodnich partii, często lansujących wtedy „eurokomunizm” i potępiających sowiecką inwazję na Afganistan, także dla polityków demokratycznych wolnego świata forsowano tezę o skutecznej „normalizacji” w Polsce?**

– Rządzący zlekceważyli przygotowania opozycji. Zapewne po części padli ofiarą własnej propagandy. 1 maja 1982 r. opozycja odniosła wielki sukces frekwencyjny. Przez Warszawę przeszło bowiem co najmniej 80 tys. ludzi, liczne szacunki mówią nawet o stu tysiącach. Wielka demonstracja nie atakowana przez siły porządkowe przeszła od Katedry na Świętojańskiej ulicami Starego Miasta na błonia nadwiślańskie, których wtedy jeszcze nie nazywano bulwarami. Policzyliśmy się. Zobaczyliśmy, ilu nas jest. Ludzie krzyczeli: spotykamy się 3 Maja.

– **Ale na tę drugą datę władza już się przygotowała?**

– 3 maja 1982 r. komuniści praktycznie blokują miasto. Jeszcze przed uformowaniem się demonstracji dochodzi do masowego legitymowania i zatrzymywania. A potem rozprasza się tłum z użyciem armatek wodnych, gazu łzawiącego i pałek używanych przez ciężkobrajnych hoplitów z ZOMO. Na

Starym Mieście i w Śródmieściu długo toczą się walki uliczne. To było zderzenie władzy ze społeczeństwem. I dowód, że ta pierwsza nie wzdraga się jak w „Święto Pracy” demonstrantów brutalnie rozpędzać. Tradycja wiązała 3 Maja ze świętem państwowym sprzed wojny, sanacyjnym, podobnie jak 11 listopada. Oczywiście historiografa komunistyczna również doceniała Konstytucję z 1791 r. jako „odrodzenie w upadku”, nie tała, że brała ona w opiekę chłopów i w obronę mieszczan, ale jednak to było święto polskiej demokracji, komunistom obce, oni długo 1 Maja temu Trzeciemu przeciwstawiali.

– **Aż Solidarność paradoksalnie to połączyła i pogodziła?**

– Pod koniec lat 70. opozycja świętowała 3 Maja, podobnie jak 11 Listopada. Ale Święto Pracy pozostawiano komunistom. Za to gdy powstała Solidarność, Kościół przypomniał, że 1 maja przypada również Święto Józefa Robotnika. Przyczyniło się to do odczarowania tej daty, nadania jej chrześcijańskiego wymiaru.

– **Podobnie jak później męczeństwo ks. Jerzego.**

– Rzeczywiście od połowy lat 80. pierwszomajowe pochody w Warszawie zaczynały się od Kościoła Św. Stanisława, powszechnie kojarzonego z ks. Jerzym Popiełuszką, zamordowanym w 1984 r. przez funkcjonariuszy komunistycznej służby bezpieczeństwa. Był kapelanem robotników z Huty Warszawa a stał się symbolem Solidarności. 3 Maja oczywiście też się demonstracje odbywały, nie tak masowe już jak w 1982 roku, ale zwykle rozpędzane przez władze.

– **Coś dziwnego stało się z tymi świętami już po przełomie 1989 r, czy socjolog to potwierdza?**

– Dorysowano do sekwencji tych dat formułę majówki. 1 Maja lewica cały czas niby podtrzymuje tradycje, ale coraz mniej ludzi z każdym rokiem gromadzi się przed siedzibą OPZZ, której większą część zresztą zajmują wynajmujące tam kubaturę instytucje komercyjne a nie związkowe. Kościół wciąż przypomina o dniu Świętego Józefa Robotnika. Za to data 3 Maja podobnie jak 11 Listopada stała się pełnoprawnym świętem narodowym w miejsce 22 lipca, wielu współczesnych osiemnastolatków zapewne nie wie już nawet, co to był manifest PKWN. Przedziela te dni 2 maja, Święto Flagi, dobry pomysł, wiem, że samorządowcy przywiązują do niego szczególną wagę, bo jako przypomnienie o patriotyzmie się sprawdza. Widać tu próbę

połączenia różnych tradycji. Skoro jednak najmocniejszy okazuje się przekaz o majówce – to widać nikomu nie zależy na masowym udziale obywateli w uroczystościach. Władzy na pewno nie, żadnej. Dodatkowe dni wolne, chorągiewka w oknie – to wszystko. Robotnicy pierwszego nie idą na pochód tylko na grilla, nauczyciel zaś trzeciego nie pędzi dzieciaków na obchody, jak czynił to przed wojną, zwłaszcza jeśli należał do Strzelca, tylko co najwyżej flagę na balkonie wywiesi, od poprawiania klasówek odpocznie, telewizję popogląda. Taki nam się zrobił konglomerat, trudno się temu dziwić. Konsumujemy w święta i tyle...

– **Pozostaje jeszcze kwestia kiedy mamy obchodzić w maju rocznicę zakończenia wojny. W 1992 r. napisałem dla „Obserwatora Codziennego” wstępniak pt. „Ósmy, nie dziewiąty”. Czy miałem wtedy rację?**

– Niemcy hitlerowskie skapitulowały 8 maja 1945, ale władze radzieckie nakazały świętowanie zwycięstwa nad faszyzmem dzień później, najpierw po to, żeby za pierwszym razem móc to czynić przez cały dzień, potem, żeby podkreślić rolę ZSRR w zwycięskiej koalicji. W polskich kategoriach data 9 maja stanowiła problem...

– **...nie była to czerwona kartka w kalendarzu?**

– Nawet rządzący komuniści wiedzieli, że nie jest to popularna data, stanowiła symbol dominacji radzieckiej. Zwykle Dziennik TV pokazywał defiladę na moskiewskim Placu Czerwonym i to był główny akcent. Wiemy, że w tym roku defilady nie będzie niby ze względu na zagrożenie terrorystyczne. Ale złośliwi mówią, że nie ma już czym nawet przed trybuną przejechać, bo cały sprzęt wojskowy przepadł w błocie na Ukrainie.

– **Jeszcze niedawno sposoby upamiętnienia przez zwykłych Rosjan mogły się nam podobać, jak hasło „spasiba diedu, za pobiedu”, albo dowcipne naklejki „trofejne” na zderzakach beemwic, bumerów jak ruscy mówią i mercedesów. Wolno im, myśleliśmy, przecież od paktu Sikorski-Majski z 1941 r aż do zerwania stosunków po ujawnieniu zbrodni katyńskiej w kwietniu 1943 pozostawaliśmy sojusznikami. Teraz, po kolejnych zbrodniach, Putinowskich na Ukrainie, nikt już chyba nie uznaje 9 maja za ważną dla Polski datę?**

– Za Władimira Putina już tylko jego zwolennicy świętują 9 maja, reszta

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

świata, w tym napadnięta Ukraina – ósmego i zapewne tak już pozostanie. Ze świecą pewnie szukać Polaka, który żałowałby rocznicowej defilady w Moskwie.

POLSKI POCZĄTEK MAJA

– **Gdy zastanawiamy się nad znaczeniem 1 i 3 Maja dla Polaków, najpierw do głowy przychodzą nam lata 80. To chyba zrozumiałe?**

– To rzecz ważna i przyciągająca uwagę, powiem nawet więcej: swoisty fenomen społeczny. Po swoim powstaniu w 1980 r. Solidarność weszła do życia publicznego jako organizacja reprezentująca świat pracy, w ten sposób sama siebie prezentowała i podobnie była przedstawiana. Czerpała więc – z Zachodu nie ze Wschodu – z tradycji socjaldemokratycznej, w której mieściło się upamiętnienie protestu chicagowskich robotników jeszcze z XIX wieku, bo taka była geneza święta 1 Maja. Zderzyło się to z całą poetyką komunistyczną, w której zarówno 1 Maja czyli Święto Pracy jak 22 lipca, upamiętnienie manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, pierwszego proradzieckiego rządu komunistycznego w 1944 r. – pozostawały świętami państwowymi. Tym samym Solidarność wkroczyła na teren zajęty, jak się wydawało, przez narrację komunistyczną. Starła się to święto odzyskać.

– **Aż przyszedł maj 1982 r, kiedy nie minęło jeszcze pół roku od wprowadzenia stanu wojennego?**

– To była największa od tego momentu demonstracja antykomunistyczna. Nie została rozbita. Komunistyczne siły bezpieczeństwa sprawiały wrażenie zaskoczonych i zdezorientowanych, chociaż już dwa dni później, 3 maja 1982 r. używały gazów łzawiących, armatek wodnych i pałek przeciw demonstrantom. Jednak 1 maja 1982 r. kilkadziesiąt tysięcy ludzi pomimo obowiązujących rygorów stanu wojennego przeszło ulicami Starego Miasta bez ataków ze strony ZOMO. Demonstracja zakończyła się na błoniach między Starówką a Wisłą. Dla Warszawy, całej stołecznej opozycji 1 Maja stał się odtąd ważnym punktem

odniesienia. I istotną klamrą historyczną. Bowiem u schyłku komunizmu odbyła się w 1989 r. kolejna pierwszomajowa demonstracja Solidarności. Przeszła od kościoła Św. Stanisława Kostki, gdzie opozycyjne pochody miały swój początek od 1985 r. dla uczczenia kapelana Solidarności Ks. Jerzego Popiełuszki, zamordowanego w poprzednim roku. I wtedy w 1989 r. manifestacja dotarła w to samo miejsce co w 1982 r. na błonia pod skarpą Starówki i tam się pokojowo rozwiązała, jak przed siedmiu laty. Dlatego mówię o historycznej klamrze. Parę tygodni później były już wybory czerwcowe, których datę nie tylko Joanna Szczepkowska uznała za koniec komunizmu w Polsce.

– A po odzyskaniu niepodległości również 1 Maja zmienił swój charakter?

– Tradycję kultywuje SLD, a szczególnie związane z nim OPZZ. Z kolei Solidarność czci tego dnia świętego Józefa Robotnika, pojawia się w tym kontekście narracja przez Kościół głoszona, co naturalne, zważywszy z jaką determinacją polski Kościół bronił w czasach PRL robotniczych praw.

– Do czasów Edwarda Gierka w PRL 1 Maja to były pochody oficjalne, na które spędzano załogi zakładów pracy i uczniów, zachęcano też do udziału kioskową sprzedażą niedostępnych na co dzień dóbr?

– Dlatego można mówić o fenomenie społecznym, że później w czasach Solidarności daty 1 i 3 Maja okazały się w wymiarze emocjonalnym równoważne. Święto Pracy, które jako czerwoną kartkę do kalendarza wprowadziły rządy komunistyczne i 3 Maja, rocznica Konstytucji, święto demokracji obchodzone już przed wojną. Z wyjątkiem pierwszej demonstracji kolejne zwoływane przez opozycję w latach 80. na dzień 1 Maja były już rozbijane przez władzę. Tym samym komuniści niespodziewanie ożywili tradycję chicagowską rozpraszania siłą robotniczych pochodów. I mimowolnie włączyli tę datę do kanonu przekazu suwerennościowego i niepodległościowego.

– W międzywojniu, w czasach sanacji wyglądało to inaczej: w środek pochodu pierwszomajowego wjeżdżała ciężarówka, prowadzona przez tajniaka. Stanowiła wskazówkę dla interweniującej policji. Oddzielała bowiem komunistów z KPP, których należało rozpędzić, od nietykalnych PPS-owców?

– A w latach 80. komunistyczny pochód oficjalny za każdym razem oddzielany był kordonem policji od opozycyjnego, solidarnościowego.

– **Warto wspomnieć, że historia antykomunistycznych demonstracji z kolei w dniu 3 Maja wcale nie zaczyna się od stanu wojennego, tylko w rok po zakończeniu wojny?**

– Więcej niż tylko epizodem stały się antykomunistyczne demonstracje 3 maja 1946 r. w Krakowie. Władza je rozpędziła ale dla morale społeczeństwa miały zasadnicze znaczenie. Stanisław Mikołajczyk znalazł się wtedy u szczytu popularności. I pozostawał wicepremierem. Działo się to przed referendum i przeprowadzonymi już w kolejnym roku wyborami, zakończonymi sławetnym „cudem nad urną”. Skala fałszerstw a także prowokacji – mam na myśli krwawe wydarzenia kieleckie – jakich wkrótce dopuszczają się komuniści nie była łatwa do przewidzenia. Masowy protest 3 maja w Krakowie oddawał nastroje społeczne.

– **Pamiętam zagraniczny film fabularny o Janie Pawle II, gdzie autorzy zaskakująco wiele miejsca poświęcili pokazanym rzetelnie i z rozmachem demonstracjom krakowskim, jako tym, które w znacznej mierze przysięgo Papieża z Polski uformowały?**

– To słuszna ocena, bo 3 maja 1946 stanowił ważne dla Karola Wojtyły doświadczenie. Przyszły Papież działał wówczas w Bratniaku. Ponieważ organizacje studenckie, póki przed referendum władza dbała jeszcze o zachowanie pozorów, zachowały możliwość podejmowania oficjalnych interwencji – właśnie Karol Wojtyła zabiegał o zwolnienie zatrzymanych wówczas studentów. To był ważny moment, pauzą historii bym go nazwał: największa po objęciu przez komunistów władzy demonstracja uliczna opozycji. Pierwsza i na bardzo długo ostatnia. Oddawała emocje społeczne.

– **Już po zmianie ustrojowej wprowadzono kolejne święto: Dzień Flagi, 2 maja. Nie oznacza czerwonej kartki w kalendarzu, obchodzony jest między dwoma świętami?**

– Wybór 2 maja na Dzień Flagi oddaje emocje społeczne w tym sensie, że za sprawą Solidarności i innych organizacji, jak Konfederacji Polski Niepodległej zawsze dbającej o upamiętnienie 3 Maja, uwspólnione zostały tradycje święta

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

robotniczego z 1 Maja, kojarzone ze statusem NSZZ Solidarność jako związku zawodowego, zarazem walczącego o wolność i niepodległość – i utrwalonego w naszej historii święto demokracji. Dzień Flagi łączy te wartości. Takie jego umiejscowienie w kalendarzu integruje narracje z lat 80. ale przede wszystkim ich efekt z czasu zmiany ustrojowej. Dopłnia je w pewnym sensie. To próba sklejenia ich. I trafny wybór. Flaga bowiem łączy wszystkie wyliczone tu wartości. Nasze długie majowe świętowanie stanowi ewenement w skali wolnego świata. Kilka dni świątecznych i wolnych między nimi to więcej niż majówka. Na pewno pora refleksji dla tych, co znajdują na nią ochotę. Polacy mają coś ekstra. I dobrze, tak powinno być.

MAJÓWKA NIEPODLEGŁOŚCI. TO SOLIDARNOŚĆ POŁĄCZYŁA Z POZORU SPRZECZNE TRADYCJE

– Aż do czasów stanu wojennego sytuacja wydawała się prosta: 3 Maja to święto historycznej Konstytucji i demokracji, obchodzone od 1919 r. w Drugiej Rzeczypospolitej, zaś już po wojnie – nielegalnie przez opozycję, zarówno w 1946 r. w Krakowie, gdy doszło do walk ulicznych jak pod koniec lat 70. Natomiast 1 Maja kojarzono z PRL i pochodami oficjalnymi. I nagle już w czasach Solidarności to się zmieniło, można nawet powiedzieć, że Święto Pracy zostało przez wolny związek zawodowy rządzącym odbite, chociaż władza swoje pochody organizowała nadal, tyle, że skromniej, na historycznej trasie między Placami: Grzybowskiem i Teatralnym, zamiast Marszałkowską?

– Rzeczywiście tak się stało, że Solidarność odzyskała dla bezpartyjnych Polaków Święto Pracy, zresztą obchodzone już w czasie zaborów kosztem wielu ofiar przez niepodległościowo nastawioną Polską Partię Socjalistyczną, w międzywojniu również, chociaż wtedy oczywiście i przez Komunistyczną Partię Polski aż do jej rozwiązania przez Józefa Stalina. Święto 1 Maja ustanowiła w 1889 r. II Międzynarodówka, tworzyli ją socjaliści opowiadający się za niepodległością uciemżonej wtedy przez zaborców Polski. A datę wybrano dla upamiętnienia wystąpień robotników z Chicago w 1886 r, walczących wtedy o ośmiogodzinny dzień pracy, który później w wolnym świecie stał się zasadą prawa, odrodzona Polska od razu go wprowadziła, zadbał o to dekretem rząd Jędrzeja Moraczewskiego. To komuniści po wojnie Święto Pracy zawłaszczyli, pochody stanowić miały pokaz jedności moralno-politycznej. Sprawdzano listy obecności, a gdy to nie skutkowało, bo pracownicy zwolnienia lekarskie brali, rządzący wzięli się na sposób i obok trasy pochodu rozstawiali stragany

z niedostępnymi w sklepach, w warunkach ówczesnej gospodarki niedoborów, towarami. Solidarność była ruchem społecznym ale również związkiem zawodowym, tak została zarejestrowana, broniła praw pracowniczych, więc adaptacja przez nią święta 1 Maja wydawała się rzeczą zrozumiałą. I nastąpiła jeszcze w pierwszym okresie, jej legalnej działalności. Co łączyło się także ze staraniami Kościoła, który przy okazji przypomniał postać Świętego Józefa Robotnika i swoją społeczną naukę o pracy. To był przecież czas pontyfikatu Jana Pawła II i jego encykliki „*Laborem exercens*”. Karol Wojtyła znał doskonale to zagadnienie, podczas okupacji niemieckiej pracował jako robotnik w Solvayu. Nie dziwi mnie natomiast, że od razu Pan kojarzy datę 1 Maja ze stanem wojennym, bo po jego wprowadzeniu była to pierwsza tak wielka demonstracja.

– Wtedy mówiono, że rozmach „alternatywnego pochodu” w 1982 r. zaskoczył nie tylko władzę, ale nawet wielu liderów opozycji?

– Wśród wielu zasług Solidarności warto wymienić tę, że połączyła dwie z pozoru tylko sprzeczne tradycje, symbolizowane przez daty 1 i 3 Maja. Na tym również polegał fenomen symboliki Solidarności, że łączyła, a nie dzieliła. W tym wypadku – dwa pozornie sprzeczne uniwersa. Pracownicze i równościowe, kojarzone z 1 Maja. I demokratyczne oraz niepodległościowe uniwersum, związane z datą 3 Maja. Konstytucja wtedy w 1791 r. uchwalona była przecież odrodzeniem w upadku, jak ją określili historycy. Unowocześniała ustrój i brała chłopów pod opiekę. A Polacy bronili jej wraz z niepodległością kraju. Postać Tadeusza Kościuszki zna przecież każde polskie dziecko. 1 maja 1982 r. skandowano „chodźcie z nami, dziś nie biją” na nielegalnej w warunkach stanu wojennego i pierwszej tak masowej po 13 grudnia 1981 r. demonstracji opozycji. Milicja rzeczywiście wtedy nie atakowała, co łączyć można zarówno z zaskoczeniem władzy jak symboliką święta, które uznawała jeszcze za swoje. ZOMO odbiło to sobie 3 maja 1982 r, kiedy demonstracje rozpraszano z wyjątkową brutalnością, zwykle wspomnienia o tym w telewizyjnych przekazach ilustruje się zdjęciami szarży armatki wodnej na Placu Zamkowym, zarejestrowanej przez zachodnie stacje. Połączenie wtedy tych obu historycznych majowych dat – to była kwintesencja protestu. Pomiędzy nimi, 2 maja 1982 r. na ulicach nie manifestowano, ale trwała wzmożona akcja legitymowania przez milicję zwłaszcza młodych ludzi, przeszukiwania plecaków, czy nie ma w nich

ulotek. O zastraszenie chodziło, ale to się nie powiodło, bo 3 maja udział w demonstracjach był podobnie masowy. Nie tylko w Warszawie.

– I nie było to tylko jednorazowe, jeśli tak rzecz można, sprzężenie tych dat?

– Zarówno 1 jak 3 Maja demonstrowano na ulicach przez całe lata 80. Za to pochody oficjalne, jak Pan już nadmienił, z malały i skarłały.

– W wywiadzie-rzecz z Jerzym Hoffmanem, wybitnym reżyserem i autorem patriotycznych ekranizacji „Trylogii” Henryka Sienkiewicza, ale także b. członkiem PZPR, znajduje się zdjęcie z pochodu pierwszomajowego, tego oficjalnego z lat 80. Widać na nim niewielki tłumek smutnych facetów na Placu Teatralnym, co zachowują się, jakby nie bardzo wiedzieli, po co tam przyszedli?

– Władza, jeśli to określić w jej własnym języku, zabezpieczała pochody oficjalne, rozpraszała alternatywne, a czas wielkich tłumów i nawet udawanego entuzjazmu w trakcie tych pierwszych – minął bezpowrotnie. Ogromne przemarsze kojarzy się raczej z epoką rządów Edwarda Gierka: przywódcami na trybunie przed Pałacem Kultury i Nauki, transparentami załóg, za które odpowiadały organizacje partyjne w fabrykach. To się skończyło. Wad systemu nie dało się już przypudrować. A Solidarność, nawet zepchnięta na wiele lat do podziemia, wygrała walkę o polską pamięć i wartości.

– Ale jeszcze 1 i 3 maja 1989 r. a więc na miesiąc przed historycznymi wyborami czerwcowymi, milicja atakowała m.in w Gdańsku opozycyjne demonstracje, organizowane przez PPS, której lider Jan Józef Lipski był kandydatem Komitetu Obywatelskiego „S” do Senatu, Konfederację Polski Niepodległej, co poszła z własną listą i Solidarność Walcząca, która w ogóle wybory 4 czerwca bojkotowała?

– Rzeczywiście tak się działo, ale ówczesnej władzy biegu historii nie udało się cofnąć. W wolnej Polsce obie daty świętuje się już pokojowo, nawet jeśli czasem zdarzały się incydenty, rzucanie jajek czy petard przez jakiś radykałów z partyjnych młodzieżówek. Nie odczuwamy też zapewne żadnego dysonansu między 1 a 3 Maja.

– I już w nowej Polsce do rangi święta awansowano datę 2 maja, decyzją Sejmu z 2004 r, nawet jeśli nie jest to czerwona kartka w kalendarzu?

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

– Wyczuwam, że mówi Pan to z przekąsem, w domyśle, że świątecznych okazji nam wystarczy. Ustanowienie Dnia Flagi uważam za roztropną decyzję, promocję barw narodowych i polskiego patriotyzmu. W PRL zwłaszcza w stanie wojennym, 2 maja pochłaniały nas zupełnie inne zajęcia: miało miejsce gromadzenie środków niezbędnych na opłacenie grzywnien zasądzonych przez kolegia do spraw wykroczeń wobec zatrzymanych w trakcie demonstracji dzień wcześniej. I szykowanie się na kolejny dzień protestu przeciw dyktaturze, bo tak w praktyce wyglądało święto demokracji. Skoro przemoc wobec manifestujących patriotyzm na ulicach się skończyła, znajdujemy kolejny powód, żeby ten fakt uczcić. Popieram apele o wywieszanie flag również przed naszymi domami, formułowane m.in. przez środowisko samorządowców niezależnych. W moim przekonaniu Święto Flagi sensownie łączy daty 1 i 3 Maja. Warto się odwołać do symboliki naszej narodowej flagi: barwa czerwona to robotnicy, kolor biały zawsze i nie tylko u nas pozostaje królewskim, dlatego przecież piłkarze madryckiego Realu na biało występują... Dzień Flagi 2 maja to łącznik. Tradycję 1 Maja odebraliśmy komunistom. Z kolei tej związanej z 3 Maja – nie pozwoliliśmy sobie odebrać. Czasem o tym początku miesiąca słyszymy, że to majówka albo długi weekend. Ale przecież rzecz nie sprowadza się do promocji last minute w biurach podróży. Również do manifestowania poczucia wspólnoty, która istnieć nie przestaje, czego dowiodły solidarne zachowania w pandemii czy powszechna pomoc udzielana od 2022 r. wojennym uchodźcom z Ukrainy. Niech to będzie majówka niepodległości, która łączy a nie dzieli, skoro tak Polacy te majowe dni odczuwają.

PO 4 CZERWCA OD ZMIAN NIE BYŁO ODWROTU

– W niemal całej Polsce głosowanie 4 czerwca 1989 r. przybrało charakter plebiscytu. Na Żoliborzu było inaczej. Przeciw Jackowi Kuroniowi, którego kampanią Pan kierował, wystartował mec. Władysław Siła-Nowicki. To był realny wybór czy bratobójcza walka?

– Myślę, że dla mieszkańców Żoliborza to był realny wybór, przypominający nie głosowanie kontraktowe, tylko późniejsze już w pełni wolne wybory, w dodatku w okręgu jednomandatowym, bo wiadomo było, że do Sejmu dostanie się tylko zwycięzca. Cieszę się, że miałem szczęście w tym uczestniczyć. Dwóch mocnych kandydatów obozu Solidarności na Żoliborzu wzięło się ze sporu w zatwierdzającym listy wyborcze Komitecie Obywatelskim. Po jednej i tej samej stronie znaleźli się przyszli premierzy Jan Olszewski i Tadeusz Mazowiecki oraz Aleksander Hall z Ruchu Młodej Polski – uznawali, że warto z innymi negocjować i rozszerzać listę o środowiska spoza Solidarności, zwłaszcza o Konfederację Polski Niepodległej. Wałęsa z najbliższymi doradcami uznali jednak, że lepiej budować zwartą „drużynę Lecha”.

– Ich koncepcja zwyciężyła.

– Dlatego też Olszewski, Mazowiecki i Hall w ogóle zrezygnowali z kandydowania w wyborach czerwcowych – posłami zostali dopiero w 1991 r. Za to mec. Władysław Siła-Nowicki postanowił wystartować przeciwko kandydatowi Komitetu Obywatelskiego i to nie było jakiemu... Szukał konfrontacji z Jackiem Kuroniem. Wcześniej, gdy Kuroń zastanawiał się nad startem z Mokotowa – również mecenas się do tego okręgu przymierzał. To nie była jedyna taka sytuacja, na Śląsku Kazimierz Świtoń wystartował przeciwko Adamowi Michnikowi. Jednak ani tam, ani tu oponentom Komitetu Obywatelskiego nie

udało się choćby do drugiej tury doprowadzić. Koncepcja Wałęsy i doradców zwyciężyła.

– Głównym przeciwnikiem Komitetu Obywatelskiego była jednak PZPR a nie koledzy z prawicy. Panuje opinia, że lepiej od kandydatów partii rządzącej zapamiętało się z kampanii samochody, z których SB prowadziła obserwację: duże fiaty, czasem polonezy. Czy na Żoliborzu kampania była brutalna, tę niewidzialną rękę Pan jako szef sztabu dostrzegali?

– Dostrzegliśmy ją w wielu działaniach, jednak sam nikogo za rękę nie złapałem. Nagle pojawiły się ulotki, przedstawiające Jacka Kuronia jako twórcę czerwonego harcerstwa, zresztą rzeczywiście miał taki epizod w życiorysie, ale one były wyjątkowo napastliwe i sygnowane: ZHP. Spotkaliśmy się z kimś z kierownictwa Związku Harcerstwa Polskiego, wyparli się ich autorstwa i rzeczywiście sprawiali wrażenie, że pierwszy raz je widzą. Pojawiły się też plakaty z podobiznami: Marks, Engels, Lenin i Kuroń. Były też akcenty antysemickie, gdy Kuroń zapraszał z plakatów mieszkańców Żoliborza na spotkania – ktoś doklejał do tego inny afisz, z wizerunkiem kilku starozakonnych i napisem „Co też on nam powi”. A Jacek Kuroń rzeczywiście mnóstwo spotkań z ludźmi odbył, czasem zapalał się i przekonywał tak długo, aż publiczność zaczynała wychodzić, trzeba go było mitygować, przerwać dyskretnie, stworzyć mieszkańcom szansę zadania pytań.

– Wybory wygrał Komitet Obywatelski, czyli w potocznym rozumieniu po prostu Solidarność. Frekwencja nie okazała się jednak imponująca – zagłosowało 62 proc uprawnionych. Dlaczego w Polsce nie było radosnych tłumów na ulicach, jak pół roku później w Pradze Czeskiej i Lipsku, a potem w republikach nadbałtyckich?

– Zmęczenie zaznaczało się po obu stronach. To już był zupełnie inny czas historyczny, niż lata 1980–81. Władza nie była w stanie złamać opozycji, chociaż wciąż wywierała decydujący wpływ na media, służby i wojsko. Z kolei opozycja wyszła ze stanu wojennego niebywale osłabiona. Gdy wybuchły strajki wiosenne a potem letnie w 1988 r. – partia postanowiła zasiąść do rozmów.

– Żeby oddać władzę?

– Naprawdę oni wtedy o tym nie myśleli. Zamierzali raczej podzielić się odpowiedzialnością za stan kraju i kryzys gospodarki, w socjalizmie perma-

nentny, bo wszystkie manewry po 1981 r. okazały się nieskuteczne. Postanowili więc część odpowiedzialności za to przerzucić na opozycję.

– **Uniemożliwił to zbyt jednoznaczny wynik wyborów czerwcowych?**

– W sensie symbolicznym wynik to przełamał. Zaskoczył obie strony. Jak kłęska listy krajowej, z której zamiast 35 prominentów rządowo-koalicyjnych do Sejmu wybrano zaledwie dwóch.

– **Profesora seksuologii Mikołaja Kozakiewicza z ZSL, który potem został marszałkiem kontraktowego Sejmu oraz Adama Zielińskiego, ten drugi był ostatni na ułożonej alfabetycznie liście, a Polacy skreślali listę krajową zamasyście ale niedokładnie, skreślenia nie docierały do jego nazwiska...**

– Wytworzyło to sytuację, której Solidarność w ogóle nie brała pod uwagę, stąd pospieszna zgoda na to, żeby zdecydowała o tych mandatach Rada Państwa, która wprowadzała kiedyś stan wojenny i zaraz miała zostać rozwiązana. Ale psychologiczny przełom już się dokonał. Wkrótce powstała sytuacja, w której Adam Michnik mógł w „Gazecie Wyborczej” z 3 lipca 1989 opublikować artykuł „Wasz prezydent, nasz premier”. Po 4 czerwca 1989 od zmian nie było już odwrotu. Odejście komunizmu stało się faktem.

4 CZERWCA 1989: ZMIANA NIE DO ZATRZYMANIA

– Jak widzi Pan współczesny sens rocznicy wyborów czerwcowych?

– Pozostaje wciąż żywa, co oczywiście mnie jako historyka nie martwi, bo okazuje się doskonałą okazją, by wciąż o niej mówić, zbierać relacje. Kampania prezydencka trwa. Na jej tle główne strony odwołują się do dwóch związanych z 4 czerwca legend. Rafał Trzaskowski zmierza do przypomnienia klimatu „Niespodzianki” z wyborów czerwcowych, połączenia ich rocznicy z tą, co już minęła – pierwszych w pełni demokratycznych wyborów samorządowych z 27 maja 1990 r. To była ostatnia wspólna wygrana całego obozu Solidarności, który potem się już dzielił. Z kolei prezydent Andrzej Duda nawiązuje do odwołania rządu Jana Olszewskiego, które nastąpiło dokładnie w trzecią rocznicę wyborów czerwcowych, podkreśla przełomowy charakter tamtego gabinetu. Dwie narracje dotyczące 4 czerwca są więc wzajemnie konkurencyjne. I przez kandydatów ze sobą zderzane. Leży to w interesie ich obu, bo Szymon Hołownia, Robert Biedroń ani nawet Władysław Kosiniak-Kamysz chociaż jego ojciec był ministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego nie mają szansy by się tak bezpośrednio do historii najnowszej odwołać. Rocznicą służy więc polaryzacji sceny politycznej.

– W Pana książce „Nielegalna polityka” zastosował Pan nowatorską w Polsce metodę, którą we Francji symbolizuje tytuł książki Raymonda Arona „Widz i uczestnik”. Wydarzenia opisuje Pan jako historyk i socjolog z perspektywy zarówno ich obserwatora jak aktora. Spytam więc najpierw o Pana sprawczą rolę w najgłośniejszej akcji warszawskiej. Kto i kiedy zaproponował Panu poprowadzenie kampanii Jacka Kuronia do Sejmu?

– Z grupą ludzi aktywnych w studenckiej opozycji, organizujących strajk na UW w maju 1988 r. poszedłem do „Niespodzianki”. W kawiarni był warszawski sztab Komitetów Obywatelskich czyli po prostu Solidarności. Opowiedzieliśmy o swoich doświadczeniach, znano nas zresztą, wyraziliśmy gotowość pracy na najtrudniejszym odcinku, takie były wówczas nastroje. W rozmowie z Janem Lityńskim i Henrykiem Wujcem padła propozycja, żebym poprowadził kampanię Kuroń. Potem ofertę potwierdził sam kandydat. Z Jakubem Wygnańskim, który wcześniej miał to robić, nie było kłopotu, ponieważ wolał zająć się kampanią Andrzeja Celińskiego w Płocku.

– **Dlaczego to był ten najtrudniejszy odcinek, kampania na Żoliborzu?**

– W całej Polsce głosowanie nabrało charakteru plebiscytu, ale dla mieszkańców Żoliborza to był realny wybór, przypominający nie głosowanie kontraktowe, tylko późniejsze już w pełni wolne wybory, w dodatku w okręgu jednomandatowym, bo wiadomo było, że do Sejmu dostanie się tylko zwycięzca. Przeciw Kurońowi wystartował mec. Władysław Siła-Nowicki. Z Solidarności wywodzili się obaj. Wcześniej w sporze w zatwierdzającym listy wyborcze Komitecie Obywatelskim po tej samej stronie znaleźli się przyszli premierzy Jan Olszewski i Tadeusz Mazowiecki oraz Aleksander Hall z Ruchu Młodej Polski – uznawali, że warto z innymi negocjować i rozszerzać listę o środowiska spoza Solidarności, jak Konfederacja Polski Niepodległej. Wałęsa z najbliższymi doradcami, do których Kuroń się zaliczał, uznali jednak, że lepiej budować zwartą „drużynę Lecha”. Dlatego Olszewski, Mazowiecki i Hall w ogóle zrezygnowali z kandydowania – posłami zostali dopiero w 1991 r. Za to mec. Siła-Nowicki postanowił wystartować przeciwko kandydatowi Komitetu Obywatelskiego i to nie było jakimś... Szukał konfrontacji z Jackiem Kuroń. Gdy Kuroń zastanawiał się nad startem z Mokotowa – również mecenas się do tego okręgu przymierzał. Podobnie na Śląsku Kazimierz Świtoń wystartował przeciwko Adamowi Michnikowi. Nie tylko Lityński i Wujec obawiali się, że jeśli Kuroń przegra – stanie się to wielkim ciosem dla Solidarności. Stąd moja misja i rola. Jednak oponentom Komitetu Obywatelskiego nie udało się doprowadzić choćby do drugiej tury. Koncepcja Wałęsy i doradców zwyciężyła.

– **Głównym przeciwnikiem Komitetu Obywatelskiego była jednak PZPR. Choć lepiej od jej kandydatów zapamiętało się z samochody,**

z których SB prowadziła obserwację: duże faty, polonezy. Czy na Żoliborzu tę niewidzialną rękę szef sztabu dostrzegał?

– Nagle pojawiły się ulotki, przedstawiające Jacka Kuronia jako twórcę czerwonego harcerstwa, bardzo napastliwe, a sygnowane: ZHP. Spotkaliśmy się z kimś z kierownictwa Związku Harcerstwa Polskiego, sprawiali wrażenie, że pierwszy raz je widzą. Zobaczyliśmy plakaty z podobiznami: Marks, Engels, Lenin i Kuroń. Pojawiły się akcenty antysemitki, do plakatów Kuronia z zaproszeniem dla mieszkańców Żoliborza na spotkania doklejało się afisz z wizerunkiem kilku starozakonnych i napisem „Co też on nam powi”. A Kuroń rzeczywiście mnóstwo spotkań z ludźmi odbył, czasem zapalał się i przekonywał tak długo, aż publiczność zaczynała wychodzić, trzeba mu było przerwać dyskretnie, by mieszkańcom dać szansę zadania pytań.

– Wybory wygrał Komitet Obywatelski, w potocznym rozumieniu po prostu Solidarność. Dlaczego jednak zagłosowało ledwie 62 proc. uprawnionych?

– To nie były lata 1980–81, zmęczenie ujawniło się po obu stronach. Władza nie była w stanie złamać opozycji, chociaż wciąż zawiadywała służbami, wojskiem i telewizją. A Solidarność wyszła ze stanu wojennego niezwykle osłabiona. Po strajkach w 1988 r. partia postanowiła zasiąść do rozmów.

– Czy byli gotowi oddać władzę?

– Wtedy o tym nie myśleli. Zamierzali podzielić się odpowiedzialnością za kryzys gospodarki, chroniczny, bo próby reform po 1981 r. okazały się nieskuteczne. Próbowali odpowiedzialność za stan kraju przerzucić na opozycję.

– Nie udało się, bo takiego wyniku wyborów nikt się nie spodziewał?

– Wynik zaskoczył obie strony.

– W książce „Nielegalna polityka” opisuje Pan, bez tworzenia legendy, że drugi obieg docierał do miliona Polaków. To i tak dużo, jeśli wziąć pod uwagę osiem lat represji. Skąd więc wziął się ten czerwcowy cud wielomilionowego poparcia dla Solidarności, kiedy to Zofia Kuratowska w swoim okręgu uzyskała głosy 82 proc. wyborców, a Gustaw Holoubek – 75 proc. Dlaczego za Solidarnością opowiedziały się zielone województwa, małe i rolnicze, stąd tak je nazwano, gdzie nie przetrwały porządne struktury Solidarności?

– Władza bardzo na te województwa liczyła i tam poniosła największą klęskę. Drugi obieg docierał do środowisk akademickich i wielkich zakładów pracy. Ale mocny przekaz „nielegalnej polityki” zapewniały polskie rozgłośnie z Zachodu: Radio Wolna Europa, Głos Ameryki i BBC, a ich słuchano w całym kraju. Do zwycięstwa Solidarności w województwach rolniczych przyczyniła się postawa Kościoła. Władza liczyła, że go zneutralizuje, ale księża nie zapomnieli, skąd się wywodzą, w wielu parafach prowadzono regularną kampanię na rzecz Solidarności. Efekt znany: z listy krajowej zamiast 35 prominentów rządowo-koalicyjnych do Sejmu wybrano zaledwie dwóch.

– **Seksuologa Mikołaja Kozakiewicza z ZSL, potem marszałka kontraktowego Sejmu oraz Adama Zielińskiego, który był ostatni na ułożonej alfabetycznie liście krajowej, skreślanej zamasyście ale niedokładnie, więc skreślenia nie docierały do jego nazwiska?**

– Wytworzyło to sytuację, której Solidarność w ogóle nie brała pod uwagę, stąd pospieszna zgoda na to, żeby zdecydowała o tych mandatach Rada Państwa, która wprowadzała kiedyś stan wojenny.

– **Czy była wtedy groźba użycia siły przez władzę?**

– Przedtem liczyliśmy się z możliwością sfalszowania wyborów, stąd zbieraliśmy drobiazgowo dane ze wszystkich komisji. Po 4 czerwca kontrakt władzy nie był już możliwy, bo psychologiczny przełom już się dokonał. Wkrótce Adam Michnik mógł w „Gazecie Wyborczej” z 3 lipca 1989 opublikować artykuł „Wasz prezydent, nasz premier”. Po 4 czerwca 1989 zmiany okazały się już nie do zatrzymania. Odejście komunizmu stało się faktem. Z Kuroniem wypiliśmy szampana, który załoga sklepu sprzedała nam po godzinach pracy, gdy dowiedzieli się skąd jesteśmy. „Solidarność wygrała wybory”, taki był nasz argument.

– **Jacek Kuroń opisywał, jak we dwóch wraz z Piotrem Wójcikiem, jako organizatorzy jego kampanii na Żoliborzu znaleźliście się w Porozumieniu Centrum i uznał to za nieuniknione, bo nie miał dla was propozycji?**

– Rzeczywiście znajdujemy taki fragment w autobiografii Kuronia, w którym o nas opowiada. Na naszym przykładzie można pokazać paradoks rewolucji społecznej, w której osoby aktywne później się nie odnajdują. Bronisław Geremek powtarzał wtedy, że pacta sunt servanda. Umowy Okrągłego Stołu

uznano za akt założycielski nowej Polski. A przecież PZPR, która była ich stroną, się rozwiązała. Nas interesowała wtedy pełna suwerenność Polski, niepodległość, wypłenienie pozostałości zła jakim był komunizm z życia publicznego. PC to zakładało w swoim programie.

– Ale z Jarosławem Kaczyńskim też się rozstaliście po nieudanej próbie zmuszenia go do demokratyzacji własnej partii, bo równie ważna jak niepodległość i suwerenność była dla Was demokracja właśnie?

– Zdecydował o tym rozstaniu stosunek do rządu Jana Olszewskiego. Kaczyński niby go wspierał, ale odwołanie go uznawał za nieuniknione i zaraz po tym, jak nastąpiło zaczął rozmowy o wejściu w skład rządu Hanny Suchockiej, tworzonego przez tych, którzy Olszewskiego pozbawili funkcji premiera. Szczegółowo opisuję to w książce „Osobista historia PC”. Dla nas to była polityczna zdrada, w rządzie Olszewskiego naprawdę widzieliśmy gabinet przełomu, a Kaczyński wcale go nie ratował. Jego legendę zagospodarował później, gdy okazało się, że w rządzie Suchockiej go nie chcą. Dlatego wydarzenia z 4 czerwca, zarówno z 1989 r. jak z 1992 r. okazały się najmocniejszym symbolem losu Solidarności: najpierw jedności, potem podziału. Teraz każdy tę rocznicę świętuje po swojemu, ale przynajmniej nie ma wątpliwości, że warto o niej pamiętać.

ZWYCIĘŻYŁA DRUŻYNA SOLIDARNOŚCI

– W wywiadzie, który niebawem ukaze się w „Opinii” specjalista od ordynacji wyborczej i wykładowca Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine Marek Mikołaj Kamiński wskazał, że chociaż poparcie dla Solidarności w wyborach z 4 czerwca 1989 r. przekroczyło 71 proc, to jednak kandydaci PZPR uzyskali 20–25 proc głosów. Trzeba to wyliczać drobiazgowo, bo wielu z nich nie posługiwało się szyldem swojej partii. Podobną liczbę głosów oddano na SLD w wyborach 1993 r, które wspomina się jako triumf postkomunistów i porażkę obozu Solidarności, który przegrał, bo zgłosił zbyt wiele list. Czy ta zbieżność nakazuje zweryfikować odbiór czerwcowych wyborów jako jednoznacznego zwycięstwa Solidarności czy raczej trzeba uznać, że sukces odnosi ten, kto najlepiej rozumie warunki ordynacji, więc wygrana mierzona zdobyciem wszystkich możliwych mandatów poza jednym pozostaje poza dyskusją?

– Wykazana przez prof. Marka Kamińskiego zbieżność pozostaje faktem, ale w 1989 r. liczyło się to, że Solidarność zdobyła w wolnych wyborach do Senatu 99 mandatów na 100 możliwych zaś do Sejmu wszystkie 35 proc miejsc, które podlegały regułom swobodnej konkurencji. Czyni to uzasadnionym mówienie o jej wielkim zwycięstwie, chociaż rzeczywiście skala poparcia dla PZPR okazała się podobna, co cztery lata później, kiedy postkomuniści uzyskali władzę, bo podzielony już obóz Solidarności zbudował tak wiele list, że głosy 35 proc Polaków się zmarnowały jako oddane na ugrupowania, które nie przekroczyły progu wyborczego. W 1989 r. zasady uzgodnionej przy Okrągłym Stole ordynacji pozostawały znane i to Solidarność wyciągnęła z nich właściwe wnioski. Solidarność potrafiła się zorganizować. Wykorzystała wszystkie możliwości. Wynik wyborów słusznie odczytuje się jako klęskę układu władzy.

– Solidarność zwyciężyła, bo to jej koncepcja drużyny Lecha Wałęsy dostosowana była do nastrojów społecznych?

– Do potrzeby jedności, przede wszystkim. Wspólny wróg łączył a pozostawał nim komunizm. Ludzie poczuli, że trzeba się zjednoczyć. Później ta potrzeba zanikła, stąd odmienny efekt głosowania z 1993 r. Wtedy układ postkomunistyczny, który nie został po czerwcu '89 wyeliminowany i zachował zaplecze, wykorzystał nastroje związane ze społecznymi kosztami transformacji ale też trafniej od dawnych zwycięzców z wyborów czerwcowych odczytał, co wynika z reguł ordynacji wyborczej.

– Koncepcja drużyny Wałęsy, chociaż ostatecznie zwycięska, nie była jednak w 1989 r. jedyna?

– Nie stało się tak, żeby do drużyny Wałęsy weszły wszystkie środowiska opozycyjne. Konfederacja Polski Niepodległej startowała osobno. Część środowisk, jak Solidarność Walcząca czy działacze związani z Andrzejem Gwiazdą wybory w ogóle zbojkotowała. Uznali kontrakt Okrągłego Stołu za niemożliwy do przyjęcia. Lista Komitetu Obywatelskiego, który stał się polityczną emanacją Solidarności, nie została poszerzona, jak się tego domagali Jan Olszewski, Aleksander Hall czy Tadeusz Mazowiecki. Z tego właśnie powodu sami nie kandydowali w wyborach czerwcowych. W wypadku Mazowieckiego to paradoks, skoro rychło miał zostać pierwszym solidarnościowym premierem, właśnie w wyniku głosowania z 4 czerwca 1989 r. i późniejszych udanych zabiegów o skaptowanie ZSL i SD, wcześniej satelitów PZPR.

– Jako prowadzący kampanię Jacka Kuronia do Sejmu na Żoliborzu przekonał się Pan najlepiej, że podziałów nie brakuje, skoro rywałem kandydata, którego Pan wspierał, stał się inny solidarnościowy autorytet mec. Władysław Siła-Nowicki?

– Nie zmieniło to oczywiście ogólnopolskiego przesłania o jedności solidarnościowego obozu, ale faktem pozostaje, że na Żoliborzu zmierzyło się dwóch kandydatów z tego samego pnia. Kuroń reprezentował drużynę Wałęsy, mec. Siła-Nowicki niezadowolony ze sposobu, w jaki powstała. Przywoływał tradycję Stronnictwa Pracy i chrześcijańskiej demokracji, znane było jego dzielne zaangażowanie w procesy polityczne czasów PRL. Jednak werdykt wyborców okazał się jednoznaczny.

– **Bo to drużyna Wałęsy zastosowała w kampanii perfekcyjnie łączące symbole, znaki i hasła wywoławcze: jak plakat „W samo południe” i melodia Studia Solidarność pochodząca z czasów radia podziemnego?**

– Znakomicie przemówiło to do ludzi. Dostarczaliśmy też wskazówek, jak głosować. Wyborcy tego potrzebowali, przecież nawet najstarsi z nich zwykle nie pamiętali poprzednich demokratycznych wyborów. Przyjęliśmy zasadę, że pilnujemy procesu wyborczego.

– **Baliście się fałszerstw? Jak się okazało, dmuchaliście na zimne?**

– W ówczesnej sytuacji mieliśmy obowiązek wziąć pod uwagę wszelkie warianty, w tym niekorzystne. Pamięć zbiorowa przechowała wiedzę o tym, co zdarzyło się w głosowaniu z 1947 r. Wiadomo było, że mamy do czynienia z niepowtarzalną szansą. Ważne pozostawało, by nie dać się oszukać. Wypracowaliśmy cały system. Nasi mężowie zaufania przekazywali częściowe wyniki z komisji wyborczych, zliczaliśmy je na bieżąco w sztabie na Żoliborzu. Komuniści czuli presję, żadnych prób kuglowania nie podjęli.

– **A wynik głosowania zaskoczył... samych zwycięzców?**

– Założyłem się wcześniej z Jackiem Kuroniem, że do Senatu zdobędziemy co najmniej 70 proc mandatów, on utrzymywał, że będzie ich 50–70 proc, bliżej „fifty-fifty”. Wygrałem zakład. Zaskoczenie wynikiem to nie legenda. Wpłynęło na los mandatów po liście krajowej, niemal w całości odrzuconej przez wyborców. Znaleźli się na niej promineneci z PZPR i stronnictw sojusznicznych. Z 35 z nich tylko dwóch uzyskało wymagane ponad 50 proc poparcia. Stało się to jasnym sygnałem, że Polacy odrzucają system komunistyczny. Jednak zdezorientowani liderzy opozycji przystali na zmianę reguł wyborów jeszcze w ich trakcie, dlatego obóz rządzący zachował te mandaty, kolejni kandydaci rywalizowali o nie w okręgach w drugiej turze. Nawet to nie zmieniło jednak jasnego obrazu, kto okazał się zwycięzcą, a kto pokonanym.

– **Pojawiło się przekonanie, że po 4 czerwca 1989 r. Polska nigdy już nie będzie taka jak przedtem?**

– Mieliśmy już poczucie, że powrotu do komunizmu nie będzie. Dynamika społeczna okazała się jednoznaczna. Klęska listy krajowej oznaczała odrzucenie establishmentu, podobnie jak 99 procent mandatów dla Solidarności do Senatu i wszystkie możliwe do zdobycia 35 proc do Sejmu. Pewne procesy oka-

zały się nieodwracalne. W sensie instytucjonalnym, politycznym i społecznym a także w historycznym wymiarze obóz władzy nie był w stanie niczego już zakłajstrować. Kilka tygodni później 3 lipca na czołówce „Gazety Wyborczej” ukazał się tekst Adama Michnika „Wasz prezydent, nasz premier”. To nie było tak oczywiście, że Michnik napisał... i się stało. Jego artykuł odzwierciedlał nastroje społeczne.

– **Wybory wygrywa się przecież po to, żeby rządzić?**

– Po tak jednoznacznym wyniku wyborczym nie było już możliwości, żeby Solidarność pozostawała częścią opozycji i legitymizowała utrzymanie komunistów u władzy.

TO BYŁY WOLNE WYBORY, WALKA O TEN MANDAT Z ŻOLIBORZA

– Prowadził Pan wiosną 1989 r. na Żoliborzu kampanię Jacka Kurońa, którego głównym rywalem w walce o mandat posła nie był nikt z PZPR, chociaż partia rządząca miała swojego kandydata – tylko mecenas Władysław Siła-Nowicki, wieloletni doradca Solidarności i – podobnie jak sam Kuroń – ważna postać antykomunistycznej opozycji. Czy było to trudniejsze niż walka z komunistami w innych okręgach?

– Na pewno było nam trudniej, niż tam, gdzie – jak w większości okręgów – wybory przybrały postać plebiscytu, z którym do dziś najmocniej data 4 czerwca 1989 r. się kojarzy. Łatwiej przyszło prowadzić kampanię tam, gdzie z jednej strony byli kandydaci Solidarności z drugiej komuniści czyli obóz PRL, bo tak wybór ówczesny ludzie odbierali. Znalazło się tylko kilka miejsc w Polsce, gdzie działo się inaczej. Również na Śląsku przeciwko Adamowi Michnikowi wystartował Kazimierz Świtoń.

– Zaś w Lublinie przeciw Solidarności Ryszard Bender, który przedtem posługując do oficjalnego Sejmu PRL odważnie spotykał się z Lechem Wałęsą, traktowanym wtedy przez władze jako „osoba prywatna” wedle sławetnego określenia Jerzego Urbana?

– Obowiązywała wtedy koncepcja „drużyny Lecha Wałęsy”, jak się okazało całkowicie zwycięska. Przeworsowali ją Bronisław Geremek, Andrzej Wielowieyski, Jacek Kuroń i Adam Michnik. Za to Jan Olszewski i Tadeusz Mazowiecki opowiadali się za rozszerzeniem drużyny o Konfederację Polski Niepodległej i Stronnictwo Pracy, a gdy to nie nastąpiło na znak protestu sami zrezygnowali z kandydowania. Warto też pamiętać, że Solidarność Walcząca zwywała do bojkotu wyborów czerwcowych.

– I tylko Kuroń na Żoliborzu miał zdjęcie z Wałęsą?

– Na Żoliborzu tylko Kuroń miał zdjęcie z Lechem Wałęsą. Ściśle – nawet dwa. Jedno podobne jak inni kandydaci, zrobione w Stoczni Gdańskiej. Drugie udało się wykonać, gdy Wałęsa był krótko w siedzibie Komitetu Obywatelskiego przy Fredry w Warszawie. Na tle ściany z jakąś lamperią. Ale przekaz okazał się jednoznaczny: „Wybierz Jacka Kuronia”. To były wolne wybory w ramach tych 35 procent, doszło do rywalizacji dwóch godnych siebie przeciwników. Jednak zdjęcie w Wałęsą miał tylko jeden z nich. Mecenas Siła-Nowicki wystartował z poparciem Stronnictwa Pracy. Szukał wyraźnie konfrontacji z Kuroń. Gdy ten wcześniej przymierzał się do kandydowania z Mokotowa, mecenas podobnie zamierzał stamtąd startować. Ostatecznie, gdy zapadła decyzja, że na Mokotowie drużynę Wałęsy reprezentuje Andrzej Miłkowski – Kurońowi i Siła-Nowickiemu przyszło się spotkać na Żoliborzu. Obaj wywodzili się z opozycji, więc były to wybory trudne.

– Stefan Bratkowski w jednej z analiz z 1989 roku nazwał mec. Władysława Siłę-Nowickiego „jednoosobową partią polityczną”?

– Z tym się akurat nie zgadzam, bo w żoliborskiej kampanii zaraz masowo pojawili się zwolennicy mecenasa w tym Antoni Macierewicz. Środowisko „Głosu” wspierało w kampanii Władysława Siłę-Nowickiego. Spór między Macierewiczem a Kuroń miał swoje źródło jeszcze w czasach, kiedy obaj działali w KOR. Teraz zaś środowisko krytycznie nastawione do Wałęsy skupiło się wokół Siły-Nowickiego.

– I nagle okazało się, że jak Pan już mówił, to nie plebiscyt, tylko wybór?

– Zarówno Jacek Kuroń jak Władysław Siła-Nowicki wywodzili się z demokratycznej opozycji, a teraz walczyli o ten sam sejmowy mandat z Żoliborza. Wiadomo było, że tylko jednemu z nich może on przypaść. To były demokratyczne wybory, naprawdę wolne, o ten żoliborski mandat. W latach 60. mec. Siła-Nowicki był obrońcą Kuronia w wytoczonym mu przez komunistów procesie politycznym. Dodało to dramaturgii ich późniejszej rywalizacji.

– W jaki sposób staraliście się pokazać, że Kuroń jest lepszym od Siły-Nowickiego kandydatem?

– Kuroń powiedział, że chce się jak najczęściej i najczęściej z ludźmi spotykać i tej zasady się trzymaliśmy. Największy z naszych plakatów głosił: „Spotkaj się z Jackiem Kuroniem. On ma coś do powiedzenia”. Zaraz objawił się czyjś nieczysty trick: zaczęto bowiem do tego plakatu dolepić drugi, z rysunkiem przedstawiającym grupę Żydów w tradycyjnych strojach i tekstem „aj waj, co on nam powi”. Podobnym chwytem okazały się ulotki podpisane jakoby przez Związek Harcerstwa Polskiego i piętnujące Kuronia, że kiedyś czerwone harcerstwo zakładał, a prawdziwe niszczył. Pojechaliliśmy wtedy do siedziby ZHP, a tam okazało się, że nic o takich ulotkach nie wiedzą, ktoś się pod nich podszył. Kategoriecznie się od tego odcięli. Nie unikaliśmy debat. Największa w kinie „Wisła” zgromadziła kilka tysięcy osób, oczywiście sala projekcyjna nie pomieściła wszystkich, pozostali wysłuchali dyskusji stojąc na placu Wilsona, wtedy jeszcze noszącym nie uznawane przez warszawiaków imię Komuny Paryskiej. Zapewne wtedy właśnie usłyszałem po raz pierwszy w odniesieniu do polskiej polityki, że coś dzieje się w amerykańskim stylu...

– Po tamtej kampanii mnóstwo osób pozostaje przekonanych, że Pan wywodzi się z Żoliborza?

– Za sprawą tego, że zapamiętali mnie jak prowadziłem Kuroniowi kampanię... Mieszkałem wtedy na Dolnym Mokotowie, ale oczywiście z Żoliborzem pozostawałem związany i w jego sprawach zorientowany. Co do szczegółów dotyczących nastrojów mieszkańców – pomogły nam już badania opinii publicznej, które sami przeprowadzaliśmy, robił to dla nas Tomasz Jakubiak z NZS-u Akademii Teologii Katolickiej położonej wtedy w Lasku Bielańskim a nie jak teraz jej sukcesor Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego na Młocinach. U Roberta Nowickiego na ulicy Kossaka, nieco w bok od placu Wilsona położonej bardzo blisko kościoła Św. Stanisława Kostki, który wszyscy kojarzą z postacią ks. Jerzego Popiełuszki – drukowano podziemną gazetę „Wiadomości” i ulotki. Współpracowałem z Robertem w latach 80, imponował tym, że działał bez wpadki, często tam przyjeżdżałem, żeby bibułę odbierać. Zresztą była to kontynuacja tradycji z czasów okupacji, kiedy w tym samym budynku – potem stanowiącym siedzibę Wydawnictwa Akces – znajdowała się skrytka akowska. To był prestiżowy pojedynek, ten na Żoliborzu, ze względu na tradycje dzielnicy, inteligencji i oficerskie, spółdzielcze i PPS-owskie, jej

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

patriotyczny klimat. W naszym kampanijnym materiale zamieściliśmy wypowiedź Jana Nowaka-Jeziorańskiego, niegdyś bohaterskiego „kuriera z Warszawy”, potem wieloletniego szefa Wolnej Europy, że nie wyobraża sobie, żeby symbol zmiany w Polsce przegrał wybory na Żoliborzu. Rzeczywiście werdykt wyborców okazał się jednoznaczny. Wygrał i posłem został Jacek Kuroń.

POWSTANIE URATOWAŁO NASZĄ PAŃSTWOWOŚĆ

– **Nasz wspólny przyjaciel, niestety już nieżyjący krytyk i eseista Bohdan Urbankowski uznawał, że uległość intelektualistów wobec nowego ustroju tuż po wojnie wynikała z faktu, że najlepsi zginęli w Powstaniu Warszawskim? Pogląd ten szokuje, ale wiemy, że w Powstaniu stracili życie twórcy różnych pokoleń: spośród pisarzy młodzi poeci Krzysztof Kamil Baczyński i Tadeusz Gajcy ale także prozaik Juliusz Kaden-Bandrowski, który w okopach poprzedniej wojny walczył w Legionach. Potem mówiło się, że polskie elity... leżą na Powązkach?**

– Rzeczywiście inteligencja polska poniosła straty, które musiały rzutować na późniejsze postawy ludzi kultury. Z rąk Sowietów w Katyniu i Niemców w trakcie tłumienia przez nich Powstania w Warszawie. Wielu najwybitniejszych przedstawicieli kultury poległo lub zostało zamordowanych. Ich koledzy w nowej rzeczywistości zaczęli się odwoływać do potrzeby zachowania substancji narodowej, dla wielu stanowiło to uzasadnienie konformizmu w pierwszych powojennych latach, chociaż później często zdarzało się, że ludzie, co podobnym postawom ulegli, stawali się animatorami opozycji przeciw komunistycznemu ustrojowi. Część z nich jednak długo czuła się rozgrzeszona, bo czuli, że postawy kraju uzupełniane są przez działania emigracji, wiernie kultywującej idee niepodległościowe. Spójrzmy na poetów Skamandra. Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński znaleźli się na emigracji i nieugięcie trwali przy dawnych wartościach. A wywodzący się z tej samej grupy poetyckiej Jarosław Iwaszkiewicz, podczas Powstania masowo przyjmujący wygnanych warszawiaków we własnym domu w Stawisku, został później prezesem oficjalnego Związku Literatów Polskich, nagradzanym licznymi orderami przez nową władzę. Gdy działał w ten sposób, wiedział doskonale, że koledzy z emigracji pozostają niezłomni.

– Aż przyszedł Październik 1956 r, o którym powiedziano, że Węgrzy zachowali się wtedy jak Polacy, a Polacy jak Czesi? Jaki wpływ na wykazaną wówczas przez manifestujące tłumy rozwałę miało doświadczenie Powstania Warszawskiego?

– Gdy ogląda się zdjęciową dokumentację z ówczesnych wieców, w wielu miejscach widać jeszcze gruzy. Ludzie nie zapomnieli o niedawnych ofiarach. Ale na mądrość zbiorową jaką w 1956 r. wykazali się Polacy, ogromny wpływ wywarła też postawa Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Robotnicze załogi wyłaniały szybko przywódców, ale Prymas Tysiąclecia, przez trzy lata przetrzymywany przez komunistów w odosobnieniu, pozostawał największym autorytetem społecznym. Domagano się jego wypuszczenia. Gdy wyszedł na wolność, mitygował nastroje, zapobiegał najgorszemu. Nie ulega wątpliwości, że przyczyniło się do tego jego osobiste doświadczenie z czasów wojny. W trakcie Powstania był kapłanem Armii Krajowej w grupie „Kampinos” i szpitalu w Laskach. Warto też pamiętać, że w okresie odwilży roku 1956 mecenas Jan Olszewski wraz ze współautorami zamieścił w „Po Prostu” słynny artykuł „Na spotkanie ludziom z AK”. Z kolei bohaterowie Powstania, Ludwik Muzyczka i Kazimierz Pluta-Czachowski ogłosili w „Tygodniku Powszechnym” tekst o rzeczywistej roli tego wydarzenia w najnowszej historii Polski. Świadomość niedawno poniesionych ofiar przyczyniła się do wyboru w 1956 r. demokracji wiecowej zamiast szabli jako sposobu dochodzenia praw. Stanowiło to wspólną zasługę Kościoła i kombatantów Powstania Warszawskiego. Tragedia była traumą, do której często się odwoływano, ale towarzyszyły temu wezwania, aby pokojowymi metodami walczyć o urzeczywistnienie wartości, jakie leżały u podstaw warszawskiego zrywu. Dlatego oznaczał on wprawdzie koniec II Rzeczypospolitej ale nie idei niepodległości.

– A jaki był wpływ tradycji Powstania na fenomen Solidarności?

– Duch Powstania pozostawał w tym ruchu obecny. Przełożył się na jego obywatelski charakter. Ponad podziałami, na robotników i inteligencję czy różnicami pokoleniowymi. Mój ojciec Zbigniew Anusz, który był w Kedywie Armii Krajowej, a po latach został też członkiem Solidarności, podkreślał, że zarówno w AK jak w tym wielkim ruchu społecznym zacierały się bariery między profesorami a brygadystami z fabryki. Wszyscy czuli się odpowiedzialni za los

Polski. Łączyło się to z odpowiedzialnością, prymas Wyszyński aż do śmierci w 1981 r. przestrzegał, żeby pewnych granic nie przekraczać. Istotne znaczenie dla pokojowego charakteru ruchu Solidarności miała nauka społeczna Jana Pawła II. Papież niezłomnie podkreślał potrzebę działania bez użycia przemocy. Na pewno w Solidarności odrodziły się znane z Powstania Warszawskiego: dobro powszechne i wspólnota. Przetrwał etos niezgody na rzeczywistość, gdy jest zła, leżący u podstaw zrywu z 1 sierpnia 1944 r.

– Jednak oblicza Europy Powstanie Warszawskie nie zmieniło, a ściślej przyszło na to poczekać 45 lat?

– Na pewno z Powstaniem wiązał się pierwszy konflikt w koalicji antyhitlerowskiej. Winston Churchill naciskał na Josifa Stalina, żeby powstańcom udzielić pomocy. Franklin Delano Roosevelt pozostawał oczywiście bliższy stanowisku Brytyjczyków, ale zarazem grał na rozpad ich imperium kolonialnego, co się ostatecznie powiodło, bo po II wojnie światowej pozostały, kiedy już Roosevelta na świecie nie było, tylko dwa mocarstwa: USA i ZSRR. Stalin wstrzymał ofensywę, żeby nie pomóc Powstaniu Warszawskiemu. Tym samym stracił jednak szansę zajęcia całych Niemiec. Poświęcił ją dla politycznego celu. Wojska sowieckie doszły później do Berlina, ale już nie dalej. Rzutowało to na przebieg żelaznej kurtyny, gdy została już nad Europą rozpostarta. Celem Harry'ego Trumana, który został następcą Roosevelta, stało się już powstrzymywanie komunizmu. Wiem, że zachodnim turystom zdarza się mylić Powstanie Warszawskie z tym wcześniejszym o prawie półtora roku w getcie. Zapewne sposobem na rozpropagowanie pamięci o warszawskiej insurekcji pozostaje uświadamianie jej konsekwencji dla Europy i całego wolnego świata.

– Jakie okazały się bezpośrednie następstwa Powstania w sferze faktów politycznych, poza tym, co oczywiste: zniszczeniem miasta i całkowitym wysiedleniem ludności?

– Powstanie rzutowało nie tylko na kształt Europy, ale na przyszłość Polski. Stalin jeszcze pod koniec lipca 1944 r. nie podjął decyzji, czy Polska ma stać się radziecką republiką czy jednak osobnym państwem, chociaż satelickim wobec Związku Radzieckiego. Świadczy o tym status Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który oficjalnie 22 lipca 1944 r. swój manifest ogłosił. PKWN nie miał być wcale rządem, lecz wyłącznie komitetem, wprawdzie załączkiem

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

przyszłej władzy ale o zakresie kompetencji jeszcze nieznanym. Takie jego umocowanie pokazuje, że Stalin się wahał, czy zezwolić na pozostawienie państwa polskiego. Rola Powstania Warszawskiego, kiedy już wybuchło, okazała się w tej mierze rozstrzygająca. Pod wrażeniem tak powszechnego zrywu Stalin porzucił własny plan przyłączenia Polski do ZSRR. To powstańcy ocalili polską państwowość, nasze osobne miejsce na mapie powojennej Europy.

STALIN MIAŁ DWIE OPCJE NA STOLE. TO POWSTANIE ROZSTRZYGNĘŁO

– Czy młodzi ludzie nie mają mocno wyidealizowanego obrazu Powstania Warszawskiego z dominacją zwycięskich bitew i barykad w słońcu, w sytuacji gdy ogromną większością ofiar stanowiła ludność cywilna, a wszystko zakończyło się wysiedleniem mieszkańców i całkowitym zniszczeniem Warszawy, jako jedynej w II wojnie światowej burzonej w zaplanowany sposób europejskiej stolicy?

– Jeśli nawet mamy do czynienia z upiększeniami, wydają się one nieuniknione w sytuacji, gdy Powstanie Warszawskie, przekazy i opowieści dotyczące jego przebiegu, stały się mitem założycielskim odradzającej się wolnej Polski, kiedy odzyskała niepodległość po 1989 roku. I nie jest to mit fałszywy, skoro Powstanie skierowane było przeciw dwóm najgroźniejszym totalitaryzmom XX wieku. Militarne przeciw nazistowskiemu niemieckiemu, politycznie zaś przeciwko komunistycznemu radzieckiemu. Pasuje więc do tej roli. Drugi mit założycielski to Katyń, a ściślej przełamywanie kłamstwa katyńskiego. Oczywiście mamy też dziesięciomilionową Solidarność, ale to już mit współczesny, który z dwoma tamtymi w oczywisty sposób się wiąże. Dawni akowcy współtworzyli Solidarność i w rozmaity inny dostępny sposób przeciwstawiali się komunizmowi. Zwycięskie bitwy i potyczki Powstania nie stanowią fikcji, wiele wskazać można akcji udanych z wojskowego punktu widzenia, jak zdobycie PAST-y niedaleko od miejsca, w którym teraz naszą rozmowę prowadzimy: odznaczył się szczególnie w jego trakcie Bolesław Kontrym «Żmudzin», niezwykła postać zarówno heroiczna jak tragiczna, zamordowany później przez komunistów w latach 50. Jego losy warte są porządnego historycznego serialu telewizyjnego. Wspomnienia bohaterskie zwykle bardziej się w powszechnej

świadomości utrwalają. I cywilne ofiary pomimo ogromu poświęceń zeszyły na dalszy plan. Na pewno na szczególne upamiętnienie zasługuje los mieszkańców Woli, przecież tam w powstaniowych dniach miała miejsce największa masakra cywilów dokonana przy okazji działań militarnych, w całej II wojnie światowej.

– Jaki rachunek strat uznaje Pan za najbardziej wiarygodny? Prof. Norman Davies oblicza liczbę ofiar w Powstaniu Warszawskim na ćwierć miliona zabitych. Publikacje typu encyklopedycznego podają zwykle dane o 150–200 tys. ofiar śmiertelnych. Przy czym 90 proc z nich to ludność cywilna?

– Liczenie ofiar stanowi jeden z elementów polityki historycznej. Przyjęcie jednego ze wspomnianych oszacowań nie zmienia jednak ogromu strat. Po zburzeniu getta i wywiezieniu do obozów zagłady stłoczonej w nim żydowskiej ludności, Warszawa liczyła niecały milion mieszkańców. Zestawienie budzi oczywiste wnioski.

– Obraz Powstania kształtują nie tylko opowieści rodzinne i szkolne przekazy ale wybitne dzieła kultury: od powstałych w kilkanaście lat po wojnie jak «Kanał» Andrzeja Wajdy czy «Kolumbowie rocznik 20» Romana Bratnego po te, co się stosunkowo niedawno pojawiły jak „Pianista” Romana Polańskiego. Skoro wiemy tak dużo, to dlaczego wciąż tak mało, często skarżymy się na turystów zagranicznych, że im się Powstanie Warszawskie myli z tym wcześniejszym w getcie?

– Do listy ważnych dzieł dodałbym jeszcze też niedawne „Miasto 44”. Cały dział Instytutu Pamięi Narodowej zajmuje się powojennymi niezłomnymi, żołnierzami wyklętymi i w tej mierze nadrabia zaległości, ale historia Powstania Warszawskiego również nie została zamknięta. Po Powstaniu Warszawa stała się jednym wielkim cmentarzem. Ludzi chowano naprędce na podwórkach, skwerach, czasem i ulicach. Nie wszystkie prowizoryczne groby udało się ekshumować. Stąd w znacznej mierze wynika problem z liczeniem strat. Nasze miasto stoi na gruzach i grobach. Wiele tych na Powązkach – to wyłącznie lokalizacje symboliczne, gdzie fizycznych szczątków nie ma. Wynika to z ogromu tragedii.

– I jak co roku, nie tylko na 1 sierpnia, powraca pytanie o sens tej ofiary?

– Nie była daremna. Nie chodzi przy tym wyłącznie o oczywiste znaczenie Powstania dla podtrzymania polskiej świadomości i poczucia wspólnoty w ciężkich czasach. Zaświadczają o tym historycy. Mirosław Lewandowski wskazuje ważne świadectwo. To rozmowa, jaką w latach 50. odbyli przedwojenni oficerowie, których losy ułożyły się całkiem odmiennie. Pułkownik Ludwik Muzyczka wtedy dopiero co wyszedł z więzienia, w którym komuniści trzymali go za aktywność w Armii Krajowej. Z kolei dawny legionista Leon Bukojemski po tym jak znalazł się podczas wojny w ZSRR działał w Związku Patriotów Polskich i został generałem idącej ze wschodu do Polski armii Zygmunta Berlinga. Doskonale poinformowany, co potwierdzają inni, Bukojemski powiadomił wtedy Muzyczkę, że Józef Stalin, dopiero patrząc na determinację Powstania Warszawskiego, a zwłaszcza mnogość cywilnych ofiar, porzucił pomysł uczynienia Polski kolejną republiką radziecką. Nie dlatego, żeby miał dobre serce oczywiście. Jak wiemy PKWN, powstały w drugiej połowie lipca 1944 r. nie był rządem, nawet tymczasowym, lecz tylko komitetem. Jego formułę pomysłu tak, żeby w razie czego pasowała do państwa satelickiego wprowadzić lecz osobnego, ale też do drugiego wariantu: jeszcze jednej republiki „kraj rad”. Stalin miał wtedy dwie opcje na stole. Powstanie Warszawskie zdecydowało o wyborze jednej z nich.

– **Wiadomo, że Stalina wtedy do niczego zmusić się nie dało, nie potrafili tego również alianci zachodni?**

– Można było jednak stwarzać fakty polityczne, które rzutowały na jego decyzje. To wtedy Stalin rozstrzygnął, że Polska, chociaż zależna od ZSRR zachowa status państwa osobnego i formalnie samodzielnego. Da się prześledzić tok jego rozumowania, o czym mówił Bukojemski płk Muzyczce, a utrwalił Lewandowski. Mit «wielkiej wojny ojczyźnianej», przez Stalina w znacznej mierze wykreowany ale tak, że sam też mu się z czasem poddawał – miał za jeden z fundamentów opór w miastach, z udziałem ludności cywilnej. Składał się na to Leningrad z czasów blokady i Stalingrad jako miejsce walnej i rozstrzygającej o losach frontu wschodniego bitwy. Wydarzenia te wbiły się głęboko w sposób myślenia Stalina. Cywilne ofiary okazały się równoważne z wojskowymi. Podziw dla poświęceń mieszkańców Warszawy okazał się nieobcy nawet dyktatorowi i na jego decyzje wpłynął.

SIERPNIOWE DATY ZBUDOWAŁY NOWOCZESNĄ ŚWIADOMOŚĆ POLAKÓW

– **Co łączy trzy wydarzenia, których rocznice obchodzimy w sierpniu: Bitwę Warszawską z 1920 r., Powstanie z 1944 r. oraz strajki z 1980 r, zakończone porozumieniami na Wybrzeżu? Pierwsze skojarzenie, które mi się nasuwa, to powszechny w nich udział Polaków?**

– Właśnie z tego powodu są to wydarzenia, które konstituują nowoczesne polskie społeczeństwo, obecną świadomość i tożsamość narodu – w sensie konstrukcji zarówno kulturowej jak historycznej. Te trzy zdarzenia łączą się również w pewien ciąg przyczynowo-skutkowy. Każde z nich wpływało na następne.

– **Zacznijmy od 1920 r. Wcześniej był 11 listopada 1918 r.**

– Wtedy Polska odzyskała niepodległość...

– **...choć znane powiedzenie, które z lubością cytuje prof. Wiesław Wysocki, głosiło, że Polska jest jak łaska Boża, bez granic?**

– O te granice przyszło dopiero walczyć. 11 listopada okazał się dla Polaków radosnym wydarzeniem, ale wiemy, że sama data pozostaje umowna. Z mroku zaborów wyłoniło się państwo jeszcze bez granic, jak Pan wspomniał znane porzekadło cytując, i bez podstaw ustrojowych, które przyszło dopiero budować. Dopiero zwycięstwo w wojnie 1920 roku, Bitwa Warszawska, której rocznicę obchodzimy 15 sierpnia, oznaczały, że tę odzyskaną niepodległość udało się obronić. Powszechnym tym razem wysiłkiem, bo we wcześniejszych wydarzeniach – niczego nie ujmując bohaterstwu Legionów czy peowiaków – uczestniczyła przede wszystkim elita.

– **W serialu Andrzeja Wajdy „Z biegiem lat, z biegiem dni” krakowska służąca mówi o Legionach, że to „pańska armia”. A w następnej scenie**

opłakuje narzeczonego, który dla odmiany poległ, walcząc w szeregach armii austro-węgierskiej za Franciszka Józefa. Nawet biograf Józefa Piłsudskiego, Waław Jędrzejewicz, przyznaje, że I Brygada miała inteligencki charakter?

– Jędrzejewicz wymienia nazwiska towarzyszących komendantowi pisarzy różnych pokoleń od sybiraka Waława Sieroszewskiego, poprzez bojowca PPS Andrzeja Struga po Juliusza Kaden-Bandrowskiego. W Legionach byli też inni artyści, malarze, jednym z nich był przecież późniejszy Wódz Naczelny Edward Rydz-Śmigły. Przekrój społeczny pozostawał typowo inteligencki. Uczniowie tam walczyli, nauczyciele czy lekarze, również filozofowie, ale i agronomowie. Ludzie ciężkiej pracy fizycznej też, ale garstka.

– W 1920 r. armia była już inna: powszechna, z poboru, jak w dobie Rewolucji Francuskiej? I tak jak tamta odparła silniejszego z pozoru przeciwnika?

– Armia była powszechna, głównie chłopska, tak jak całe ówczesne polskie społeczeństwo. Legioniści również w jej szeregach się znaleźli, ale objęli funkcje dowódcze, oficerskie. To była armia ogólnonarodowa.

– Z chwilą powołania Wincentego Witosa na premiera skończyły się dezercje „do żniw”?

– Przydali się ci pisarze wśród oficerów, żeby polskiemu chłopu uświadomić, jak straszny okaże się jego los pod rządami bolszewików. Wskazywano, jak traktują oni ludność na terenach już przez nich zajętych. Rzezie, gwałty, niszczenie kościołów, rabunki... To był wtedy Rząd Obrony Narodowej, o czym nie powinno się zapominać. Powstała Rada Obrony Państwa, gremium, które łączyło rząd i parlament. Witos i Piłsudski byli wtedy razem, równie zdecydowanie, jak ich drogi się później rozszły w 1923 r. wraz z powołaniem rządu Chjeno-Piasta i odejściem Marszałka z wojska, a ostatecznie z chwilą jego powrotu z Sulejówka i przewrotu majowego z 1926 r, który obalił kolejny, trzeci już rząd Witosa. Inaczej działo się w sierpniu 1920 r. Powołany do wojska chłop dostrzegał z jednej strony manifestację jedności. A z drugiej widział, jak nadciąga czerwona zaraza. Tak się rodziła jego nowoczesna narodowa i społeczna świadomość. Dziś widzimy, jak na Ukrainie postępują podobne procesy. Ukraińcy odzyskali przecież niepodległość w 1991 r. Ponad trzy dekady temu.

– Jednak jak przyjeżdżali do Polski, często woleli mówić po rosyjsku, chociaż znali swoją ojczystą mowę. Dopiero teraz to się zmieniło: nagle, gwałtownie i skokowo, jak nie proces społeczny lecz olśnienie?

– Rubikonem nowoczesnej świadomości narodowej stała się dla nich obrona przed brutalną inwazją rosyjską, podobnie jak dla Polaków powstrzymanie bolszewickiego pochodu w 1920 r. Wcześniej wielu chłopów określało siebie mianem tutejszych, chociaż w domu po polsku mówili i chodzili do polskiego kościoła. Ale nie sposób było pozostać tylko tym tutejszym, gdy wróg przychodzi podpalić ten dom i zamknąć na zawsze ten kościół albo na stojąco go przerobić. Teraz na Ukrainie sprawy mają się podobnie. Najlepszą identyfikacją narodową okazała się wspólna obrona. Dniepr już nie dzieli, ani żadna inna rzeka. Przestało być najważniejsze, w jakim języku w domach się mówi. Cała Ukraina jest nasza, bo śmiertelnie zagrożona. Polacy, poza najbardziej wykształconymi warstwami, które świadomość narodową zyskały wcześniej, podobne poczucie uzyskali przed stu laty. Na Ukrainie wtedy było na nie za wcześnie. Wprawdzie ataman Semen Petlura pozostawał sojusznikiem Józefa Piłsudskiego, ale masy go nie poparły. Nie było tam podobnej patriotycznej eksplozji jak na Ukrainie dzisiaj albo w Polsce przed stu laty.

– Witold Gombrowicz pisze we „Wspomnieniach polskich”, że gdy hordy bolszewickie zbliżyły się już do Warszawy, w kawiarniach i na ulicach stolicy dobrze wychowane dziewczyny zaczęły wbrew ówczesnej etykietce ubranych po cywilnemu dwudziestolatków obcesowym pytaniem: a pan czemu nie w wojsku?

– Wszyscy widzieli, że to ich wojna. Wspólna i o wszystko. Historycy mogą polemizować, czy 11 listopada 1918 r. jest najlepszą datą oznaczającą odzyskanie niepodległości, zresztą ja uważam, że tak powinno pozostać, bo to był ważny dzień przejścia przez Komendanta Piłsudskiego władzy nad wojskiem z rąk Rady Regencyjnej. Jednak nie ulega wątpliwości, kiedy ta świeża niepodległość została obroniona. Powszechnym wysiłkiem, w sierpniu 1920 r. i nie był to wcale żaden Cud nad Wisłą lecz wielkie dokonanie całego narodu. Chociaż data 15 sierpnia też jest w jakimś stopniu umowna, bo ani manewr znad Wieprza ani Bitwa Warszawska nie trwały przecież tylko jeden dzień.

– **Takiego waloru powszechności brakuje – pomimo żołnierskiego bohaterstwa – kampanii wrzesniowej z 1939 r? Zanim spytam dlaczego, podam przykład z życia rodziny. Dziadek mój, kierownik wiejskiej szkoły pod Łowiczem, nie dotarł nawet na miejsce mobilizacji, nie zdążył, a jak wracał, to jeszcze mu rodacy, bo nie Niemcy przecież... rower ukradli, więc zanim dotarł do domu na piechotę, babcia już nabrała przekonania, że na tej wojnie zginął, a on nawet powalczyć nie zdążył?**

– Pod naciskiem aliantów władze polskie odwlekły wtedy mobilizację, bo sojusznikom zależało, żeby nie drażnić Niemców. Jakby jej termin miał znaczenie. W 1920 nie oglądaliśmy się na nich, zresztą w Spa proponowali nam granicę na Bugu zamiast na Zbruczu. Oczywiście również tamten tragiczny wrzesień obfitował w akty cywilnego bohaterstwa. Stoi dziś na Ochocie warszawskiej pomnik: Barykada Września. Tam nastoletni chłopcy, zarówno gimnazjaliści z dobrych domów jak biedni majdaniarze sprzedający na co dzień po ulicach gazety – szli z butelkami z benzyną na niemieckie czołgi.

– **Co na skalę masową powtórzyło się w 1944 r. Całe miasto walczyło?**

– Powstanie Warszawskie w tym sensie łączy się z 1920 rokiem i stanowi kontynuację tamtej walki, że zwrócone było przeciwko totalitaryzmowi, a ściślej – dwóm totalitaryzmom, które w 1939 r. położyły kres istnieniu wywalzonego w toku Bitwy Warszawskiej państwa polskiego, gdy po Niemcach zaatakowali również Sowieci 17 września. Stanowiło to nóż wbity w plecy naszej państwowości. Dlatego Powstanie Warszawskie militarnie zwrócone było przeciwko Niemcom, co miało sens, bo się osłabieni frontowymi porażkami cofali, a politycznie przeciw Sowietom, co również pozostawało logiczne, skoro nie tylko zbliżali się do Warszawy, ale zamierzali w niej ustanowić własny, obcy polskiemu, porządek, o czym świadczyły choćby wcześniejsze aresztowania wileńskiej Armii Krajowej.

– **I dlatego zryw okazał się tak powszechny?**

– Warszawiacy wcześniej przez lata ostrzegali się solidarnie przed łapankami niemieckimi, sąsiedzi pomagali sobie nawzajem, żeby nie umrzeć z głodu w wyniku wyniszczającej polityki okupanta. Armia Krajowa okazała się naprawdę organizacją masową, można jej siłę porównywać z francuską Resistance albo jugosłowiańską partyzantką, ale jeśli wziąć pod uwagę sprzężenie warun-

ków i możliwości – to właśnie w Polsce ruch oporu pozostawał najsilniejszy. Powstanie okazało się jego kumulacją.

– Jeśli jednak ktoś na to odpowie, że wybuchło tylko w Warszawie, więc gdzie ten ogólnopolski charakter, jak zbije Pan ten argument?

– Po doświadczeniach planu Burza, o Wilnie już wspominaliśmy, inaczej być nie mogło. A stolica pozostawała nie tylko symbolem, ale kluczem do przyszłej Polski. Powszechna pomoc, z jaką w całej Polsce spotkali się gościnnie przyjmowani, pomimo okupacyjnej biedy, uchodźcy z Warszawy świadczy właśnie o tym, że walkę toczoną w stolicy uznano za ogólnonarodową sprawę. Stała się kolejnym po 1920 roku kamieniem milowym nowoczesnej patriotycznej świadomości. Moja rodzina po Powstaniu znalazła się aż w Zakopanem, wujek mamy kupił konia i wóz, dlatego mogli dotrzeć tak daleko, razem z nimi ukrywał się tam pod Tatrami stryjeczny wujek Witold Winnicki z Batalionu „Zośka”, leczący się z ran, odniesionych w Powstaniu. Wszędzie po drodze i w samym Zakopanem spotykali się z ludzką życzliwością.

– Czy pomoc udzieloną wtedy w całej Polsce uciekinierom ze zburzonej Warszawy da się zestawzić z obecną empatią i współczuciem, z jakimi przyjmuje się teraz uchodźców ukraińskich?

– Uważam to porównanie za zasadne. Pozytywne reakcje w obu wypadkach biorą się z poczucia wyrządzonej tym potrzebującym krzywdy i słuszności moralnej, która pozostaje po ich stronie. Znajdujemy więc kolejny dowód, w jak mocnym stopniu tragedia Powstania Warszawskiego wpłynęła na polską świadomość.

– Przyczyniła się również do roztropnego postępowania Polaków w 1956 r., kiedy to w Październiku czołgi radzieckie już wyruszyły z baz. Ale się cofnęły, bo nasi przywódcy spontanicznie wyłonieni działali tak, żeby postawić na swoim i uniknąć ofiar. Znane powiedzenie głosi, że Węgrzy zachowali się wtedy jak Polacy, a Polacy jak Czesi. Ale też podobną rozwagą wykazali się polscy robotnicy w Sierpniu 1980 r?

– Świadomość Polaków w znacznej mierze formował Kościół katolicki, jedyny w czasach PRL niezależny od władzy spośród wszelkich instytucji życia publicznego. Prymas Stefan Wyszyński w czasie Powstania Warszawskiego był kapelanem kempinoskiego zgrupowania Armii Krajowej. Trauma powstano-

wa na zawsze w nim pozostała. Rola Kardynała w wydarzeniach lat 1956–57 pozostaje powszechnie znana, zwolniony wtedy z internowania, sam tonował nastroje. Zaś w Sierpniu 1980 r. za sprawą spotkań z Edwardem Gierkiem i jego przyszłym następcą Stanisławem Kanią wiedział więcej niż inni o rysujących się groźnych scenariuszach, dlatego wzywał do spokoju, za co dotknęła go także niesprawiedliwa krytyka. Wezwania Kościoła spotykały się też z osobistym i zbiorowym doświadczeniem wielu robotników. Pamiętali rok 1970 na Wybrzeżu a potem 1976 w Radomiu i Ursusie. Dlatego nie wyszli za bramy zakładów pracy, wiedząc, że na ulicy władza znów może ich rozbić. Pokojowy charakter protestów okazał się oczywisty, przekonanie, że tak właśnie trzeba działać znajdowało oparcie w papieskiej nauce społecznej. Działo się to przecież w nieco ponad rok po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do ojczyzny, kiedy to na placu – nomen omen – Zwycięstwa Papież wypowiedział pamiętne słowa: „Niech zstąpi Duch Twój. I odnowi oblicze ziemi. Te j ziemi”.

– **Aż przy podpisywaniu Porozumień Gdańskich Lech Wałęsa stwierdził: dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem.**

– To kolejny dowód, że 1980 r. można zestawić z 1920 i 1944. Odrodziła się przecież wspólnota. Wypowiedź Wałęsy oznaczała bowiem, że nie odmawia tej władzy polskości, skoro porozumiewa się ona z robotnikami a nie przeciwko nim występuje, jak poprzednio czyniła. Zaś z perspektywy władzy samo uznanie wyłonionej przez robotników reprezentacji za partnera stanowiło przełom, skoro PZPR wciąż zachowała w nazwie przymiotnik „robotnicza” i wedle oficjalnego programu zmierzać miała do dyktatury proletariatu, a nie do podpisywania porozumień własnego aparatu z robotnikami. Nie trzeba długo przekonywać, że pierwsza Solidarność, jako związek zawodowy i ruch społeczny skupiająca 10 milionów ludzi, stała się powszechną reprezentacją Polaków. Z 1920 r. ten pokojowy ruch łączy fakt, że ludzie po latach atomizacji uznali za ważne, że się angażują, najpierw strajkując, potem uczestnicząc w związkowych zebraniach.

– **W czerwcu 1976 r. ćwierćmilionowy Radom był w rękach demonstrantów, jak stwierdza w swojej „Historii...” Wojciech Roszkowski. I strajkowała cała Polska prawie, na co dobitnie wskazuje zerowy niemal wtedy pobór mocy i energii. Tyle, że robotnicy nie wiedzieli o sobie nawzajem. Jak są silni... wszyscy razem. Ile wtedy mogą?**

– Ale właśnie po tych wydarzeniach pojawiły się niezależne instytucje. I telefon w mieszkaniu Jacka Kuronia, na który się dzwoniło, informując o represjach bądź protestach. Wszystko to powracało później do Polaków za sprawą zagranicznych rozgłośni. Aż ta narastająca świadomość zrodziła Sierpień 1980 r, jego fenomen. Nawet wprowadzenie stanu wojennego nie cofnęło trwale pobudzonych przez ruch Solidarności procesów społecznych.

– **Pamięć o Powstaniu wciąż determinowała postawę Solidarności, także w podziemiu, jako ruchu wyrzekającego się użycia przemocy?**

– Jeśli 1 sierpnia o godzinie „W”, ale też w dniu Wszystkich Świętych, spotykaliśmy się przy powstańczych grobach, to przecież wszyscy doskonale wiedzieli, jakie straty w 1944 roku Polska poniosła i że kolejnego przelewu krwi trzeba uniknąć. Nawet masakra w kopalni Wujek tego przekonania nie zmieniła. Warto pamiętać, że wcześniej w Sierpniu 1980 r. to faktycznie przystąpienie do strajku śląskich kopalń przesądziło o podpisaniu porozumień przez władze. Znamy prestiż górników i rolę wydobycia węgla w ówczesnej gospodarce. Stąd tak brutalna pacyfikacja Śląska, żeby protesty przeciw stanowi wojennemu nie stały się powszechne. Podziemie jednak nie odpowiedziało przemocą na przemoc. I w 1988 r, kiedy władza złamała siłą strajk w Nowej Hucie, a potem przeczekwała protest na Uniwersytecie Warszawskim, w trakcie kolejnej fali strajkowej, znów w sierpniu, gdy stanęły śląskie kopalnie, ta sama władza zdecydowała się na rozmowy.

– **I znowu duch Sierpnia powrócił: negocjacje, wzajemne uznanie obu stron?**

– To było odrodzenie wspólnoty. I zwieńczenie paradoksu, że pierwsza w dziejach skutecznie wygrana rewolucja robotnicza odbywa się pod znakiem krzyża, a nie czerwonego sztandaru. Duch Sierpnia 1980 powrócił w toczonych rozmowach. Zaś ten z 1920 r. – w powszechnym udziale już nie w walce, lecz w głosowaniu z 4 czerwca 1989 r. Trauma rodem z 1944 powracała w tym, że władza wprawdzie straszyla, że po niej mogą przyjść ci gorsi, co przemoc zastosują – ale nikt się już na to nie poważał. Tak się zakończyła polska rewolucja, do końca pokojowa. Rewolucja negocjowana, ale z happy endem.

LUDZIE WALCZYLI NIE TYLKO O SWOJE, ALE O WSPÓLNE

– Latem 1980 r. miał Pan 15 lat: za mało, żeby w historycznych wydarzeniach uczestniczyć, ale wystarczająco wiele, by je bacznie obserwować? Gdzie zastał Pana tamten Sierpień?

– Kiedy zaczął się strajk w gdańskiej stoczni, przebywałem na obozie sportowym, bo grałem amatorsko w piłkę ręczną. Ponieważ byłem laureatem olimpiady historycznej, po pierwsze miałem zapewnione miejsce w liceum poza konkursem świadectw w sytuacji, kiedy rodzice wielu kolegów musieli składać odwołania, żeby oni się do dobrych szkół dostali – po drugie, interesując się od lat historią, wiedziałem, skąd wzięła się potoczna nazwa sportu, który uprawiam. Szczypiorniakiem zwano piłkę ręczną dlatego, że pod koniec I wojny światowej grali w nią internowani przez Niemców w Szczypiornie, za odmowę złożenia im przysięgi, legionści Józefa Piłsudskiego. Kiedy w Sierpniu 1980 r. byłem na tym obozie sportowym, oczywiście do mnie i kolegów docierały wiadomości o tym, co się dzieje na Wybrzeżu. Niestety w naszym ośrodku nie dało się znaleźć radioodbiornika na tyle sprawnego, żeby złapać zagłuszaną mocno Wolną Europę. Nawyk słuchania tego radia wyniosłem z domu. Za to Dziennik Telewizyjny oglądaliśmy na naszym obozie tak, by spróbować się czegoś dowiedzieć... trochę między zdaniami, wypowiedzianymi przez spikera. Z czasem zaczęto na antenie mówić o przerwach w pracy, strajkami ich jeszcze nie nazywano. Za to kiedy już wróciłem do Warszawy, zobaczyłem jak stoi komunikacja miejska. I chociaż autobusy nie kursowały, warszawiacy nie mieli o to pretensji do ich kierowców, tylko do ekipy Edwarda Gierka. Okazało się, że historia dzieje się na naszych oczach. Jako piętnastolatek miałem świadomość wagi tamtych wydarzeń.

– Co z tego zostało po latach? Wiele z 21 postulatów gdańskich nas po upływie czasu nie porywa, jak żądanie podniesienia diet i dodatków za rozłąkę czy zrównania świadczeń rodzinnych z przysługującymi wtedy funkcjonariuszom MO?

– Nigdy nie pozwoliłbym sobie na żadną nutę kpiny z tamtych socjalnych sierpniowych postulatów. Wyrosły z potrzeby sprawiedliwości i pozostawały zasadne. Oczywiście zarówno wtedy, jak i z obecnej perspektywy, najważniejsze dla ogółu Polaków okazały się żądania zgody na wolne związki zawodowe oraz uwolnienia więźniów politycznych. Pierwszy z tych postulatów oznaczał budowę niezależnej reprezentacji społeczeństwa. Po części wcześniej tę rolę wypełniał Kościół, ale był w swoich prawach ograniczany, co opisuję w mojej książce «Kościół Obywatelski», a poza tym miał do spełnienia misję wyższego rzędu. Natomiast w 1980 r. po strajkach powstała Solidarność jako masowa organizacja zajmująca się głównie obroną praw pracowniczych, a przy tym obywatelskich i ludzkich. Spośród żądań sierpniowych symboliczny wymiar miało uwolnienie więźniów politycznych, bo ten postulat stanowił sygnał pewnej wspólnoty. Pokazywał, że robotnicy pamiętają, kto o ich prawa walczył w poprzednich latach. I tych ludzi nie zostawia. Jedni znajdowali się w Sierpniu za ogrodzeniem strajkujących zakładów, inni za kratami aresztów czy więzień, ale świadomość okazała się wspólna. Nie zmienił już tego stan wojenny. Ludzie walczyli nie tylko o swoje, ale o wspólne. Klimaty te powróciły w 1988 roku, kiedy władza złamała w nocy strajk robotników Nowej Huty, a od rana zaczął swój protest Uniwersytet Warszawski. Uczestnicząc w organizowaniu tam odrodzonego NZS miałem świadomość, że historię nie tylko studiuję, ale w niej uczestniczę. Postawiliśmy wtedy postulat legalizacji zarówno Solidarności, jak NZS, zepchniętych do podziemia w stanie wojennym. Ale też żądania natury społeczno-ekonomicznej na naszą studencką miarę: poprawy warunków w akademikach, ratowania księgozbioru Biblioteki UW a nawet wprowadzenia zniżki na nocne autobusy, Pan się teraz uśmiecha, a przecież wtedy bibułę często rozwoziło się po nocy, a na taksówki często pieniędzy brakowało. Zaś przekonanie, że Solidarność pozostaje jedynym taranem zdolnym skamielinę komunizmu skruszyć i Polskę zmienić stanowiło dziedzictwo Sierpnia 1980 r. I potwierdziło się 4 czerwca 1989 r, a wszyscy wiemy, co ta data oznacza. To

LUDZIE WALCZYLI NIE TYLKO O SWOJE, ALE O WSPÓLNE

było zwycięstwo Solidarności: legendy i wspólnoty. Dawne sierpniowe klimaty odnajdowałem jeszcze w trakcie prowadzonej w innej, chłodniejszej porze roku, zwycięskiej prezydenckiej kampanii Lecha Wałęsy w 1990 r. Chociaż reakcje na plan Leszka Balcerowicza okazały się już rozbieżne, podobnie jak jego społeczne skutki, wiele więzi się wtedy rozpadało. Za to ostatnim akordem tego solidarnościowego dzieła okazała się reforma samorządowa. Pierwsze w pełni wolne wybory w Polsce odbyły się w maju 1990 r. właśnie do samorządu terytorialnego. Podobnie reforma rządu Jerzego Buzka, przeprowadzona w Sejmie dzięki determinacji Akcji Wyborczej Solidarność w 1998 r. zawierała w sobie silny element wspólnotowego myślenia. Tak jak gdańscy stoczniowcy walczyli nie tylko o swoje, ale o społeczne cele, podobnie eksperci czy politycy z wielkich aglomeracji zbudowali rozwiązania, na których oczywiście Warszawa, Gdańsk czy Kraków skorzystały, ale najczęściej zyskały na nich liczne „Małe Ojczyzny”, małe ośrodki, które wspólnymi siłami lokalnych włodarzy i samych mieszkańców, gdy przekonali się, że to ma sens, nadrobiły liczone w dziesięcioleciach zaniedbania. Kiedy jedzie się przez Polskę lokalną, najlepiej widać, jak wiele przez 35 lat zmieniło się na lepsze.

NÓŻ W PLECY PRZESĄDZIŁ O KLĘSCIE

– Leszek Moczulski w swojej „Wojnie Polskiej” sugeruje, że nawet w 1939 r. aż do 17 września Polska zachowała szansę, by wojny nie przegrać. Bo przecież w 1920 r. bolszewicy też stali na przedpolach Warszawy jak Niemcy w dziewiętnaście lat później. Czy to wejście do akcji drugiego wroga przesądziło o wyniku starcia?

– Tak się stało, ponieważ cała polska konstrukcja strategiczna oparta była na koncepcji obrony na „przedmościu rumuńskim”. W międzyczasie 3 września Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, formalnie wywiązując się ze zobowiązań sojuszniczych. Tego dnia wojna rzeczywiście przybrała charakter światowej. Chociaż oczywiście za datę rozpoczęcia II wojny uznajemy słusznie 1 września 1939.

– Należy się to choćby żołnierzom z Westerplatte, o którym mówił prawie pół wieku później Jan Paweł II do polskiej młodzieży, w swojej książce „Kościół Obywatelski” podkreśla Pan znaczenie tego apelu?

– Oczywiście, że Westerplatte formowało polską świadomość i to na długie dziesięciolecia, ale już wtedy, we wrześniowych dniach 1939 roku entuzjazm dla obrony kraju był powszechny.

– Jednak sojusze mieliśmy wtedy egzotyczne, co wypominają liczni historycy?

– Innych zapewne nie byliśmy wtedy w stanie zawrzeć. Problem dostrzegam w czym innym. Wspomniałem już, że zachodni sojusznicy Polski formalnie wywiązali się ze zobowiązań, wypowiadając wojnę Niemcom. Mieli dwa tygodnie, żeby rzeczywiste działania podjąć.

– Dokładnie tyle czasu upłynęło do 17 września?

– Tymczasem na froncie zachodnim, bo skoro wojnę wypowiedziano, to o froncie można mówić, trwało to, co nazwano „drôle de guerre”, „dziwną wojną”. A myśmy mieli długie granice do obrony. We wrześniu 1939 r. już nie istniała Czechosłowacja, tylko Protektorat Czech i Moraw oraz sojusznicze wobec Niemców państwo słowackie. Pozostawała nam strategia obrony tych długich granic, opóźniania wejścia Niemców. I czekania, aż Zachód podejmie konkretne działania wojenne. Niemcy podejrzewali, że Francja i Wielka Brytania ich nie zaatakują w odwecie za napaść na Polskę, dlatego główne i przeważające siły skupili na froncie polskim. Za to spodziewali się, że Związek Radziecki uderzy na Polskę wcześniej, realizując tajną klauzulę zawartego w sierpniu 1939 r. w Moskwie paktu Ribbentrop-Mołotow. W dniach od 3 do 17 września Hitler musiał czuć sporą niepewność, jak się jego nowi sojusznicy zachowają.

– **Dzień 17 września zdrzutoł polski plan obrony?**

– Wcześniej Niemcy osiągnęli ewidentną przewagę i podeszli już pod Warszawę, ale oczywiste pozostawało, że broni się Hel, co zyskało rangę symbolu. Lwów pozostawał w polskich rękach i na wypadek utraty Warszawy przygotowano go do roli rezerwowej stolicy. Koncepcja obrony na „przedmościu rumuńskim” nie była mrzonką. Rumunia wtedy pozostawała naszym sojusznikiem, chociaż też się nie wywiązała z deklaracji, internując potem polskie władze. Za sprawą zmian w Europie zyskaliśmy wspólną granicę z Węgrami, które wprawdzie stawały się stopniowo satelitą Niemiec ale wtedy jeszcze nie były nam wrogie. „Przedmoście rumuńskie” to teren trudny dla każdego kto atakuje. Piękna pogoda zapamiętana z września 1939 r nie utrzymała się długo, jesień i zima mogły każdy już „Blitzkrieg” spowolnić. Polskie plany obronne nie były szaleństwem. Jednak 17 września je unieważnił. Nóż w plecy to nie tylko efektowne pojęcie publicystyczne. Wkroczenie wojsk radzieckich rzeczywiście taką rolę odegrało. Zgadzam się z tezą Leszka Moczulskiego, że to ono przesądziło o klęsce wrześniowej.

– **Sojusznicy zachodni zyskali alibi, żeby dalej już nie pomagać?**

– Los międzywojennego państwa polskiego został w tym momencie przesądzony. Trzeba pamiętać, że ze Związkiem Radzieckim mieliśmy obowiązujący pakt o nieagresji, który został złamany pod pretekstem obrony ludności białoruskiej i ukraińskiej przed Niemcami, chociaż ci ostatni stali się radzieckim sojusznikiem, tajna klauzula paktu Ribbentrop-Mołotow zawierała w sobie po-

dział łupów, chociaż przyjętą wtedy linię demarkacyjną jeszcze modyfikowano, bo skoro Rosjanie ruszyli z opóźnieniem, to z kolei Niemcy poszli za daleko. Aleksander Bregman napisał cieszącą się wielkim powodzeniem na emigracji książkę o Stalinie i ZSRR z tego czasu: „Najlepszy sojusznik Hitlera”. Nic dodać, nic ująć.

– Jakie analogie nasuwają się Panu pomiędzy ówczesnym losem Polski a obecnym Ukrainy? Poza tym, że agresor ten wschodu pozostaje ten sam, zwłaszcza, że Władimir Putin rozpad Związku Radzieckiego uznaje za geopolityczną katastrofę?

– Najpierw powiedzmy o różnicach. Polska wtedy miała układ sojuszniczy z Francją oraz gwarancje bezpieczeństwa, udzielone w marcu 1939 r. przez Brytyjczyków. Ukraina teraz tylko ogólne zobowiązania mocarstw z czasów, gdy zdawała broń atomową, przed prawie 30 laty. Polityka Józefa Becka, przez tyle lat uznawana za symbol klęski, zmierzała do przekształcenia każdego ataku na Polskę w wojnę światową. Paradoksalnie akurat to się udało, tyle, że nie zapobiegło to kolejnemu rozbiorowi Polski, w wyniku którego państwo przestało istnieć. Żadna realna polska koncepcja obrony nie mogła zakładać wojny na dwa fronty. Instrukcja Edwarda Rydza-Śmigłego dotycząca wkraczającej armii radzieckiej wskazywała, żeby opór stawiać w sposób ograniczony. Pyta Pan o analogie z Ukrainą: pomimo wspomnianej postawy polskiego dowództwa, działania agresora w wielu miejscach były brutalne niszczycielskie, jak choćby w Grodnie, wobec harcerzy i cywilów. Podobnie jak teraz na Ukrainie Rosjanie wiedzieli, że nie anektują całego kraju. Zaprowadzali jednak własne porządki, kładąc podwaliny pod przyszłe zniewolenie Polski.

– Czesław Miłosz wspomina, że gdy do Wilna wkroczyły wojska radzieckie – które zresztą niebawem oddały je Litwinom, by powtórnie je przejąć latem 1940 r. – ulice, place i skwery nagle pokryły się warstwą śmieci, która już potem nie zniknęła?

– Rzeczywiście była to specyficzna armia z karabinami na sznurkach. I z tymi żonami oficerów, które na męzowskich kwaterach szabrowały nocne koszule, żeby potem w nich chodzić do teatru, bo takie eleganckie. Czarny humor zawarty w „Zapiskach oficera Armii Czerwonej” Sergiusza Piaseckiego pozostaje autentyczny. Autor doskonale znał Sowietów, służył wcześniej w pol-

skim wywiadzie na wschodniej granicy. Jednak polityki okupanta nie da się sprowadzić do anegdot. Okazała się niszcząca. Bo Lwów a potem Wilno stały się poligonem rozwiązań zastosowanych potem już po 1944/45 r. na masową skalę. We Lwowie aresztowano Władysława Broniewskiego, chociaż dalej wychodziły pisma z udziałem innych renomowanych literatów polskich. W Wilnie Leopold Tyrmand, który dla podobnej gazety tam pracował, też w ostatniej chwili uciekł z wagonu, przygotowanego do wywózki do łagru w głąb ZSRR. Jeśli znajdować podobieństwa polityki okupanta po 17 września 1939 r. i obecnych działań agresora na zajętych obszarach Ukrainy to na pewno są to fikcyjne plebiscyty i wybory, jakie organizuje się, żeby obywatele pod bagnietami głosowali za aneksją tych ziem: wtedy podobne akcje organizowały radzieckie władze, teraz odbywają się one na Krymie czy w marionetkowych republikach donieckiej i ługańskiej.

– Wtedy Polska znalazła się w kleszczach, aż podobnie jak w latach 1914–1918, chociaż w tym wypadku już nawet nie o niepodległość chodziło, tylko o zachowanie biologicznego istnienia narodu – uratował nas konflikt między zaborcami?

– Stalin planował wojnę ofensywną przeciwko Niemcom, masowo szkolił spadochroniarzy. Jednak Hitler uprzedził jego atak, realizując od 22 czerwca 1941 r. „plan Barbarossa”. Niemcy doszli aż pod Moskwę w grudniu tego samego roku, bo ZSRR do obrony nie był przygotowany, spodziewał się walki na obcym terytorium. Dla losów wywiezionych i masowo represjonowanych Polaków zasadnicze znaczenie miał fakt, że Związek Radziecki przystąpił do koalicji antyhitlerowskiej. Generał Władysław Sikorski podpisał układ z ZSRR, za co wielu go w Londynie krytykowało, jednak to porozumienie pozwoliło uwolnić polskich więźniów łagrów. Wraz ze stutysięczną armią gen. Władysława Andersa wyszło z Rosji mnóstwo cywilów. Dla nich oznaczało to otwarcie bramy na wolność, o czym nie da się zapomnieć.

– Czy można powiedzieć, że wcześniej Polska próbowała uprzedzić zagrożenie, zapobiec najgorszemu?

– Dopóki żył Józef Piłsudski, takie poważne próby były podejmowane. Już po dojściu do władzy Hitlera w Niemczech, bo Marszałek nie miał złudzeń co do intencji nowego kanclerza. Wtedy Polska zgłosiła plan wojny prewencyjnej

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

z Niemcami, w której wesprzeć nas mieli alianci zachodni. Zapobiegłaby kolejnym hitlerowskim podbojom. Niemcy bardzo się tego bali, pod wrażeniem tej koncepcji złagodzili nagle swoją politykę w Gdańsku, który pozostawał Wolnym Miastem pod kontrolą Ligi Narodów, ale Polaków tam szykanowano. Niestety Francuzi nie chcieli wojny prewencyjnej. Brytyjczycy też się do żadnych działań wyprzedzających nie kwapili. Woleli kupować czas. W 1933 r. na krakowskich Błoniach w rocznicę odsieczy wiedeńskiej Jana Sobieskiego odbyła się ogromna parada Wojska Polskiego. Entuzjazm był szczerzy, a siła realna. Te wojska można było od razu skierować przeciw Niemcom, a nie tylko w trakcie defilady ich używać. Działo się to jeszcze na długo przed remilitaryzacją Nadrenii i późniejszymi podbojami Hitlera. Nie posłuchano nas jednak.

ROZSTRZYGNĄŁ SIEDEMNASTY, A NIE 1 WRZEŚNIA

– Cudzoziemiec w kontekście naszego 1 września spytać mógłby, czy warto świętować rocznice porażek? Przecież kiedy Pan, autor wielu książek historycznych, czy ja słyszymy wyrażenie „klęska wrześniowa”, to nie protestujemy?

– Poczucie klęski jakie wiąże się z wrześniem 1939 r. oczywiście pozostaje zasadne w tym sensie, że militarnie żeśmy wtedy przegrali. Co okazało się o tyle nieuniknione, że kolejno zaatakowały nas dwa mocniejsze od nas totalitarne państwa: Niemcy 1 września, zaś Związek Sowiecki siedemnastego. Jednak warto również przypomnieć, że pomimo porażek na polach bitew czy niszczycielskich bombardowań polskich miast – dzięki oporowi wobec inwazji, wspartemu przez całe społeczeństwo, bo tak wiele znamy przejawów cywilnego bohaterstwa, Polska znalazła się w innej sytuacji, niż rok wcześniej Czechosłowacja po układzie monachijskim. Wtedy, począwszy od września 1938 r. Niemcom udało się – co rozłożyło się na dwa etapy, bo potem był marzec 1939 r. zajęcie Pragi i likwidacja państwa – doprowadzić bez gwałtownego zastosowania przemocy, w sytuacji, gdy mocarstwa zachodnie wojny się obawiały, do rozbicia Czechosłowacji i rozszerzenia własnej strefy wpływów najmniejszym kosztem. Powtórzenie tego zabiegu z Polską już się Niemcom nie powiodło. Postawa Polski, brytyjskie dla nas gwarancje, sojusz z Francją ale i z Rumunią – sprawiły, że atak na Polskę stał się początkiem II wojny światowej. Jeśli posłużyć się tytułem książki Leszka Moczulskiego, śmiało można stwierdzić, że „wojna polska” stała się światową.

– Właśnie Leszek Moczulski w „Wojnie polskiej” wydanej i to oficjalnie jeszcze w 1972 roku, kiedy to protestowała przeciw jej publikacji ambasada radziecka, ale czytelnicy zdążyli już i tak cały nakład wykupić – za

rozstrzygającą dla losu Polski w 1939 r. uznał datę 17 września. Wcale nie pierwszego. Czy miał rację w tej ocenie? Czy to 17 września stał się gwoździem do trumny międzywojennej Polski, Drugiej Rzeczypospolitej, co wcześniej 21 lat przetrwała?

– Zgadzam się z oceną szans Polski w kampanii wrześniowej dokonaną przez Moczulskiego. Natomiast Pana opinię nieco skoryguję w tym sensie, że bezpośredni koniec II RP stanowiło dopiero Powstanie Warszawskie w pięć lat później. Natomiast dla przebiegu wydarzeń w 1939 r. to 17 września miał rozstrzygające znaczenie. Koncepcja obrony na przed-moście rumuńskim przygotowana wcześniej przez polskie dowództwo nie była czymś wymyślonym, bez szans na realizację. Ośrodkiem oporu stać się miał Lwów, wtedy pozostający w polskich rękach, podobnie jak w 1920 r. ale i w 1918 za sprawą nastoletnich bohaterskich Orląt. Wtedy w 1939 r. obronę na wschodzie szykował generał Kazimierz Sosnkowski. Wódz Naczelny Edward Rydz-Śmigły wcześniej go odsunął, ale wówczas już przywrócił. Ogromna przestrzeń polskich Kresów stwarzała dogodne możliwości do skutecznej obrony. Nie było tam dróg do szybkiego przerzutu wojsk, a w taki sposób, w formacie Blitzkriegu walczyli wtedy Niemcy.

– Władysław Broniewski pisze o wrześniu: „a czołgi w bagnach wyschniętych nie grzęzły”. Ale wraz z pogodą zmienić się mogło także położenie walczących. To radziecki „nóż w plecy” taką możliwość zniweczył?

– Na pewno Niemcom nie przyszłoby łatwo forsowanie poleskich bagien. Warunki sprzyjały na Kresach obrońcom, a nie atakującym. Trzeba też pamiętać, jak długo po 17 września broniła się jeszcze Warszawa, a także Twierdza Modlin oraz Hel i gen. Franciszek Kleeberg, który wytrzymał najdłużej pod Kockiem.

– Jakie jeszcze następstwa miał 17 września, poza oczywistym, że zaatakowani przez dwóch wrogów, szans na polu walki nie mieliśmy?

– Wkroczenie wojsk rosyjskich, a o takim ich zamiarze Francja i Anglia dowiedziały się kilka dni wcześniej, stanowiło dla Francji i Wielkiej Brytanii powód czy pretekst, żeby na ówczesnym froncie zachodnim, gdzie od 3 września toczyła się tylko tzw. dziwna wojna, wprawdzie wypowiedziana ale faktycznie nie prowadzona – nie podjąć rzeczywistych działań wojskowych

przeciwko Niemcom, zgodnych z sojuszniczymi zobowiązaniami wobec Polski. Dowody na to znalazł w czasach PRL we francuskich archiwach Jerzy Łojek, wybitny i niestety przedwcześnie zmarły historyk. Wertując podczas pobytu we Francji dokumenty dyplomatyczne, w tym korespondencję z Brytyjkami, Łojek potwierdził, że to w związku z 17 września alianci uznali, że realna pomoc Polsce, do której udzielenia mieli być gotowi w parę tygodni, nie ma sensu, ponieważ i tak się nie obronimy przed dwoma wrogami. Po powrocie do kraju Jerzy Łojek wydał książkę o sowieckiej inwazji, w drugim obiegu, gdzie posługiwał się pseudonimem Leopold Jerzewski. Oczywiście nastąpiło to w wiele lat po publikacji książki Moczulskiego, bo kiedy w 1972 r. ukazała się „Wojna Polska”, w kraju nie było jeszcze niezależnych wydawnictw, tylko przemyczone z zagranicy książki emigracyjne i tzw. samizdat, czyli maszynopisy krążące w nielicznym gronie. Łojek pozostawał niezmiernie zdeterminowany, żeby ujawniać prawdę o 17 września, ponieważ jego ojciec zginął w Katyniu. Charakterystyczne, że Moczulski i Łojek doszli w kwestii roku 1939 do podobnych wniosków. Nie przypadkiem polskie władze ewakuowały się do Rumunii 17 września przez most w Kutach. Wobec sowieckiej inwazji skończyła się bowiem koncepcja skutecznej obrony przed Niemcami na przedmościu rumuńskim.

– Czy ostatnie lata, w tym pełnoskalowa wojna w Ukrainie, wpływają jakoś na naszą ocenę września 1939 r, w pewnym sensie ją modyfikują?

– Ukraina trwa i walczy, nie straciła suwerenności, ponieważ w poprzednich latach nawiązała skuteczną współpracę sojuszniczą z państwami zachodnimi, w tym z Polską, bo dla niej przecież Zachodem jesteśmy. Teraz atutem Ukrainy staje się przekonanie, nieobce napastnikom z Kremla, że eskalacja ich akcji może doprowadzić nawet do wybuchu III wojny światowej, co do pewnego stopnia agresora mityguje. Analogia z wrześniem 1939 r. też do pewnego stopnia działa. Dzięki temu Ukraina ma szanse obronić suwerenność, przekonamy się, czy również integralność terytorialną. Nie przypadkiem bowiem prezydent USA Donald Trump na spotkanie w Waszyngtonie zaprosił prezydenta Finlandii Alexandra Stubba. Wiemy, że Finowie po II wojnie światowej zachowali suwerenność, jednak za cenę nie tylko narzuconej im neutralności ale i oddania ZSRR znacznej części kraju.

– Czy można wskazać fakty, mające znaczenie dla sekwencji wydarzeń w 1939 r, ale wciąż nie doceniane?

– Sprawdziła się wtedy Konstytucja Kwietniowa z 1935 r, często krytykowana jako mało demokratyczna na tle wcześniejszej Marcowej z 1921 r. Wówczas jednak umożliwiła sprawną sukcesję, szybkie przekazanie władzy. Pozwoliła na jej ukształtowanie się na uchodźstwie, dzięki czemu Polacy nie stracili politycznej reprezentacji. Stanowi to zasługę Józefa Piłsudskiego, którego dziełem pozostawała Konstytucja Kwietniowa. W taki sposób w 1939 r, geniusz Marszałka, już zza grobu, po raz ostatni się objawił.

PIŁSUDSKI OSZCZĘDZAŁ POLSKĄ KREW

– Znane powiedzenie, dotyczące 11 listopada 1918 r. głosi: tak ni z tego, ni z owego, była Polska od pierwszego. Może krzywdzące dla nastoletnich harcerzy i peowiaków, którzy dzielnie rozbijali Niemców, oddaje ono jednak fakt, że odzyskanie niepodległości dokonało się wtedy bez wielkich ofiar?

– To pewien paradoks, w którym Polska tkwiła, bo wcześniej, gdy zaczęła się I wojna światowa, powołano Polaków do trzech zaborczych armii. W sumie było ich milion pod bronią, jednak rozproszyli się po wszystkich frontach, i tak szczęśliwi, jeśli los nie zmusił ich do bratobójczej walki przeciwko sobie nawzajem. Podobna liczebność polskich żołnierzy, walczących pod obcą komendą i znakami, nie dawała jednak narodowi poczucia siły.

– I tu mamy kolejny paradoks, z Piłsudskim związany?

– Józef Piłsudski buduje elitarną Pierwszą Kadrową, formuje Legiony. Wiadomo, że tworzyło je kilkanaście tysięcy żołnierzy z orzełkiem na czapce. Dla społeczeństwa jednak ta nowa formacja stała się punktem odniesienia, którego przez dziesięciolecia brakowało. To było spektakularne działanie. Piłsudski świadomie wywołał później kryzys przysięgowy.

– Czy już wtedy przewidywał wynik I wojny światowej?

– Bezbłędnie przewidział go, zanim jeszcze wybuchła, o czym świadczy wykład w paryskim Towarzystwie Geograficznym w lutym 1914 roku. Piłsudski powiedział tam wówczas, że wojnę przegrają kolejno wszyscy zaborcy.

– Dlatego później postawił się Niemcom?

– Niemcy położyli ofertę na stole.

– Powstać miał Polnische Wehrmacht?

– Piłsudski ich oferty nie przyjął. Nie chciał, by żołnierz polski na masową skalę przelewał krew po niemieckiej stronie w 1917 r. Bo wiedział, że ten żołnierz okaże się potrzebny do obrony przyszłych granic. Jak się okazało w 1918 i latach kolejnych.

– **Profesor Wiesław Wysocki często przytacza ówczesne powiedzenie, że Polska była jak łaska Boża... bez granic?**

– Oddaje ono stan faktyczny z końca 1918 r. O te granice, zanim zostały wytyczone, przyszło nam walczyć. W Powstaniu Wielkopolskim i Powstaniach Śląskich. Z Czechami w wojnie granicznej. Z Ukraińcami we Lwowie, chociaż później w wyprawie kijowskiej stali się naszymi sojusznikami. I wreszcie z bolszewikami, przeciwko którym stanęła już milionowa armia.

– **Przypomnijmy więc, skąd się wzięła?**

– Zaborcy nam żołnierza wyszkolili, można powiedzieć. Oczywiście dla własnych egoistycznych celów, żeby przelewał krew w imię ich interesów. Dlatego tak wielkie znaczenie miało oszczędzanie tej polskiej krwi przez Piłsudskiego. Elitą tworzącej się armii polskiej stali się weterani Kadrowki i Legionów. Inni zaś do mundurów zaborczych państw naprędce dołączali orzelki. Z Rosji, której armia rozpadła się najszybciej, po rewolucji, masowo wracali do Polski żołnierze i oficerowie.

– **Nawet w Warszawie rozbrajanie Niemców nie przebiegało bezkrwawo, ale przyjazd Piłsudskiego z Magdeburga przyczynił się do zminimalizowania liczby ofiar?**

– W trakcie rozbrajania Niemców doszło do strzelaniny pod warszawskim Ratuszem, na placu Teatralnym i dworcu kolei wiedeńskiej. Gdy Józef Piłsudski przyjechał z Magdeburga, witało go kilka osób. Był 10 listopada. Dzień później Rada Regencyjna, załóżek rodzimej władzy, powierzyła mu komendę nad wojskiem polskim. Tę datę 11 Listopada uznajemy za moment odzyskania przez Polskę niepodległości.

– **Stacjonowała u nas jeszcze jednak armia niemiecka, chociaż generalny gubernator Hans Beseler uciekł statkiem, Wisłą do Torunia?**

– Niemiecka armia była zrewoltowana. Niemców ogarnęło wtedy wrzenie rewolucyjne. Wacław Jędrzejewicz opisuje, jak eskortowani na dworzec w Berlinie Józef Piłsudski i Kazimierz Sosnkowski oglądali po drodze samochody

z żołnierzami i marynarzami, którzy czerwonymi sztandarami powiewali. W stacjonującej w Polsce armii niemieckiej panowały podobne nastroje. Ale wcale nie gwarantowały nam pokoju, wystarczy przywołać przykład bolszewików, którzy wprawdzie obalili zaborczą monarchię, ale zaraz naszej niepodległości zagrozili. W armii niemieckiej powstawały masowo rady delegatów żołnierskich, coraz częściej to one decydowały, nie dowódcy.

– I Piłsudski z nimi negocjował?

– Ustalił z nimi, że 80 tys. niemieckich żołnierzy tu stacjonujących opuści ziemię polskie, a ściślej obszar dawnego zaboru rosyjskiego. Stanowili oni wciąż wielką siłę. Polska Organizacja Wojskowa i inne formacje nie mogły im otwarcie stawić czoła.

– Dlaczego Piłsudskiemu wtedy się udało?

– Wiele razy w swoim życiu Piłsudski, z korzyścią dla Polski, występował w podwójnej roli. W tym wypadku przywódcy rodzącego się państwa, ale zarazem też lidera lewicowego. Po latach spędzonych w Polskiej Partii Socjalistycznej, w jej Organizacji Bojowej, doskonale wiedział, w jaki sposób ze zwoltowanymi żołnierzami niemieckimi rozmawiać, żeby nasze sprawy załatwić skutecznie.

– Ale także z rozwagą i unikaniem zbędnych ofiar?

– Trzeba pamiętać, że wedle definicji Piłsudskiego polityka to sztuka czekania. Doczekał momentu, kiedy mógł optymalnie uderzyć. Kluczem dla niego pozostawało, żeby Polska okazała się podmiotem polityki międzynarodowej. Dlatego wcześniej odmówił Niemcom. Proponowali mu utworzenie kilkuset-tysięcznej armii polskiej, walczącej przeciw Rosji. Ale Piłsudski wiedział, że to nie jest nasza wojna. Żołnierz, który wtedy nie zginął, przydał się w późniejszej walce o granice.

– Jego pokolenie czekało długo. Środowiska Polskiej Partii Socjalistycznej walczyły od początku lat 90. XIX wieku. Narodowa Demokracja, kolejne Ligi: Polska i Narodowa, działały dłużej jeszcze, od lat 80...

– Aż nadszedł rozstrzygający moment osłabienia wszystkich zaborców. Mówiłem już, że Piłsudski ten wariant przewidział. Gdy wygłaszał wspomniany odczyt paryski, buzowało już na Bałkanach. Późniejszy przebieg wojny okazał się niespodziewanie korzystny dla Polski, ale obóz Piłsudskiego zapracował

na to rzetelnie. Załączek siły zbrojnej zaczęto tworzyć w 1910 r. pod postacią Związku Walki Czynnej. Potem były Związek Strzelecki. A po wybuchu wojny wymarsz Pierwszej Kadrowej, Legiony, wreszcie kryzys przysięgowy z 1917 roku. Z czasem ta strategia zaprocentowała. Jeszcze w październiku 1918 r. rozbrajano Austriaków w Galicji, tworzono tam Polską Komisję Likwidacyjną.

– Zaś Rzeczpospolitą Zakopiańską przez cały listopad rządził Stefan Żeromski, w koalicji z narodowymi demokratami. Jeśli zna się jego i ich poglądy, to aż dziwić się można, że go za przywódcę uznali?

– Działo się wiele spraw podobnie zaskakujących, bo wypełniało się marzenie wielu pokoleń o niepodległości. I rzeczywiście za sprawą rozwagi i wizji przyszłości udało się je wprowadzić w życie przy minimum ofiar.

MY JAKO NARÓD PRZEMÓWILIŚMY

– Czy słusznie postrzegamy 11 listopada 1918 r. w ten sposób, że działania polskich polityków różnych obozów i orientacji w kończącej się wtedy wojnie światowej później nazwanej pierwszą, wtedy się uzupełniały? Nie było przecież tak, że zasiedli do Okrągłego Stołu i się dogadali, co dla Polski ważne. Nawet w pierwszych dniach listopada pozostawało to fizycznie niemożliwe. Józef Piłsudski przebywał jeszcze w twierdzy magdeburskiej, Roman Dmowski w Stanach Zjednoczonych, goszcząc m.in. u Woodrowa Wilsona w Białym Domu, a Ignacy Daszyński w Lublinie, gdzie zaraz rząd tymczasowy powołał. To raczej ich pojmowanie racji stanu okazało się wspólne? Sprawilo, że grali w jednej drużynie?

– Z tą drużyną... tak daleko bym nie szedł. Grali o jeden cel. Każdy z nich dojście do celu – wolnej Polski – widział inaczej. Paradoks historii polegał na tym, że obóz Romana Dmowskiego obstawiał Rosję w toczącej się wojnie, ale i jej sojusznika – Francję. A Józef Piłsudski – państwa centralne. Polska wykupiła całą gonitwę. Przegrali wszyscy zaborcy, za to Francja wygrała. Ale to Piłsudski dysponował siłą zbrojną i inicjatywą polityczną chociaż niby na przegranych postawił, to jednak wracał z Magdeburga jako uwolniony więzień. Niemcy go wypuścili, ponieważ chcieli z jego pomocą zatrzymać bolszewików. Byli w oczywisty sposób zainteresowani w tym, żeby rewolucja rosyjska i niemiecka nie połączyły się w jedną. I wojna światowa to gonitwa, w której biegły dwa konie. Oba zostały obstawione.

– **Czy ktoś przewidział taki rozwój sytuacji?**

– Piłsudski w wykładzie paryskim, wygłoszonym w Instytucie Geograficznym w 1914 roku ale jeszcze zanim wybuchła wojna, trafnie przewidział,

że przegrają ją po kolei wszyscy zaborcy Polski: najpierw Rosja, potem państwa centralne. Jednak gdy wojna się już kończyła, najmocniejszą kartę miał w ręku Ignacy Paderewski, związany ze Stanami Zjednoczonymi, które dopiero w 1917 r., a więc najpóźniej z mocarstw do niej przystąpiły. Trzynasty punkt deklaracji amerykańskiego prezydenta Woodrowa Wilsona dotyczył niepodległości Polski. Wtedy doszło do geopolitycznego przesilenia. I dopiero w 1918 r. w listopadzie wszyscy wymienieni politycy stali się, jak Pan to ujął, jedną drużyną. To fenomen, że byli w stanie współdziałać. Na odległość i ponad podziałami, pomimo ówczesnych nikłych środków łączności, którą trwająca od czterech lat wojna dodatkowo utrudniała. Połączył ich wspólny cel: wolna i niepodległa Polska.

– I tu dochodzimy – żeby nie szukać na siłę analogii tamtego przełomu do tej jesieni, do takiej, która nasuwa się sama. Co nas chyba nie martwi. W wyborach z 15 października 2023 r. zagłosowało ponad 74 proc z nas. Ale w tych do Sejmu Ustawodawczego ze stycznia 1919 r. – jeszcze więcej, bo prawie 78 proc? O cudzie frekwencji można mówić? Wtedy i teraz? Co je łączy?

– Silne emocje. Wtedy, jak teraz, konkurowały co najmniej dwie wizje porządku w Polsce. Jednak dla obywateli, którzy dopiero co się nimi stali, więc byli z tego powodu szczególnie dumni i zobowiązani, żeby ze swoich praw czynić użytek – były to pierwsze wolne wybory. Dlatego tak masowo ruszyli do punktów głosowania, chociaż mróz był siarczysty, szalała jeszcze epidemia grypy hiszpanki, którą da się porównać tylko do COVID-19 a drogi i mosty zniszczone były przez wycofujące się niedawno wojska państw zaborczych. Szuka Pan analogii, potwierdzą jedną. Wtedy i teraz masowo zagłosowały kobiety. Panie w Polsce od razu bowiem po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. uzyskały pełnię praw wyborczych na co Francuzki musiały czekać aż do czasu wyzwolenia ich kraju przez gen. Charlesa de Gaulle’a i Amerykanów od hitlerowskiej okupacji, to była jakby premia za ich zasługi dla ruchu oporu, dla Resistance. Zaś w neutralnej Szwajcarii kobiety na prawo głosu czekać musiały aż do lat 70. Nie trzeba więc dodatkowo argumentować, dlaczego Polki masowo skorzystały z prawa do głosowania w 1919 r. co przyczyniło się do tego, jak Pan mówi, cudu wysokiej frekwencji. W tym roku też zagłosowała rekordowa liczba kobiet. I także młodzież. Podobnie było w 1919 r. wszystko jedno, czy

wywodzili się ci młodzi z kręgów Sokoła czy Strzelca i POW, ich nastawienie nie zaskakuje, gdy weźmie się pod uwagę ich patriotyzm, udział w rozbrajaniu Niemców czy Austriaków.

– Znajduję jeszcze jedną analogię. W tegorocznych październikowych wyborach imponującą frekwencję ponad 74 proc zawdzięczamy w znacznej mierze grupie wiekowej liczącej od 50 do 59 lat, której udział w wyborach określa niebywały wręcz wskaźnik 83 proc. To powód do dumy?

– To pokolenie drugiej niepodległości. Przeżywające doświadczenie drugiej zwycięskiej Solidarności z lat 1988–89 całkiem już świadomie, czasem w nim uczestniczące. Ale też pamiętające tę pierwszą Solidarność z lat 1980–81 chociaż wtedy jeszcze w szkolnych ławach zasiadało, co nie przeszkadzało temu, żeby w stanie wojennym ganiać się z milicją, pamięta Pan, co wtedy powiedział Stefan Bratkowski w swojej gazecie mówionej: wystarczyło być młodym, żeby być bitym... O dumę Pan pyta, oczywiście, że jest do niej powód. I to ponad pokoleniami, bo przecież te różnice jeśli o udział w wyborach chodzi nie są między generacjami aż tak wielkie i znaczące. Polacy zdali egzamin. Zbudowani być powinniśmy tym, co stało się tej jesieni. Ponad podziałami możemy z tego być dumni.

– Ale jest też wynik w sensie politycznym a nie społecznym tylko. I kłopot z utworzeniem rządu?

– Znamy efekty. Za sprawą wzmózonego udziału kobiet i młodszych wyborców w głosowaniu PiS nie uzyskał samodzielnej większości, chociaż wygrał.

– Po wyborach z 1919 r. politycy po części tylko sprostali zadaniu, spełnili nadzieje głosujących tak masowo obywateli? Oczywiście zbudowali Gdynię i Centralny Okręg Przemysłowy, ale też niestety nie potrafili zapobiec już w grudniu 1922 r. zabójstwu prezydenta Gabriela Narutowicza ani przewrotowi majowemu w cztery lata później? Był złoty medal olimpijski Haliny Konopackiej w rzucie dyskiem w Amsterdamie, zresztą także poetki a później żony ministra Ignacego Matuszewskiego, były filmowe kreacje Eugeniusza Bodo ale też rozczarowanie, które znamy z „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego, że zamiast szklanych domów mamy tępą i brutalną policję a później doszły do tego Brześć i Bereza Kartuska? Jak będzie teraz?

– Wchodzimy w fazę głębokiego podziału politycznego. Czekają nas twarde zimna wojna między politykami przez co najmniej dwa lata do wyborów prezydenckich. W praktyce oznacza to, że Prawo i Sprawiedliwość stanie się najmocniejszą opozycją, jaka kiedykolwiek była począwszy od 1989 r. Za to drugą stronę, tę dziś nie tyle jeszcze rządzącą co aspirującą na razie do przejęcia władzy i legitymującą się wynikiem wyborczym, który to umożliwi – tworzy wiele formacji, co nigdy nie staną się jednolite. Prezydent Andrzej Duda niczego ułatwić nie będzie tym, którzy teraz do władzy zmierzają. Przez dwa lata potrwa gra na wyczerpanie.

– **Co obywatele na to?**

– Pytanie, jak ludzie, co tak niedawno na skalę rekordową skorzystali ze swoich praw wyborczych, są w stanie na taką sytuację, jaką przewidujemy, zareagować. To ciekawe. Odpowiedź zależy – w moim przekonaniu – od sytuacji międzynarodowej. Poza wojną na Ukrainie i zagrożeniem granicy ze strony Białorusi pojawiło się dodatkowo napięcie na Bliskim Wschodzie, które przerodzić się może w globalną wojnę z terroryzmem jak po ataku Al-Kajdy na Dwie Wieże World Trade Center w 2001 r. Polacy wiedzą o tych zagrożeniach i nie gorzej od polityków je rozpoznają. Być może ich postawa zmusi swarliwych nawet liderów do okazania roztropności.

– **Raz już tak było, że w 1990 r. Lech Wałęsa wypowiedział premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu zimną na szczęście «wojnę na górze» a potem w parę dni ich zwaśnione obozy musiały się pogodzić, bo do drugiej tury wyborów wszedł Stanisław Tymiński i obawiano się, że zostanie prezydentem, zresztą dostał 25 proc głosów?**

– Wtedy słyszało się bulwersujące słowa, że «społeczeństwo nie dorosło»...

– **...do demokracji, jak utrzymywali zwolennicy Mazowieckiego, który zresztą niebawem założył Unię Demokratyczną...**

– ...teraz nikt już tak się powiedzieć nie waży. Nie dlatego, żeby komentatorzy nagle i masowo zmądrzeli, tylko sytuacja rysuje się w sposób poniekąd odwrotny niż wówczas. Wyborcy wydają się mądrzejsi od polityków. Frekwencja przy urnach w tę październikową niedzielę świadczy o silnym instynkcie obywatelskim. My jako Naród żeśmy przemówili... Teraz to politycy muszą dorosnąć do żarliwości i zaangażowania polskich wyborców, wziąć z nich przykład.

TO BYŁ POLITYCZNY MAJSTERSZTYK PONAD PODZIAŁAMI NASZ 11 LISTOPADA. OD PIŁSUDSKIEGO DO MOCZULSKIEGO

– 11 Listopada to data jednak... umowna?

– Ale na pewno nie przypadkowa, jeśli chodzi o wybór święta narodowego. Dla Zachodu to termin zakończenia I wojny światowej, podpisania w lasku Compiègne rozejmu. Zaś w Polsce wydarzenia przyspieszyły już dzień wcześniej. 10 listopada 1918 r. przyjeżdża do Warszawy, przez Berlin, uwolniony przedtem z twierdzy magdeburgskiej Józef Piłsudski. Wybór daty o dzień późniejszej, kiedy również wiele zdarzyło się w Warszawie, w sensie symbolicznym wiąże się z zakończeniem I wojny światowej, której wynik Piłsudski przewidywał jeszcze przed jej wybuchem w pamiętnym odczycie paryskim – i z jego postacią jako ojca niepodległości. Już od 1919 roku data 11 Listopada uznawana była przez piłsudczyków za kluczową, zaś po zamachu majowym stała się symbolem nowej państwowości, ze świadomością jak właśnie ten dzień z 1918 roku wpłynął na kształt Polski i świata. Pierwsze obchody miały miejsce na dziesiątą jego rocznicę. Na okładce wydanych przez Akces „Pism politycznych” mojego stryjecznego pradziadka i towarzysza walki Piłsudskiego, weterana PPS i katorżnika a później posła, Antoniego Anusza, znajduje się zdjęcie ich obu wraz z Gustawem Orlicz-Dreszerem i Kazimierzem Sosnkowskim, wykonane w Belwederze na spotkaniu właśnie przy okazji 11 Listopada w 1928 roku. Na tę dziesiątą rocznicę nadano też dotychczasowemu Placowi Saskiemu w Warszawie imię Piłsudskiego.

– Później komuniści nazwali go z kolei Placem Zwycięstwa, jak się okazało z czasem, wcale nie własnego, bo tam właśnie Jan Paweł II podczas pielgrzymki w 1979 r. wypowiedział pamiętne słowa: „Niech zstąpi Duch

Twój. I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”. Co po jedenastu latach, za sprawą fenomenu Solidarności jako najskuteczniejszego ruchu społecznego nowoczesnej Europy, zaowocowało powrotem do tej nazwy w 1928 roku placowi nadanej...?

– Jeszcze wcześniej, zanim piłsudzczycy uczynili datę 11 Listopada symbolem odzyskania niepodległości a w 1937 r. również oficjalnym świętem państwowym, środowiska narodowe próbowały lansować raczej dzień 28 czerwca, kiedy to w 1919 r. podpisano Traktat Wersalski. Bo tam był Roman Dmowski. Uważali, że to rocznica nowego europejskiego ładu. Jednak data 11 Listopada wygrała ze względów tak politycznych jak historycznych.

– Przypomnijmy więc, co takiego się wtedy wydarzyło, że właśnie ją uznano za najważniejszą?

– Rada Regencyjna, wcześniej załazek polskiej władzy chociaż oczywiście współpracującej z okupantem, przekazała 11 listopada 1918 roku Józefowi Piłsudskiemu zwierzchnictwo nad wojskiem. Nie trzeba chyba rozwijać wątku, jakie to miało znaczenie w dniu, w którym na froncie zachodnim dopiero co umilkły armaty.

– Prof. Wiesław Wysocki często przypomina ówczesne powiedzenie, że Polska jest jak łaska Boża bez granic. O każdą z nich przyszło walczyć?

– Dlatego tak wielką wagę miała siła zbrojna formującego się państwa. Przyszło nam stwarzać fakty dokonane, w walkach z Ukraińcami o Lwów, bolszewikami na Wschodzie, później z Niemcami w Powstaniach: Wielkopolskim i Śląskich, nawet z Czechami wojować o Śląsk Cieszyński. Na Wschodzie traktaty nie były istotne, nawet ten Wersalski nie miał żadnego znaczenia, to, co osiągnęliśmy przyszło wywalczyć siłą bagnietów. Bez niej Polska by nie przetrwała. Dla porównania: kto dziś pamięta, że Białorusini już wtedy w 1918 roku też mieli własną państwowość, pewnie nawet nie każdy student historii o tym wie, skoro nie udało się jej obronić.

– Okrutne powiedzenie głosi, że historię piszą zwycięzcy. Jednak Piłsudski efekt 11 Listopada osiągnął nie tylko siłą zbrojną, chociaż znaczenie Legionów po prawie półrocznym internowaniu Komendanta pozostawało ogromne, bo przekładało się na skuteczny mit – ale też za sprawą negocjacji. Jest już 11 Listopada, to kolejny argument na rzecz tej daty, kiedy

Piłsudski dogaduje się z niemieckimi żołnierzami, ich radą – bo dowódca Hans Beseler uciekł Wisłą, na statku – iż się pokojowo wycofają?

– Partnerem Piłsudskiego w rozmowach toczących się 10/11 listopada 1918 r. była rada żołnierska zrewoltowanej wtedy niemieckiej armii. Siły okupanta w dawnym Królestwie były wielokrotnie liczniejsze od polskich, nawet licząc Polską Organizację Wojskową, nie tylko oddziały nad którymi Piłsudski objął komendę. Wyszkoleni niemieccy żołnierze, często z doświadczeniem z frontu chcieli jednak wrócić do domu. Do mundurów poprzypinali czerwone kokardy. Przeszłość Piłsudskiego jako dowódcy Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej sprawiła, że w rozmowach znaleziono wspólny język. Zapobiegło to przelewowi krwi. Gimnazjaliści z POW nie musieli więc ginąć w walkach ulicznych jak lwowskie Orłęta. Tylko Piłsudski mógł zawrzeć podobne porozumienie, bo był dla partnerów wiarygodny, kiedy w samych Niemczech trwała rewolucja. Przecież później mówiono o nim, że wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość. Aż do 1922 roku łączył funkcje Naczelnika Państwa i dowódcy armii.

– Funkcję Naczelnika Państwa zdał, kiedy prezydentem wybrany został profesor Gabriel Narutowicz. Jego zamordowanie przez fanatyka sprawiło, że Piłsudski zraził się do demokracji, co potem poskutkowało przewrotem majowym z 1926 roku?

– Piłsudski namawiał Narutowicza, żeby ubiegał się o prezydenturę. Czuł się winny, nawet podwójnie, ponieważ Eligiusz Niewiadomski, który w Zachęcie zastrzelił Narutowicza przyznał się później, że chciał zabić Piłsudskiego, ale uznał, że to mu się nie uda. Jednak zanim Piłsudski – jak Pan zapewne zasadnie wnioskuje – do demokracji się zraził, zachowywał się niezmiernie roztropnie i własną władzę dla dobra Polski świadomie ograniczał. Dlatego nie przystał na dalsze funkcjonowanie tymczasowego rządu lubelskiego Ignacego Daszyńskiego powstałego na parę dni przed 11 listopada 1918 r. Zaś w styczniu 1919 r. po Jędrzeju Moraczewskim powołał na premiera Ignacego Paderewskiego. Rozpoznawalny w świecie, wielki pianista miał autorytet wśród zwycięzców I wojny światowej, również tych, co samego Piłsudskiego postrzegali jako niedawnego sojusznika Niemiec i Austro-Węgier. W tym wypadku Piłsudski poszedł na kompromis dla dobra kraju. Zarazem jednak wygrał z Dmowskim

dzięki temu, że umiejętnie połączył siłę wojskową i polityczną. Roman Dmowski miał wprowadzić jako atut Błękitną Armię Józefa Hallera, ale sporo czasu minęło, zanim przybyła do kraju. Jednak realia okazały się takie, że Dmowski był w Paryżu, przy konferencyjnym stole, a Piłsudski ze swoimi, zapatrzonymi w niego, oddanymi i co nie bez znaczenia uzbrojonymi zwolennikami, tu na miejscu. To zaważyło, że dziś obchodzimy 11 Listopada a nie rocznicę podpisania układu w Wersalu jako nasze święto narodowe.

– Po ponad 30 latach od upadku Polski przedwrześniowej przeżyliśmy fenomen odrodzenia 11 Listopada, znów świętowanego pomimo zakazów ze strony komunistycznych władz, na ulicach. Wiąże się to z nazwiskiem niedawno zmarłego Leszka Moczulskiego i formującym się wokół niego nurtem niepodległościowym?

– Pierwszą zwartą siłą w opozycji demokratycznej stał się wprowadzić powołany we wrześniu 1976 roku Komitet Obrony Robotników, ale w jego kręgu deklarowano walkę o przestrzeganie przez władze praw człowieka, z czasem o swobody demokratyczne, a żaden kult Polski międzywojennej z tym się nie wiązał, więc i daty 11 Listopada tam nie czczono. Zaczęto to robić w środowisku Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którego rzecznikami zostali Andrzej Czuma i Leszek Moczulski. Rozpoczęły się przemarsze spod Katedry po rocznicowej mszy pod Grób Nieznanego Żołnierza. Kiedy Moczulski powołał już bez Czumy w 1979 roku Konfederację Polski Niepodległej, rzeczywiście dla wielu 11 Listopada stał się świętem kojarzonym z jego osobą i partią. Nie zmieniły tego pełne represji lata 80. kiedy to Moczulski przebywał za kratami, więc nie mógł na żadnej demonstracji przemawiać. Jednak również w stanie wojennym w 1982 roku odbyły się z licznym udziałem młodzieży demonstracje 11 Listopada. Gdy ZOMO rozganiało w jednym miejscu grupę manifestantów, niedługo potem skupiali się w innym. Dla wielu uczestników tych wydarzeń Moczulski, chociaż wtedy więziony, był doskonale rozpoznawalny, jako autor „Rewolucji bez rewolucji” i założyciel KPN, pierwszej partii, co wzniosła hasło niepodległości po 35 latach komunistycznych rządów. Zasługą Moczulskiego pozostaje, że również dzisiaj w tak zmienionych realiach 11 Listopada stał się świętem sprzyjającym refleksji. Rolę Leszka Moczulskiego w kultywowaniu tradycji międzywojennej państwowości trudno przecenić. Re-

TO BYŁ POLITYCZNY MAJSTERSZTYK PONAD PODZIAŁAMI...

habilitował ją w czasach, kiedy wielu działaczy KOR widziało II Rzeczpospolitą przez pryzmat zamachu majowego, procesu brzeskiego i Berezny Kartuskiej. I mówił o niepodległości, kiedy inni wspominali co najwyżej o „finlandyzacji” czyli szansie na neutralizację Polski. Wprawdzie Moczulski w nowej Polsce, gdy już przyszła, nie został premierem ani ministrem, ale bitwę o pamięć historyczną w znacznej mierze wygrał. Zwykli ludzie zdecydowali, że jeszcze przed 1989 rokiem dzień 11 Listopada nabrał charakteru daty konsolidującej Polaków. Symbolizującej niepodległość. Tradycję – ale, z czasem i cel. Doceniamy również dzisiaj, w jaki sposób wysiłki wielkich Polaków: Piłsudskiego, Dmowskiego i Paderewskiego, o których była tu mowa, ale również Wincen- tego Witosa i Ignacego Daszyńskiego, co jeszcze przez 11 listopada 1918 r. budowali załączki przyszłej władzy państwowej – uzupełniały się, chociaż się ze sobą nawzajem w tak wielu sprawach nie zgadzali. To był polityczny majstersztyk, ponad podziałami.

11 LISTOPADA: ROZTROPNOŚĆ PONAD PODZIAŁAMI

– **Zanim do ocen przejdziemy, warto zrekapitulować, gdzie 11 listopada 1918 r. znajdowali się główni bohaterowie wydarzeń. Uwolniony z twierdzy magdeburskiej Józef Piłsudski przyjechał już poprzedniego dnia do Warszawy, na Dworzec Wiedeński, witało go wtedy grono najbliższych współpracowników tylko, mieszkańcy o tym nie wiedzieli...**

– ...zaś dzień później Rada Regencyjna, do tej pory współpracująca z niemieckimi władzami, chociaż warto oczywiście pamiętać, że ta okupacja była bez porównania łagodniejsza niż w II wojnie światowej przekazuje Piłsudskiemu nadzór nad wojskiem, cokolwiek to oznacza...

– **A oznacza wiele, bo wojna światowa nazwana później pierwszą dopiero tego dnia się zakończy?**

– Skończy się zawieszeniem broni podpisanym w wagonie kolejowym w Compiegne we Francji, oznaczającym, że państwa centralne, w tym Niemcy tę wojnę po prawie czterech latach jej trwania przegrały. Oczywiście, że w tych warunkach pozostaje ważne, kto jaką siłą zbrojną zawiaduje. Istotne pozostaje też to, czego udało się po nocnych negocjacjach dokonać też tego samego 11 listopada 1918 r. nad ranem. Ustalił z niemiecką radą delegatów żołnierskich, bo przecież w kończącym się państwie wilhelmińskim trwała wtedy rewolucja, a żołnierze nie słuchali dowódców tylko organizowali się po swojemu, otóż uzgodnił z nimi nasz Komendant zasady wycofania niemieckich sił zbrojnych z obszaru dotychczasowego Królestwa Polskiego. Co zapobiegło krwawej konfrontacji. Bo nawet jeśli niemiecki żołnierz wołał wracać do domu, zdolności bojowej nie stracił. A naprzeciw byli studenci czy gimnazjaliści z Polskiej Organizacji Wojskowej, bojowcy z Polskiej Partii Socjalistycznej wszyscy bardzo

ideowi, ale w odróżnieniu od potencjalnego przeciwnika nie ostrzelani w okopach trwającego cztery lata konfliktu światowego.

– Z kolei Roman Dmowski tego samego dnia, 11 listopada 1918 r. zostaje przyjęty w Waszyngtonie przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona?

– Dla Amerykanów ta data ma oczywiste znaczenie, oznacza zwycięskie zakończenie wojny, które umocni pozycję USA jako mocarstwa światowego. Fakt, że w takim dniu prezydent znalazł czas dla Dmowskiego okazał się niezmiernie istotny. Lider Narodowych Demokratów potrafił być w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Alianci zachodni, Ententa, czyli po prostu zwycięzcy I wojny światowej uznawali działający na Zachodzie: w Szwajcarii i we Francji Komitet Narodowy Polski za naszą reprezentację polityczną. Co stanowiło zasługę zwłaszcza Ignacego Paderewskiego, światowej sławy pianisty i niestrudzonego rzecznika polskich spraw.

– Również 11 listopada 1918 r. Ignacy Daszyński, który parę dni wcześniej, z 6 na 7 listopada w Lublinie formuje Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, podporządkowuje się Piłsudskiemu?

– Z Komendantem pozostawali w kontakcie, łącznikiem między nimi był Edward Rydz-Śmigły. Wcześniej na fotel ministra w rządzie lubelskim nie zgodzi się Wincenty Witos, twierdzi, że na listę ministrów wpisano go bez wiedzy i zgody. Potem Piłsudski powierzy Daszyńskiemu tworzenie rządu, ale jak się wydaje, obaj wiedzą, że taki gabinet, o orientacji socjalistycznej, lewicowej, nie powstanie.

– Dlaczego?

– Przez wiele lat powtarzano w akademickiej historiografii efektowne powiedzenie, że Piłsudski wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość. Bohaterowi z Organizacji Bojowej PPS, dowódcy akcji na wagon pocztowy pod Bezdanami, socjalizm jako oręż przestaje być potrzebny, kiedy suwerenność i odbudowa państwa okazują się realnymi celami. Chociaż obeznanie z retoryką socjalizmu przyda się Piłsudskiemu jeszcze nad ranem 11 listopada w trakcie udanych pertraktacji z niemieckimi delegatami żołnierskimi, bo okazuje się, że mówią w tym samym języku rewolucji, trudno wyobrazić sobie, żeby podobny efekt osiągnął wtedy ktokolwiek z Narodo-

wych Demokratów czy nawet ludowców, mam na myśli ludzi Witosa a nie Wyzwolenie...

– W „**Generale Barczu**”, powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego zafascynowanego Piłsudskim, znajdujemy obraz Krakowa czasu niepodległościowego przełomu. Warunki są ciężkie, idzie zima, w mieście brakuje wszystkiego, w tym węgla. Dziennikarz Rasiński idzie po ten węgiel do magistratu, ale urzędnicy kolejno odmawiają. Aż jeden z nich spostrzeże na płaszczu petenta odznakę Pierwszej Brygady. I węgiel zaraz się znajdzie. **Obaj przecież służyli „pod Barczem”?**

– Kaden chciał w tej scenie odmalować rodzący się kombatantyzm. Wiemy, że w 10 lat później sam Marszałek na Zjeździe Legionistów rozejrzał się po wypełnionej sali i po swoim mruknął: żebym ja was wtedy tylu miał. Natomiast niezrównaną scenę zdobycia węgla dzięki wspólnym frontowym przewagom da się odczytać też jako rzeczywisty obraz bo Bandrowski pozostawał niezmiernie sprawnym narratorem trudności życia codziennego, dających się we znaki Polakom po czterech latach wojny. W bez porównania bogatszych Niemczech pojawiło się i to dużo wcześniej hasło: armaty zamiast masła. W odradzającej się Polsce niedobory sprzyjały radykalizacji nastrojów społecznych.

– **Które Piłsudski postanawia wyciszyć?**

– Tak na pewno da się rozumieć sekwencję wydarzeń. Daszyński szybko rezygnuje z misji tworzenia rządu. Uda się to dopiero kolejnemu ale mniej radykalnemu socjaliście Jędrzejowi Moraczewskiemu. Premierem będzie jednak krótko. Już w nowym roku 1919 zostanie nim bowiem Ignacy Jan Paderewski, którego przyjazd w świątecznej porze do Poznania stanie się wcześniej sygnałem do wybuchu Powstania Wielkopolskiego, jednej z nielicznych zwycięskich insurekcji w naszej historii.

– **Politycy podzielili się rolami, nie zawierając jednak formalnego porozumienia?**

– W tamtych warunkach nie było ono możliwe nawet jeśli wziąć pod uwagę ówczesne środki łączności. Ale rozumienie pewnych spraw okazało się wspólne i roztropne.

– **Nie musiało tak się stać ale racja stanu zwyciężyła?**

– Odzyskanie niepodległości wtedy nie powiodło się na dłużej Ukrain-

com. W krótkim czasie stworzyli kilka konkurencyjnych ośrodków władzy. Niemcy popierali rząd hetmana Pawły Skoropadskiego, który pozostał wobec nich lojalny. Powołano rząd atamana Symona Petlury, który stał się niebawem sojusznikiem Piłsudskiego. Był gabinet Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, który z Polską walczył zaciekle. Również Nestor Machno ze swoimi partyzantami, chociaż był anarchista, wyłonił własną polityczną reprezentację. A ukraińskiej niepodległości nie udało się obronić.

– Piłsudski przystał na rozpisanie wyborów demokratycznych już w styczniu 1919 r, chociaż mógł wtedy sięgnąć po władzę dyktatorską?

– Piłsudski wiedział, że Paderewski szanowany przez zwycięzców dla których on sam pomimo Magdeburga pozostawał niedawnym sojusznikiem Niemiec więcej dla Polski uzyska w trakcie Konferencji Paryskiej, zwieńczonej Traktatem Wersalskim. Dla Zachodu dodatkowym argumentem była Błękitna Armia Józefa Hallera. Zaufany Piłsudskiego Bolesław Wieniawa-Długoszowski jeździł wtedy do Francji wspomagać polską delegację. A Paderewski, artysta światowej sławy i miary, sprawdził się w roli premiera, a ściślej „Prezydenta Rady Ministrów”, jak wtedy mówiono. Paderewski lubił, gdy zwracano się do niego: „Panie Prezydencie” tak jak nie znosił, kiedy mówiono mu: „mistrzu”. Godząc się na szybkie wybory Piłsudski domyślał się, że wygra je Narodowa Demokracja Dmowskiego. Ale na tym się polska polityka nie skończyła. Sam Piłsudski pozostał Naczelnikiem Państwa. Podzielił się władzą. A na wybory, pierwsze powszechne i demokratyczne w historii Polski, do Sejmu Ustawodawczego 26 stycznia 1919 r. poszło ponad trzy czwarte Polaków, pomimo wojennych zniszczeń co dotknęły drogi i mosty, trzaskającego mrozu i szalejącej wtedy epidemii grypy hiszpanki. Stało się to możliwe, bo wcześniej Piłsudski i Dmowski, Paderewski i Daszyński, Witos i Moraczewski byli w stanie wzajemne uprzedzenia przełamać.

– Nie idealizujemy za bardzo? Przecież w grudniu 1922 z ręki fanatyka i kiepskiego malarza Eligiusza Niewiadomskiego zginie pierwszy wybrany przez Zgromadzenie Narodowe prezydent Gabriel Narutowicz?

– Tak się stanie, ale spójrzmy, co dzieje się dalej. Odpowiedzialność za przełamanie strasznego kryzysu znów okazuje się wspólna. Komisarzem rządu na Warszawę, gdzie obowiązuje wtedy stan wyjątkowy ponownie zostanie mój

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

stryjeczny pradziadek Franciszek Anusz, który pełnił już tę samą funkcję w godzinie próby w 1920 r. Chociaż jest piłsudczykiem, o czym wszyscy wiedzą, prosi go o objęcie stanowiska ówczesny premier Władysław Sikorski. Tak to wtedy działało. Mądrość zbiorowa nie była wtedy sloganem, politycy dostroili się wzorowo do bohaterstwa peowiaków, rozbijających Niemców, nastoletnich lwowskich Orłąt a potem również żołnierzy w okopach wojny bolszewickiej. Masowy udział w styczniowych wyborach z 1919 r. gdzie frekwencja była wyższa niż teraz 15 października 2023 r. oraz 1 czerwca 2025 r. stał się symbolem powszechnej odpowiedzialności. Dlatego uważam, że mamy co świętować 11 Listopada bez utyskiwania, że zimno, znowu pada, last minute na długi weekend za drogę a dzień krótki...

STAN WOJENNY: CZEGO JESZCZE NIE WIEMY

– Czego jeszcze nie wiemy, jeśli chodzi o stan wojenny, a zwłaszcza okoliczności jego wprowadzenia? Czego Pan jako badacz chciałby się przede wszystkim dowiedzieć?

– Dla mnie największym znakiem zapytania co do okoliczności wprowadzenia stanu wojennego pozostaje ówczesna postawa Stanów Zjednoczonych. Amerykanie wiedzieli, że to nastąpi. Podobnie jak rok wcześniej w grudniu 1980 znali plany interwencji radzieckiej w Polsce. Papież Jan Paweł II napisał wtedy list do Leonida Breżniewa, co przyczyniło się do rezygnacji ZSRR z akcji zbrojnej u nas. Informacje, jakimi co do radzieckich zamiarów dysponował wówczas Papież uzyskał w rozmowie ze Zbigniewem Brzezińskim. Dwaj nasi wielcy rodacy mieli rozstrzygający wpływ na bieg wydarzeń. Wiadomości, jakie znali Amerykanie, pochodziły od pułkownika Ryszarda Kuklińskiego. Jednak w rok później Waszyngton również doskonale wiedział co nastąpi. Kukliński, zagrożony już aresztowaniem, został przez nich przed grudniem 1981 r. wycofany z Polski. Znał plany wprowadzenia stanu wojennego. Pomimo to Amerykanie nie powiadomili o nich sojuszników, żadnych służb światowych, samej Solidarności ani polskiej emigracji chociaż pośrednikiem mógłby stać się tutaj Jerzy Giedroyc. Nie przypadkiem przecież w parę lat później właśnie w wywiadzie dla kierowanej przez niego paryskiej „Kultury”, płk Kukliński ogłosił własną wersję tego, co się działo.

– Dlaczego więc Amerykanie nie ostrzegli Solidarności przed szykowanym przez komunistyczną władzę stanem wojennym?

– Właśnie to pozostaje najważniejszym znakiem zapytania. Pewne mechanizmy mamy rozpoznane. Jasne okazuje się, jak wynika to z zawartości rosyj-

skich archiwów, z protokołów posiedzeń biura politycznego KC KPZR, które za rządów Borysa Jelcyna podał do druku Władimir Bukowski – iż Rosjanie podjęli decyzję o tym, że nie wchodzi zbrojnie do Polski. ZSRR powziął strategiczną decyzję, że nie będzie interwencji.

– **Jak rozumieć postawę Amerykanów, tę z 1981 roku?**

– Trudniej na pewno, niż tę z 1980 r, kiedy dwóch wpływowych Polaków, Papiież i Brzeziński, wspólnie uśmierzyło groźbę interwencji, a wiadomości podane przez amerykańskie służby mocno się do tego przyczyniły. Najwięcej wskazuje na to, że Amerykanie uznali w 1981 roku, iż jeśli Polacy z Solidarności czy emigracji dowiedzą się wcześniej o planach wprowadzenia stanu wojennego przez władze, dojdzie do ogromnego przelewu krwi, do wojny domowej w Polsce. Amerykanie mogli przy tym założyć, że wprawdzie narzucenie stanu wojennego się uda, gdy Solidarność nie będzie na nie przygotowana, ale jednak oznacza to koniec dotychczasowej formuły komunizmu w Polsce. Wojnie domowej chcieli zapobiec, spodziewali się natomiast, że wstrząs pociągnie za sobą długofalowy efekt upadku systemu. Datę 13 grudnia 1981 r. można interpretować jako symboliczny koniec komunizmu w Polsce, skoro władza już tylko do użycia siły mogła się uciec. Nie powiodło się jej jednak przetrącenie społeczeństwu kręgosłupa. Później nawet pod koniec lat 80. Amerykanie byli zaskoczeni tempem upadku komunizmu w Polsce. Również po 4 czerwca 1989 r, pomimo jednoznacznych rozmiarów wyborczego zwycięstwa Solidarności. Chcieli jeszcze ten proces spowolnić, obawiali się jego skutków, kiedy do Polski latem 1989 r. przyleciał prezydent George Bush Senior, nakłaniał Wojciecha Jaruzelskiego, żeby ten nie rezygnował z ubiegania się o prezydenturę. Oczywiście to poprzednik Busha, Ronald Reagan, przy którym późniejszy rozmówca Jaruzelskiego był wiceprezydentem, forsując wyścig zbrojeń zwłaszcza program gwiazdnych wojen, doprowadził do faktycznego bankructwa Związku Radzieckiego. Gospodarka ZSRR nie wytrzymała tempa tej rywalizacji.

– **Jednak odzyskanie niepodległości zawdzięczamy sobie a nie Ameryce?**

– Rola Ameryki okazała się ogromna przy podtrzymywaniu procesów geopolitycznych, zainicjowanych przez ruch pierwszej Solidarności w Polsce, podobnie jak wielkie zasługi dla zmiany dwubiegunowego układu świata położył Jan Paweł II a także przyczyniła się do tego Margaret Thatcher, premier

Wielkiej Brytanii. Sami jednak wybraliśmy czas historyczny, to nasza zasługa. Zarówno w latach 1980–81 jak 1988–89. Podobnie jak uczynił to Józef Piłsudski w 1914, kiedy z Oleandrów wyprawiał Pierwszą Kadrową i w 1918 r., kiedy z niemiecką radą delegatów żołnierskich uzgodnił wycofanie ich wojsk z b. Królestwa.

– Z tego, co Pan mówi, wynika, że otwarcie archiwów amerykańskich może się okazać ciekawsze, niż zawartość tych radzieckich? Po części znamy już dzięki Bukowskiemu zasoby tych ostatnich. W protokołach politbiura znajdujemy wypowiedź Leonida Breżniewa: „nie wejdzimy”, ale obwarowaną paroma przesłankami. A parę stron dalej wylicza inne, w jakim wypadku jednak wejdą?

– Rzeczywiście uważam, że archiwa amerykańskie mogą dostarczyć ciekawszego materiału. W okresie, o którym rozmawiamy, Breżniew był już ciężko chory, zmarł w niespełna rok później. Wrażenie niekonsekwencji jego wypowiedzi bierze się z jego stanu zdrowia oraz slangu marksistowskiego, jakim nawet na tym szczeblu na Kremlu operowano. Wnioski okazują się jednak jednoznaczne, o czym już mówiłem. Generałowie Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak wiedzieli, że w grudniu 1981 r. nie dojdzie do radzieckiej interwencji zbrojnej. Mogli jednak nią straszyć i to robili.

– Rozwiązanie siłowe, wprowadzone bez udziału wojsk radzieckich, nie łączyło się oczywiście z takimi ofiarami, jakich obawiali się Amerykanie, jednak do rozlewu krwi doszło: w Kopalni Wujek?

– Dlatego nie wierzę, że stało się to przypadkiem, właśnie na Górnym Śląsku. Świadczy o tym sekwencja wydarzeń: wcześniejszych z 1980 i późniejszych z 1988 r. Gdy dopiero pod koniec Sierpnia 1980 r. zastrajkował Śląsk, stanęły kopalnie, protest rozstrzygnął o tym, że władza ustąpiła i podpisała Porozumienia Gdańskie. Dlatego szykując stan wojenny władze przygotowały się do wyjątkowo twardej pacyfikacji śląskich kopalń. Brutalność uderzenia na Wujek sprawiła, że reszta kraju zamarła. W przypadek nie wierzę, bo wiadomo, że zbyt dużo zgromadzono tam sił i środków. A z drugiej strony po latach, w 1988 powtórzyła się sytuacja, ale z 1980: najpierw w maju władza siłą złamała strajk w Nowej Hucie, protest kontynuowali następnego dnia już tylko studenci Uniwersytetu Warszawskiego, za to kiedy po paru miesiącach w sierpniu

1988 r. znowu stanęły śląskie kopalnie, ekipa generałów przystała na rozmowy.

– Władzom nie udało się w stanie wojennym reaktywować Solidarności w postaci wobec nich wasalnej, czy takie zagrożenie realnie istniało?

– Fundamentalna dla udaremnienia podobnych zamiarów okazała się rola Lecha Wałęsy, który, niezależnie od tego, co można powiedzieć o jego wcześniejszej i późniejszej postawie, po 13 grudnia 1981 r. wyszedł z próby obronną ręką i na żadną współpracę nie poszedł. Na pewno władza przymierzała się może nie do powołania własnej Solidarności, bo ogromna większość działaczy sprzeciwiła się kolaboracji, ale jednak myślała o testowaniu budowania „żółtego związku”, uległego wobec rządzących. W niektórych środowiskach związanych z Kościołem zastanawiano się wtedy, czy nie czas na chrześcijańskie związki zawodowe. Na szczęście sam Papież Jan Paweł II rozstrzygnął, że nic takiego nie powstanie. Odwołał swojego rzecznika, gdy ten w „l’Osservatore Romano” wyraził się o Solidarności, że to już przeszłość. Władza próbowała różnych wariantów. Generałowie wykorzystywali przewagę, że zamiary Rosjan poznali z pewnym wyprzedzeniem. I to dwa razy. Najpierw w grudniu 1981 r. wiedzieli, że interwencja nie nastąpi, co nie przeszkadzało nią straszyć. Później z dwuletnim wyprzedzeniem, bo już w 1986 r. dowiedzieli się od Michaiła Gorbaczowa, że w czasach pieriestrojki nie zamierza bezpośrednio ingerować w polskie sprawy. Dlatego we wrześniu 1986 r. Jaruzelski i Kiszczyk ogłosili wypuszczenie więźniów politycznych. Dopiero w lipcu 1988 w trakcie spotkania z intelektualistami na Zamku Królewskim w Warszawie, Gorbaczow w odpowiedzi na pytanie Marcina Króla nie potwierdził, że doktryna Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw socjalistycznych wciąż obowiązuje. W praktyce oznaczało to przyznanie, że przeszła do historii. To był już moment, kiedy wybór przez Polaków właściwego czasu historycznego przyniósł efekty.

WYGRAŁA FORMUŁA DŁUGIEGO MARSZU NA 40 ROCZNICĘ POWOŁANIA TYMCZASOWEJ KOMISJI KOORDYNACYJNEJ SOLIDARNOŚCI

– Czy powołanie 22 kwietnia 1982 r. Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” to data ważna i warta przypominania w 40. jej rocznicę? Przecież opór przeciwko stanowi wojennemu nigdy nie ustał, protestowano zaraz po 13 grudnia 1981 r. najbardziej intensywnie na Śląsku gdzie 16 grudnia zginęli górnicy z Wujka a ich strajkujący koledzy z Piasta wyjechali na powierzchnię dopiero po Świątach, demonstrowano też i później, 1 i 3 maja 1982 r. na ulicach większych miast.

– Wiadomo, że bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego władza próbowała na różną skalę tworzyć odgórne „czapki”, fałszywe kierownictwa Solidarności rozmaitych szczebli. W Łodzi przez moment dał się na to nabrać nawet tak wytrawny opozycjonista jak Andrzej Ostoja-Owsiany, który póki nie zorientował się w czym rzecz, z podobną fikcyjną strukturą współpracował. Powołując Tymczasową Komisję Koordynacyjną, podziemna Solidarność pokazała, że jest w stanie wyłonić reprezentatywne ogólnopolskie kierownictwo spośród pozostałych na wolności działaczy, którzy nie dali się złapać, z drugiej zaś strony – ukróciła esbeckie prowokacje.

– **Powstało kierownictwo podziemia, ogólnopolskie...**

– ...ale nie scentralizowane. Zwyciężyła koncepcja, że zepchnięta do podziemia Solidarność takie właśnie struktury buduje. Wygrała formuła długiego marszu. Z jednej strony pokazano, że na czele ruchu stoją czterej ważni działacze z cenionymi nazwiskami: Zbigniew Bujak z Regionu Mazowsze, Bogdan Lis z Gdańska, Władysław Frasyniuk z Dolnego Śląska oraz Władysław Hardek z Małopolski. Nie pozwoliło to osobom nieznanym, występującym pod

pseudonimami, podszywać się pod przywódców. Z drugiej strony TKK uznała przywództwo Lecha Wałęsy w Solidarności. Przebywał wtedy w ośrodku internowania. Rozgrywanie przez władzę ewentualnej rywalizacji ukrywających się działaczy i pozostającego w odosobnieniu przewodniczącego nie powiodło się. Wałęsa wkrótce po tym, jak go wypuszczono, spotkał się z TKK. Zagwarantowało to jedność kierownictwa. Każdy z wymienionej czwórki z TKK został później przez władze aresztowany, ale zatrzymywano ich pojedynczo, nie razem, a w ich miejsce wchodzili wtedy inni przedstawiciele regionów i tak działo się aż do amnestii we wrześniu 1986 r, oznaczającej zwolnienie wszystkich więźniów politycznych. Wcześniej dołączyli do składu TKK reprezentanci regionów, których z początku tam nie było, szczególne znaczenie miało, gdy do podziemia zszedł po zwolnieniu z internowania Tadeusz Jedynek, stając się przedstawicielem Górnego Śląska, gdzie opór przeciw stanowi wojennemu stał się legendą.

– Znaczny wpływ na powołanie TKK miało wcześniejsze opublikowanie tez Prymasowskiej Rady Społecznej z 5 kwietnia 1982 r.? Z jednej strony szły daleko, bo podkreślały konieczność przeprowadzenia wolnych wyborów samorządowych do rad gmin, co jak wiemy stało się możliwe dopiero po 8 latach. Z drugiej – wzywały obie strony do powściągnięcia nienawiści, wielu w podziemiu miało o to pretensje, że ludzie ks. Prymasa Józefa Glempa nie tylko władzę pouczają, ale także i Solidarność?

– Tezy zostały sformułowane przez ludzi świeckich, ale odzwierciedlały stanowisko Kościoła. Ich ogłoszenie i formowanie się TKK – to były procesy równoległe. TKK zaraz przyjęła te Tezy, stanowisko rady prymasowskiej, jako własne. Stanowiły ważny element. W mojej książce „Kościół obywatelski” postawiłem tezę, że scenariusz, jaki w kwietniu 1982 r. zarysowała Prymasowska Rada Społeczna w dużym stopniu się zrealizował w 1989 r. Uznawano, że obie strony, władza i opozycja mogą się dogadać, a Kościół stanie się gwarantem zawartego porozumienia. To był scenariusz odzyskania niepodległości przez Polskę, który został zrealizowany.

– Czy istnieją jeszcze tropy, za którymi warto podążać, czy dowiemy się wiele nowego o podziemnej Solidarności?

– O agentów jak rozumiem Pan pyta, ich działalność została w znacznej mierze storpedowana, gdy ukrywający się działacze z powszechnie znanymi

WYGRAŁA FORMUŁA DŁUGIEGO MARSZU. NA 40 ROCZNICĘ POWOŁANIA...

nazwiskami utworzyli jednolite podziemne kierownictwo, po to również, jak mówiłem, powstała wtedy TKK. Zapewne pyta Pan również o pieniądze. Tu zagadek jest więcej, szczelna zasłona skrywa zwłaszcza meandry finansowania Solidarności z zagranicy. Nie dowiemy się jednak, czy zawsze pieniądze trafiły do tych, którzy w podziemiu najbardziej ich potrzebowali. Trzeba bowiem pamiętać, że pod koniec lat 80 władze Solidarności powzięły uchwałę, że wszystkie dokonywane rozliczenia były w porządku i nie warto się nimi dalej zajmować.



O KOŚCIELE



KOŚCIÓŁ WYKONAŁ WIELKĄ PRACĘ NA RZECZ WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

– List w obronie pamięci Jana Pawła II i jego miejsca w historii podpisali m.in. reżyser Krzysztof Zanussi, była premier Hanna Suchocka i biograf Romana Dmowskiego historyk Krzysztof Kawalec, nazywa się tę inicjatywę listem profesorów. Czy mają rację, że pojedyncze afery pedofilskie w Kościele powszechnym, nawet jeśli miały miejsce za pontyfikatu Jana Pawła II – podobnie jak za jego poprzedników i następców – nie mogą przesłonić jego zasług dla Solidarności, inspiracji do demontażu komunistycznego „imperium zła” oraz do demokratycznych zmian w Europie Środkowej i Wschodniej?

– Coraz więcej odzywa się głosów w obronie Jana Pawła II. Również podpisałem list działaczy dawnej opozycji antykomunistycznej, wskazujący na niepodważalną historyczną rolę Papieża. Przywoływanie skandali, które za jego czasów miały miejsce nie zmienia oczywistego faktu, że to za pontyfikatu Jana Pawła II Kościół stworzył narzędzia do walki z pedofilią, przyjął odpowiednie instrukcje i ustanowił niezbędne komisje.

– **Zbiegło się jednak teraz wiele kłopotliwych dla Kościoła faktów?**

– Niewątpliwie mamy do czynienia z kumulacją wydarzeń: orzeczenie Stolicy Apostolskiej w sprawie ks. kard. Henryka Gulbinowicza, reportaż o kard. Stanisławie Dziwiszu, wywiad z nim przeprowadzony przez red. Piotra Kraśkę, do którego kardynał zapewne nie przygotował się tak dobrze, jak mógł to zrobić. Nie tylko Polski ta kumulacja dotyczy, bo obejmuje również raport Stolicy Apostolskiej, dotyczący kard. Theodore McCarricka. Tyle, że nigdy by ten raport nie powstał, gdyby w czasach Jana Pawła II nie pojawiły się narzędzia do walki z pedofilią, o co – już o tym mówiłem – zadbał Papież z Polski. Trudno

go atakować za sprawę McCarricka, skoro dowody w niej mocne i wiążące pochodzą z 2017 r, kiedy Ojciec Święty już od dwunastu lat nie żył. Nie można ahistorycznie na to patrzeć.

– Od listu artystów i uczonych w obronie Papieża zacząłem, znamy jeszcze inny: z kolei dawni opozycjoniści z Wrocławia wystąpili w obronie kard. Henryka Gulbinowicza, m.in. Józef Pinior, Bogdan Zdrojewski, Władysław Frasyniuk, Anna Morawiecka. O czym to świadczy?

– Wśród sygnatariuszy znalazł się również prof. Włodzimierz Suleja, z tego co wiem, był inicjatorem listu, a to nie tylko doskonale znający temat historyk ale również wieloletni działacz dolnośląskiej Solidarności. Staram się śledzić teksty tej sprawy dotyczące. Ważne są publikacje dra Rafała Łatki z IPN („Głaukopis”) i zbiór dokumentów z lat 1969–1985, który opublikowali wspólnie z Filipem Musiałem.

– Co z nich wynika?

– Coś innego, niż z uproszczonego przekazu medialnego, który sugeruje, że mieliśmy do czynienia z agenturalnymi związkami kardynała Gulbinowicza ze Służbą Bezpieczeństwa. Gdy się tego słuchało i czytało, odnosiło się wrażenie, że kardynał był tajnym współpracownikiem – a to nieprawda. Autorzy wspomnianych publikacji przyznali, że nie ma żadnych dokumentów, które by coś takiego potwierdzały. W 1969 r. został zarejestrowany jako kandydat na tajnego współpracownika.

– Do tego zgoda danej osoby nie była potrzebna. Kim był wtedy Gulbinowicz, że zainteresował SB?

– Był rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Olsztynie i biskupem w Białymstoku.

– Jaki okazał się efekt zabiegów o jego duszę?

– Sami esbecy doszli do wniosku, że zwerbować się go nie da. Autorzy książki wykazują, że miał przy sobie w najbliższym otoczeniu znanego z czasów wileńskich jeszcze księdza, który stał się tajnym współpracownikiem.

– Wilno jest tu ważne?

– Gulbinowicz urodził się w Wilnie, tam w 1944 r. zaczął naukę w Seminarium Duchownym.

– Wyjątkowy czas...

– Wszyscy klerycy stamtąd zostali przerwuceni do Białegostoku. Poszli za abpem Jabrzykowskim, dzięki temu przetrwali. Zaraz po wojnie to Białystok zapewnił ciągłość diecezji wileńskiej. Już we Wrocławiu abp Gulbinowicz dał się poznać z wyjątkowego zainteresowania Polakami na Wschodzie, wspierał ich jak mógł, wiadomo, że odnalazło się tam wielu uciekinierów ze Lwowa.

– **Domyślamy się więc dlaczego SB rozmawiała z Gulbinowiczem, ale dlaczego on z nimi?**

– Z pierwszej rozmowy z 1969 r. wynika, że chciał uzyskać zezwolenie na budowę kościoła. Nie ma dowodów na to, żeby ks. Prymas Stefan Wyszyński o tych rozmowach wiedział, ale nie ma również, że... nie były mu one znane. Już się tego nie dowiemy. W latach 60. krakowski biskup Karol Wojtyła udał się do sekretarza KW PZPR Motyki i uzyskał od niego decyzję o oddaniu budynków Seminarium Duchownego w Krakowie. Zenon Kliszko i inni komunistyczni dygnitarze prowadzili wokół Krakowa specyficzną grę. Po śmierci abpa Baziaka w 1963 r. władze komunistyczne zgodziły się na Wojtyłę.

– **Dlaczego? I czy ma to związek z Gulbinowiczem?**

– Próbowano jakoś go przeciwstawić kard. Wyszyńskiemu, sterować grę w tym kierunku, co całkiem spaliło na panewce. Zaś w 1975 r. władza nie zgodziła się na kolejnych ośmiu kandydatów na następcę abpa wrocławskiego Kominka. Dziewiąty był Gulbinowicz, na niego władze się zgadzały. Zamyśl był pewnie podobny.

– **I też się nie powiódl?**

– Zaprzecza temu działalność Gulbinowicza na rzecz środowisk kresowych. W 1977 r. odbywa rozmowę z przedstawicielem SB ale formalną tylko. Ks. Józef Maj zwrócił uwagę na rzecz niezmiernie ważną: przez cztery kadencje właśnie Henryk Gulbinowicz był szefem komisji Episkopatu do spraw duszpasterstwa akademickiego. Zajmował się tym, gdy pracował w Olsztynie i Białymstoku. A w tej dziedzinie swojej działalności Kościół był szczególnie inwigilowany. Wykluczone, by kwestie tak delikatne powierzono osobie, wobec której rysował się choćby cień podejrzenia.

– **Dochodzimy do Sierpnia 1980 r...**

– ...kiedy to abp. Henryk Gulbinowicz pozwala odprawiać msze na terenie

strajkujących zakładów. Później okaże się przychylny nie tylko Solidarności, ale i Niezależnemu Zrzeszeniu Studentów.

– A dalszą historię, z grudnia 1981 r. znamy dzięki filmowi „80 milionów”. Bez Gulbinowicza niemożliwe okazałoby się ocalenie przed stanem wojennym pieniędzy dolnośląskiej Solidarności jako jedynego regionu w kraju?

– To była duża kwota. A ksiądz arcybiskup – bo kardynałem został dopiero w 1985 r. – już wtedy stał się ogromnym autorytetem. Przechował te pieniądze. Ich część w roztropny sposób zamieniono na dolary, skoro złotówka traciła. Użyto do tej operacji zaufanych cinkciarzy, bo część współpracowała z milicją. Część środków trzymano, sporo przeznaczono na bieżącą działalność, wypłacano ratami. To był jeszcze czas, kiedy Kornel Morawiecki pozostawał w jednej strukturze z Władysławem Frasyniukiem aż do czerwca 1982 r. Wrocław stał się twierdzą Solidarności, bo znajdował mocne oparcie materialne. To zasługa kardynała.

– Gulbinowicz nie tylko pilnował skarbcza, ale można powiedzieć, że zapewniał audyt, dbał, żeby te legendarne później 80 milionów uczciwie i sensownie wydano? A SB spaliła mu wtedy samochód?

– Dokładnie tak się działo. W 1984 r, jeszcze zanim zginął ks. Jerzy Popiełuszko, bezpieka podpaliła samochód kardynała, to był element zastraszenia, presji. W 1985 r. ma miejsce ostatnia rozmowa kardynała z SB, przyjdzie na nią ppłk. Józef Maj (zbieżność imienia i nazwiska z księdzem duszpasterzem akademickim oczywiście przypadkowa), ten sam, który w 1969 r. jako pierwszy z resortu rozmawiał z Gulbinowiczem, jakie to dla nich ważne ilustruje fakt, że aby wykonać to zadanie powróci do służby. Ale to się znów kończy fiaskiem. Być może dla Gulbinowicza rozmowy z SB stanowiły kamuflaż dla wspierania Polaków na Wschodzie, Kościoła za kordonem, czym zajmował się jeszcze w Białymstoku, we Wrocławiu również, ale oficjalną do tego komórkę Episkopat mógł stworzyć dopiero w 1990 r. Warto też zwrócić uwagę, że również 1990 r. dotyczą oskarżenia z życia obyczajowego, ferowane przez jedną osobę, wtedy 16-letniego poetę z Legnicy. Wówczas element szantażu ze strony służb nie mógł już mieć znaczenia. We wcześniejszych esbeckich materiałach, które dotyczą Gulbinowicza różne rzeczy daje się przeczytać:

a to, że lubi młode kobiety, a to, że młodych mężczyzn. Wiadomo, jacy to plotkarze byli.

– **Kluczowa postać dla Kościoła to ks. Kardynał Stanisław Dziwisz, powiernik Jana Pawła II. Czy jego ocenę przyjdzie zrewidować?**

– Dostrzegam w atakach na kard. Dziwisza podejście i patrzenie ahistoryczne. Przerzucamy na dawne lata obecną wiedzę. Kwestia polityki personalnej w Kościele wyglądała w ten sposób, że decyzje podejmował Jan Paweł II, przy czym musiał mieć przy sobie osobę, której ufał – właśnie Dziwisz nią pozostawał – która oddzielałaby fakty od pomówień. Oczywiście gdy stan zdrowia Papieża z wiekiem się pogorszył, coraz więcej uprawnień zyskali kurialiści. Absurdem byłoby twierdzenie, że wszystko, co złego zdarzało im się zrobić, obciąża Jana Pawła II. Posługa papieska to encykliki, nauczanie społeczne, pielgrzymki po całym świecie od Polski po Filipiny, od Nikaragui po ONZ. Za to można Jana Pawła II oceniać, nie za jakość pracy kurialistów. Nie da się jednoznacznie powiedzieć, czy Dziwisz wychodził poza swoją rolę sekretarza Papieża, to była raczej aktywność nieformalna. Pewne rzeczy warto oczywiście wyjaśnić. Pewne mechanizmy powinien wytłumaczyć. Ale zasługi ks. kardynała Dziwisza dla polskiego Kościoła pozostają niepodważalne. Część zarzutów, dotyczących domniemanego tuszowania pedofilii, dotyczy już czasu po śmierci Jana Pawła II, kiedy Dziwisz był arcybiskupem krakowskim.

– **Ataki na największe historyczne postaci polskiego Kościoła są tak naprawdę bardziej dotkliwe, niż fakt, że ktoś gdzieś na murze plebanii błyskawicę namalował albo nawet mszę zakłócił?**

– Dla pokolenia Solidarności rola Kościoła w odzyskaniu niepodległości przez Polskę jest oczywista. Minęło jednak 30 lat. Weszło jedno, powiedzmy nawet półtora pokolenia. Popelniono grzech zaniechania, mało prowadzono prac badawczych, pokazujących rolę Kościoła. Papież pokazywany był jako niekoronowany król Polski, poprzez pielgrzymki i ich entuzjazm – ale pracy u podstaw, jaką prowadził Kościół wciąż się nie docenia. Może zmieni to ogłoszony teraz rok kardynała Wyszyńskiego. Dotychczas brakowało sposobu, żeby trafić z tymi informacjami w atrakcyjny sposób do młodego pokolenia. Nauczanie Papieża nie wystarczy pokazywać w wymiarze historycznym tylko, warto je przekładać na ponadczasowy, skoro taki właśnie ma sens. Jestem

przekonany, że nowe uzupełnione wydanie mojego „Kościoła obywatelskiego” trafiło na sprzyjający moment, czas odkryć się nie skończył.

– Czy miałyby sens powołanie komisji z udziałem przedstawicieli Kościoła, która tę historię zbada, skoro często świeccy naukowcy skarżą się na brak dostępu do kościelnych dokumentów, a badacze z grona księży na brak zrozumienia świeckich?

– Wydaje się, że tak jak w kwestii lustracji, współpraca okaże się celowa. Skoro pewne rzeczy wracają po latach, trzeba je wyjaśnić, żeby nie przesłaniały chwalebnej przeszłości. Powinno dojść do formalnej współpracy Kościoła z Instytutem Pamięci Narodowej oraz uczelniami katolickimi: Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Potrzeba wzmocnienia pracy, aby pokazać ogrom dorobku Kościoła.

– Ale jeśli jakaś komisja ma powstać, to nie po to, żeby sadzać Kościół na ławie oskarżonych?

– Oczywiście, powinna raczej pokazać złożoność tych spraw i wielką pracę, jaką Kościół wykonał. Konkretną pracę na rzecz wolności. Bo inaczej... Starsi zapominają, młodzi nie wiedzą, a w średnim pokoleniu dominuje raczej kremówkowy wizerunek Jana Pawła II...

REAKCJĄ NA ZAMACH NA PAPIEŻA BYŁY MARSZE PRZECIW PRZEMOCY

– Jak strzały jakie do Jana Pawła II oddał 13 maja 1981 r. zamachowiec na placu Świętego Piotra wpłynęły na sytuację w Polsce, jak zagrożenie jego życia przyjęli Polacy, którzy wiedzieli też już, że bardzo ciężko chory jest kardynał Stefan Wyszyński?

– Polska po wyborze Karola Wojtyły na papieża w październiku 1978 r. znalazła się w niezwykłym czasie. Wraz z upływem lat nauczymy się coraz bardziej doceniać następstwo takich zdarzeń jak tamta decyzja kardynałów na konklawe, pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski w czerwcu 1979 r. i powstanie Solidarności po porozumieniach sierpniowych w 1980 r. I nagle w ten czas, prawie bajkowy dla zwykłych, niezbyt interesujących się polityką ludzi, wkracza znienacka przemoc. Strzały oddane do Jana Pawła II na rzymskim placu przez Mehmeta Alego Agcę dramatycznie pokazują Polakom, jak mocno ich los zależy od posługi papieża. Od tego, czy powróci on do zdrowia, zależy historia Polski, jej dalszy przebieg. Wszyscy widzą, chociaż to maj, po jak bardzo cienkim lodzie w kraju stąpamy. Na włosku wiszą sprawy najważniejsze dla Polaków. Stąd ówczesna reakcja społeczeństwa.

– Co okazało się najwyraźniejszym jej przejawem?

– Kościoły jak nigdy wcześniej wypełniają się wiernymi, modlącymi się o ocalenie życia Ojca Św. a potem o jego powrót do zdrowia, pozostają otwarte również w nocy. Ludzie czekają w napięciu na komunikaty o stanie zdrowia Jana Pawła II z kliniki Gemelli. Wtedy uświadamiamy sobie, że papież pozostaje niekoronowanym królem Polski. I jak straszna byłaby przyszłość, gdyby go zabrakło: niepewna ale raczej najgorsza z możliwych. Wielki znak zapytania co dalej, bo przecież Polacy wiedzą również, że ich Prymas Tysiąclecia zapadł na

chorobę nowotworową, chociaż nie mogą oczywiście przewidzieć, że odejdzie jeszcze w maju 1981 r, dwudziestego ósmego.

– Polacy wtedy częściej się modlili, dowodzą tego także zdjęcia ze stoczniowych strajków niespełna rok wcześniej. Czy pojawiają się wtedy w maju 1981 r. specyficzne, zarezerwowane tylko dla tego czasu przejawy aktywności obywatelskiej?

– Ruszają białe marsze. Wymierzone są przeciwko przemocy, to oczywiste, bo jej ofiarą padł papież, uosabiający siłę duchową. Pistolet przeciw charyzmie to nader złowrogi symbol.

– To dla Polaków strasznie trudny moment, ciężko choruje prymas Wyszyński, sześć tygodni wcześniej zanim Agca strzeli do papieża siły porządku pobiją związkowców w Bydgoszczy i kraj stanie na krawędzi strajku generalnego, który Lech Wałęsa odwoła wtedy w ostatniej chwili, z końcem marca 1981 r.?

– To moment wyjątkowo społecznie trudny. Mobilizacja ludzi osiąga swoje apogeum 30 marca 1981 r czyli przed odwołaniem przygotowanego w reakcji na prowokację bydgoską strajku generalnego. Dlatego białe marsze wpisują się w wielką strategię non violence, która prowadziła Solidarność jako ruch społeczny i związek zawodowy ku wolnej Polsce, chociaż tego, że cel zostanie osiągnięty jeszcze nie wiedziano. Za to sprzeciwianie się przemocy było oczywiste, tej której przejawem stał się terroryzm, bo z niego wziął się sprawca zamachu. Ale również tej przemocy której się obawiano że nastąpi, nazywanej czasem rozwiązaniem siłowym, przeciwstawiali się uczestnicy białych marszów. Pamiętam Rynek w Krakowie, ogromny tłum ludzi, wszyscy ubrani na biało, wśród nich kardynał Franciszek Macharski. Potężne to było zbiorowe przeżycie, które przyczyniło się do tego, że Solidarność – pomimo licznych prób prowokacji ze strony władzy nigdy z tej pokojowej drogi nie zesłała.

– Polacy cieszyli się z ocalenia życia papieża, jednak 28 maja odszedł kardynał Wyszyński, 31 maja miał miejsce jego manifestacyjny i tłumny pogrzeb, czy Polacy poczuli się osieroceni?

– Papież powiedział, że gdyby mógł, przyleciałby na skrzydłach na pogrzeb prymasa. Nie stało się to jednak możliwe, Jan Paweł II pozostawał jako rekonwalescent w klinice Gemelli. Wiemy, że do śmierci cierpiał z powodu obrażeń

odniesionych w zamachu. Zaś odejście Prymasa Tysiąclecia oznaczało wielki znak zapytania dla Kościoła polskiego. Następca kard. Wyszyńskiego nowy prymas Józef Glemp nie był powszechnie znany. Musiał dopiero budować swoją pozycję. Pomógł mu w tym autorytet poprzedniego prymasa, fakt, że został wskazany przez kard. Wyszyńskiego.

– Kardynał Wyszyński a potem Glemp reprezentowali Kościół ludowy, odwoływali się chętnie do tradycyjnej polskiej religijności, podczas gdy Jan Paweł II stał się wielką postacią Kościoła powszechnego, świadczą o tym jego pielgrzymki, do Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki, bo okazał się pierwszym takim papieżem w podróży, w kraju zaś z jego myślą identyfikowano „Tygodnik Powszechny”, „Znak” czy „Więź” pisma katolickich intelektualistów. Wybitni biografowie Jana Pawła II jak demaskator afery Watergate Carl Bernstein i znakomity watykanista Marco Politi sugerowali nawet rozdziwki między podejściem papieża i prymasa Glempla do rządzących?

– Nie jest to prawda, ich podejście raczej się uzupełniało. Wybitna nawet znajomość watykańskich realiów nie oznaczała równie pełnego rozpoznawania polskiej rzeczywistości. Kardynał Wyszyński miał wyjątkową pozycję, kartę martyrologiczną wynikającą z internowania w Komańczy. Gdy podczas inauguracji pontyfikatu Jana Pawła II kard. Wyszyński zgodnie z watykańskim ce remonią pocałował go w rękę, papież podniósł się z fotela i zrewanżował się tym samym. To był sygnał, zobaczyliśmy wszyscy, że jesteśmy równi. Zaś po zamachu na papieża a w dniach ciężkiej choroby prymasa zaistniała straszna groźba odejścia nie tylko dwóch największych przedstawicieli polskiego Kościoła ale też obu przywódców narodu. Stąd groza i żarliwe modlitwy. Papież był niekoronowanym królem Polski, Wyszyński w pełni zasłużył na miano Prymasa Tysiąclecia. Kardynał Glemp podążał jego drogą, musiał sobie autorytet wypracować. W stanie wojennym, który wprowadzono jeszcze w roku objęcia przez niego posługi prymasowskiej ujmował się za represjonowanymi, którzy nie zawsze o tym wiedzieli, więc czasem nawet zarzucali mu ugodowość. Jednak wszystkie inne instytucje zostały zawieszane lub zepchnięte do podziemia, działały tylko te związane z Kościołem. Papież z kolei już wtedy stał się ministrem spraw zagranicznych niepodległej Polski, w tym sensie, że reprezento-

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

wał w świecie polskie sprawy, położył je na stole rokowań w najważniejszych gremiach. Pomiędzy rolami papieża i prymasa nie było więc rozdźwięku, ich działania doskonale się uzupełniały dla dobra Polski.

KOŚCIÓŁ PIERWSZY UPOMNIAŁ SIĘ O 11 LISTOPADA

– Czy słusznie kojarzymy początek obchodów Święta Niepodległości z 1978 r. kiedy pierwszy raz 11 Listopada odbyły się niezależne demonstracje uliczne? Właśnie w 60. rocznicę a nie 50, kiedy to klimat życia publicznego był wyjątkowo ponury, bo w marcu 1968 r. rozpędzono demonstracje studenckie a w sierpniu tego samego roku polskie wojska wzięły udział w agresji na Czechosłowację co stanowiło najbardziej dotkliwy i upokarzający wyraz braku suwerenności, zaprzeczenia przesłania listopadowego święta?

– Rzeczywiście pierwsze opozycyjne obchody z przemarszem z Katedry pod Grób Nieznanego Żołnierza miały miejsce 11 Listopada 1978 r. Jednak rok 1968 r, pomimo przypomnianego przez Pana przygnębienia społeczeństwa, również jest ważny dla pamięci o 1918. To wtedy, chociaż oczywiście manifestacji nie było, bo zostałyby rozproszone tak samo jak marcowe, Episkopat ogłosił list w którym zwrócił uwagę na rocznicę niepodległości. Nawet o przełomie można w tym wypadku mówić, skoro od tego czasu datuje się również opisana znakomicie przez Mirosława Lewandowskiego w książce „Interrex” bliska współpraca prymasa Stefana Wyszyńskiego z kombatanami, wśród których oczywiście przeważali akowcy, ale nie brakowało też bohaterów z czasów odzyskania niepodległości po rozbiorach. Przybrało to postać nie tylko dialogu ale patronatu i umożliwiło tym środowiskom zaznaczenie swojej obecności. Po latach gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz stał się gościem pierwszego historycznego Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” w gdańskiej hali Olivii w 1981 r. i wygłosił tam niezapomniane przemówienie. Przyszły kardynał Wyszyński był podczas wojny kapłanem Armii Krajowej. Faktyczne

przywrócenie kombatantom praw obywatelskich to jego zasługa. Zaś na epokowy wymiar obchodów z 1978 r. wpłynął wcześniejszy o kilka tygodni wybór kardynała Karola Wojtyły na Papieża. Wtedy formowała się już opozycja: KOR i ROPCiO zaś w kolejnym roku dołączyła KPN. W Grobie Nieznanego Żołnierza leży obrońca Lwowa, wybrany drogą losowania spośród bohaterów z kilku miejsc, gdzie Polacy ginęli wtedy w obronie niepodległości i granic kraju. Dlatego pomimo zatrzymań i szykan niezależne demonstracje w takim miejscu znalazły szczególnie rezonans w społeczeństwie.

– Cenzura nie wykreślała już wtedy nazwiska Józefa Piłsudskiego, jednak monopol na książki o nim – jeśli pominąć znakomitą ale pochodzącą jeszcze z 1970 r. publikację Andrzeja Micewskiego „W cieniu marszałka Piłsudskiego” zyskał Andrzej Garlicki. Dlaczego właśnie on?

– W latach 70. Garlicki wyjeżdża do Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku. Tam zostaje dopuszczony przez znakomitego biografę Marszałka i dyrektora tej placówki Waława Jędrzejewicza do wyjątkowych źródeł, naprawdę unikatowych. Kseruje całe partie dokumentów. A o kserokopiarkę było wtedy trudniej niż dzisiaj. Wynosi te kopie do konsulatu. Do kraju trafiają pocztą dyplomatyczną.

– Cała operacja strategiczna wokół pamięci Marszałka?

– Trochę Pan ironizuje, a tak naprawdę było. Poza przygotowaniem materiałów do pracy naukowej Garlicki wciąż ma w Nowym Jorku drugie zajęcie. Píše jako współpracownik służb specjalnych donosy na środowiska emigracyjne, nie tylko zresztą piłsudczykowskie. Używa dwóch pseudonimów: TW „Pedagog” do kontaktów ze służbą bezpieczeństwa. Ale dla wywiadu PRL prof. Garlicki to TW „Trał”. Staje się monopolistą jeśli chodzi o książki o Marszałku. Tyle, że w ich tytułach nie znajdziemy nazwiska Piłsudskiego: „U źródeł obozu belwederskiego”, „Od maja do Brześcia”, „Od Brześcia do maja”. Wszyscy i tak wiedzą, o kim książki traktują, więc rozchodzą się znakomicie. Ale zawierają ocenę Marszałka na tyle niesprawiedliwą, że Jędrzejewicz, który przedtem materiały o nim udostępnił, napisze wtedy do Garlickiego: „z dużym obrzydzeniem odkładam pana książkę”.

– Pojawia się jednak drugi obieg. I Towarzystwo Kursów Naukowych na wzór „latającego uniwersytetu” z czasu zaborów. Z materiałów do wy-

kładów, wygłaszanych w prywatnych mieszkaniach, Marcin Król napisał broszurkę pod przydługim tytułem: „Józef Piłsudski. Ewolucja myśli politycznej”. Doskonałą i przystępną. Studenteria będzie ją zaczytywać, całkiem dosłownie, pamiętam, jak mój egzemplarz puszczonego w obieg dosłownie się rozpadł. To był fenomen powracającej legendy głównego twórcy odzyskanej przez Polskę w 1918 r. niepodległości?

– Dokładnie tak się działo. Do kraju trafiały wydawnictwa emigracyjne. W tym kronika życia Piłsudskiego autorstwa Wacława Jędrzejewicza. Nie byliśmy już na Garlickiego skazani. Zaś święto 11 Listopada odkąd w 1978 r. odzyskało swoje prawa obywatelskie, jeśli można tak powiedzieć – już nigdy ich nie straciło.

ZARZUTY WOBEC PAPIEŻA SĄ AHISTORYCZNE

– Jak znawca najnowszej historii Kościoła widzi zarzuty stawiane Karolowi Wojtyłe, że jako arcybiskup krakowski tolerował czy nawet maskował krzywdzenie dzieci przez księży swojej diecezji?

– Warto bacznie przyjrzeć się całej metodologii, w kontekście tego ataku. Zarzuty wobec Papieża są ahistoryczne. Postawiono je w ten sposób, jakby przed półwieczem sytuacja była taka sama jak w 2023 r, kiedy Kościół ma wypracowane standardy walki z pedofilią. A zarzuty dotyczą tego okresu, w którym warunki funkcjonowania Kościoła oddaje tytuł książki, jaką napisałem przed laty wspólnie z moją żoną Anną Anusz: „Samotnie wśród wiernych”. Nie był to przypadkowy tytuł.

– Jednak zanim jeszcze Karol Wojtyła został papieżem, Polska była krajem w przeważającej mierze katolickim?

– Rzeczywiście Kościół był masowy, milionowy. Patrząc na jego ówczesne zaangażowanie można przez pryzmat wielotysięcznych pielgrzymek i uroczystości gromadzących tłumy wiernych. Jednak komunistyczna władza prowadziła wojnę przeciwko niemu. Przesądziło to o sposobie, w jaki sprawę marginalnych zresztą patologii wewnętrznych zmuszony był załatwiać. Niezmiernie ważna okazuje się w tej kwestii wypowiedź papieża Franciszka. Przyznał on, że cały Kościół powszechny, również ten wcale nie prześladowany w państwach demokratycznych, załatwiał te sprawy wewnątrz swojej struktury.

– Chodzi Panu o to, że arcybiskup krakowski Karol Wojtyła nie mógł zadzwonić na milicję?

– Drastycznie Pan sformułował ten dylemat, ale rzeczywiście nie mógł. Odwołanie się do aparatu represji komunistycznego państwa nawet przy kwe-

stiach finansowych nadużyć, malwersacji a zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodziły problemy z alkoholem czy seksualne, nawet te najbardziej drastyczne, z krzywdzeniem dzieci – oznaczałoby wydanie na łaskę służb dyktatury nie bezpośrednich sprawców, ale Kościoła jako instytucji i wspólnoty. Oznaczało wpuszczenie służb specjalnych do rdzenia Kościoła. I tak tam wchodziły. Ale gdyby arcybiskup Wojtyła je zaprosił – i tak problemu by nie rozwiązały. Za to wszystko, czego by się dowiedziały te tajne służby, wykorzystałaby do paskudnych celów. Do szantażu z pewnością też.

– Kościół wypracował więc własne metody przeciwdziałania złu pedofilii? Jakie one wtedy były?

– Metoda prymasa Stefana Wyszyńskiego, a Karol Wojtyła szedł później jego drogą, polegała na tym, żeby nie pobłażać. Reagować, nie odpuszczać. Zło pozostaje złem. Ale przy tym nie narażano Kościoła na dodatkowe starty spowodowane atakiem aparatu władzy.

– Wojtyła nie różnił się w tej kwestii od Prymasa Tysiąclecia?

– Kardynał Wojtyła pozostawał w tej sprawie zdeterminowany, skoro księdzę zamieszanego w aferę pedofilską wysłał do Austrii. Za granicę. Odsunął go od sytuacji, budzącej zgorzelenie. To wymagało dużej determinacji. Ahistoryczne stawianie sprawy dzisiaj okazuje się nadużyciem.

– Pedofilia już w 1917 r. znalazła się wśród przestępstw, wymienianych w prawie kanonicznym, jednak głównie Sobór Watykański Drugi, za sprawą którego Kościół wyrzekł się strzeżenia mrocznych tajemnic, otworzył drogę do skutecznej z nią walki?

– Zaś za pontyfikatu Jana Pawła II nastąpiło zaostrzenie zasad w tej kwestii. W 1983 r. wydano pierwsze instrukcje nakazujące bezwzględna walkę z pedofilią. Jan Paweł II wspierał pracujących nad nimi. Kierował te sprawy do Kongregacji Nauki Wiary. Na jej czele stał wówczas Joseph Ratzinger, późniejszy następca Jana Pawła II, już jako Benedykt XVI. Wspólnie wprowadzili właściwe metody postępowania. Różnic między nimi w tej bolesnej kwestii nie było, to mit. Podejście Karola Wojtyły do kwestii seksualności jest jednym z ciekawszych rozdziałów historii jego myśli społecznej. Stał się autorem książki „Miłość i odpowiedzialność”, która stanowiła rewolucję w sposobie opisywania relacji między kobietą a mężczyzną, a zarazem pozostawała wierna tradycyjnej-

WYWIADY ŁUKASZA PERZYNY Z ANDRZEJEM ANUSZEM

mu przesłaniu Kościoła w tej kwestii. Karol Wojtyła opisuje w niej pozytywny wymiar miłości fizycznej kobiety i mężczyzny, oczywiście w małżeństwie. To podejście cechuje nowatorski wymiar. Z pewnością nie stał się nigdy nasz Papież osobą, blokującą opisywanie i rozwiązywanie problemów, nawet uznawanych za wstydlive. Tego możemy być pewni.

POŻEGNANIE FRANCISZKA, OCZEKIWANIE NASTĘPCY

– **Czy z czasem uda się historykom Kościoła udowodnić, że Franciszek był Papieżem na miarę jego wielkich poprzedników?**

– Stał się kontynuatorem, jeśli o relacji wobec poprzedników mowa. Kolejnym kardynałem nie z Włoch, wybranym w chwili, gdy 40 procent wszystkich katolików świata mieszkało w Ameryce Łacińskiej. Stąd decyzja konklawe o wskazaniu ówczesnego kardynała Jorge Bergoglia, który wywodził się z rodziny włoskich emigrantów, uchodzących z ojczyzny przed Benito Mussolinim i ustanowioną przez niego dyktaturą. To pochodzenie w znacznej mierze tłumaczy wrażliwość Franciszka na sprawy imigrantów właśnie. Po Polaku i Niemcu nastał na Stolicy Piotrowej Argentyńczyk z włoskimi korzeniami, który sam zwykł podkreślać, że reprezentuje ten kontynent, gdzie katolików jest najwięcej. Rzeczywiście, wyczuwam sugestię zawartą w Pana pytaniu – to był inny człowiek i inny papież niż jego poprzednicy.

– **Różnicę dostrzegamy, jak Pan by ją uporządkował?**

– Jan Paweł II to filozof i znawca metafizyki. Obeznanym z konfliktami politycznymi współczesnego świata, znający zarówno nazizm jak komunizm – dwa potężne źródła zła – z własnych doświadczeń, bo przecież w czasie okupacji potrafiła go niemiecka ciężarówka, pomimo wielkich zdolności pracować musiał jako robotnik a studiować i grać w teatrze mógł wyłącznie w konspiracji, ryzykując życiem. W czasach komunizmu jako już wiceprezes krakowskiego Bratniaka robił co mógł, by powyciągać zza krat kolegów zatrzymanych w trakcie opozycyjnej demonstracji 3 maja 1946 r, co dowodziło wielkiej odwagi, potem już jako hierarcha wspierał represjonowanych, wreszcie, gdy jego wybór na Stolicę Piotrową dał nadzieję Polakom – wywarł oczywisty wpływ na poko-

ową i zwycięską walkę Solidarności. Przyczynił się jak żaden inny przywódca duchowy do zniesienia żelaznej kurtyny, pokonania komunizmu i połączenia Europy w jeden organizm. Z kolei Benedykt XVI to doktor Kościoła, teolog, w czasach pontyfikatu Jana Pawła II jeszcze jako Joseph Ratzinger zajmował się zagadnieniami wiary, nie tylko jako odpowiedzialny za to kardynał, lecz jako ogromny w tej kwestii autorytet. Natomiast Jorge Bergoglio to pierwszy jezuita wybrany na Stolicę Piotrową. Sam siebie określił jako papieża wykluczonych, nawet tych z marginesu, którzy jak wcześniej się wydawało również z punktu widzenia Kościoła też pozostawali na tym marginesie. Człowiek miłosierdzia, to na nie właśnie kładł nacisk. Do teologii mniej wniósł. Postawił akcent na los biednych i imigrantów. Ale także, co nie wszyscy doceniają, na uporządkowanie sytuacji w kurii rzymskiej. Oprócz kontynuacji, o której mówiłem, wniósł do Kościoła element zmiany.

– Dla wielu, nie tylko katolików, rozczarowaniem okazała się postawa Franciszka wobec Ukrainy?

– Przyzwyczailiśmy się wcześniej, jak ważna pozostawała Polska dla Jana Pawła II. Ale i Benedykt XVI zaskarbił sobie naszą sympatię, kiedy podczas pielgrzymki samotnie przekraczał bramę oświęcimskiego obozu, co oznaczało zmanifestowanie świadomości, jakich zbrodni dokonali w tym strasznym miejscu jego rodacy. Wcześniej nawet chadecy niemieccy podkreślali chętniej tradycje rodzimego oporu, kręgu z Krzyżowej, spiskowców przeciw Hitlerowi z Wilczego Szańca. Wszystko to historyczne fakty. Ale dla Polaków wielkie znaczenie miał ten gest Papieża z Niemiec. Znamionujący wielką historyczną odpowiedzialność. Trzeba pamiętać, że zarówno Karol Wojtyła jak Joseph Ratzinger mieli własne przeżycia związane z II wojną światową, a Jorge Bergoglio pozostawał wtedy dzieckiem, jego kraj położony był daleko od linii frontów i obozów śmierci. Gdy został papieżem, postawił na tematy, które z punktu widzenia Polaków nie okazują się najważniejsze. Pamiętajmy jednak, że Kościół jest powszechny.

– Nie zawsze rozumieliśmy Papieża Franciszka, skupieni z oczywistych względów na sprawach tej części świata, w której żyjemy?

– Przez dwanaście lat sprawowania przez niego papieskiej posługi mogliśmy poznać jego kod kulturowy, inny niż cechował pontyfikaty Jana Pawła II oraz Benedykta XVI. Kiedy w kongijskiej Kinszasie krytykował wyzysk, kolonia-

lizm i jego współczesne relikty, w sferze faktów miał rację, ale niewątpliwie zostało to wykorzystane przez populistycznych zwolenników zupełnego otwarcia wspólnej Europy na nielegalnych imigrantów, nawet nasyłanych przez Aleksandra Łukaszenkę, co już nie stanowiło winy Papieża. Na pewno więcej kontrowersji budziła jednak postawa Franciszka wobec Ukrainy, wynikająca z braku doświadczenia związanego z dawną ekspansją Związku Radzieckiego, bo kiedy miała ona miejsce, Argentyna i jej pasterz zajmowali się innymi problemami, też dramatycznymi, panowała tam brutalna dyktatura. Trudno się dziwić, że Franciszek nie czuł podobnie jak jego poprzednicy, jakie skutki niesie za sobą imperialna polityka Rosji.

– Jak patrzył na Rosję?

– Jako na państwo, w którym silny pozostaje wpływ prawosławia, traktowanego przez Franciszka jak braterska religia. Czuł się biskupem Rzymu, taki tytuł przecież Ojcu Świętemu przysługuje...

– I stąd wzięła się jego wobec Moskwy, nazywanej trzecim Rzymem, tolerancja?

– Spotkał się z patriarchą Cyrylem, zwierzchnikiem kościoła prawosławnego, zresztą w Hawanie na Kubie, więc miejsce też ma prawo Polaków szokować, chociaż rozmowa miała miejsce oczywiście na długo przed wybuchem pełnoskalowej wojny w Ukrainie. To było pierwsze spotkanie zwierzchników obu kościołów, od czasu schizmy, a więc od tysiąca lat. Na pewno Franciszek chciał pogodzić między sobą przedstawicieli obu wyznań. Problem zaczął się w momencie, kiedy po wybuchu wojny, próbował odpowiedzialność równoważyć w ten sposób, że giną na niej zarówno Rosjanie jak Ukraińcy. Wzbudzało to rozgoryczenie. Dla nas bowiem pozostaje jasne, kto w tej wojnie od początku był agresorem i nim pozostał. Tyle, że już po śmierci Franciszka ujawniono, że swoje prywatne pieniądze przeznaczał na pomoc dla broniących się Ukraińców, o czym wcześniej nie wiedzieliśmy i co też daje do myślenia.

– Kiedy trwała już wojna w Ukrainie, Franciszek wysłał tam polskiego kardynała i swego jałmużnika Konrada Krajewskiego, ale nie tylko powierzenie naszemu rodakowi tej trudnej misji stało się przesłanką, że właśnie nasz rodak może zostać jego następcą? Czy po dwudziestu latach

jakie upłynęły od śmierci Jana Pawła II znów cieszyć się nam przyjdzie, że mamy Papieża Polaka?

– Znane w Watykanie powiedzenie głosi, że kto na konklawe wchodzi jako papież, wychodzi z niego wciąż jako kardynał. Nie ma ono nic wspólnego z oceną tak licznych zalet kardynała Konrada Krajewskiego, niewątpliwie znamienitej postaci nie tylko polskiego Kościoła, lecz z pewnym rachunkiem szans. Określa je polityka globalna Stolicy Apostolskiej. Jeśli przy wyborze głowy Kościoła nadal działać będzie podobny mechanizm, o jakim rozmawialiśmy, wniosek wydaje się logiczny: teraz kolej na Azję i uhonorowanie coraz liczniejszych tam katolików, skoro Papież, który odszedł, wywodził się z Ameryki Łacińskiej. Nie tylko jednak ten rachunek musi decydować. Watykan to centrum duchowe, ale pozostaje państwem, które uprawia politykę zagraniczną. I wychodzi naprzeciw wyzwaniom współczesnego świata, także tym raczej świeckim. Premier Giorgia Meloni ma doskonałe relacje z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem, z pewnością najlepsze spośród przywódców liczących się państw europejskich. W tej sytuacji sojusz kardynałów w Ameryki Północnej i z Europy, wiele razy skuteczny przy wyłanianiu następcy Świętego Piotra, sprawić może, że przyszłym papieżem zostanie jednak Włoch, po prawie pięćdziesięciu latach przerwy. Oznaczać to będzie powrót do źródeł. I decyzję pójścia w sukurs słabnącej teraz Europie. Taki euroatlantycki sojusz, który kiedyś w zupełnie świeckiej polityce skierowany był przeciwko imperialnym zapędom ZSRR, może zostać powtórzony, w sytuacji odradzania się zła na wschodzie. Włosi i Watykan odegrają w nim wtedy niepoślednią rolę. Z pewnością w przeświadczeniu zwolenników takiego rozwiązania, wniosłoby ono do globalnej polityki element ożywienia.

MATEMATYK I MISTYK. PIERWSZY PAPIEŻ ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH

– **Co dla świata oznacza wybór kardynała Roberta Francisca Prevosta, teraz już Leona XIV, pierwszego papieża ze Stanów Zjednoczonych?**

– Potwierdza po raz kolejny, że Kościół katolicki jest Kościołem powszechnym. Leon XIV to następny papież nie z Włoch, chociaż stamtąd właśnie pochodził jego dziadek, później na emigracji w USA. Podobnie włoskie korzenie miała rodzina poprzedniego papieża Franciszka z Argentyny, Jorge Bergoglio. Rodzice Roberta Prevosta urodzili się już w Chicago, wiadomo, że to nie jest nazwisko anglosaskie: typowa rodzina imigrantów, z również francuskim i włoskim rodowodem.

– **Już pół wieku temu konserwatywny amerykański socjolog Michael Novak napisał słynną książkę „Przebudzenie etnicznej Ameryki”?**

– Na pewno znalazło ono wyraz również w działalności katolickiej wspólnoty religijnej. Kościół jest powszechny, to oczywiste. Nowy papież mówi biegle w pięciu językach, nie dlatego żeby był hobbystą poliglotą, lecz z tego powodu, że posługiwali się nimi jego przodkowie. Nie ogranicza to żadną miarą jego amerykańskiej tożsamości. Ojciec Roberta Prevosta służył podczas II wojny światowej w marynarce, wypełnił swój obowiązek wobec ojczyzny. Natomiast jeśli mowa o obecnym papieżu, to niezwykle silne są jego związki z Ameryką Łacińską, skąd wywodził się jego poprzednik na Stolicy Apostolskiej, Franciszek. Ameryka Południowa to kontynent, który zamieszkuje najwięcej katolików. Przyszły Leon XIV przez kilkanaście lat pracował w Peru.

– **Można więc w tym wypadku mówić o misji w dosłownym tego słowa znaczeniu?**

– Peru pozostawało w tym czasie krajem niespokojnym, targanym wieloma konfliktami. Kolejni prezydenci mieli tam ambicje dyktatorskie, czasem powściągane przez parlament. W dżungli kryła się marksistowska partyzantka. Dla poznania problemów współczesnego świata: sytuacji ubogich i wykluczonych, zagrożeń, jakie niesie za sobą przemoc – misja w Peru miała znaczenie fundamentalne. Oczywiście, że związki z kontynentem, gdzie katolików jest najwięcej, miały znaczenie dla wyboru nie tylko poprzedniego papieża ale i obecnego. To wzmocnienie nurtu, jaki symbolizował Franciszek. Obaj też byli zakonnikami, co nie bez znaczenia: Franciszek jezuitą zaś Leon XIV augustianinem. Starannie prześledziłem biografię Roberta Prevosta. Nie ulega wątpliwości, że to osoba od dawna przygotowywana do obecnej funkcji.

– **Co stanowi dowód, że tak właśnie się działo?**

– Franciszek go mianował na szefa Dykasterii ds. Biskupów. Szefa personalnego Kościoła, bo tak można jego funkcję scharakteryzować. Kto ją sprawuje, ma wpływ na mianowanie arcybiskupów i biskupów. Pełniąc ją, Robert Prevost poznał osobiście wszystkich hierarchów. Zna funkcjonowanie kurii rzymskiej, co jak pamiętamy, nie stanowiło akurat najmocniejszej strony Franciszka. Późniejszy Leon XIV przez kilkanaście lat pełnił misję wśród ubogich. Ale też Kościół amerykański, z którego się wywodzi, jest najbogatszy w świecie. Kiedyś rywalizował z nim niemiecki, ale teraz pod tym względem mu ustępuje. Wybór papieża przełoży się na wsparcie amerykańskich katolików dla Kościoła, pozwoli na sfinansowanie wielu jego zamierzeń. Duże donacje wydają się pewne. A Kościół po Franciszku znalazł się w trudnej pod tym względem sytuacji, co w pewnej mierze wiązało się z serią nie dających się przewidzieć wydarzeń, jakie miały miejsce za jego pontyfikatu.

– **Czy Leon XIV sprostą wyzwaniom, też pewnie nie znamy wszystkich, wobec których stanie?**

– Zakonnik i misjonarz, specjalista od relacji z Trzecim Światem, poliglota po studiach w Rzymie z punktu widzenia curriculum vitae okazuje się bardzo dobrym wyborem.

– **Wszystkie kraje, których nazwy dotychczas wymieniliśmy w tej rozmowie, znajdują się na zachód od Polski. A Ukraina, Rosja, jakie będzie**

do nich podejście Leona XIV? Do Franciszka największe pretensje mieli Polacy o brak jednoznacznego podkreślenia, kto jest agresorem a kto ofiarą w toczonej od 24 lutego 2022 r. wojnie pełnoskalowej?

– Już mamy do czynienia z widocznym przesunięciem akcentów. Nowy papież mocno wszedł w sprawy Ukrainy. Pamiętamy obraz po śmierci Franciszka: Wołodymyr Zełenski i Donald Trump siedzą na krzeselkach w Bazylice Świętego Piotra. Ich relacje się teraz poprawia, a pamiętamy przecież wcześniejsze spotkanie w Białym Domu, kiedy Trump próbował Zełenskiego karcnąć. Wiceprezydent USA D. H. Vance jest katolikiem. Zełenski został przyjęty na audiencji przez nowego papieża. Watykan oferuje mediację w wojnie Ukrainy z Rosją. Ale też teraz nie ukrywa, że jest to wojna obronna. Trump już o tej mediacji mówił. Zaś papież Leon XIV modli się za umęczony naród ukraiński. Pokazuje przy tym, kto jest agresorem.

– Przy czym papież z Ameryki wpisuje się znakomicie w obraz świata, cechujący Trumpa, taki bardziej jak z komiksu powiedzmy? Jeśli rzecz ująć najprościej, dla Trumpa Leon XIV to jest Ktoś, czy nie tak?

– Wobec takiego myślenia, jakie uosabiają Trump i jego obóz, kardynał Robert Prevost zachował znaczny krytycyzm. Nie stał się zwolennikiem bieżącej polityki migracyjnej w USA. Ujmował się za ubogimi czy dyskryminowanymi. Stawał po ich stronie. Głośna stała się, i słusznie, jego polemika z D. H. Vance'm, kiedy ten dowodził, że miłość bliźniego jest stopniowalna; najpierw kochamy rodzinę, bliskich, swoich a tych obcych już mniej. Robert Prevost jasno na to odpowiedział: Jezus Chrystus nie uczył stopniowania miłości. Co nie zmienia przeświadczenia, iż Trumpowi i Leonowi XIV fakt, że są rodakami, z pewnością wzajemnej komunikacji nie utrudni. A świat więcej na tym skorzysta niż straci.

– Jak dokonał się wybór kardynała Roberta Prevosta na papieża?

– Dzięki koalicji kardynałów z obu Ameryk oraz Europy. Szybko go wybrano, w czwartym głosowaniu. Grupa kardynałów włoskich też się w ten decydujący sojusz wpisała, z pewnością nie pozostawało dla nich bez znaczenia, że dziadek Roberta Prevosta był Włochem. Podobnie jak dla uczestników konklawe – świadomość, że nowy papież z Ameryki Północnej wraz z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem będą się darzyć wzajemnym

uznaniem, co nie oznacza oczywiście, że muszą zajmować takie samo stanowisko w szczegółowych sprawach.

– A kim stanie się dla nas Leon XIV? Jan Paweł II pozostawał dla Polaków największym autorytetem. Benedykt XVI trochę niespodziewanie zaskarbił sobie naszą sympatię, gdy pieszo przeszedł przez bramę obozu oświęcimskiego. Tym samym pokazał, że ma świadomość bezmiaru zbrodni, popełnionych na naszej ziemi przez swoich niemieckich rodaków i za nie żałuje. Za to do Franciszka mieliśmy w Polsce pretensje, że zbrodni kremlowskich popełnionych wobec Ukrainy w podobnie jednoznaczny sposób nie potępił? Jak w kontekście poprzedników, tych wielkich ale i tych kontrowersyjnych, jest przez Polaków odbierany nowy papież?

– Oczekiwania związane z wyborem były duże, dla nas ważne okazuje się, że papieżem został Amerykanin, jest przez Polaków dobrze przyjmowany. Chodzi o pewną szczególną relację ale też sympatię i podziw, jakie żyjemy dla Stanów Zjednoczonych. Nie tylko dla watykanistów pozostaje istotne, że gdy Leon XIV jako kardynał Robert Prevost kierował Dykasterią ds. Biskupów, jego zastępcą tam pozostawał nasz kardynał Grzegorz Ryś. To szczególna relacja z papieżem, wydaje się oczywiste, że teraz rola kardynała z Polski wzrośnie. Z czasem stanie się to coraz bardziej widoczne, kard. Ryś zyska wpływ na decyzje Leona XIV.

– Czas spytać o symbolikę papieskiego imienia?

– Dobry wybór, wprost odwołuje się do postaci Leona XIII, co zastąpił z encykliki „Rerum Novarum”, dosłownie: o rzeczach nowych. Za jego sprawą Kościół odnalazł się w zmieniających się warunkach rewolucji przemysłowej przełomu XIX i XX wieku. Uchodzi za twórcę nauki społecznej Kościoła. Robert Prevost przyjmując imię Leona XIV, zapowiada tym samym, że odniesie się do problemu sztucznej inteligencji i innych dylematów współczesnego świata z podobną jak wielki poprzednik konsekwencją. Nie brak mu na pewno narzędzi do poznawania nowej rzeczywistości i odnajdowania sposobu, w jaki Kościół powinien reagować na jej wyzwania. Jeśli chodzi o oceny społeczne i moralne, o które jednak trudno bez szczegółowego zgłębienia problemu. Leon XIV nie powinien mieć z tym kłopotu. Z wykształcenia jest matematykiem. Wróżyło mu w młodości wielką karierę naukową w tej dziedzinie. Jed-

nak powołanie przesądziło o wyborze innej drogi życiowej. Nie bez znaczenia jednak pozostaje, że najpierw jako człowiek świecki studiował matematykę, to był jego pierwszy kierunek, potem w Rzymie prawo kanoniczne i teologię. Dla Karola Wojtyły pierwszymi studiami okazała się polonistyka na tajnych kompletach w okupowanym przez Niemców Krakowie i wiemy, jakie znaczenie to miało również dla Jana Pawła II przez 27 lat jego papieskiej posługi.

– **A przynależność zakonna, do augustianów, wpłynie na pontyfikat Leona XIV?**

– Z pewnością tak. W Kościele obecne są dwie wielkie tradycje myślicieli, co wyrosli ponad miarę swoich epok. Świętego Augustyna i świętego Tomasa. Tomasz to tradycja Arystotelesa i jej zaadaptowanie przez chrześcijaństwo. „Suma teologiczna”... Za to z Augustynem wiąże się metafizyka i mistyka oraz bez porównania więcej emocji. Leon XIV jest augustianinem i z pewnością do tej tradycji nawiąże. Spodziewam się też głębszych nawiązań do tradycji Jana Pawła II niż to co obserwujemy na razie i co można potraktować jako zapowiedź, na przykład powrót do zwyczajowego stroju/ papieskiego, od którego Franciszek odszedł. Ale nie tylko o szaty chodzi. Robert Prevost wychował się w Chicago, gdzie poznał wielu Polaków, wiemy, że zdecydowana większość z nich to katolicy, współtworzący tamtejszą religijną wspólnotę. Polacy, także ci z kraju, odnajdą z pewnością więcej cech wspólnych z Janem Pawłem II niż z Franciszkiem u Leona XIV.



O POLITYCE



AKTORZY POZOSTAJĄ CI SAMI, POLITYCZNA TAKTYKA RÓWNIEM

– **Czy książka obejmująca parę dekad polskiej polityki jaką jest „Osobista historia Porozumienia Centrum” ułatwi zrozumienie najświeższych wydarzeń, choćby decyzji Jarosława Kaczyńskiego, który wolał zdymisjonować wicepremiera Jarosława Gowina i tym samym pozbawić się stabilnej większości w Sejmie niż z nim pertraktować, w czymś drobnym mu ustąpić?**

– W dużym stopniu to kwestia taktyki politycznej, dla jej oceny znajomość wcześniejszych zachowań lidera okazuje się na pewno przydatna. Książka obejmuje kilkadziesiąt lat historii Polski, również czas, w którym PC, którego nazwa zawarta jest w tytule jeszcze nie powstało i kolejnych dwadzieścia, kiedy tej partii już nie było pod dotychczasową nazwą, bo jej następcą okazało się Prawo i Sprawiedliwość. Po powrocie Donalda Tuska do krajowej polityki i roli lidera Platformy Obywatelskiej książka nabiera niepowtarzalnej aktualności. Sposób prowadzenia przez Kaczyńskiego polityki w znacznej mierze określany był bowiem przez jego podejście do drugiej strony, którą symbolizuje Tusk. W kolejnych kampaniach wyborczych to powraca. Książka rzeczywiście doprowadza nas do czasów współczesnych, przekonujemy się, że główni aktorzy... pozostają ci sami. Co do Gowina, o którego Pan pyta, to działania przez Kaczyńskiego wobec niego podjęte możemy przyrównać do sytuacji jego rządu z lat 2006–2007, działań, które podjął wobec ówczesnych wicepremierów Andrzeja Leppera i Romana Giertycha. Doszło do wewnętrznego starcia. Technika, jaką wtedy Kaczyński wybrał, polegała na tym, że próbował liderów koalicyjnych klubów oskubać z ich posłów. Przyjął tych ostatnich do budowanej przez siebie większości, zanim spór doprowadził do przedterminowych wyborów. A li-

derów się pozbył. Teraz to powtórzył z Gowinem. Przedłużał toczący się spór w trójkącie Gowin – Kaczyński – Morawiecki. Jarosław Gowin przyszedł w tej kadencji do Sejmu z 18 posłami Porozumienia, a zostało mu pięciu, licząc tego samego. Większość jednak pozostała w Zjednoczonej Prawicy. Technika działań Kaczyńskiego okazała się bardzo podobna. Gowin, jak kiedyś Lepper, w międzyczasie z rządu odchodził i do niego powracał. Kulisy działań sprzed lat poznaliśmy za sprawą nagrań rozmów jakie z Renatą Beger prowadził zastępca Kaczyńskiego w partii Adam Lipiński. Cała Polska zobaczyła wtedy jak dokonuje się przeciąganie zaplecza.

– Kiedy przed kilkunastu laty wydał Pan pierwszą wersję „Osobistej historii...”, jedną trzecią dzisiejszej objętości, jej recenzja okazała się jedną z dwóch tylko napisanych przeze mnie dla „Tygodnika Solidarność” ale nie dopuszczonych do druku przez naczelnego Jerzego Kłosińskiego, ta druga dotyczyła książki Stanisława Srokowskiego „Nienawiść” na podstawie której później Wojciech Smarzowski nakręcił słynny film „Wołyń”. Ta pierwsza nie ukazała się, bo przeważał fakt, że w ocenie skupiłem się na braku szczerzego poparcia Jarosława Kaczyńskiego dla rządu Jana Olszewskiego, chociaż zasiadali w nim ministrowie z Porozumienia Centrum. Dlaczego prezes PC grał na upadek gabinetu Mecenas?

– Rozłam w Porozumieniu Centrum nastąpił właśnie na tym tle, wraz z innymi posłami opowiedziałem się za pełnym poparciem dla rządu przełomu. Kaczyński jednak działał inaczej. Po latach w podobny sposób zachował się wobec kolejnego premiera z własnej formacji, Kazimierza Marcinkiewicza, wtedy to już oczywiście był rząd Prawa i Sprawiedliwości a nie PC. Gdy tylko Marcinkiewicz zaczął budować sobie autonomiczne zaplecze, Kaczyński go odwołał. Gdy w 1991 r. Jan Olszewski po pierwszych wolnych wyborach otrzymał misję sformowania rządu, która się powiodła, rzeczą naturalną byłoby, żeby Kaczyński ustąpił mu miejsca w fotelu prezesa PC jako naturalnemu liderowi całej formacji. Tego jednak nie zrobił.

– Bo marzył już o następnej koalicji, z Unią Demokratyczną, a nie wielkimi ugrupowaniami prawicy w oparciu o które rządził mec. Olszewski?

– Gdy premier Olszewski został odwołany, prezes Kaczyński postanowił, że PC podejmie rozmowy o kolejnej koalicji z Unią Demokratyczną. Uznaliśmy,

że to nie do przyjęcia. Dla nas ta decyzja prezesa oznaczała koniec Porozumienia Centrum, jakie współtworzyliśmy. Powołaliśmy Ruch dla Rzeczypospolitej. Zaś po nieudanej premierowskiej misji Waldemara Pawlaka...

– ...33 dni, tak brzmi tytuł książki Aleksandra Łuczaka o tym epizodzie, bo też tyle trwał...

– ...rząd sformowała Hanna Suchocka, zbudowano koalicję od Unii Demokratycznej aż po Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, ale Kaczyńskiego ani PC już tam nie chciano. Dopiero wówczas stworzył mit rządu przełomu przez siebie wspieranego i obalonego w następstwie akcji lustracyjnej.

– **Dla szczerości Jarosława Kaczyńskiego i różnic ideowych między nim a mec. Olszewskim kluczowy pozostaje spór o ustawę o restytucji niepodległości, zgłoszonej przez Konfederację Polski Niepodległej. Dlaczego poświęca Pan tak wiele uwagi tej kwestii, na wpół już zapomnianej?**

– Jan Olszewski uważał, że projekt należy poprzeć, bo służy idei ciągłości niepodległości, nawiązuje symbolicznie do rządu londyńskiego. Istotne pozostawało również to, że KPN dawała do zrozumienia, że jeśli PC ich ustawę poprze, to Konfederacja wejdzie do rządu Olszewskiego, gdzie Leszek Moczulski zostałby wicepremierem i ministrem obrony. Wydawało się to możliwe i wiadomo, jak rząd by wzmocniło, konfederaci mieli przecież 50 posłów w tamtym tak bardzo rozdrobnionym Sejmie, więcej niż PC. Jednak Jarosław Kaczyński na posiedzeniu klubu PC oznajmił, że Unia Demokratyczna ostrzegła go przed poparciem dla restytucji niepodległości: jeśli je przyjmujemy, UD zerwie rozmowy koalicyjne. Unicy przytaczali możliwe konsekwencje prawne przyjęcia projektu KPN, argumenty wydawały się raczej na wyrost. Zgodnie ze wskazaniem Kaczyńskiego klub PC opowiedział się za odrzuceniem ustawy o restytucji niepodległości. Jan Olszewski jednak widać nie chował urazy, skoro w 1997 r. gdy Kaczyńskiego nie chciano w AWS jako wiceprzewodniczącego – nie dostał tej funkcji, chociaż o nią zabiegał, więc obraził się i odszedł – wtedy właśnie mecenas wziął go na listę wyborczą Ruchu Odbudowy Polski. Tak Kaczyński został posłem. Olszewski po prostu wyciągnął do niego pomocną dłoń. A tamta kadencja okazała się kluczowa. Jarosław Kaczyński poczekał, aż AWS się wypali ze swoją reformatorską misją i energią i wtedy ruszył z projektem kolejnej swojej partii – PiS. Ale przedtem jego sytuacja pozostawała trudna,

ponieważ całe PC pozostawało w AWS a lider... wszedł do Sejmu z konkurencyjnej listy ROP.

– Nie napisał Pan biografii Jarosława Kaczyńskiego, tylko książkę o PC, czy ten wybór to ukłon w stronę ludzi, którzy tę formację budowali?

– Zachowałem jako badacz postawę widza i uczestnika, określoną tak przez francuskiego filozofa Raymonda Arona. Oczywiście nie jest to książka wyłącznie o Jarosławie Kaczyńskim. W znacznie mierze również o jego politycznych oponentach: Lechu Wałęsie, z którym lider PC szybko się poróżnił, Jacku Kuroniu, którego kampanię przed czerwcowymi wyborami w 1989 r. prowadziłem na Żoliborzu. Cieszę się, jeśli odbiera Pan moją książkę również w ten sposób, że oddaje ona sprawiedliwość założycielom Porozumienia Centrum, bo to zgodne z moimi intencjami: wielu z nich współtworzyło później AWS z jej projektem czterech wielkich reform, niejeden sprawdził się poza polityką. Ich intencje były jak najlepsze.

TA REFORMA ZBLIŻYŁA NAS DO UNII EUROPEJSKIEJ

– Czy wtedy przed ćwierćwieczem dało się zauważyć zgodę na założenia reformy samorządowej a diabeł tkwił w szczegółach, stąd tak mozolne i długotrwałe starania o zbudowanie większości w parlamencie?

– Nie do końca działało się to tak, że zgoda obowiązywała. Kiedy do władzy doszła AWS w koalicji z Unią Wolności, wiedzieliśmy, że poprzednicy, a wcześniej rządził krajem przez cztery lata Sojusz Lewicy Demokratycznej zarysowali projekt reformy administracyjnej w Polsce z 12 województwami.

– Takimi samymi, jakie Wasz projekt przewidywał?

– Z dokładnie takimi samymi. Ale złudzeniem okazałoby się przeświadczenie, że wobec tego nasz plan poprą. Zaś koalicjant SLD przez cztery poprzednie lata (1993–97) – Polskie Stronnictwo Ludowe w ogóle opowiadało się przeciwko reformie samorządowej, przynajmniej tak to wtedy odbieraliśmy, skoro chcieli pozostawienia 49 województw utworzonych jeszcze przez Edwarda Gierka, co najwyżej z korektą, że staną się samorządowe, bo tak to wtedy ludowcy ujmowali. A myśmy chcieli zmieniać Polskę na lepsze. W momencie, kiedy nastąpiła zmiana władzy, dla nas stało się jasne, że się tego zadania podejmiemy. Szliśmy przecież do wyborów z obietnicą reformy samorządów. Rząd przygotował jej założenia, gotowe już z końcem 1997 r, zakładaliśmy, że reforma wejdzie w życie 1 stycznia 1999 r.

– I tak się stało?

– Dotrzyliśmy słowa i terminu też. Od początku przyjmowaliśmy zasadę, że powstaną województwa rządowo-samorządowe. Oznaczało to, że wojewoda traci część dotychczasowej władzy na rzecz marszałka województwa ale pozostaje przedstawicielem rządu w terenie. Zakładaliśmy istnienie trzech

stopni samorządu, co oznaczało powołanie na powrót powiatów: powstało ich ponad trzysta, w tym miejskie. I zaczęła się dyskusja o województwach.

– **Dla wielu Waszych posłów to był problem: wybranym z danego okręgu, przyszło głosować za odebraniem jego stolicy miana i statusu miasta wojewódzkiego?**

– Nie lekceważyliśmy tego problemu, ale zależało nam na powstaniu silnych regionów.

– **Przy zachowaniu unitarnego charakteru państwa?**

– Dla nas w AWS zachowanie jego jednolitego charakteru pozostawało oczywiste.

– **Jak zachowała się najsilniejsza wtedy formacja opozycji: Sojusz Lewicy Demokratycznej?**

– Po utracie władzy od razu przeszli do opozycji, a prezydent Aleksander Kwaśniewski, którego wtedy definiowaliśmy jako postkomunistycznego, ich wspierał. Nie było co liczyć na to, że skoro wcześniej sami mówili o 12 województwach, to teraz nasz projekt poprą. Zamiast tego SLD wystąpił z propozycją powrotu do podziału sprzed roku 1975, czyli do siedemnastu województw. Kwaśniewski dawał do zrozumienia, że dwunastu województw nie zaaprobuje.

– **Zarazem spory o mapę administracyjną Polski toczyły się również w samej AWS i UW. Jak z nich wyszliście?**

– W Senacie zaproponowaliśmy kompromis, stał się nim wariant z 15 województwami. Później zaaprobował to Sejm.

– **Ale już nie prezydent?**

– Kwaśniewski zawetował wariant z 15 województwami. Jednak uzgodnienie tej koncepcji w parlamencie, chociaż oczywiście weta prezydenckiego nie byliśmy w stanie odrzucić, bo aż taką siłą głosów nie dysponowaliśmy – stanowiło sygnał, że jesteśmy na kompromis gotowi. Również dla Pałacu Prezydenckiego.

– **Spotkaliście się w pół drogi?**

– Prezydent i SLD obstawali niby przy 17 województwach, jednak przy proponowanym przez nich środkowo-pomorskim, odpowiedniku istniejącego w latach 1950–75 koszalińskiego, pojawił się argument, że powstałby w ten sposób zdecydowanie najuboższy region w Polsce. Raczej nie do zbiccia.

– **Inaczej miała się rzecz ze świętokrzyskim?**

– Weta jak wspomniałem nie byliśmy w stanie odrzucić, więc powołanie szesnastego województwa okazało się ceną kompromisu. Przegłosowaliśmy „16” w parlamencie. Kompromis stał się faktem.

– **Przed wyborami w 1998 r. byłem w Kielcach, tamtejszy baron SLD Henryk Długosz triumfował. Ale potem wpłatał się w aferę, tzw. starachowicką, został nawet skazany. A wszystkie województwa się obroniły, żadne nie okazało się kadłubowe?**

– Rzeczywiście SLD pewnie się spodziewało, że zawsze tam będzie wybory wygrywać. Ale o późniejszych losach Długosza już Pan wspomniał. Zaś Akcja i Unia wprawdzie przegrały wybory parlamentarne w 2001 r., ale nie z powodu reformy administracyjno-samorządowej przecież. Okazała się najbardziej udaną z czterech określanych jako wielkie. Pozostający jej twarzą premier Jerzy Buzek w pierwszych wyborach do Parlamentu Europejskiego z udziałem Polaków w 2004 zdobył rekordową liczbę głosów, co zyskało wymiar symbolu.

– **Kto wtedy, kiedy ważyły się losy reformy administracyjno-samorządowej prowadził rozmowy, które zaowocowały kompromisowym rozwiązaniem?**

– Ze strony koalicji rządzącej za reformę odpowiadał politycznie Janusz Tomaszewski, wicepremier oraz minister spraw wewnętrznych i administracji. Prowadziłem w imieniu AWS rozmowy, w których kompromis się wykuwał, zaś w koalicyjnej Unii Wolności podobną rolę odgrywał sekretarz generalny Mirosław Czech. Zastosowaliśmy pewną pozytywną presję, bo tak trzeba było politycznie odczytać zmianę liczby województw na 15 już w Senacie. To był mój pomysł. Stanowiło to dowód, że pozostajemy elastyczni, ale przede wszystkim, że na przeprowadzeniu reformy rzeczywiście nam zależy. Nie w kategoriach ustępstw wypada to odbierać. Zademonstrowaliśmy raczej skutecznie, iż nie postawimy w ten sposób sprawy, że dwanaście województw albo nic, żeby potem na oponentów czy nawet sceptyków we własnym obozie zrzucić odpowiedzialność, że się nie powiodło. Przyniosło to pozytywne rozwiązanie. Zamiast wzajemnych oskarżeń mamy reformę samorządową. Na tym polega polityka. Dla mnie jej sens objawia się w takich właśnie działaniach. Nie graliśmy przecież w numerki a już na pewno nie była to gra o sumie zerowej. Nic

by nam wtedy nie dało powtarzanie w kółko, że SLD odszedł od projektu, który sam przedtem zgłosił. Efekt się liczy. A ten okazał się imponujący z perspektywy członkostwa Polski w Unii Europejskiej, o które wtedy się dopiero ubiegaliśmy.

– Jak by Pan ten rezultat określił?

– Jasny sygnał, że uratowaliśmy reformę samorządową, a Polacy są gotowi skutecznie reformować własne państwo, przekonał Unię Europejską, że Polska się zmienia. Bez tej determinacji, jaką okazaliśmy wtedy, tak szybko nas by do Unii nie wpuszczono. Oczywiście nowy podział administracyjny kraju na silne regiony o zakorzenionej tożsamości pozwolił nam łatwiej wkomponować się w rzeczywistość Unii Europejskiej. Ale powodzenie reformy okazało się wcześniej kluczowe dla decyzji, że nas do Unii przyjęto. Tak naprawdę – silne i niezależne samorządy to był warunek akcesji. Ta reforma ułatwiła nam wejście do UE, zbliżyła nas do Zjednoczonej Europy.

NA SZCZĘŚCIE ZDAŻYLIŚMY WPROWADZIĆ POLSKĘ DO NATO

– Uczestniczył Pan jako parlamentarzysta w rozmowach, które decydowały o obecnych sojuszach międzynarodowych Polski. Jak postrzega Pan ich efekt, gdy obserwuje Pan obecne wydarzenia na Ukrainie, trwającą rosyjską inwazję?

– Mam poczucie, że rząd Jana Olszewskiego słusznie na początku lat 90 stanowczo postawił kwestię potrzeby przynależności Polski do NATO i struktur europejskich, mówię w ten sposób, bo Unia dopiero przybierała swoją obecną wspólnotową postać, to był przecież czas porozumienia z Maastricht.

– **To nie była jedyna możliwa opcja?**

– W tym czasie popularne pozostawały wynikające z pewnego rodzaju euforii po rozpadzie Związku i bloku radzieckiego tezy o końcu historii, które głosił Francis Fukuyama. Demokracja liberalna miała wygrać już na zawsze. Imperialna Rosja zaś – leżeć na łopatkach.

– **Nie okazało się to aż tak proste?**

– Miałem wtedy inne poczucie: oddechu tego starego sowieckiego imperium na plecach. Podobnie rozumowali liczni politycy z otoczenia Mecenasa Olszewskiego, który postulat wejścia Polski do Sojuszu Atlantyckiego głośno i publicznie postawił, a później z Akcji Wyborczej Solidarność, która go w 1999 r. wprowadziła w życie.

– **Symboliczny to był rok, naprawdę kończący dla nas wiek XX, kiedy byliśmy rozrywani przez agresywne mocarstwa. Pamiętam w latach 70 w gierkowskiej jeszcze telewizji taki serial „Cosmos 1999” popularne science fiction, jego autorzy niewątpliwie też ulegli symbolicznemu urokowi końca milenium, na wiele lat przedtem. Fabuła była taka, że w wyini-**

ku eksplozji nuklearnej na Ziemi zasiedlony przez ludzi Księżyc się od niej odrywa i przebywający tam bohaterowie szukają miejsca dla siebie.

– Można powiedzieć, że Polska to miejsce akurat w czasie przełomu milenijnego dla siebie znalazła. Zapewniliśmy Ojczyźnie bezpieczeństwo. Pamiętam, jak żmudnych wysiłków to wymagało. Tylko w latach 1997–99, a więc między wyborczym zwycięstwem AWS a akcesją do NATO, dwa razy jeździłem do Stanów Zjednoczonych. Wiele razy jako sekretarz klubu Akcji odbywałem rozmowy z amerykańskim ambasadorem w Warszawie Danielem Friedem, bardzo życzliwym naszym aspiracjom. Pojawiały się różne dylematy, czy najpierw do NATO czy do Unii, w końcu do Wspólnoty przyjęto nas pięć lat później niż do Sojuszu Atlantyckiego, bo w 2004 r. ale trzeba było równocześnie pracować na jedną i drugą decyzję.

– Efekt poznajemy teraz?

– Będąc w NATO, jesteśmy zabezpieczeni. Znamy cenę nieskutecznych gwarancji w polskiej historii, sojuszy dwustronnych, które zawiodły nas jak w 1939 r. Czym innym okazuje się przynależność do NATO w tym gwarantujący nam obronę ze strony innych członków Sojuszu Atlantyckiego artykuł 5. Ważne, że nie straciliśmy tamtego czasu, zabezpieczyliśmy Polskę. Wcześniej zaś Polska jako pierwszy kraj na świecie uznała niepodległość Ukrainy. Wiadomo, że długo powracały tam do władzy stare układy poradzieckie. Gdy w 2014 r. po raz kolejny zwyciężyła orientacja prozachodnia, a przegrał Wiktor Janukowycz – Władimir Putin zaczął planować inwazję. Czekał na dogodny moment. Sytuacja niesie dla Polski wiele wyzwań, jednak nawet masowy napływ uchodźców nie musi stać się dla nas katastrofą, jeśli roztropnie temu podołamy to nawet następstwa dla polskiej demografii okażą się korzystne, tym bardziej, że przecież miliony Ukraińców już tu pracują. Oni będą pomagać świeżym przybyšom. Zaś my musimy uzyskać pomoc zamożnych państw zachodnich, wsparcie logistyczne. Kulturowo wcale nie tak odlegli, jesteśmy w stanie tę falę wchłonać.

– Zaś najbardziej prawdopodobna odpowiedź na pytanie gdzie zatrzyma się Putin brzmi dziś: na granicy NATO?

– To pokazuje epokowy wymiar tamtych decyzji sprzed ćwierćwiecza, w których podejmowaniu miałem zaszczyt uczestniczyć. Dobrze się stało, szczęście w nieszczęściu, że kryzys i wybuch gorącego konfliktu przypadły na czas przy-

NA SZCZĘŚCIE ZDAŻYLIŚMY WPROWADZIĆ POLSKĘ DO NATO

dentury Joego Bidena. Bo przecież to o amerykańskie gwarancje w pierwszym rządzie chodzi. Biden to polityk, który dojrzewał w klimacie globalnej rywalizacji między USA i ZSRR, senatorem został, gdy Związek Radziecki znajdował się za Leonida Breżniewa u szczytu militarnej potęgi. Rozumie więc logikę działań Putina, nawet jeśli trudniej ją pojąć młodszym amerykańskim politykom. I łatwiej mu przyjdzie znaleźć środki przeciwdziałania. Putin pragnie odbudować imperium. Dla mnie symboliczna wydaje się scena, jaką widziałem w przekazie telewizyjnym: czołg rosyjski wjeżdżający na terytorium Ukrainy z dawną flagą ZSRR, z sierpem i młotem, wystającą z wieżyczki. Wierzę, że Biden odnajdzie się w tej sytuacji i również Polska sprosta wyzwaniom, w tym długotrwałym procesie, gdy świat po inwazji Rosji na Ukrainę będzie wyglądał inaczej niż przedtem.

NASTĘPCY RZĄDZILI NA NASZ KOSZT

– Mija 20 lat od zwycięstwa Akcji Wyborczej Solidarność i objęcia przez nią rządów. Nikt rocznicy nie świętuje, może dlatego, że następcy nie mogą się pochwalić podobnymi dokonaniem jak pamiętne cztery reformy. Jak AWS ocenia historycy, Pan jest zarówno autorem wielu prac o historii najnowszej, jak współtwórcą tamtego wyborczego sukcesu?

– Im dalej od tamtych wydarzeń, tym dokonania AWS... lepiej się bronią. Wprawdzie w 2001 r. Akcja, podobnie jak współrządzająca z nią do 2000 r. Unia Wolności, nie weszła do Sejmu – ale już trzy lata później Jerzy Buzek w wyborach do Parlamentu Europejskiego jako kandydat Platformy Obywatelskiej uzyskał najlepszy wynik w kraju. Dawnego premiera z AWS Polacy uznali za symbol reform, w tym najważniejszej z nich – samorządowej.

– Ludzie patrzą z perspektywy czasu bardziej sprawiedliwie?

– Jak się patrzy na SLD, PO i PiS, na wszystkie kolejne rządy- nie ulega wątpliwości, że AWS jako ostatnia kierowała się w swoich działaniach filozofią reformy państwa. Jestem spokojny, że z czasem zarówno wśród historyków jak w opinii publicznej przeważą pozytywna ocena czterech lat rządów Akcji.

– Bo Wam jednak chodziło o Polskę, jej unowocześnienie i naprawę, a SLD czy PiS już tylko o posady i kasę lub co najwyżej upokorzenie rywali?

– AWS okazała się ostatnią formacją, która nawiązywała do etosu Solidarności, który wcześniej próbowały realizować rządy Mazowieckiego, Bieleckiego, Olszewskiego i Suchockiej. Sprawę reformy państwa uznawała za pierwszoplanową nawet, gdyby przyszło za nią zapłacić przejściową – jak wtedy mieliśmy nadzieję – utratą poparcia społecznego. Kolejne formacje u władzy – SLD, PO

i PiS – na pierwszym miejscu stawiały już interes własny, potem dopiero dobro państwa i społeczeństwa.

– Warto było zapłacić za reformy utratą władzy?

– Cztery fundamentalne reformy na nowo konstruowały państwo i z definicji musiały być bolesne w okresie przejściowym. Co ciekawsze – główni nasi krytycy w końcowym okresie rządów Akcji – Donald Tusk i Jarosław Kaczyński bez oporu... zatrudniali w swoich rządach naszych ministrów.

– Biernacki w gabinecie PO, Szyszko w rządzie PiS – jednak nie o kadry chodzi... Z czterech wielkich reform zostało niewiele.

– Miller zniósł kasy chorych, które już zaczynały sprawnie działać, jego decyzja skutkuje zapaścią ochrony zdrowia, lansowane przez PiS finansowanie z budżetu niczego nie ratuje. Reformę edukacji właśnie likwiduje PiS, kasując gimnazja, co utrudni awans młodzieży z mniejszych ośrodków. Najbardziej spektakularna wydaje się likwidacja reformy emerytalnej – wspólnymi siłami PO i PiS, bo pierwsza partia przejęła do budżetu państwa połowę środków z OFE, a druga właśnie to zapowiada.

– Zwykle wrogie, w jednym zgodne: szybko położyć rękę na kasie?

– Dzięki udanej reformie emerytalnej rządu AWS-UW – Platforma u władzy mogła zrównoważyć budżet, przejmując połowę środków z OFE. Teraz drugą połowę zabierze PiS na realizację swoich kosztownych planów. Mechanizm, który stworzyliśmy – następcy wykorzystują na bieżące finansowanie państwa.

– Ułatwiliście pracę następcom, teraz żyją na Wasz koszt?

– Wprowadzana przez AWS i UW reforma miała służyć emerytom, nie politykom. Rzeczywiście dziś wygląda to tak, że następcy rządzą na nasz koszt.

– Jednej reformy nie tknęli – samorządowej? Jerzy Buzek powtarzał: idziemy po władzę po to, żeby ją oddać ludziom.

– To hasło pomogło nam wygrać wybory samorządowe w 1998 r, chociaż koszty reform były odczuwalne. Odwołaliśmy się jednak do tego, że pierwszymi wolnymi wyborami były samorządowe z 1990 r, a tradycję pierwszej Solidarności najlepiej kontynuował ruch komitetów obywatelskich. 16 województw było kompromisem, najpierw myśleliśmy o 12, potem wrogi reformie samorządowej prezydent Aleksander Kwaśniewski zawetował nasz projekt

z piętnastoma. Zejście z 49 województw do szesnastu oznaczało rewolucyjną zmianę, umożliwiającą późniejsze skuteczne pozyskiwanie środków europejskich z funduszy strukturalnych. W chwili uchwalenia reformy jeszcze w Unii Europejskiej nie byliśmy, AWS i UW udowodniły tu, że potrafią myśleć dalej niż o końcu kadencji (2001), bo to po 2004 nowy podział się przydał, nie zmarnowaliśmy środków z Brukseli jak Rumunia. Stały się dobrodziejstwem dla większości Małych Ojczyzn, trwale odmieniły ich wygląd. W tym sensie słowa, że oddamy władzę ludziom nie okazały się sloganem.

– AWS była patriotyczna – pamiętamy rekonstrukcje Bitwy Warszawskiej. I była demokratyczna aż do bólu, za co zapłaciła wysoką cenę?

– W Ossowie w sierpniu 1998 r. premier Buzek zeskoczył z mównicy, żeby zmieszać się z tłumem, a rekonstrukcja bitwy była pierwszą na taką skalę. Za czasów AWS zaczął realnie działać Instytut Pamięci Narodowej. Do tej tradycji PiS się teraz odwołuje. Z kolei Platforma nawiązuje do właściwego Akcji kulturowania demokracji na każdym szczeblu. AWS przyjęła z nauki społecznej Kościoła zasadę pomocniczości jako fundament reformy samorządowej. Docenia ją też chadecja niemiecka czy hiszpańska centroprawica. Za to PiS dystansuje się od pomocniczości, choć chrześcijański rodowód podkreśla.

– A Jarosław Kaczyński miał szansę zostać wiceprzewodniczącym AWS, tyle, że... nie chciano go w tej roli?

– Kaczyński aspirował do roli zastępcy Mariana Krzaklewskiego. Nie chciało go Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, ani małe partie nazywane „spółdzielnią” bo sprawnie połączyły siły i głosowały solidarnie. Prezes ZChN Marian Piłka był przeciw, co Kaczyński mu do dziś pamięta. Oponenti obawiali się, że Kaczyński zagra we własną grę i spróbuje Krzaklewskim manipulować. W końcu Kaczyński obraził się i wystartował z listy Ruchu Odbudowy Polski, na którą go przyjął Jan Olszewski. Kaczyński ustawił się sprytnie jako patron Porozumienia Centrum w roli krytyka, choć jego ludzie pozostali na listach AWS.

– Szacunek dla demokracji wiele AWS kosztował, uznano ją za kłótniową z powodu nieustających debat. Krzaklewski nie zgodził się na przejście TVP, bo uważał, że przesłanki prawne są słabe, co za czasów Kurskiego i Lichockiej brzmi jak anegdota?

NASTĘPCY RZĄDZILI NA NASZ KOSZT

– Krzaklewski popełnił błąd, władze TVP nie złożyły w terminie sprawozdania, istniały prawne podstawy do ich wymiany przez ministra skarbu, którym był wtedy Emil Wąsacz. Rozumiem jednak intencję pytania: rzeczywiście AWS bardzo liczyła się z opinią publiczną. Za sprawą TVP kierowanej przez Roberta Kwiatkowskiego upowszechnił się obraz skłonnej do swarów Akcji, chociaż proces konsolidacji trwał, początkowe kilkadziesiąt partii połączyło się w kilka.

– **Dobrze, to jaka jest różnica między AWS, a na przykład SLD?**

– Akcja zeszła ze sceny, ale zostawiła po sobie konstrukcję państwa, trwała również po 20 latach. SLD odeszło w niebyt, nie zostawiając po sobie nic, poza aferą Rywina, chociaż miało w parlamencie przewagę. Największym kapitałem w polityce są ludzie, więc warto spojrzeć na popularnych prezydentów miast, którzy wywodzą się z AWS i rządili długo, jak Piotr Uszok w Katowicach albo z woli mieszkańców pozostają u władzy do dzisiaj, jak Piotr Adamowicz w Gdańsku, Wojciech Szczurek w Gdyni czy Rafał Dutkiewicz we Wrocławiu. Za samą tylko reformę samorządową AWS należy się dobre miejsce w historii.

WAŻNE, ŻE NIKT NIE BĘDZIE WYKLUCZONY

– W jaką stronę rozwijać się będzie polska polityka? Pytam o perspektywę wyborów w 2027 r, chociaż wiem, że u nas niełatwo przewidywać, potwierdza to doświadczenie najnowszej historii. Kiedy do wyborów z 1997 r pozostał podobny czas jak nam do najbliższych parlamentarnych, ich przyszła zwyciężczyni, Akcja Wyborcza Solidarność jeszcze nawet nie istniała, powołano ją dopiero w czerwcu 1996 r. Z kolei na dwa lata przed głosowaniem z 15.10.2023 dość powszechnie typowano trzecie zwycięstwo PiS, że oto Jarosław Kaczyński ścigać się będzie z Viktorom Orbanem w liczbie wygranych, a wyszło zupełnie inaczej, jak pamiętamy?

– Nawet jeśli prognozować trudno, warto w ocenie skupić się na tym, co bezsporne. Mamy zrównoważony układ polityczny w Polsce. Taką sytuację stworzyło zwycięstwo Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich w prawie dwa lata po wygranej przeciwstawnego obozu w głosowaniu do Sejmu i półtora roku po utworzeniu rządu Donalda Tuska. Jedna część społeczeństwa orientuje się na układ rządowy, druga uznaniem obdarza prezydenta, który nie jest pisowski, nie dlatego, że jeszcze w kampanii określił siebie mianem kandydata obywatelskiego, tylko z tego powodu, że głosowali na niego, przynajmniej w drugiej turze, wyborcy Konfederacji, a ściślej obu partii, co teraz mają to słowo w nazwie.

– **Słabną za to ci, co pośrodku?**

– Elektorat Koalicji Obywatelskiej jeśli rośnie i się umacnia, to kosztem przystawek: koalicjantów. Zwłaszcza projekt polityczny Polski 2050 nieubłaganie się zamyka po odejściu Szymona Hołowni z funkcji marszałka Sejmu. Jedni zapewne powalczą o miejsca na listach KO, inni przystaną nawet do opozycji, byle szanse reelekcji uzyskać. Ale tu nie widzę przyszłości. Spadek popularności

Polskiego Stronnictwa Ludowego postrzegam za to w zupełnie inny sposób. Pomiędzy wyborami ta partia zawsze jest niedoszacowana w sondażach. Zachowuje jednak silne struktury w terenie, jakich inni nie mają. Znajdowała pomysły na kolejne wybory w postaci zawieranych koalicji: w 2019 r. z formacją Pawła Kukiza zaś w 2023 r. wraz z partią Hołowni stworzyła Trzecią Drogę. Jeśli teraz powstanie nowy byt polityczny, to zapewne ludowcy okażą się pierwszymi, co mu wspólne pójście do wyborów zaproponują.

– Lewica, kolejny koalicjant KO, też słabnie, niemal we wszystkich sondażach urobek ma mniejszy niż w wyborach przed dwoma laty, ale liczy, że się od dna odbije dzięki objęciu przez Włodzimierza Czarzastego funkcji marszałka Sejmu?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że będzie odwrotnie i Czarzasty raczej tę formację pogrzebie. Partie lewicowe są dwie: Nowa Lewica i Razem. Czarzasty jako lider nie doprowadzi do ich porozumienia i wspólnej listy. Mógłby tego dokonać młodszy polityk, pozbawiony uprzedzeń, ale też same-mu ich nie wzbudzający. A gdy Lewicy przewodzi Czarzasty może powtórzyć się rok 2015, kiedy to obie partie rozbiły głosy sobie nawzajem i żadna do Sejmu nie weszła.

– Czyli, jeśli mowa o partiach sprawujących władzę, to tylko sytuacja Koalicji Obywatelskiej prezentuje się zachęcająco?

– Nie do końca tak się dzieje. KO zaczyna przypominać PiS przed 2023 rokiem. I może skończyć swoje rządy tak samo.

– Pyrrusowym zwycięstwem?

– W wyborach odnotuje najlepszy wynik, ale to będzie tylko arytmetyka. Z braku koalicjantów nie utworzy rządu. Podobnie jak po 15 października 2023 r. nie powstał kolejny pisowski gabinet Mateusza Morawieckiego. Jeśli teraz z kolei KO nie będzie zdolna stworzyć rządu, układ sił zmieni się i to trzy ugrupowania na prawicy: Prawo i Sprawiedliwość, Konfederacja oraz Konfederacja Korony Polskiej będą zmuszone do tego się zabrać, nawet jeśli przyjdzie im utworzyć koalicję trudną, bo relacje między nimi pozostają nieprzyjemne.

– Kto ich do tego zmusi?

– Wyborcy wszystkich trzech ugrupowań, o których mowa, są zdeklarowani, łączą ich pozycja antyrządowa, chcą końca władzy Tuska. Będą się doma-

gali, by inny, nowy rząd powstał. I nie da się tego zlekceważyć, bo wtedy część z nich ponownie na te partie nie zagłosuje.

– **Rząd więc powstanie i..?**

– To będzie trudny rząd. Tak jak ten Tuska, z kilkoma podmiotami i mało stabilny. I niezbyt jednorodny w sposobie, w jaki prezentuje się na zewnątrz.

– **Czy ktoś okaże się tu postacią kluczową?**

– Szczególną pozycję zachowa Karol Nawrocki. Już rozmawialiśmy o tym, że nie jest wyłącznie pisowskim prezydentem. Dlatego, że to wyborcy obu Konfederacji rozstrzygnęli o jego zwycięstwie, pamiętamy przecież, jak nikła była różnica w liczbie zdobytych 1 czerwca 2025 r. głosów między nim a Rafałem Trzaskowskim. Po kolejnych wyborach Karol Nawrocki może przyjąć pozycję patrona nowej koalicji.

– **Rozmawiamy trochę o tym, co się zdarzy, bo musi, nie może inaczej.**

Czy coś optymistycznego powie Pan na koniec?

– Żadna ze stron nie jest wyrzucona poza system demokratyczny ani poza nawias polskiej polityki. A nawet na jej margines. Okazuje się, że głosy oddane na formacje uchodzące za niezmiernie radykalne, czy to Konfederację Korony Polskiej Grzegorza Brauna czy Razem Adriana Zandberga, również będą mieć wpływ na kształt Sejmu i polityki, na przyszlą większość rządową, jaka się uformuje. Ze społecznego punktu widzenia to bardzo dobrze. Nikt nie ma podstaw, by poczuć się wykluczony. Na tym również całe piękno demokracji polega, że każdy głos się liczy, to nie slogan.



ROZMOWY Z ...

Na stronach 153–353 publikujemy rozmowy Andrzeja Anusza i Łukasza Perzyny z rozmówcami, które ukazywały się w latach 2019–2024, na łamach kwartalnika społecznego i naukowego „OPINIA” wydawanego przez Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.

ANDRZEJ ANUSZ
ANDRZEJ SADOWSKI
ŁUKASZ PERZYNA

CZULIŚMY SIĘ WOLNI W TAK DZIWNYM KRAJU JAK PRL

ROZMOWA Z MARKIEM BOROWIKIEM.



– Jak zapamiętał Pan klimat lat 70. kiedy z Pana wydatnym udziałem rozdziły się wydawnictwa niezależne. Jak rozumiemy, z punktu widzenia drugiej strony zaangażowanie w działalność opozycyjną w tym również wydawniczą oznaczało wstąpienie na drogę przestępstwa politycznego, jeśli użyć języka ich propagandy a po ludzku mówiąc – na zawsze przekreślenie kariery?

– Punkt widzenia drugiej strony mało nas interesował. Na pewno wyglądało to tak, jak Panowie to opisują. Jeden z Panów (Andrzej Sadowski) ma

na sobie koszulkę z nadrukiem „Element antysocjalistyczny”. Pojawiły się one w 1980 r, kiedy milicja przez czas jakiś, kilkanaście miesięcy, nie biła za to, co się nosi – bo tak wcześniej ale też i wtedy tak określano opozycję w propagandzie oficjalnej. Dla nas jednak istotne było co innego. Czuliśmy się wolni w tak dziwnym kraju jakim był PRL. Po czasach studenckich atmosfera była najpierw przygnębiająca, zaciążył na niej Marzec 1968 r, a szczególnie wydarzenia na wybrzeżu w 1972 roku, również propaganda czasów wczesnego Edwarda Gierka. Jednak gdzieś od połowy lat 70. coś się odczuwalnie zaczęło zmieniać.

– **Jak Pan by określił symptomy tej zmiany?**

– Odwaga tych ludzi, którzy funkcjonowali w naszym otoczeniu, rzucili systemowi wyzwanie, publicznie, z imieniem i nazwiskiem – stanowiła ten nowy element. Tak jakby tchnienie, świeży wiatr wolności, który pozwolił oddychać pełną piersią. W moim przypadku niewątpliwie duży udział w tym wietrze mieli Adam Michnik i Jacek Kuroń.

– **Kiedy po raz pierwszy?**

– Po powstaniu KOR. Mieszkalem wtedy na Ochocie. Tuż przy kościele na Hynka, który stał się ośrodkiem działalności opozycyjnej. Piękny czas i ludzie, którzy chcieli rozmawiać i usłyszeć coś innego niż cenzurowana propaganda proponowała, wymiana gazetek opozycyjnych i tworzenie biblioteki wydawnictw drugiego obiegu.

– **I już wkrótce przy okazji wizyty w Polsce prezydenta Stanów Zjednoczonych Jimmy’ego Cartera przedstawiciel prasy niezależnej zyskał możliwość zadania mu pytania?**

– Ważne to oczywiście było ale jednak nie odebrałem tego wydarzenia jako przełomu.

Amerykański prezydent przyjechał i – co istotne – mówi o prawach człowieka. To ważne ale ten element wymagał dopełnienia. Jądro opozycji czyli działalność wydawnicza, redakcyjna, kolportaż wymagały znacznych środków finansowych. Doskonale to zrozumiała administracja amerykańska prezydenta Reagana. Dopiero jego działania wsparty jak należy antykomunistyczne podziemie w Polsce, co pozwoliło na większą skalę drukować i wydawać poza obiegiem oficjalnym.

– **Rolę prekursorską odegrało tu jednak w latach 70. powstanie Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA?**

– To był zapłon i zacyzn, nastąpiła instytucjonalizacja wolnego słowa. Wiadomo, że i wcześniej był samizdat, jak w innych krajach bloku wschodniego, rozprowadzanie w maszynopisie materiałów i utworów literackich, które nie mogły przejść przez cenzurę albo też ich autorzy nie chcieli ich tam zanieść. Pod koniec lat siedemdziesiątych spotkaliśmy się u Wacka HOLEWIŃSKIEGO w domu z Przemkiem CIEŚLAKIEM. Rozmawialiśmy i wyszło, że chcemy razem stworzyć niezależne wydawnictwo. Tak powstała „Niezależna Spółdzielnia Wydawnicza 1”. Z pomysłem i prośbą o pomoc udaliśmy się do Mirka CHOJECKIEGO. Wysłuchał nas ze zrozumieniem i zainteresowaniem. Zapytał jedynie czy nie bierzemy pod rozwagę możliwość wydawania książek w NOW-iej. Nie braliśmy takiej możliwości pod rozwagę ale za to poprosiliśmy Mirka o papier, farbę, matryce, maszynę biątkową. Prośba została spełniona. Zostaliśmy wydawcami. Wszystko zmieniło się po sierpniu 1980 roku. Już wcześniej byliśmy zaangażowani w druk ulotek, oświadczeń, informatorów itp. na potrzeby strajkujących. Mirek ponownie zadał pytanie czy nie chcemy włączyć się w strukturę NOWej. Przemek i ja skorzystaliśmy z propozycji, Wacek postanowił pozostać samodzielnym wydawcą i słusznie o czym świadczy „Przedświt”.

– **Jaki był Panów pierwszy plan wydawniczy?**

– Przemek Cieślak koniecznie chciał opublikować „Jeden dzień z życia Iwana Denisowicza” Aleksandra Sołżenicyna. Holewińskiemu z kolei marzył się „Ósmy dzień tygodnia” Marka Hłaski. Zaś ja bardzo chciałem, żeby za naszą sprawą ukazały się „Style politycznego myślenia” Marcina Króla. Plan został zrealizowany. Kościół na Hynka okazał się niezwykle ważną instytucją również w tym aspekcie. Tam się ludzie spotykali. Wymieniali bibułę. Z tego miejsca pozyskaliśmy również wielu współpracowników.

– **Nie byliście więc kawiarnianą opozycją, jak się czasem wtedy mawiało?**

– Rzeczywiście w opublikowanym na Zachodzie tomie esejów Jana Kotta „Kamienny Potok” znajduje się taka scena, jak autor, emigrant podczas krótkiego pobytu w Polsce czeka w kawiarni w alejach Ujazdowskich na Mirosła-

wa Chojeckiego i ten się pojawia, kładzie na stoliku świeży, pachnący farbą drukarską – przy publikacjach drugiego obiegu naprawdę było ją czuć – tom szkiców, w kraju wydanych poza cenzurą przez NOWą. Ale to był już bodajże rok 1981, spotkanie z emigrantem, inne realia. Raczej tam w kawiarniach, gdzie ściany miały uszy, nie załatwialiśmy spraw ważnych. Sytuacja zmieniła się nieco w drugiej połowie lat 80, kiedy część rzeczy działało się już półlegalnie, chociaż wciąż musiały pozostać zadołowane maszyny drukarskie, magazyny papieru, farb i gotowych już nakładów. Kościół przy Hynka okazał się wtedy niezastąpiony. Piękny, najpierw drewniany w niepowtarzalnym stylu, potem murowany, gigantyczny. Wiadomo, z jakimi kłopotami stykaliśmy się przy pozyskiwaniu współpracowników do działalności opozycyjnej. Kościół dawał pewność i zaufanie. Tamto miejsce przy Hynka okazało się szczególne. Wysoko ceniłem i cenię braci Witka i Bobka Sielewiczów a to właśnie tam ich wtedy poznałem, Witek w 1989 r. przed 4 czerwca prowadził kampanię kandydatów Komitetu Obywatelskiego na Ochocie. Wtedy w latach 70. udało się namówić Adama Michnika, żeby wspierał poprzez swoje kontakty naszą akcję zapraszania prelegentów występujących z ważnymi wykładami politycznymi, historycznymi, społecznymi. Spotykaliśmy się co dwa tygodnie. Szczególnymi gośćmi byli m.in. Stefan Kisielewski, Stanisław Stomma, Marcin Król, Tomek Łubieński. Dopiero gdy zaproszony był Jacek Kuroń, pojawił się kłopot z gospodarzem. Nie z księdzem proboszczem lecz z jednym z jego wikarych. Nagle się zagubił czy ściślej okazał się dla nas niemożliwy do odnalezienia. Zapukaliśmy wtedy do księdza proboszcza, bo cóż było robić, nasz gość już przybył. Proboszcz również nie miał klucza do salki katechetycznej, ale wpuścił nas do siebie, do mieszkalnej części plebanii. Po prostu własne mieszkanie oddał nam ksiądz proboszcz do dyspozycji, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

– **Jak doszło do rezygnacji z samodzielności „jedyńki”?**

– Przez podział... To po części tylko żart. Nasza „Jedynka” miała swój dorobek. Przyszły jednak czasy rewolucyjne. Dostawaliśmy nowe zadania. Głównie związane z obsługą strajkujących. Któregoś czwartego dnia 1980 roku, późnym wieczorem, ok północy, taka był reguła, otrzymałem matryce ulotek, które trzeba było dostarczyć Zbyszkowi Bujakowi i chyba Janasowi przed godz szóstą

rano pod bramę Ursusa. Tego dnia przez Warszawę przeszła gwałtowna burza, skutkowało to awariami sieci elektrycznej. Dysponentem lokalu drukarni, chyba w miejscowości Kanie był Witek Sielewicz. Byliśmy sąsiadami, szybko do niego dotarłem, pukam, otwiera mi Mama Witka. Informuje mnie, że Witek przed chwilą wrócił a od trzech godzin czeka na niego dziewczyna i być może nie będzie chciał jej zostawić. Przekonałem ją, że jeżeli my tego nie zrobimy to nie dojdzie do strajku w Ursusie. Dziewczyna zgodziła się zostać jeden dzień dłużej, my pojechaliśmy. W drukarni egipskie ciemności, znaleźliśmy świeczkę. Ja kręciłem korbą, Witek podawał papier, po 30 minutach zmiana ja podaję papier, Witek kręci korbą i tak produkowaliśmy ulotki. Strajkujący otrzymali je przed szóstą.

– Jaki klimat towarzyszył Waszej ówczesnej działalności?

– Fajnie było. Dobrze się bawiliśmy. Wydawało się książki. To było coś.

– **Czy Służba Bezpieczeństwa bardzo w tym przeszkadzała? System był wciąż autorytarny, chociaż już nie totalitarny?**

– W NOW-ej nie było istotnych tajnych współpracownika SB. Mieliliśmy problem, już w latach osiemdziesiątych, z Jarosławem Dziubą, agentem od 1967 roku, kandydatem do zakonu Dominikanów, dzięki pomocy ojca Jacka Salij został zdekonspirowany. Czy Paweł Mikłasz w którego współpracę nie mogłem uwierzyć do czasu kiedy przeczytałem sprawozdania z naszych rozmów w aktach SB. Stale miały miejsce zatrzymania i przeszukania, czasem aresztowania – jak Mirosława Chojeckiego pod idiotycznym zarzutem kradzieży powielacza. Na takie selektywnie raczej stosowane represje pozostawaliśmy przygotowani. W powszechnym użyciu znajdował się w naszym środowisku poradnik „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa” napisany przez mec. Jana Olszewskiego. Wskazywał, jak się zachowywać w razie zatrzymania i podczas przesłuchania. Pouczał, że każda odpowiedź na pytanie stanowi okazję do... zadania kolejnych trzech. Tego się trzymaliśmy.

– **Andrzej Friszke w swoim szkicu o stuleciu historii „bibuły” stanowiącym przedmowę do wydanej już w nowej Polsce książki zbiorowej, opowieści o „Przeglądzie Wiadomości Agencyjnych” przywołuje esbeckie statystyki, z których wynikało, że służby konfiskowały nawet 25 nakładów niezależnych wydawnictw, tylko w 1979 r. miało to być 300 tys zadrukowanych stron. Czy to wiarygodne oszacowania?**

– Tego ocenić nie potrafię. Ale 300.000 stron to 75.000 kartek co daje 150 ryz papieru to dużo ale nie poraża. Niemniej część skonfiskowanych publikacji odnajdywało się później na Skrze. Na bazarze, gdzie dyskretnie dało się je kupić spod lady. Podobno, esbecy bukinistom z zyskiem je sprzedawali, w ten sposób to działało. Dzięki ich demoralizacji książka nawet raz już skonfiskowana wchodziła w trzeci obieg. Chociaż część szła jednak do papierni w Jeziornie na przemiał. Pamiętam taką historyjkę. Podczas rewizji, w połowie lat osiemdziesiątych, skonfiskowano mi kilkadziesiąt pozycji wydawnictw niezależnych. Po kilku miesiącach zostałem wezwany do Pałacu Mostowskich. Co ciekawe okazało się, że chcą mi książki opisane w protokole zwrócić. Kilku tytułów brakowało ale nie chciało mi się chandryczyć, ciekawsze dopiero nastąpiło. Zacząłem pakować zwrócone książki, w pewnym momencie esbek bierze jedną z książek i mówi – tego nie mogę zwrócić – pytam – a to czemu, – nie mam tej pozycji w swojej bibliotece – padła odpowiedź.

– **Jeszcze w 1988, ostatnim pełnym roku realnego socjalizmu w Polsce, SB dysponowała 100 tys. tajnych współpracowników?**

– Pozostaje pytanie ile oni byli wariaci jako źródło informacji. 100.000 to ogromna ilość. Ciekaw jestem jaka ich liczba to martwe dusze służące esbekom do podniesienia poziomu wynagrodzeń. Poziom infiltracji był zróżnicowany, dlatego z taką mocą podkreślam znaczenie faktu, że do NOW-ej ani jednego tajnego współpracownika nie udało się skutecznie drugiej stronie wprowadzić. Duże znaczenie dla przeciwdziałania inwigilacji miała nasza ostrożność. W aktach SB przeczytałem kiedyś, że trudno mnie obserwować.

– **To duży komplement ze strony przeciwnika?**

– Po prostu zwracałem uwagę, kto za mną jeździ. Rejestracje samochodów zapamiętywałem. Bo przecież nie zapisywało się niczego, co ważne, chyba że jakimś szyfrem własnym. Wtedy trzeba było mieć doskonałą pamięć żeby przetrwać. W głowie miało się setkę numerów telefonów i adresów i tablic rejestracyjnych. Wspominam jeden moment inwigilowania mnie kiedy uruchomiono rekordowe siły i środki. Za pośrednictwem współpracownika SB, otrzymałem listy ze Szwecji przeznaczone m.in dla ukrywającego się Zbigniewa Bujaka. Liczyli na to, że śledząc mnie, naprowadzę ich na łącznika Zbyszka. W operacji brało udział kilkunastu funkcjonariuszy i cztery samochody.

Inwigilacja była dyskretna ponieważ obawiano się, że może zostać ujawniona, tak to opisano w dokumentach SB. Łącznikiem był, jeżeli dobrze pamiętam Mirek Odorowski, który bez przeszkód dostarczył korespondencję adresatowi. W zasadzie wystarczyły zwykłe środki ostrożności żeby obronić się przed nachalnością SB. Inwigilacja była zjawiskiem codziennym i często uciążliwym. Trzeba było nauczyć się ją gubić. Byliśmy umówieni z Grzegorzem Bogutą i mieliśmy załatwić coś ważnego co wykluczało akceptację „ogona”, próbowałem swój zgubić, byłem przekonany, że mi się udało. Ale jak wyszliśmy z domu Grzegorza okazało się, że panowie są. Powstał plan: jedziemy do mostu Gdańskiego jak najbliżej schodów prowadzących do Wybrzeża Gdańskiego, tam wyskakujemy z samochodu zbiegamy po schodach i wsiadamy do samochodu, który już na nas czekał. Udało się. Czasem było zabawnie, przez wiele godzin jeździłem samochodem po Warszawie próbując zgubić obstawę, wreszcie skręciłem w boczną, wąską uliczkę Mokotowa, rozglądałem się wychodzę z samochodu i nic. Spojrzałem na zegarek – minęła 22. Szychta się skończyła. Ja też wracam do domu.

– Technika wydawnicza zmuszała Was do swego rodzaju działalności gospodarczej, a także chomikowania, jeśli trzeba, bo wszystko może się przydać?

– Chojecki wymyślił przygotowanie dużych magazynów papieru. Stworzyliśmy naprawdę gigantyczny. Skorzystaliśmy z zaprzyjaźnionych sklepów papierniczych. Ale również z magazynów zakładów pracy. Pamiętam takie zdarzenie. W jednym z takich magazynów byłem umówiony na odbiór kilkudziesięciu ryz w samo południe w sobotę. Zrobiłem dwa kursy, mój gospodarz snuł plany na popołudnie. Zadwołony z siebie w pewnej chwili wznosił ramiona i zawołał „co by tu jeszcze kurwa ukraść, panowie”. Taki miał problem.

– A papieru brakowało wtedy na podręczniki, wydawane oficjalnie książki i gazety zresztą tego toaletowego też ...

– Udało nam się w tych zaprzyjaźnionych sklepach odłożyć na ten nasz cel po 20 ryz w każdym, bo tyle bezpiecznie wchodziło do malucha. I dzięki temu zrobiliśmy zapas. Przydał się bardzo w stanie wojennym. Magazyn w jednej z piwnic na Ochocie nigdy nie wpadł. Stamtąd wiosną 1982 r. papier

od NOW-iej poszedł na druk „Tygodnika Mazowsze”. W NOW-iej był zawsze problem, jak podchodzić do ruchu związkowego, kiedy już istniał: czy korzystać z możliwości, jakimi dysponowała Solidarność czy zachować odrębność. Najlepiej udawała nam się współpraca ze związkowcami z Ursusa. Emil Broniarek, Adam Grzesiak, Andrzej Górski to byli w tamtym kręgu najtwardsi faceci stanu wojennego. Gdy w Stoczni Gdańskiej trwał strajk, organizatorem poligrafii strajkowej był Konrad Bieliński. Przy okazji zawiózł list intelektualistów popierający strajkujących stoczniowców.

– **Drukowało się na powielaczach białkowych, offsetach, sicie ale też „na wejściach”: za pieniądze w instytucjach państwowych?**

– Drukowaliśmy gdzie tylko się dało również w państwowych firmach ale też w prywatnych zakładach poligraficznych. Za usługi wykonywane na dojsściach z reguły trzeba było płacić ale nierzadko bywało, że drukarz nie chciał pieniędzy, słyszeliśmy „to na pohybel czerwonemu”. Paweł Bąkowski podobno drukował bibułę nawet w urzędzie cenzury przy Mysiej, bo tam miał „wejścia”. Kiedyś zresztą – i to już nie „wejść” dotyczyło, lecz całej naszej działalności, trzeba było powiedzieć, że ludzie nie będą pracować za darmo. I wtedy powstała siatka płac.

– **Datę tej komercjalizacji jak by Pan określił?**

– Przełom 1979 i 1980 roku a więc jeszcze przed Solidarnością, to był moment, kiedy uznaliśmy, że nie da się nadal pracować w dotychczasowy sposób. Technika się rozwijała, offset, sito, powielacze, mówię tu o naszej własnej a nie wykorzystywanej na „wejściach” o które nie było tak trudno, skoro w prawie każdym zakładzie pracy istniała powielarnia. W razie wpadki ludzie od „wejść” mogli liczyć na pomoc prawną z naszej strony. Chociaż nie obiecywało się im tego zawczasu, żeby nie deprymować.

Kolejnym przełomem stało się ustawienie na dziedzińcu uniwersyteckim w Warszawie stolików z książkami. Najpierw na terenie UW, potem przy bramie, wreszcie już swobodnie na Krakowskim Przedmieściu. Z całej Polski przyjeżdżali wtedy czytelnicy na Uniwersytet Warszawski. Pojawiły się w obiegu dużo większe pieniądze. A wraz z nimi zasady takie, że dochód ze sprzedaży tam „Tygodnika Mazowsze” idzie na Niezależne Zrzeszenie Studentów.

– **Jaki wniosek wysnuł Pan z rachunku kosztów?**

– Z rachunku wynikało, że gdybyśmy książki sprzedawali po cenie, uwzględniającej koszt ich produkcji... nikt by ich nie kupił. Nie byłoby go stać. Wiadomo, że do Polski szła amerykańska pomoc również finansowa. Dopóki trwała walka z komunizmem, było z czego pokrywać wspomnianą różnicę. Te pieniądze trzeba było najpierw przywieźć, wielu przyjaciół się tym zajmowało.

– **Ośrodki emigracyjne też Was wspierały...**

– Oczywiście. To w dużej mierze pomoc amerykańska, francuska czy niemiecka szła za ich pośrednictwem. W roku 1981 dużo czasu spędziłem za granicą – Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Dania, Szwecja. Dzięki rekomendacji Stefana Kisielewskiego przekazanej przez Wacka Kisielewskiego mogłem przez kilka tygodni być gościem Jerzego Giedroycia i Zofii Hertz. Niezapomniane wrażenia. I spotkania przy posiłkach kiedy gospodarze snuli wspomnienia. Redaktor rozpoczynając działalność wydawniczą we Francji musiał korzystać z pośrednictwa obywatela francuskiego. Jako obcokrajowiec na dodatek bezpaństwowiec miał ograniczone prawa i możliwości. Aż do rozmowy z adwokatem, który zafrasowany powiedział Giedroyciowi – ach gdyby Pan był kawalerem Legii honorowej – na co redaktor – jestem, ale dokumenty gdzie się zawieruszyły. Uśmiechnięty mecenas stwierdził, to nie problem, jednak jesteśmy we Francji a dokumenty Legii są przechowywane od chwili powstania odznaczenia. Tak było. Przed rozpoczęciem targów książki we Frankfurcie do Paryża przyjechał Grzegorz Boguta, uzgodniliśmy warunki umowy o współpracy „Kultury” z „NOW-ą którą podpisaliśmy na stoisku Kultury i wydawnictw niezależnych we Frankfurcie. W Malmoe bardzo ważną rolę odegrała organizacja przerzutów przede wszystkim sprzętu poligraficznego do Polski, organizatorem i szefem przedsięwzięcia był Marian Kaleta, który pracował pod kierownictwem Jerzego Giedroycia. Przerzuty to bardzo niewdzięczne zajęcie, wciąż było się narażonym na wpadkę i stratę dziesiątków tysięcy dolarów. Marian mimo tego, że był otoczony przez agentów SB skutecznie zaopatrywał nas w powielacze, zszywacze, gilotyny, farbę i inne niezbędne do druku komponenty. Oczywiście zdarzały się również wpadki. Niekiedy bardzo bolesne.

– **A przez cały ten czas na ile NOW-a pełniła funkcje usługowe wobec struktur opozycji i emigracji a w jakim stopniu zachowała niezależność?**

– NOW-a była samodzielna, powstała przecież po to, żeby bronić niezależności przekonań i prawa do upowszechnienia wolnej myśli. Nikt u nas nie próbował narzucać koledze poglądów. Ani nam nikt nie narzucał planu wydawniczego. Oczywiście liczne przedsięwzięcia wymagały koordynacji. Z czasem został też powołany fundusz wydawnictw niezależnych i zespół koordynacyjny wydawnictw, co stanowiło reakcję na politykę władz, żeby drugi obieg zabić sankcjami finansowymi – np. konfiskata samochodu zamiast jak wcześniej „na twardo” wsadzać drukarzy i kolporterów do więzienia. Dzielił się też jakoś rolami. Wiadomo było, że Czesława Miłosza publikuje NOW-a to wynikało z umowy z „Kulturą”. Kiedyś w trakcie rewizji u Adama Michnika bezpieka zabrała mu książki Miłosza, Michnikowi w oczach pojawiły się łzy. I wtedy obecny podczas rewizji Mirosław Chojecki powiedział: „Adam, nie przejmuj się, wydamy ci te książki”. I tak się stało.

– **Komuna padła, pieniądze się skończyły?**

– Razem z Markiem Chimiakiem i Przemkiem Cieślakiem założyliśmy wydawnictwo „Verba” uruchomiliśmy sporą drukarnię z maszyną formatu A0. Robiliśmy to co najbardziej lubiliśmy – drukowaliśmy książki. Kazimierz Brandys „Nierzeczywistość”, Jacek Bocheński „Retro”, Maria Janion „Wobec zła”, Jan Walc „Architekt Arki”, Gabriela Puzynina „W Wilnie i na Dworach Litewskich” i wiele innych tytułów, kilka z nich otrzymało nagrodę m. St. Warszawy. Drukowaliśmy również Jackowi Kuroniowi plakaty na potrzeby jego kampanii wyborczej z 4 czerwca 1989 roku. Były to największe plakaty tamtej kampanii. Chcieliśmy zachęcić do czytania książek. Zadanie nie proste. Przemek wpadł na pomysł uatrakcyjnienia okładki książki Marii Janion „Wobec zła”. Postać Rejtana z okładki została uzupełniona o wampirze zęby a pierś rozszarpywana była szponami. Wiadomości z rynku mówiły, że książka się znakomicie sprzedaje. Tyle, że nie jestem pewien, czy niektórzy nabywcy, zachęceni tymi zębami na okładce, potem się trochę nie rozczarowali.

– **Co oznacza dla Pana biografii zmiana systemu? Wchodzi Pan w politykę ale niezbyt głęboko i na jakiś czas?**

– Uczestniczyłem w przygotowaniu ustawy o samorządzie terytorialnym. Byłem zafascynowany możliwościami wynikającymi z rewolucyjnej reformy.

W podwarszawskiej Jabłonie zostałem w 1990 roku wybrany do Rady Gminy i na funkcję wójta. Ponieważ większość czasu spędzałem poza gminą Wojciech Misiąg wiceminister finansów odpowiedzialny za system finansów samorządowych, wymyślił dla mnie ksywkę „Borowik tytułarny wójt gminy Jabłonna”. Uczestniczyłem w powołaniu Krajowego Sejmiku Samorządu Terytorialnego, Unii Miasteczek Polskich. Uczestniczyliśmy w budowie społeczeństwa obywatelskiego. Pod koniec kadencji zostałem reprezentantem polskiego samorządu w Radzie Europy organizacji z siedzibą w Strasburgu.

Ale pewne zdarzenia społeczne zaskakiwały. Gmina oszczędnie gospodarowała zezwoleniami na handel alkoholem, nowy skład zarządu przyjął, że każdy kto przychodzi po zezwolenie na sprzedaż alkoholu, ten je dostaje. Po upływie kilku miesięcy okazało się, że lepiej było gdy reglamentowano pozwolenia, postulowano wobec tego wstrzymanie procedury wydawania pozwoleń. Nie ulegliśmy presji a problem rozwiązał się sam, na rynku pozostali wyłącznie ci, którzy sprościli wymogom gospodarki rynkowej i konkurencji.

W 1994 r. zakończyłem działalność publiczną, trzeba było zarobić parę złotych. Do 2013 r, kiedy z Maćkiem Zalewskim uznaliśmy, że warto zaangażować się w eksperckie wsparcie ponownego wyboru prezydenta Bronisława Komorowskiego. Do zespołu zaprosiliśmy Sławka Bieleckiego, Krzysztofa Janika, Wiesława Sikorskiego, Jana Lityńskiego, Ryszarda Pusza, Henryka Wujca. Skład grupy interesujący bo różnorodny. Z żalem muszę powiedzieć, nasza ocena o możliwej a nawet wysoce prawdopodobnej katastrofie wyborczej prezydenta się sprawdziła. Po wyborach i wakacjach zespół w zaprezentowanym składzie przestał istnieć. Dzięki czemu mogły się wyłonić dwie grupy Maciek Zalewski wraz ze Sławkiem Bieleckimi stworzyli instytucję która przyjęła nazwę „Konsens”.

Po wyborach 2015 roku, wyborach które pozwoliły PiS-owi uzyskać bezwzględną większość w parlamencie a Kornelowi Morawieckiemu stwierdzić na forum Sejmu, że prawo musi ustąpić przed wolą narodu co w praktyce oznacza ustąpienie państwa obywatelskiego przed parlamentarną d’Hondtowską większością. Oznacza również koniec porządku konstytucyjnego a przede wszystkim demokracji wzmocnionej obywatelską wolnością. Początkowo w gronie kilkunastu osób zastanawialiśmy się nad tym jak chcemy żeby wyglądała „Pol-

ska po PiS-ie”. To było a raczej jest fascynujące przedsięwzięcie i doświadczenie. Grupa z kilkunastu osób powiększyła się do kilkudziesięciu. Jednocześnie postanowiliśmy nazwać się „forum długiego stołu”. Nie pytajcie dlaczego. Organizacyjnie to co nas łączy to lista adresowa, a spotykamy się co dwa tygodnie od ośmiu lat. Najważniejsze tematy podejmowanych dyskusji, głównie ustrojowych, to przykładowo: przywrócenie w pełni proporcjonalnej ordynacji wyborczej, likwidacja Trybunału Konstytucyjnego i przekazanie jego kompetencji Sądowi Najwyższemu, wprowadzenie reguły ustawodawczej gdzie konstytucję uchwała bądź zmienia sejm i senat większością $\frac{3}{4}$ pełnego składu, ustawy organiczne głównie kompetencyjne przyjmowane są większością $\frac{3}{5}$ składu Sejmu i ustawy zwykle przyjmowane zwykłą większością głosów, wybór prokuratorów powiatowych i wojewódzkich w wyborach powszechnych, przywrócenie kontradiktoryjności w postępowaniu cywilnym i karnym, rozdział kościoła od państwa, zmiana usytuowania senatu w systemie organów państwowych poprzez zapewnienie równorzędności sejmu i senatu w procesie legislacyjnym/ wymuszony konsensus/, prawo obywateli do uchylenia ustawy w drodze referendum /weto obywatelskie/ i wiele innych ustawodawczych pomysłów.

Jesienią 2022 roku uznaliśmy, że koniecznym jest włączenie się do debaty politycznej. Efektem był apel przygotowany przez Pawła Śpiewaka o potrzebie jednej wspólnej listy opozycji w wyborach parlamentarnych. Apel spotkał się z dużym zainteresowaniem co nie dotyczyło klasy politycznej. Społeczne przyjęcie apelu i wstrzeźliwość polityków spowodowało konieczność przeprowadzenia badania opinii publicznej w celu potwierdzenia lub zaprzeczenia potrzeby jednej, wspólnej listy opozycji w wyborach do sejmu i senatu w 2023 roku. Wielowariantowe badanie w pełni utwierdziło nas, obywateli w przekonaniu o niezbędności tego rozwiązania. Politycy zawiedli, obywatele zostali zlekceważeni. Czeka nas długi marsz na drodze do odzyskania obywatelskiej podmiotowości, z tej drogi nie ustąpimy i nie damy się zepchnąć.

Forum długiego stołu od ponad dwóch lat prowadzi seminarium „wobec antysemityzmu” im. Pawła Śpiewaka, jednego z jego organizatorów. Celem spotkań jest próba zrozumienia co wydarzyło się w społeczeństwie etnicznym – polskim, że z taką łatwością uczestniczyło w mordach na żydowskich współobywatelach.

CZULIŚMY SIĘ WOLNI W TAK DZIWNYM KRAJU JAK PRL

– **A młodym ludziom co Pan by teraz chciał przekazać?**

– Mają pełne prawo realizować taką rewolucję, jakiej oczekują. My też mieliśmy prawo do rewolucji i skutecznie z niego skorzystaliśmy czego życzę kolejnemu pokoleniu. Kazik Staszewski śpiewa, że każdy ma prawo w życiu wybrać źle. Ryzyko więc istniało i istnieje. Powiedziałbym: dziewczyny i chłopaki, bierzcie na siebie odpowiedzialność, zmieniając świat, to Wasz czas my już zrobiliśmy swoje.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

JAK WOZIŁEM „OPINIĘ” DO PRZASNYSZA

ROZMOWA Z TADEUSZEM WITKOWSKIM, HISTORYKIEM LITERATURY, OPOZYCJONISTĄ ANTYKOMUNISTYCZNYM I DZIAŁACZEM EMIGRACYJNYM

– Jak to się stało, że w latach 70. zaczął Pan wozić „Opinię” do rodzinnego Przasnysza?

– Czas był wyjątkowy. Najpierw pojawił się „Komunikat”, redagowany przez ludzi związanych z Komitetem Obrony Robotników, później „Biuletyn”, przygotowany również przez to środowisko. Wreszcie dowiedziałem się, że ukazuje się również „Opinia”, związana wówczas z kręgiem tworzącym Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. ROPCiO szybko stał się rozpoznawalną marką. Podobnie, jak powołana niedługo później przez część tego środowiska Konfederacja Polski Niepodległej. Za bibułę od razu ludzie skłonni byli płacić, również w niezamierzonym przeciw Przasnyszu, po to, żeby jej twórców wspomóc. Wszystkich odbiorców „Opinii” oczywiście już nie pamiętam. Na pewno jakaś część nakładu trafiała do przasnyskiego klasztoru ojców pasjonistów. Ojciec Bogdan Kołakowski dawał jakieś pieniądze na nią, w miarę skromnych wtedy możliwości.

– **Kolportował Pan u siebie „Opinię”. Czy poznał Pan też jej redaktorów?**

– Zetknąłem się przez Jana Dworaka z Leszkiem Moczulskim. Późniejszy szef telewizji w wolnej Polsce Dworak był wcześniej moim kolegą z roku. Znałiśmy się z polonistyki. Nasze kontakty pozostawały życzliwe. Kiedy byłem już doktorantem w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w warszawskim Pałacu Staszica, Dworak zaproponował mi spotkanie z Moczulskim. Wyklarowała się z tego bliższa współpraca z udziałem małej grupy kolegów, gdyż doszło do kilku spotkań poświęconych stosunkom polsko-rosyjskim.

– **Jakie wrażenie Moczulski na Panu wywarł?**

– Leszek Moczulski przedstawił się od razu jako piłsudczyk. Otwarcie określał siebie jako przedstawiciela nurtu niepodległościowego. Cechowało go przy tym niepowtarzalne i specyficzne poczucie humoru. Żartował, że jak Tatarzy przyszli kiedyś nad rzekę Moskwę, gdzie zamieszkiwali wówczas Mordwini, to wyróżnili mężczyzn i zgwałcili kobiety. I w ten sposób powstał naród rosyjski. Ale nie tylko z ROPCiO i KPN miałem wtedy kontakt, również z Janem Józefem Lipskim, Stanisławem Barańczakiem i z osobami wywodzącymi się ze środowiska korowskiego.

– **To akurat Pana branża literacka. Ale istnieje też powiedzenie, że poeci muszą nauczyć się liczyć?**

– Czasem właśnie humaniści brali na siebie rolę skarbników. Z ofiarnością czytelników bibuły, jak już nadmieniałem, kłopotów nie było. Ojcowie pasjoniści z Przasnysza, jak doskonale pamiętam, przekazali raz 4 tys. zł, co stanowiło znaczącą sumę i wsparcie dla ruchu opozycyjnego. Skoro byłem doktorantem, nie brakowało mi czasu na działanie. A między tym, co chciałem robić zawodowo, a opozycyjną działalnością nie dostrzegałem żadnej sprzeczności.

– **Bo humaniście cenzura doskwiera mocniej niż technokratom?**

– Pielęgnowaliśmy wtedy wolne słowo. Między semestrem zimowym a letnim odbywały się konferencje, organizowane przez Instytut Badań Literackich PAN przy rotacyjnym współudziale różnych uniwersytetów. Jeszcze przed powstaniem Komitetu Obrony Robotników bywali na nich Stanisław Barańczak, jeden z założycieli KOR-u i Jan Józef Lipski, skarbnik Komitetu zatrudniony w IBL-u. Przebywałem głównie w Warszawie, żona i dzieci zostawały w Przasnyszu. Ponieważ wiedziano, że to niedaleko, po powstaniu KOR-u wybrałem się do Płocka. Sporządziłem raport, dotyczący tamtejszych wydarzeń 1976 roku i represji, jakie dotknęły miejscowych. Raport z Płocka przekazałem przez Marka Zielińskiego, późniejszego dyplomate, doktorowi Lipskiemu.

– **W tym samym miejscu, w IBL, pracowała także matka Jarosława i Lecha Kaczyńskich Jadwiga?**

– O tym, że była tam zatrudniona, dowiedziałem się już później. W Instytucie Badań Literackich pracowała także żona Antoniego Macierewicza, Han-

na. W 1982 roku znalazłem się tak jak Antoni w więzieniu w Łławie. Zapamiętał mnie z tego, że grałem na gitarze pieśni patriotyczne i czasami coś śpiewałem podczas mszy świętych. Znana była już wtedy i chętnie śpiewana pieśń konfederatów barskich „Nigdy z królami nie będziem w aliansach” z „Księdza Marka” Słowackiego, ale napisałem i rozpowszechniłem również coś własnego, co szybko podchwycili koledzy. Po latach, gdy odwiedziłem Polskę, Antek poprosił mnie, żebym napisał coś do „Głosu”.

– **Z czasem małe grupy opozycyjne stawały się coraz bardziej znaczące?**

– Wspaniałą dla nas wszystkich wiadomością stał się wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża. Od razu zrobiła się odwilż, na prawie dwa lata przed Sierpniem. Wtedy wreszcie dali mi paszport, po dłuższych perypetiach, bo mieli mnie w kartotekach już od czasu wydarzeń marcowych w 1968 roku. I tak oto po raz pierwszy wyjechałem za granicę... w 1979 roku. Pomimo trwających od Marca kłopotów z bezpieczeństwem trzeba było sobie radzić. Od 1973 roku. miałem w IBL stypendium doktoranckie, korzystałem też w latach 1978–79 z przyznanego mi przez Koło Młodych Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich stypendium im. Tadeusza Borowskiego. Kolega z Ostrołęki, pielęgnujący tradycje PPS-owskie, umożliwił mi dorobienie u siebie w ośrodku kultury. Zapraszałem różnych prelegentów, dyskutowaliśmy często w atmosferze „nieprawomyślności”. Jednakże, kiedy zacząłem prowadzić zajęcia w białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego – teraz jest to samodzielna uczelnia – to bezpieka interweniowała i uniemożliwiła mi pracę ze studentami. W sumie nie było jednak aż tak źle, skoro Sierpień 1980 roku zastał mnie w Paryżu. Po powrocie do kraju natychmiast włączyłem się do działalności związkowej, bo trzeba było ze struktur zakładowych wyłonić Oddział Zarządu Regionu Mazowsze. Formalnie nie byłem wówczas związany z żadną instytucją, ale „Solidarność” w Zakładach Wytwórczych Aparatury Rozdzielczej natychmiast włączyła mnie w poczet swoich członków. To był największy zakład w Przasnyszu.

– **Dłatego, że to Pana rodzinne miasto?**

– „Solidarność” w ZWAR-ze założył Mariusz Bondarczuk. Pod koniec lat 70. razem prowadziliśmy w Przasnyszu działalność formacyjną wśród uczniów miejscowego liceum. W 1981 roku zaczęliśmy wydawać „Solidarność Przasnyską”. Czytelnicy zorientowali się, że jest to pismo na dobrym

poziomie, toteż nie było problemu ze zbytem. Część szła do komisji zakładowych, część do kiosków. W środowisku uczniów liceum zaczął też działać wówczas kierowany przez Andrzeja Sadowskiego oddział Związku Młodzieży Demokratycznej, który również miał swoją gazetę. Zatytułowali ją „Przed”. Obie publikacje drukowaliśmy na powielaczu w warszawskim ZWAR-ze. Po kilku miesiącach porozumieliśmy się ze środowiskiem ostrołęckim i razem z Januszem Domańskim, prawnikiem związanym z tamtejszym oddziałem „Solidarności” podjęliśmy decyzję o wydawaniu wspólnymi siłami jakiegoś pisma o szerszym zasięgu. Miało się nazywać „Sierpień Mazowska”. W grudniu 1981 roku pierwszy numer był już gotowy do druku. Stan wojenny uniemożliwił jego wydanie.

– **Jak zapamiętał Pan wprowadzenie stanu wojennego?**

– Siedziba lokalnej „Solidarności” mieściła się obok komisariatu milicji. 12 grudnia około godziny 20... Andrzej Sadowski, który odwiedzał niekiedy nasze biuro, zauważył, że odłączone są zarówno teleks jak telefon. Już była blokada. Gdy wracał do domu, widział też kolumny milicyjne ze Szczytna jadące – jak łatwo się było domyślić – na Warszawę. Trzeba było skończyć składanie „Sierpnia Mazowska” by na drugi dzień oddać pismo do druku, toteż z biura oddziału wyszliśmy bardzo późno. Gablota z ogłoszeniami „Solidarności” na zewnątrz budynku była zbita. Z Januszem Domańskim i Mariuszem Bondarczukiem udaliśmy się wtedy do mnie coś zjeść.

Do mieszkania tamci wpadli przed północą. Przerwali nam kolację. Córka, która miała wtedy osiem lat, obudziła się. Zacząłem stawiać opór. Jeden walnął mnie pięścią w klatkę piersiową. Podobno poprosiłem żonę o podanie mi butów bym mógł kopnąć go w d... Zabrali nas trzech. Janusza w kapciach. Mnie wynieśli, zatkali usta i do suki. Dowodził porucznik Samson, to zapamiętałem. Najpierw dowieziono mnie, a kolegów doprowadzono, do komisariatu MO. Nie chciałem podpisać protokołu zawierającego listę zatrzymanych rzeczy. Samson na to: – To spier... Nie oznaczało to oczywiście wypuszczenia na wolność, tylko, że wcale mu na tym protokole nie zależy.

– **I co działo się dalej, po tej pierwszej nocy stanu wojennego?**

– Zawieźli nas do Ostrołęki, gdzie gromadzono internowanych z całego województwa, a stamtąd autobusami w kajdankach do Ławy. Tam siedziałem

do czerwca. Ława to regularne więzienie, a nie ośrodek wczasowy przerobiony na miejsce internowania. Siedziałem w celi z Mariuszem. W maju Mariusz wyszedł na przepustkę i już nie wrócił do więzienia. Pozwolono mu zaopiekować się ciężko chorą matką. Wśród zatrzymanych tam znalazło się sporo znanych osób: Tadeusz Syryjczyk czy Antoni Macierewicz. Z czasem rozdzielono nas jednak. Tych ważniejszych powieźli do Łupkowa w Bieszczadach. Resztę nas – do Kwidzyna. To również było więzienie. Tyle, że z celami już otwartymi, bo w Ławie wszystkie były pod kluczem. W Kwidzynie było łatwiej, ale do czasu, gdyż w sierpniu 1982 roku doszło do strasznego bicia.

– **Dlaczego tak się stało?**

– Internowany Mirek Andrzejewski z Siedlec w czasie widzenia z rodziną 7 sierpnia po prostu sobie wyszedł nierozpoznany i nie wrócił. I zaczęły się obstrzenia i ograniczenia widzeń. Doszło do protestów. Następnego dnia skończyły się one doraźnym sukcesem, bo na teren dla odwiedzających wpuszczono wszystkie rodziny i nie musiały one długo czekać. Jednak w tydzień później obstrzenia zostały wznowione, czego konsekwencją był protest 14 sierpnia. Część rozemocjonowanych kolegów wyszła wówczas poza siatkę oddzielającą teren budynków więziennych od strefy zajmowanej przez służbę. Wówczas pojawiły się ściągnięte z sąsiedniego więzienia w Sztumie oddziały interwencyjno-porządkowe nazywane przez więźniów atandą i staż z hydrantami. Zaczęto lać wodą, bić, kopać i szczuć psami. W sposób absolutnie bestialski pobito do utraty przytomności Władka Kałudzińskiego z Olsztyna i Radka Sarnickiego z Zamościa. Obaj wylądowali w szpitalu.

Pacyfikacja trwała kilka godzin, ale sam wiele wtedy nie oberwałem: może dwa lub trzy uderzenia pałą, gdy znaleźliśmy się już w więziennych barakach. Funkcjonariusze służby więziennej wchodzili do cel grupami. Do celi nr 3, którą dzieliłem z czterema kolegami, wtargnęli chyba trzy razy. Sprawiali wrażenie czymś nabuzowanych i zachowywali się prowokacyjnie. Za pierwszym razem nie wstałem, na co jeden zareagował pytaniem „co się robi, jak panowie wchodzą? I od razu buch pałą. Podobnie oberwał Janusz Domański, bo wstawał za wolno. Po latach, gdy podczas pobytu w kraju zeznawałem przed prokuratorem IPN-u w sprawie rzeczonych wydarzeń, pokazano mi fotografie kilkunastu funkcjonariuszy służby więziennej. Natychmiast rozpoznałem na zdjęciu tego, co mnie uderzył.

Z reguły służba więzienna unikała bicia w celach. Jeśli któryś ze strażników miał jakieś osobiste porachunki z internowanym, pod jakimś pretekstem wyciągano go na korytarz i tam załatwiano sprawę. Taki los spotkał Jurka Szmita, działacza studenckiego z Olsztyna (późniejszego posła na Sejm). Po pierwszym biciu, żeby wyciągnąć go z celi, funkcjonariusze kazali mu wynieść jakiś stolik. Wiedząc co go znowu czeka, wziąłem od niego ten stolik i sam wyniosłem. Na szczęście dla mnie, zorientowali się, że chodziło o kogoś innego.

Z internowania zostałem zwolniony 25 listopada 1982 roku.

– **Jak po prawie roku za kratami postrzegał pan codzienną rzeczywistość?**

– W mniejszych ośrodkach ze zdwojoną siłą dawały o sobie znać pesymizm i brak nadziei. Dochodziło niekiedy do histerycznych wręcz reakcji ludzi. Dominowało przekonanie, że ponowne podjęcie działalności oznacza powrót do więzienia. W Przasnyszu nie istniała możliwość, żeby konspirując, roztopić się w tłumie, jak w wielkich miastach. Wtedy wraz z rodziną podjąłem ostateczną decyzję o emigracji. Wiedziałem, że będę izolowany. Zdarzały się prowokacje. Zgłosił się ktoś do mnie, że chce organizować podziemne struktury w Makowie Mazowieckim a po jakimś czasie okazało się, że była to inspiracja służb. Doszedłem więc do wniosku, że jeśli coś w tej sytuacji uda się zrobić, to właśnie na emigracji. Już po wyjściu zza krat spotykałem się z Andrzejem Sadowskim, który pożyczył mi książkę Józefa Kuśmierka o gospodarce PRL.

– **Jak wyglądał początek emigracji?**

– Papiery złożyłem w ambasadzie amerykańskiej. Za dwa tygodnie nadeszła odpowiedź pozytywna. Mówiłem wtedy wprawdzie po francusku, nie po angielsku, ale uznałem, że za oceanem będę miał lepsze perspektywy. Najpierw, w czerwcu 1983 roku wraz z rodziną znalazłem się w obozie koło Frankfurtu. Po dwóch tygodniach wylądowaliśmy w Madison w stanie Wisconsin, gdzie mieszkała nasza sponsorka, amerykanka polskiego pochodzenia Lilian Valley. Wcześniej była studentką Czesława Miłosza i wspólnie z nim przekładała jego poezję na angielski. To ona zmobilizowała na okoliczność naszego przyjazdu ABC, CBS i NBC, przed kamerami których mogłem wystąpić jako uchodźca polityczny. Podczas reportażu z lotniska lokalna telewizja pokazała w dniu naszego przybycia, jak Lilian Valley ściska się serdecznie z moją żoną.

– Witamy w Ameryce?

– Tak. Najpierw przez rok intensywnie uczyliśmy się angielskiego. Na ten okres zaoferowano nam niezbędne zabezpieczenie socjalne. Z Madison wysłałem podania do kilku uniwersytetów o przyjęcie na studia doktoranckie. Przebywający już wcześniej w USA Stanisław Barańczak zasugerował mi, do których uczelni się zwrócić. Zainteresowane okazały się kalifornijski uniwersytet w Berkeley i Columbia w Nowym Jorku. Ale najlepsze warunki zaoferował mi Uniwersytet Michigan w Ann Arbor. Wybrałem opcję, w której prowadzi się zajęcia a za wykłady dla doktorantów nie płaci czesnego. Barańczak pisał listy rekomendacyjne i pomagał jak mógł. Z samą rozprawą doktorską „Postwar Polish Poetry and Moralistic Literary Tradition” nie miałem kłopotu. Przygotowałem ją pod kierunkiem profesor Bogdany Carpenter. Oceniona została bardzo wysoko.

Trochę gorzej było z dodatkowymi wymogami: trzeba było zdać rosyjski, francuski i niemiecki oraz zaliczyć wykłady z literatury rosyjskiej. W praktyce oznaczało to konieczność przebrnięcia przez historię kilku wieków (od XVII do XX) i przez lekturę takich „literackich tuzów” jak Karamzin, Lermontow i Puszkina. Zabrało mi to w sumie kilka lat studiów, przy czym przez cały czas prowadziłem zajęcia z języka polskiego i współpracowałem z Północnoamerykańskim Studium Spraw Polskich, najpierw w sposób nieformalny, później jako członek rady i jeden z redaktorów wydawanego przez nie pisma.

– **Jak w Pana środowisku oceniano literackie nagrody Nobla dla Polaków.**

– Nobel Miłosza był pierwszym po wojnie przyznany Polakowi. W dodatku przyznano go jesienią 1980 roku, a więc w trakcie „roku Solidarności”, kiedy mieszkalem jeszcze w Polsce. Nagrodę dla Szymborskiej przyjmowało się z mniejszym entuzjazmem, bo czasy były inne. Trzeba pamiętać, że mурowanym kandydatem do Nobla wydawał się Zbigniew Herbert. W grudniu 1996 roku, a więc wkrótce po przyznaniu nagrody Polsce, amerykański poeta i krytyk literacki Edward Hirsh opublikował w „New York Times Magazine” okolicznościowy artykuł pod tytułem „A Poetry That Matters”. Stwierdził w nim, że na Nobla zasłużyło więcej polskich poetów i wymieniał nazwiska Tadeusza Różewicza oraz Zbigniewa Herberta. Dodał też, że w przyszłości laureatem tej nagrody zostanie zapewne Adam Zagajewski. Dzisiaj wszyscy

typowani do Nobla przez Hirsha już nie żyją, a jak wiemy, Nobla nie przyznaje się pośmiertnie.

– **Ale literacka Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk nie była już przyjmowana tak jak ta dla Czesława Miłosza?**

Co do Tokarczuk, to można było cieszyć się przede wszystkim z faktu, że nagrodę otrzymała jeszcze jedna Polka, bo niektóre jej poglądy zrażają wielu rodaków.

– **Z Miłoszem było inaczej?**

– Z Nobla dla Miłosza trudno się było nie cieszyć. Podobnie jak z osobistego poznania noblisty. Bywał u nas na Uniwersytecie w Ann Arbor, prowadził mini-kursy, trwające 2–3 tygodnie. Jeszcze w okresie mieszkania w Polsce opublikowałem tekst o inspiracjach religijnych w jego poezji. Bardzo przypadł mu do gustu. Później, pod koniec lat 80. po jednym z mini-kursów spadł na mnie obowiązek oceniania prac zaliczeniowych jego studentów. Oczywiście, wcale się nie buntowałem. Dzięki temu mogłem porozmawiać z nim prywatnie o różnych sprawach i w kilka lat później przeprowadzić wywiad dla pisma „Periphery” wydawanego pod moim kierunkiem przez Saint Mary’s College w Orchard Lake.

– **Wspomniał Pan o Północnoamerykańskim Studium Spraw Polskich...**

– W sensie formalnym Studium nie było związane z uniwersytetem w Ann Arbor. Była to organizacja zrzeszająca w dużej mierze osoby zatrudnione na innych uczelniach w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Powstała w 1976 roku w reakcji na wydarzenia w Polsce. Jednym z jej założycieli i „dyrektorem wykonawczym” był profesor Andrzej Ehrenkreutz, syn Stefana, zamordowanego przez Sowieców senatora i ostatniego przed wojną rektora Uniwersytetu Wileńskiego. Główne źródło wsparcia finansowego organizacji stanowiły składki członkowskie w wysokości 100 dolarów rocznie. Pozwalały one na wydawanie kwartalnika „Studium Papers”. Był to rodzaj biuletynu, który z czasem (w drugiej połowie lat 80.) przekształciliśmy w gustownie zaprojektowany periodyk. Rozsyłaliśmy go w celach lobbingsowych do uniwersyteckich i rządowych specjalistów od Europy Wschodniej. Od 1987 roku pismem kierował Marian Krzyżowski (ps. Marek Nowak), ja byłem przez pewien czas jego zastępcą. „Studium Papers” wychodziło jeszcze przez rok

po upadku komunizmu. Później nie było już motywacji ani potrzeby jego wydawania.

– **Czy byliście w tym czasie związani z jakimś konkretnym ugrupowaniem politycznym w kraju?**

– Profesor Ehrenkreutz, z wykształcenia historyk zajmujący się Bliskim Wschodem, przeniósł się pod koniec życia do Australii, w czasie, gdy mieszkał w Stanach, był jednak mocno zaangażowany w promowanie polskich spraw i wspieranie opozycji demokratycznej. Obserwując to, co robił, można było odnieść wrażenie, że popiera przede wszystkim Adama Michnika i środowisko KOR-u, ale w 1987 roku pojawił się w Ann Arbor na zaproszenie Studium Leszek Moczulski i miał spotkanie na Uniwersytecie. Dobrze wypadł. Jego wystąpienie cieszyło się wtedy sporym zainteresowaniem.

– **Jak służby PRL próbowały przeciwdziałać temu, co robiliście?**

– Z dokumentów Departamentu II MSW, czyli kontrwywiadu cywilnego, można wnioskować, że Północnoamerykańskie Studium Spraw Polskich, zrzeszające głównie środowisko naukowe, już w 1977 roku uznane zostało przez władze PRL za groźną organizację. W podobnym tonie pisano o Studium po wprowadzeniu stanu wojennego. W planie pracy operacyjnej nowojorskiej rezydentury wywiadu na okres 1981–83 obok takich obiektów rozpracowywania jak osoby powiązane z KPN-em (krypt. „Wyznawcy”) i „Pomostem” (krypt. „Igof”) wymieniono właśnie Studium (krypt. „Mózg”). Niestety, teczka rozpracowania operacyjnego „Mózg”, w której gromadzono dotyczące organizacji niejawne materiały, nie zachowała się. Z moich badań archiwalnych wynika wszakże, iż w strukturach organizacyjnych Studium znalazło się kilku byłych współpracowników wywiadu. Formalnie organizacją kierował demokratycznie wybierany zarząd. Kontrolowała go rada, której byłem członkiem w końcu lat 80. Ale działał też powoływany z nominacji Zarządu Komitet Planowania. Właśnie tam zainstalowało się kilka osób, którym Departament I umożliwił wcześniej wyjazd z kraju w zamian za obietnice przekazywania stosownych informacji. Czy w okresie działalności w Studium utrzymywały one jeszcze kontakt ze służbami PRL, na to nie znalazłem żadnego dowodu.

– **Jak wyglądały kontakty Pana środowiska z organizacjami starszej Polonii?**

– Nieformalnie organizacja polonijna w Ann Arbor stanowiła Oddział

Kongresu Polonii Amerykańskiej. „Nieformalnie”, gdyż powołano ją w latach 70. głównie po to, by poprzez działalność w kręgach polonijnych zdobyć fundusze, które umożliwiłyby otwarcie specjalnej katedry studiów nad historią i kulturą polską. Nazwano ów fundusz „Copernicus Endowment”. Po stanie wojennym doszło do konfliktu, jako że cele emigracji solidarnościowej były inne. Nowi emigranci chcieli wspierać głównie opozycję demokratyczną w Polsce. I tak na przykład pochodzący z Wrocławia i zaprzyjaźniony z Kornelem Morawieckim Jurek Petryniak optował za przekazywaniem pieniędzy „Solidarności Walczącej”. Nawiasem mówiąc, Kornel odwiedził Ann Arbor co najmniej dwa razy.

W ostatnich latach w życiu polonijnym wiele się zmieniło. Widać to choćby w przemieszczeniach Polaków zasiedlających okolice Detroit. W Hamtramck, które kiedyś stanowiło polonijne centrum, teraz dominuje ludność wyznania islamskiego przybyła z Bangladeszu, Bośni i Hercegowiny tudzież Jemenu. Zostało tam tylko biuro Wydziału Stanowego KPA i raptem dwa polonijne sklepy, gdzie można kupić naszą tradycyjną wędlinę.

– **Utrzymywał Pan jakiś kontakt z polskojęzycznymi mediami?**

– Moje kontakty z polonijną prasą ograniczały się w zasadzie do niezbyt częstego pisania dla detroickiego „Tygodnika Polskiego” i nowojorskiego „Nowego Dziennika”. Wystąpiłem też kilka razy na antenie polskojęzycznych rozgłośni radiowych: w lokalnym programie Jurka Różalskiego, w radiu Wolna Europa i w Głosie Ameryki. W dwu ostatnich pracowało kilku redaktorów, których poznałem jeszcze w kraju. W rozgłośni waszyngtońskiej znaleźli zatrudnienie poeta Witold Sułkowski oraz zięć Melchiora Wańkowicza Tadeusz Walendowski, w RWE – Józef Ruszar.

– **Po zmianie ustrojowej brał Pan udział w różnych przedsięwzięciach już nie tylko dla Polski... ale w Polsce?**

– Zawsze byłem tu obecny poprzez swoje szkice literackie i artykuły publicystyczne, które niedawno zgromadziłem w książkach „Sens dziedziczenia; Myśli o polskim etosie poetyckim XX wieku” (wyd. Arcana w Krakowie) oraz w wydanych przez Oficynę ZLM w Ciechanowie zbiorach „Ukryte i jawne; Szkice o tajnych służbach”, „Wirydarz polityczny 1999–2020” i „Zapiski z czasów zamętu 1987–2021”. Po otwarciu archiwów IPN, dwukrotnie

prowadziłem badania w ramach własnych projektów. W latach 2007–2008 przygotowywałem analizy dla Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Komisji Weryfikacyjnej ds. Wojskowych Służb Informacyjnych. Poza tym w roku 2016 na stronie internetowej Ministerstwa Obrony Narodowej redagowałem dwujęzyczną zakładkę poświęconą warszawskiemu Szczytowi NATO.

– Jak z perspektywy opozycjonisty z lat 70. a potem działacza polonijnego oceniał Pan przemiany w Polsce?

– Sama inicjatywa Okrągłego Stołu nie budziła mojego sprzeciwu. Nie wydawała się najgorsza, póki z czasem nie okazało się, że w znacznie mierze stoją za nią dawne służby. Później byłem wobec Okrągłego Stołu bardziej krytyczny, ale nie zapalczywy. W dziesiątą rocznicę tego wydarzenia uniwersytet w Ann Arbor zorganizował konferencję. Uczestniczył w niej, podobnie jak wcześniej w obradach Okrągłego Stołu Lech Kaczyński. Na moją prośbę udostępnił mi swoje notatki przygotowane na okoliczność wystąpienia. Wykorzystałem je pisząc tekst dla „Tygodnika Solidarność”. W czasie debaty w Ann Arbor Lech Kaczyński powiedział, że nie sam Okrągły Stół był źródłem zła – tylko to, co po nim nastąpiło.

W Ameryce, w Chicago w pierwszych wolnych wyborach prezydenckich wygrał tak jak w kraju Lech Wałęsa, tyle, że bardziej zdecydowanie. Później, gdy z jego inspiracji odwołano rząd Jana Olszewskiego zmieniłem do niego mój stosunek. Dla mnie i podobnie myślących był to cios.

– Nie chciał Pan wrócić do Polski na stałe?

– Nieraz myślałem o powrocie do kraju. Gdy Antoni zaproponował mi pracę w SKW, pojawiła się szansa, gdyż zajęcie analityka bardzo mi odpowiadało a moje wcześniejsze badania materiałów archiwalnych IPN pokazały, że znam się na tym, co robię i mogę okazać się przydatny. Przyspieszone wybory 2007 roku szansę tę przekreśliły. W polityce znowu zaczęły przeważać partyjniactwo i niezdolność do myślenia w kategoriach polskiej racji stanu. Nie jestem pewien, czy z upływem czasu wiele zmieniło się pod tym względem na lepsze. Jeśli nawet, to dziś czuję już mocno zmęczony. Nie przesadza się starych drzew. Zresztą, niewiele znam osób, które wróciły po 1989 roku i odniosły sukces. Na pewno mogę powiedzieć to o Antonim Wrzędze, który po powrocie dostał pracę w dyplomacji i świetnie się tam sprawdził. Ukraińcy – mam wrażenie – pomimo tak trudnych kolei losu lepiej potrafili wykorzystać swoją emigrację.

JAK WOZIŁEM „OPINIĘ” DO PRZASNYSZA

- Ale dla przyjęcia Polski do NATO emigracja położyła ogromne zasługi?
- Oficjalnie Kongres Polonii Amerykańskiej występował do władz USA popierając naszą akcesję do Sojuszu Atlantyckiego. Wtedy rzeczywiście wykonał pracę niezmiernie istotną i pożyteczną.
- Czy misja emigracji się zakończyła?
- Nie sędzę. Myślę, że Polacy z Ameryki i innych ośrodków mogą jeszcze coś zdziałać dla starej ojczyzny, ale to, czy ojczyzna chce korzystać z ich pomocy, pozostaje sprawą dyskusyjną.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

POKAZAŁEM LEGITYMACJĘ PRASOWĄ I TYLE.

ROZMOWA Z JERZYM SURDYKOWSKIM, DZIENNIKARZEM NIEZALEŻNYM

– W Sierpniu 1980 r. pojechał Pan Redaktor do Stoczni Gdańskiej. Z obserwacji i rozmów powstały Pana słynne „Notatki gdańskie”. Ale też był Pan chyba jedynym dziennikarzem, który mógł o sobie powiedzieć, że wcześniej w stoczni pracował?

– Pracowałem rzeczywiście w stoczni w Gdyni, nosiła wtedy imię Komuny Paryskiej, przez niecałe 2 lata. Zatrudniłem się w „Głosie Stoczniowca”. Niedaleko stamtąd miałem do sali BHP. Schodziłem Stocznnię Gdańską wzdłuż i wszerz w latach 1967–69.

– To akurat czas kiedy pracę w stoczni zaczyna młody, przybyły z kujawskiego interioru robotnik. Nazywa się Lech Wałęsa?

– Lech Wałęsa zaczął pracę w stoczni przed Marcem 1968 r.

– Czy ta data miała dla niego znaczenie?

– Akurat w Marcu 1968 r. stocznia była obstawiona przez ZOMO. Robotnicy burzyli się z powodu nabrzmiałych problemów płacowych. Chodziło po prostu o wyzysk. W ten sposób to odczuwali, zresztą słusznie.

– W tamtych wydarzeniach wtedy jeszcze roli Wałęsa nie odegrał?

– To był młody wiejski chłopak, nowy w wielkim mieście. Przyrodni brat Stanisław ściągnął go wtedy do stoczni, do pracy.

– Czas Lecha Wałęsy nadszedł w roku 1970.

– Objawił po raz pierwszy swoje przywódcze zdolności. Widział, że strzelają do ludzi na ulicach i jak ich biją. Zaraz Panowie powiecie, że podpisał wtedy współpracę.

– Bo podpisał...

– Widzę to w ten sposób, że esbecy podeszli młodego, naiwnego chłopaka. Wtedy w jego środowisku nie było jednoznacznych reguł ani zasad, jak się zachować, mogło korcić rozumowanie typu: podpisz, to wypuszczą. Wałęsa nie wiedział, czy wyjdzie.

– W filmie Andrzeja Wajdy według scenariusza Janusza Głowackiego jest ta scena, jak Wałęsa odwiedza żonę w szpitalu, mówi: podpisałem to wypuścili. A ona, chociaż jeszcze słaba bardzo, krzyczy: Rany Boskie, coś ty podpisał?

– Potrafił porzucić te uwikłania, to nie ulega wątpliwości.

– W 1976 r. już był od nich wolny?

– Wszystko na to wskazuje, że tak. Już w ten sposób traktowała go zresztą ta druga strona. Gdyby Wałęsa później potrafił przyznać się, powiedzieć: wszyscy byliśmy uwikłani. Ja potrafiłem to odrzucić. Wy też. I razem założyliśmy Solidarność.

– Nawet w 1992 r. zaznaczyła się ta różnica, 4 czerwca pierwsze jego oświadczenie zasadniczo różniło się od drugiego?

– Wtedy był już prezydentem, prowadził wielką politykę, ale rzeczywiście obie deklaracje bardzo się różnią. W pierwszej Lech Wałęsa mówi o złożeniu podpisu, w drugiej już tylko o niesprawiedliwych atakach na siebie. Warto przypomnieć, co deklarował parę lat wcześniej i jeszcze w czasach, kiedy komuniści rządzą. Nawet w „Drodze nadziei”, swojej autobiografii, która wyszła pod koniec lat 80 Wałęsa o tym wspomina.

– To było wielkie przypomnienie postaci Wałęsy dla Zachodu, w parę lat po Pokojowym Noblu. Przyleciałem wtedy na Orly pod Paryżem i od razu skierowałem się do kiosku z książkami. Poprosiłem o książkę Wałęsy, po polsku nazwisko wymawiając, bo jak inaczej... Sprzedawca, pewnie student jak ja, co w wakacje tam sobie dorabiał, ręce rozłożył, że nie rozumie. Wtedy ja mówię: „Un chemin d’espoir”, czyli „Droga nadziei”. A on „Ah, Waleza” – z akcentem na ostatniej sylabie, bo wtedy to już bestseller był, nawet pierwsze miejsce na listach francuskich mediów...

– Rzeczywiście książka cieszyła się powodzeniem w świecie. Nad „Drogą nadziei” w wyjściowej polskiej wersji pracowali Adam Kinaszewski i Andrzej Drzycimski. W Krakowie poznałem ich pierwotną wersję, przygotowaną dla

wydawnictwa „Libertas”, które miało ją opublikować. Wałęsa nadmienia tam, że coś podpisał.

– **Ale tak się nie ukazało?**

– Bo przyjechał do Krakowa Bronisław Geremek i ocenzurował. Wtedy zniknął ten istotny fragment. Wiedziano, że to stąpanie po cienkim lodzie. Wiadomo, że nie przywiązywałem wtedy do tej kwestii takiej wagi jak dziś, z perspektywy wielu lat. Wyciekło jednak to, że zmiany dokonano. W końcu autobiografię wydał „Znak”, bez tego fragmentu.

– **Pierwsze wydanie drugoobiegowe zrobił jednak Rytm, gdzie działał agent SB Marian Kotarski.**

– Nie znam wszystkich szczegółów, natomiast pamiętam honorarium, jakie za swój trud zainkasowali Kinaszewski z Drzycimskim, jak spisali autobiografię Wałęsy. Każdy z nich dostał po 1500 dolarów. I to wtedy były wielkie pieniądze.

– **Wałęsa zaczynał w stoczni kiedy Pan tam pracował, zna Pan ówczesne klimaty, jak Pan widzi jego początki?**

– Lech Wałęsa został w 1970 r. wybrany do komitetu strajkowego, musiał więc cieszyć się mirom wśród kolegów. A skoro długo tam nie pracował, to znaczy, że szybko na to sobie zasłużył. Zdarzają się historie takich samorodnych przywódców. Musiał być uznany za człowieka, który się nie boi. Pamiętamy przecież, w jakich warunkach i sytuacji powoływano komitet strajkowy. Gdy nastał Edward Gierek, kiedy do stoczniowców przyjechał, Wałęsa krzyczał do niego wraz z innymi: Pomożemy.

– **Bo poprzedni sekretarze dyktowali robotnikom odpowiedzi, a Gierek zapytał: Pomożecie?**

– To zawrócenie w głowie, ale Wałęsa był młodym chłopakiem, a starsi wyjadacze też dali się nabrać. Wałęsa uważał, że może będzie lepiej.

– **To także ten okres, kiedy ma kontakty ze służbami.**

– Z własnego doświadczenia wiem, jakich forteli, żeby człowieka podejść one używały. W latach 1971–71 zwiedzieli się, że moja żona bardzo chce, abyśmy wyjechali za granicę. Miałem propozycję z Polskiej Agencji Prasowej, do Pragi. Nie Zachód, ale zawsze jednak coś ciekawego. Kolega miał mnie jeszcze podrzucić, bo trzeba coś załatwić, żeby się udało. W samochodzie powiedział

mi, że raptem o jeden podpis chodzi, a wieźć chciał mnie na Rakowiecką. Wsiadłem z jego samochodu na światłach na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Do tej Pragi w końcu nie pojechałem, żona żalowała.

– **Za to pojechał Pan do Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. podczas strajku?**

– Wszedłem bez żadnych problemów przez bramę. Pokazałem legitymację prasową i tyle. Pierwszym znajomym, którego napotkałem na terenie stoczni, był Lech Bądkowski. „Dobrze, że jesteś” – powiedział, jak mnie tylko zobaczył. „Będziesz pisał dla nas”. W Biuletynie Solidarności. Można nawet uznać, że drugi raz w życiu Lech Bądkowski zachęcił mnie do pisania...

– **A pierwszy raz kiedy to było?**

– W latach 60 późniejszy członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Wybrzeża wywarł wpływ na moje życie. Przeczytał moje debiutanckie opowiadania. Powiedział mi: musisz pisać. Posłuchałem.

– **Biuletyn strajkowy stoczni przygotowywał Konrad Bieliński?**

– Tak, ale Bądkowski wywierał ogromny wpływ na to, co się tam ukazuje, na całą ówczesną atmosferę. Zresztą ta zmieniała się bardzo szybko, również z bardzo odmiennej perspektywy krakowskiej. Także w środowiskach partyjnych. W tamtym czasie byłem wraz z kolegą autorem skierowanego do władz partyjnych memoriału, napisanego językiem podobnym, jakim się wtedy posługiwała opozycja. Przestrzegał przed wizją nadciągającego kryzysu. Gdy z Gdańska pojechałem do Krakowa, wszyscy mnie obstąpili, wypytywali, co w stoczni, bez różnicy, partyjni czy nie... Wtedy Podstawowa Organizacja Partyjna przy krakowskim oddziale Związku Literatów, zrzeszająca m.in. Władysława Machejka i Tadeusza Hołuja jeszcze przed podpisaniem porozumień gdańskich uchwaliła rezolucję popierającą strajkujących i ich postulaty. To psuje trochę pewien jednoznaczny całkiem czarno-biały obraz, gdzie z jednej strony mamy Kościół i Solidarność a z drugiej PZPR, wojsko i milicję.

– **Zaraz zaczął się przecież ruch odnowy w samej PZPR, milion jej członków zapisało się do Solidarności równocześnie, działały struktury poziome, koordynował je Zbigniew Iwanów z organizacji partyjnej toruńskiego Towimoru, który potem w stanie wojennym wyjechał za granicę...**

– Całe to partyjne środowisko odnowicielskie w latach 1980–81 było już słabe, bo partia została wcześniej wyczyszczona z ludzi światłych, mądrych i odważnych. Ośrodkami odnowy pozostawały krakowski klub Kuźnica i Toruń. Przed IX zjazdem, wiadomo, że z tego właśnie powodu odwiekanym – spacyfikowano struktury poziome w PZPR. Pamiętam jak wróciłem z Warszawy. Napisałem tekst do „Życia Literackiego”. Sam jego naczelny Machejek mówił: dobrze im przywaliłeś. Ale musimy to do Warszawy posłać...

– **Z jakim efektem?**

– Jak przyszło, to w jednej trzeciej skreślone. W dodatku do środka artykułu cenzor powpisywał fragmenty, pełne obywatelskiej troski. Nie zgadzałem się na publikację w takiej postaci. Pojechałem z tym do „Gazety Krakowskiej”, to wtedy była najbardziej odnowicielska z przechodzących przez cenzurę gazet. Wybrali mnie do władz SDP.

– **To był czas Stefana Bratkowskiego w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.**

– Bratkowski był wtedy prezesem, wiceprezesem Maciek Szumowski od nas z Krakowa.

– **Jednak nie tylko za jego sprawą Kraków wtedy zaznacza mocno swoją obecność?**

– Gdy w Krakowie zaczął się organizować Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, kręciło się przy nim paru dziennikarzy. Wtedy dostałem propozycję od Mietka Gila, chociaż przewodniczącym był wtedy jeszcze Andrzej Zawada...

– **...dość efemeryczna postać, krótko kierował Regionem Małopolska NSZZ „S”.**

– W każdym razie kiedy jeszcze przewodniczył nominalnie Zawada, to nie on, tylko Gil zaproponował mi, żeby wydawać niecenzurowany biuletyn. W redakcji byłem ja a także Maciej Kozłowski. Nazwaliśmy pismo: „Wiadomości Krakowskie”. Z nami był jeszcze Leszek Maleszka, który nagminnie blokował informacje i przeszkadzał, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, dlaczego tak postępuje. Wreszcie jednak daliśmy spokój sobie nawzajem. Został sam i wydawał „Gońca Małopolskiego”.

– **Czy spodziewał się Pan stanu wojennego?**

– Oczywiście, że tak, zwykle ludzie to przeczuwali, pytali co najwyżej o ter-

min. Kilka dni przed 13 grudnia 1981 r. byłem w Warszawie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Przyszła wtedy do mnie koleżanka, po radę. Mąż w Kanadzie, ona ma jechać do niego, więc co powinna zrobić. Przecież szykuje się rozwiązanie siłowe. Jechać od razu czy za jakiś czas? Przyznam, że fatalnie jej wtedy doradziłem. Uznałem, że użycie siły nastąpi ale po ciężkiej zimie, gdy ludzie będą tak zmęczeni trudnościami życia codziennego, niedoborami, że szybciej je zaakceptują. Efekt wiadomy: gdy wprowadzono stan wojenny, ona znajdowała się w kraju, a on w Kanadzie. Źle na tym wyszli, w końcu ten jej mąż został tam włóczęgą.

– Czy rozmawiał Pan przed 13 grudnia o sytuacji w partii, z kolegami stamtąd?

– Rozmawiałem z Hieronimem Kubiakiem, który wprost mi wtedy powiedział: będzie rozwiązanie siłowe. Mnie z partii zaczęli wyrzucać przed stanem wojennym, chociaż formalnie dokończyli zaraz po jego wprowadzeniu, za całokształt, nie za jedną konkretną sprawę. W stanie wojennym sugerowali mi, żebym napisał odwołanie do komisji kontroli partyjnej. A ja wtedy pisałem, ale do drugiego obiegu. Przy czym „Notatki gdańskie” złożyłem w Wydawnictwie Literackim na dwa tygodnie przed stanem wojennym. Później już po jego wprowadzeniu spotkałem dyrektora wydawnictwa, ale tylko ręce rozłożył. Maszynopis „Notatek gdańskich” dałem Andrzejowi Paczkowskiemu w stanie wojennym, on go przekazał Ukraincowi Labie, który później został profesorem w Berkeley, ale wtedy mu się jeszcze o tym nie śniło. U tego Laby SB zrobiła wówczas rewizję, ale Laba zdążył oddać maszynopis Paczkowskiemu, zanim go zwinęli. W głębokich latach 60 Paczkowski przezywany wtedy owieczką był moim instruktorem wysokogórskich wspinaczek. Spadłem ze Starego Zawratu, a ściślej osunąłem się, bo inaczej byśmy nie rozmawiali, mogę więc powiedzieć, że zawdzięczam mu, że od tego czasu lekko utykam. Dalszy los „Notatek gdańskich” był taki, że spotkałem się przy kawie z Krzysztofem Bobińskim, wtedy pracującym dla mediów zagranicznych. Dostarczył „Notatki gdańskie” Smolarowi.

– A jak Pan przeżył pierwsze dni stanu wojennego?

– Dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego przez władze złamałem obojczyk, przed Kościołem Mariackim, bardzo było wtedy ślisko, a bliscy po-

wtarzali później, że to ręka boska. W ten sposób uległem autointernowaniu, jeśli można tak powiedzieć... Zresztą w Warszawie wtedy mówiono: u was w Krakowie to stanik wojenny... Rzeczywiście internowań było niewiele, jeśli porównać z innymi miastami. Współpraca moja z drugim obiegiem zaczęła się od Andrzeja Sabatowskiego. Znałem go z „Życia Literackiego”. Został stamtąd wyrzucony. Zaproponował mi pisanie do „Tymczasem”, na razie pod pseudonimem. Potem już w Warszawie miałem kontakt z „Vacatem” przez Wojciecha Giełżyńskiego. U nas zaś pisywałem do „Biuletynu Małopolskiego”. Dzwonił do mnie jego redaktor, który po zmianie ustroju został szefem delegatury NIK w Krakowie i przedstawiał się: mówi Jan. To był dla mnie sygnał, że trzeba coś napisać. Prosta ta konspiracja.

– **Jak wyglądała kwestia represji?**

– Jak mnie wsadzili z ulicy, zabierali na przesłuchanie, w Warszawie czy Krakowie wszystko jedno, sprawa była prosta: odmawiam zeznań. Zawsze się tego trzymałem. Marek Nowakowski za publikowanie pod nazwiskiem w drugim obiegu i za granicą miał sankcję, mnie też strasz yli.

– **Co Pan po latach o sobie przeczytał w Instytucie Pamięci Narodowej?**

– Zaświadczenie, że jestem pokrzywdzony, dostałem bez trudu. Wiem, że inni przeżyli szok. Ryszard Terlecki, który teraz jest zarówno wicemarszałkiem Sejmu jak przewodniczącym Klubu Parlamentarnego PiS znalazł obszerne dane własnego ojca – Olgierda Terleckiego z „Życia Literackiego”. Ponieważ wszystko to ogłosił publicznie, Maria de Hernandez-Paluch porównała go, również publicznie, do Pawlika Morozowa.

– **...bo to był patron radzieckich pionierów, który w czasie kolektywizacji doniósł na własnego ojca jako wroga ludu.**

– Dokładnie takiego porównania użyła. Ryszarda Terleckiego doskonale znałem z lat 80, razem u ks. Jancarza pracowaliśmy tworząc Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy, podziemną uczelnię Solidarności. Prowadziłem wykłady z ekonomii i doktryn politycznych, Terlecki z historii.

– **Spytamy więc o środowisko „Arki”, bo stamtąd do niego blisko?**

– W „Arce” opublikowałem jeden tekst o procesie toruńskim w 1985 r. Kontakt miałem przez Tadeusza Nyczka. Nie przepadałem za to za Janem Polkowskim, bo pozostawał bardzo dogmatyczny. Za to jeśli mowa o Nowej Hucie,

to właśnie w IPN stwierdziłem, że były tam dwie teczki, po których zostały tylko sygnatury. Formalnie je zniszczono. Dotyczyły rozpracowania pisma „Hutnik”. Tak się składa, że byłem jego filarem. Mieliśmy drugi nakład po „Tygodniku Mazowsze”. Prowadził to Marchewczyk, prosty chłopak, który lubił wódkę i baby, ale ubecy mimo to zupełnie daremnie kombinowali, jak go podejść. Kiedyś z Marią de Hernandez-Paluch poszedłem do niej do domu. A tu z sąsiedniego pokoju wychodzi facet w slipach. I od razu do niej: – Po co tego komucha przyprowadziłaś? W ten sposób się poznaliśmy z Marchewczykiem, ale dobrze go wspominam. Ukrywał się u niej. Współpracowałem z „Hutnikiem” od 1983 r. wyjąwszy 1985 r. i 1988 kiedy wyjeżdżałem za granicę. Na koniec napisałem w ostatnim numerze: „Przekujmy powielacze na lemiesz”. Był już rok 1989. Przed wyborami Szumowski prowadził dział informacji a ja byłem naczelnym pisma Solidarności. Wydaliśmy cztery numery, tytuł brzmiał po prostu „Głos Wyborczy Solidarności”. Raz do nas wtedy nawet Adam Michnik przyjechał, a zachowywał się jak papież.

– **Ale dużo wcześniej rola Krakowa w opozycji wzrosła, już nie wypominano Wam, że tam był co najwyżej stanik wojenny?**

– Pod koniec poprzedniego ustroju Kraków stał się trudnym dla władzy terenem. Odkomenderowano tam nawet gen. Grubę, wcześniej komendanta wojewódzkiego w Katowicach w czasie, gdy zdobywano Kopalnię Wujek. Po to, żeby zrobić porządek. W kotle w drukarni w 1987 r. w 1987 r. wpadł Marchewczyk. Wtedy Gruba osobiście się tam pofatygował. I do Marchewczyka: – A kuku. Napisałem wtedy w „Hutniku”: „A kuku, gen. Gruba, my jesteśmy”, bo już chwalił się sukcesami, ile nielegalnych pism zlikwidował. Nakład rozrzucał również pod siedzibą SB i MO na Mogilskiej. Miałem później wielką satysfakcję. Gruba chodził na mecze piłkarzy Wisły Kraków, to był klub milicyjny. Przyszedł kiedyś na kolejny mecz Wisły, zasiadł w sektorze dla bonzów, a tu całe trybuny skandują: – A kuku. Oczywiście rola Krakowa w wydarzeniach 1988 roku okazała się nie do porównania z tą z pierwszych tygodni stanu wojennego. Mogliśmy mieć powód do dumy.

– **A „Tygodnik Powszechny”, jak jego rolę Pan ocenia?**

– W stanie wojennym stał się azyłem dla wyrzuconych dziennikarzy. Spotykałem się tam zawsze z serdecznością starej gwardii, którą tworzyli Jerzy

Turowicz, Maciej Kozłowski, Józefa Hannelowa i Mieczysław Pszon, wielka postać. „Tygodnik..” miał taką politykę, że wyrzuconych byłych partyjnych hołubił, ale... nie przyjmował do zespołu. Wszyscy wiedzieli, że miało to utrudniać pracę bezpiece, żeby jej nie było łatwo wsadzić do nich agenta. Po-
przyjmowali za to młodych, związanych z prasą podziemną, dla których czę-
sto jej redagowanie stanowiło główne zajęcie, ale oficjalnie też gdzieś pracować
musieli. Oczywiście potem ci młodzi postanowili kopnąć starych i pojawił się
problem. W ogóle po zmianie ustroju ciężko przyszło pewnej legendzie spro-
stać. Poparcie Tadeusza Mazowieckiego przeciwko Lechowi Wałęsie najpierw
w „wojnie na górze” następnie zaś w wyborach prezydenckich jesienią 1990
r. nie było decyzją rozsądną. Naród Wałęsy pragnął, kochał go miłością czy-
stą. Ale nie z tych względów doszło do mojego rozstania z ich środowiskiem.
Przestałem bywać w „Tygodniku Powszechnym”, kiedy w Nowym Jorku
w polonijnym wydawnictwie opublikowałem książkę „Duch Rzeczypospolitej”
o polskiej tradycji demokratycznej. Znakomity historyk prof. Wandycz napi-
sał jej recenzję. Odpowiedź z „Tygodnika...” brzmiała jednak: bzdetów nie
recenzujemy. To wtedy przestałem tam bywać.

– **Kraków kojarzy się z „Tygodnikiem” ale i Janem Rokitą. Miał być pre-
mierem z Krakowa...**

– Mądry człowiek, ale ego nie mieściło się w pokoju. Miałem z nim kon-
takt, gdy zostałem konsulem w Nowym Jorku, a on był szefem Urzędu rady
Ministrów. Wtedy mówiono: w urmie jak w tiumie, bo Rokita miał zwyczaj
przesiadywania w gabinecie do późna w nocy a inni musieli wraz z nim...

– **Jak Pan wspomina niedawno zmarłego Andrzeja Walickiego?**

– Doceniam głębię jego myśli ale wiele jego poglądów nawet wyrażanych
w ostatnich wywiadach domaga się polemiki. Twierdził przecież, że po co Po-
lacy tak przez lata rozrabiali, skoro Jaruzelski doprowadziłby i tak do wolnej
Polski. Nie sposób było się z tym zgodzić. Zresztą Jaruzelskiemu nie przypisuję
formatu męża stanu, bo trudno o to.

– **Dłaczego?**

– Józef Piłsudski poszedł do Magdeburga. Do twierdzy jako więzień, cho-
ciaż stawał wcześniej na państwa centralne. Doświadczenie uwięzienia zatarło
ten efekt. Jaruzelski tego nie potrafił...

– **Żeby dać się zamknąć w dobrej sprawie, tak?**

– Nie tylko o to chodzi, raczej o pewne horyzonty działania. Pamiętam z kolei jak Jarosław Kaczyński bardzo się bał w latach 70, że jego brata Lecha zamkną, co akurat nie miało miejsca. Bratowa Danusia pracowała na WSP w Sopocie jako asystentka. Zajmowała się prawem pracy, adiunktem w tamtej katedrze był Lech. Przychodził do nich do domu, brat obiad gotował, bo oni razem pisali prace naukowe. Kiedyś gdy do nich przyjechałem, Danusia rzuciła pomysł: idziemy na bal prokuratury. Jak się okazało, do kasyna milicyjnego. Wiadomo, co na to odpowiedziałem: przecież to bal tajniaków. A ona na to: nic się nie bój, Lechu będzie...

– **Czyli Lech Kaczyński miał już wtedy pewien mir? Żeby zostać w tym wypadku przyzwoitką wystarczający?**

– Wszyscy wiedzieli, że Lech doradza Wolnym Związkom Zawodowym Wybrzeża. Przez to nie awansował. Gdyby go Jarosław nie namówił na kandydowanie na prezydenta, na początek w Warszawie, byłby dziś szanowanym naukowcem. Dodajmy, że o lekko socjalistycznych przekonaniach.

– **W czasach antykomunistycznej opozycji Jan Olszewski również o sobie mówił: jestem socjalistą.**

– PPS-iaków poznałem z najlepszej strony, to był Feliks Gross z Nowego Jorku, Filipowicz.

– **Adam Ciołkosz przekazywał pieniądze emigracyjnej PPS na opozycję demokratyczną.**

– Co więcej, pierwsze pieniądze na wykup uwięzionych w 1976 r, na zapłatę grzywnien, pochodziły od PPS. Jan Józef Lipski chodził wtedy z chlebakiem. Wątek PPS pojawił się w moim życiorysie w latach 80 w okolicznościach można powiedzieć dość banalnych. W doborowym gronie opozycyjnych dziennikarzy umówiliśmy się, żeby napić się wódki. Wylądowaliśmy u Pikulickiego. Jak się okazało, tam był kocioł. Ubecy stali w drzwiach. Wpadł wtedy również Mietek Gil. Jeden Maciek Szumowski zorientował się i nie wszedł. Ubecja zaś jak się okazało, miała pomysł, żeśmy się zebrali po to, żeby utworzyć PPS.

– **Wkrótce Polska Partia Socjalistyczna w kraju rzeczywiście powstała?**

– Utworzono ją na spotkaniu, które odbyło się w ogródkach działkowych. Rekomendowano mnie do rady PPS. Później niestety Piotr Ikonowicz zaczął

zarzucać Janowi Józefowi Lipskiemu, że jest agentem. Zaczęły się gorsze klimaty.

– **Przez jakiś czas były nawet trzy PPS-y: PPS Lipskiego, PPS-Rewolucja Demokratyczna Ikonowicza oraz PPS-TKK Grzegorza Ilki?**

– Rzeczywiście utknęło to wszystko w licznych rozłamach, w których trudno było się już zorientować i rozmyło...

– **A KPN jak pan wspomina?**

– Starych KPN-owców bardzo cenię, szanuję ich geopolityczną wizję i rozagę, to nie była banalna myśl polityczna, wszystko co pisał Leszek Moczulski. KPN w Krakowie był silny, Moczulski stąd kandydował. Jednak wtedy właśnie pojawił się problem, bo KPN nawet posłów zaczął brać z ulicy. Lubię Krzysztofa Króla, ale on z kolei z czasem uwierzył w drugi komitet obywatelski przy Lechu Wałęsie, już w nowych czasach, a ja tej wiary nie podzielałem.

– **Bo to nie czasy „my, naród”?**

– W najlepszym dla Wałęsie czasie jego przemówienie w Kongresie tłumaczył Jacek Kalabiński. Poznałem go, gdy pojechałem za własne pieniądze w podróż dookoła świata. Mieszkałem wtedy przez dwa tygodnie u Kalabińskich na Brooklynie. Niestety, gdy Jacek Kalabiński ciężko zachorował, „Gazeta Wyborcza” nieładnie się z nim obeszła, a był jej wieloletnim korespondentem.

– **Pan w nowej Polsce ma za sobą doświadczenie dyplomatyczne. Czy oprócz reprezentowania kraju rozwiązywał Pan kwestie trudne?**

– Akurat zaczęła się sprawa Demianjuka. Pojawiło się w druku to nieszczęsne „polish concentration camp”, fatalne określenie. Siedziałem w konsulacie polskim i pracowałem nad listem do „New York Timesa”. I nagle przychodzi Roman Kent, polski Żyd, szef zgromadzenia osób, ocalałych z Holocaustu. Dowiedział się ode mnie, co robię, i od razu rzucił: idziemy do Abe’a Faxmana. On wtedy był szefem Anti-Defamation League. Napisał list, że wprawdzie w Polsce istniał antysemityzm, ale obozy nie były polskie, tylko niemieckie, nazistowskie.

– **Jaki był skutek?**

– Przez parę lat wspomniane określenie w ogóle nie pojawiało się w druku. Nie używano nazwy polskie obozy koncentracyjne. Jednym listem to osiągnął. Po paru latach przyjechał do Stanów Aleksander Kwaśniewski jako prezydent.

Spotkaliśmy się wtedy z Abe Faxmannem w hotelu. Powiedział wtedy: – Panie prezydencie, Polska i Liga Antydefamacyjna to dwie najwspanialsze sprawy na świecie. Wcześniej jeszcze miałem w USA pasjonujące spotkania. W 1985 r. siedzieliśmy z Maciejem Hłowieckim w Głosie Ameryki. Aż tu nagle wchodzi Henryk Grynberg. I mówi: – Mój ojciec był pachciarzem u dziedzica Hłowieckiego... Ta dusza polskiego Żyda... To były niepowtarzalne spotkania. Przed odlotem z Okęcia ubek wezwał mnie na rozmowę, odczytał mi listę wszystkich pseudonimów, którymi podpisywałem artykuły w drugim obiegu. Nic nie wskórał, bo powiedziałem, że niczego nie podpiszę. W końcu rzucił mi paszport. Po latach wyjechałem na placówkę i gdy Tadeusz Mazowiecki jako premier przebywał w Nowym Jorku sam go wiozłem samochodem, więc musiałem spełnić wymogi Secret Service, o co niełatwo, bo kierowcą zawodowym nigdy nie byłem.

– **Przez tyle lat towarzyszył Pan swoim piórem Solidarności i szerzej opozycji antyustrojowej. Warto było, jak z perspektywy lat Pan to ocenia?**

– Moja Solidarność to nie obecny związek zawodowy wspierający PiS. Dla mnie to lata 1980–81. Anna Walentynowicz w trakcie zbiórki w Stoczni Gdańskiej pierwsza wpłaciła ofiarę. Wcześniej była przodowniczką pracy, kandydatką do PZPR, zrozumiała jednak, że inni chcą ją wykorzystać, wyzwoliła się z tych uwikłań. Dla mnie solidarność to jedno z najważniejszych pojęć filozoficznych. Inna nazwa chrześcijańskiej miłości – to solidarność wobec innego człowieka. Dziękujemy więc Bogu, żeśmy wtedy potrafili być solidarni przez 16 miesięcy. To i tak długo.

(Tekst rozmowy nieautoryzowany)

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

ROZMOWA Z KS. JERZYM BŁASZCZAKIEM

Portret Papieża na bramie Stoczni był z Domu Księży Pallotynów i Kościoła św. Elżbiety.



– Kiedy Ksiądz znalazł się po raz pierwszy w Gdańsku na posłudze duszpasterskiej?

– W Gdańsku byłem dwukrotnie. Po raz pierwszy znalazłem się tam w 1972 r., dwa lata po Grudniu. Współpracowałem wówczas z ks. Pałygą i ks. Papkałą. Pierwszy z nich za punkt honoru wziął sobie organizowanie spotkań również z ludźmi niewierzącymi, a w ogóle z rozmaitymi środowiskami, niezmiernie barwnymi i twórczymi: z ludźmi teatru, w tym trójmiejskimi aktorami, z harcerzami z kręgow oficjalnie przez władze nie uznawanych, z nauczycielami. Do doświadczeń międzywojennego jeszcze ruchu

harcerskiego nawiązywał Zodiak. Tworzyli go dorośli ludzie, skupieni wokół prof. Wiesława Jasińskiego z Politechniki Gdańskiej, dla których dawne harcerskie ideały pozostawały bliskie.

– **Czego dotyczyły dyskusje, które toczyliście?**

– Działo się to krótko po Soborze Watykańskim II, więc moją rolą pozostawało zaznajomienie wiernych ale również osób nastawionych sceptycznie z dokumentami soborowymi i przede wszystkim duchem tego wielkiego, historycznego dzieła. Spotykaliśmy się raz w miesiącu, po domach prywatnych, w Gdyni, Orunii czy Oliwie. Organizowałem wyjazdy na Dni Skupienia do klasztoru w Żarnowcu, gdzie panowała znakomita i niepowtarzalna atmosfera. Narto-rekolekcje były z kolei autorskim naszym pomysłem, tak nazwaliśmy wyjazdy do Doliny Pięciu Stawów. Do obiadu rzeczywiście jeździło się na nartach. Po obiedzie dyskutowało o najważniejszych sprawach. Studiowaliśmy zarówno Pismo Święte jak dekrety soborowe. Rozmawialiśmy, Msza św. Polowa, Droga Krzyżowa.

– **Czy wspomnienia Grudnia 1970 r. były żywe w środowisku, które ksiądz w Gdańsku zastał?**

– Pogrzeby jak Panowie wiecie odbywały się nocą, więc wspomnienia o Grudniu pozostawały... szeptane. Paradoks sprawił, że nasz kościół św. Elżbiety był usytuowany niemal przy Komitecie Wojewódzkim PZPR, dosłownie o dwa kroki. Ks. Tadeusz Korbecki wtedy niedawno wyszedł z wojska, bo to był czas, kiedy kleryków władza powoływała do tej służby – więc odrzucał milicyjne petardy i granaty z gazem, ratował poszkodowanych, sam został poważnie poraniony, ponieważ go zbili i skatowali, ślady tego zdarzenia nosił na ciele aż do śmierci. Prawdziwy męczennik. Słusznie Panowie o te wspomnienia pytają. W mojej ocenie tamte wydarzenia i wspomnienia o Grudniu połączyły te 40–50 osób, wśród których wtedy przyszło mi działać, co znakomicie wspominam, w zwartą grupę.

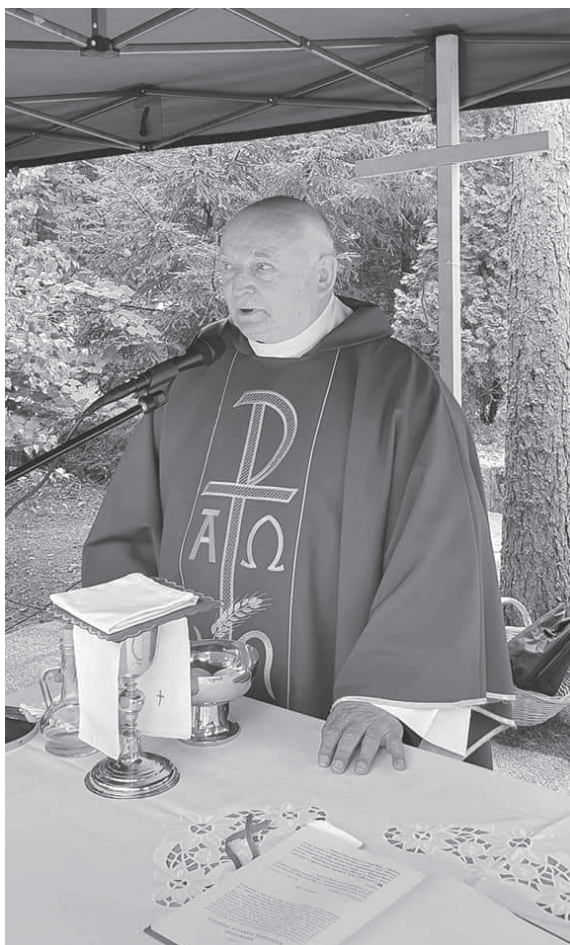
– **Nie idealizuje Ksiądz?**

– Oczywiście, że nie, w każdej grupie niestety zdarzali się też donosiciele, wkrótce okazało się, że w opracowanym przez SB dokumencie poświęcono mi 20 stron materiałów jako jednemu z księży, uznanych wtedy za najbardziej niebezpiecznych dla ustroju. Jednak na trzy lata przyszło mi wtedy wyjechać

z Gdańska, zostałem Mistrzem Pallotyńskiego Nowicjatu w Ząbkowicach, powróciłem w 1978 roku.

– **To już była zupełnie inna sytuacja?**

– Oczywiście, że wiele się zmieniło. Wróciłem w sierpniu 1978 r. do Gdańska, a w październiku kardynał Karol Wojtyła wybrany został na Stolicę Piotrową. Gazetki wydawane przez KOR krążyły już u dominikanów. Wcześniej już miałem rekolekcje u ks. Jastaka w Gdyni. Starszy ode mnie o kilka lat powierzył mi rekolekcje wielkopostne, a że akurat były wybory do rad narodo-



wych, odpowiednika samorządu w PRL jeśli tak powiedzieć można, bo kandydatów wskazywała władza, powiedziałem o tym, kto raz odda pokłon, że czyni to już na zawsze, jak powiedział Chrystus. Starałem się wtedy o paszport do Rzymu. Nie dostałem go. Zarzut poznałem: mieszam się do polityki. Ubek w trakcie rozmowy o paszporcie ten właśnie zarzut mi postawił.

– **Co Ksiądz odpowiedział?**

– Wiedziałem, o które kazanie chodzi, wskazałem, że odnosiłem się do tego, co zawiera Ewangelia. I usłyszałem: – Gdyby ksiądz był politykiem i coś nam obie-

cał. Ale i tak ksiądz tego nie dotrzyma... W ten sposób moja podróż do Rzymu jeszcze w 1974 r. okazała się wyjazdem niedoszłym. Okoliczności odmowy wpłynęły za to na moją definicję polityki.

– **Jak to Ksiądz rozumie?**

– Esbek trzymał długopis. Świecili lampą w oczy. Wystarczyło wziąć ten długopis z jego ręki, podpisać: kwituję odbiór paszportu. Wtedy mieliby mój podpis. Wiedziałem, że tego nie wolno mi zrobić. Odpowiedziałem w ten sposób: zarzuca mi pan, że się mieszam do polityki, a sam mi pan proponuje, żebym was oszukał. Dlatego na moją ocenę i definicję polityki tamta rozmowa trwale wpłynęła. Chociaż później pojmowałem oczywiście politykę jako troska o dobro wspólne, działalność na rzecz niego, jak ujmuje to społeczna nauka Kościoła w ślad za Arystotelesem.

– **Zbliżamy się do Sierpnia 1980 w Księdza opowiadaniu...**

– 14 sierpnia 1980 r. wracam z Gdyni. Jadę i widzę chorągiewki na samochodach. A także na bramach zakładów. Kościół Św. Elżbiety ten nasz znajdował się od Stoczni Gdańskiej niedaleko, blisko również dworca kolejowego, a o sąsiedztwie z komitetem wojewódzkim PZPR już wspominałem. Kłóciłem się nawet wcześniej z sekretarzem KW Tadeuszem Fiszbachem o dzielący nas plac zastawiony ich samochodami, pomiędzy którymi zmierzający do kościoła wierni musieli się jakoś przeciskać, co nie było łatwe. Po prostu ludzie przejść nie mogli. Ale gdy przyszedł Sierpień, pojawiły się inne, poważniejsze problemy. Słowa Solidarność jeszcze



wtedy się nie słyszało, pojawiło się natomiast 21 postulatów strajkowych. Gdy 17 sierpnia przyjechał pociąg, do nas na plebanię zastukało dwóch panów: Tadeusza Mazowieckiego już wcześniej znałem, towarzyszył mu mężczyzna z brodą, był nim Bronisław Geremek. Spytali, czy nie poczęstowałbym ich herbatą. Oczywiście nie tylko ją dostali, ale coś do jedzenia. Około dwunastej w nocy spytali, czy nie zaprowadziłbym ich do Stoczni Gdańskiej.

– **Jak Ksiądz zareagował?**

– Nałożyłem sutannę i ruszyliśmy. Powiedziałem, że może być tak, że myśz się nie prześliznie. Zaprowadziłem ich do Stoczni, w szpalerze suk milicyjnych. Nikt nas nie zatrzymywał. Noc wtedy obaj panowie, Mazowiecki i Geremek, spędzili rzeczywiście na styropianie.

– **Utrzymaliście kontakt?**

– Potem co noc przychodzili Mazowiecki z Geremkiem spać u św. Elżbiety. Blisko dworca, dogodna lokalizacja. Zresztą czuli się tam dobrze. Trochę z nimi rozmawiałem, na ile pozwalało ich zmęczenie i zaabsorbowanie.

– **Co mówili, jaki był stan ich świadomości i wiedzy o sytuacji?**

– Czekali na przyjazd delegacji z Warszawy z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim na czele. Gdański sekretarz Tadeusz Fiszbach sprawiał wrażenie, że chroni stoczniowców. Wtedy byłem nawet przekonany o jego kaszubskim pochodzeniu, potem okazało się, że wywodzi się spod Sokala, należącego do Polski przed wojną, teraz położonego po drugiej stronie granicy, już na Ukrainie. Nastroje nie były wtedy jednoznaczne, grożono przecież rzezią, jakąś nocą św. Bartłomieja czy długich noży, a wspomnienia Grudnia 1970 r. wciąż pozostawały żywe.

– **Z Lechem Wałęsą wtedy Ksiądz się zetknął?**

– Wałęsa siedział wówczas w Stoczni. Powtarzał się co wieczór podobny mechanizm, że przychodzili Geremek z Mazowieckim, utyskiwali, że Wałęsa ma jakiś dziwny pomysł i przy nim się upiera, zaś już następnego dnia byli tym jego projektem zachwyceni po prostu, uznawali go za własny, tak to przebiegało. Wiem, że w wielu sprawach im się sprzeciwiał.

– **Jak było z portretem Papieża na bramie Stoczni?**

– W Gdańsku przy wejściu do pallotyńskiego Domu miałem portret Papieża. Gdy przyszli ze Stoczni i poprosili, nie mogłem im go nie dać. Chyba



to Panów nie dziwi. Przyszli, zabrali portret do Stoczni, na bramę. Oczywiście potem już go nie odzyskałem, żartuję trochę, bo to przecież nie najważniejsze.

– Ks. Józef Tischner był wtedy u Papieża, w Castel Gandolfo.

Razem oglądali we włoskiej telewizji relacje z Polski. I nagle włoska tv pokazuje portret Jana Pawła II na bramie Stoczni. Papież jakby aż się skulił, zanie mówił, poczuł chwilę wielkiej odpowiedzialności. A ks. Tischner widząc to dodał, że ten portret na bramie może stać się symbolem, który powstrzyma rozwiązanie siłowe.

– Przyczynił się do tego również ks. Henryk Jankowski, odprawił mszę w Stoczni, tam był mój współbrat ks. Jerzy Romanowicz, odbyła się spowiedź.

– To ta okładka angielskiego magazynu „Time” z kłęczącymi robotnikami w kombinezonach stoczniowych, portret na bramie też tam jest widoczny.

– Wiele rzeczy zmieniło się błyskawicznie. Na sam koniec sierpnia 1980 r. miałem jechać na koronację obrazu w Hodyszewie na Podlasiu. Tylko jak, skoro w całym Trójmieście paliwo pozostało niedostępne. Pojechałem jednak na stację benzynową.

– Negocjować?

– Pokazano mi dwóch panów w facie. Siedzieli z boku. Powiedziałem, o co chodzi. I zaraz benzyna się znalazła, zatankowaliśmy pod korek i do kanistrów. Wkrótce po mnie przyjechała milicja. Ale oni nic nie wskórali. Odjechali z niczym. Rozumiecie Panowie: to jest Polska 1980 roku, na dziewięć lat przed upadkiem komunizmu, a ludzie przyszłej Solidarności rządzą już nawet na stacji benzynowej, decydują, komu paliwa nalać.

– I wtedy podpisano porozumienia.

– Dowiedziałem się o nich w Hodyszewie. Kazanie wygłosiłem tam o solidarności. O tym, co słowo to znaczy. Soli Deo, samemu Bogu, to była dewiza ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Prymas miał ją w herbie. Sam Bóg jest darem dla człowieka, to z niej wynika. I tak pojmuję słowo solidarność, że ja sam mam być darem dla drugiego człowieka. Papież tłumaczył właśnie w Gdańsku słowa św. Pawła: jeden drugiego brzemiona noście.

– **A wtedy w Gdańsku w sierpniu...**

– ...zardzewiały tory tramwajowe, bo strajkowała komunikacja miejska, na ulicach nie było pijanych bo nie sprzedawano alkoholu, więc torowiska zarastały trawą. Do końca u św. Elżbiety byli panowie Mazowiecki z Gremkiem. Po porozumieniach odprawiłem mszę dziękczynną, w której obaj wzięli udział, był też Andrzej Wielowieyski, Zbigniew Romaszewski. Zaczął się karnawał Solidarności. We wrześniu 1980 r. Klub Inteligencji Katolickiej zorganizował pielgrzymkę do Rzymu i tym razem już kłopotów z paszportem nie miałem. Dostałem nawet te przydziałowe 10 dolarów na drobne wydatki. A w trakcie pobytu we Włoszech dowiedziałem się o powstaniu związku zawodowego Solidarność.

– **W trakcie spotkania w Gdańsku 17 września Lech Wałęsa zdecydował się na powołanie ogólnopolskiego związku, co wcale nie było oczywiste, wielu doradców sarkało?**

– Wałęsa miał swój instynkt, słusznie wtedy rozstrzygnął, chociaż jak wiadomo, miał też swoje uwikłania, zapewne później sprawy potoczyłyby się lepiej, gdyby się z nich w odpowiednim czasie wytłumaczył. 17 września w Gdańsku był m.in. Jan Olszewski, a Wałęsa zdecydował się na jeden związek, całkiem słusznie. Z mecenasem Olszewskim zetknąłem się później, w 1984 r. w trakcie posługi w Lublinie, dokąd Olszewski przyjechał, żeby bronić dwóch studentów. Pamiętam jednego z nich, Piotr Szczudłowski nawoływał, żeby zamiast wziąć udział w pochodzie pierwszomajowym iść w tym czasie do kościoła. Wraz z drugim oskarżonym studentem dostali wtedy za to po 4 lata, ale że bronili ich Olszewski i mec. Przeciszewska, to dzięki temu za kratami spędzili krótszy czas, każdy po roku. Szczudłowski to mój parafianin, więc czułem się w obowiązku być na rozprawie. Długo nie chcieli mnie wpuścić. W końcu jednak wszedłem. Wiem, że już w 1992 r. mec. Olszewski

spodziewał się innego stanowiska od Wałęsy w sprawie zarzutów z dawnych lat, a ówczesny prezydent wydał wtedy w odstępie kilku godzin dwa bardzo różniące się od siebie oświadczenia.

– **Wraca Książd z Rzymu, z tej pielgrzymki KIK. I okazuje się, że karnawał Solidarności to jednak ciężka praca?**

– My Gdańczanie mieliśmy wtedy poczucie, że w pewnej mierze u nas jest stolica Polski. Pamiętam świetnie strajk tuż przed stanem wojennym. W listopadzie 1981 r. okupację urzędu wojewódzkiego podjęły trzy grypy zawodowe: lekarze, aktorzy i nauczyciele. Władza chciała się z nimi dogadać, ale z każdym z osobna. Poproszono mnie o odprawienie mszy tam na miejscu, na strajku. Poszedłem wraz ze współpracującym ze mną księdzem Stefanem Połońcem. Strajkiem dowodził Bogdan Lis. Doradziłem jego uczestnikom spowiedź. Do mszy wziąłem temat z Ewangelii, jak dziesięć dni i nocy uczniowie trwali na jednomyślnej modlitwie razem z Matką Jezusa, aż wreszcie przyszło zesłanie Ducha Św. Wkrótce, w trzy godziny po tym, jak odprawianie mszy zakończyłem, władza podpisała porozumienie ze wszystkimi protestującymi grupami łącznie: nauczycielami, aktorami i lekarzami. Było to 10 listopada Święto Matki Bożej Ostrobramskiej.

– **Ale zaraz i tak wprowadzono stan wojenny.**

– 13 grudnia byliśmy w Kościele Mariackim na mszy świętej i spotkaniu solidarnościowym u ks. Bogdanowicza, tam pojawił się nagle Aleksander Hall z Ruchu Młodej Polski, powiadomił, że ucieka, później długo się ukrywał. Jednak o wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się wcześniej, gdy o północy zamilkło radio, nadające mszę dla tych, co na morzu. Nie wszyscy pamiętają, że na mocy porozumień sierpniowych nie tylko w Warszawie u św. Krzyża wprowadzono niedzielą mszę radiową ale też w Gdańsku u św. Elżbiety dwie Msze Święte z soboty na niedzielę i w niedzielę. Pracowaliśmy nad nią u św. Elżbiety. Ale w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. nadajniki zamilkły. Zdążyłem tylko powiedzieć: czarne chmury zgromadziły się nad Polską. I odmówić „Pod Twoją obronę...”.

– **Co działo się dalej?**

– Za chwilę do nas do św. Elżbiety wpadła cała chmara: Mazowiecki, Gerek, Wielowieyski, Bujak i Janas. Do tej pory Bujak nie oddał wypożyczonych

dla niego z teatru wąsów. Tamci poszli, został Zbigniew Bujak jedni potem wpadli inni nie, ale sam Bujak przez pierwszy tydzień dowodził rodzącą się konspiracją ze św. Elżbiety. Krócej był z nami Zbigniew Janas. Za to Zbigniew Bujak mieszkał u św. Elżbiety w pokoiku, przychodził na wspólne posiłki, a pani Maria ucharakteryzowała go. I zaprowadziła Bujaka na dworzec. Pojechał lokomotywą.

– **Czy poszedł Ksiądz do Stoczni w tamtym czasie?**

– Jak czołgi przyjechały pod stocznnię, to znowu założyłem sutannę i poszedłem. Potrzebowałem chwili, żeby się zorientować, kto to jest. Usłyszałem, że czołgiści mówią po polsku. Nie po rosyjsku. To byli Polacy. Nam się to wcale nie wydawało z góry oczywiste. Przyszły wtedy pod Stocznnię kobiety z Gdańska. Mówię więc do nich: przynieście tym w czołgach chleb, herbatę i jedzenie. Rzeczywiście tak zrobiły. A w lufy czołgów powkładały im kwiaty. Oni z tymi kwiatami w lufach czołgowych działek odjechali. Później już pojawiło się ZOMO. Mnóstwo działało tych co po cywilnemu. Spisywali prawie codziennie, co w kościele mówiłem. Miałem poczucie, że jestem inwigilowany, żadnych złudzeń. Pewnego dnia ksiądz Tadeusz Słonka przekazał w ogłoszeniach trzy niezwykle ważne wiadomości równocześnie: że Lech Wałęsa został zwolniony, zmarł Leonid Breżniew a Ojciec Święty przyjedzie do Polski w 1983 roku. Ale droga do tego była długa. 16 grudnia 1981 roku na placu przed św. Elżbietą zastrzelono Antoniego Browarczyka. Miał 20 lat. Na pogrzeb czekał dwa tygodnie. Doskonale pamiętam, jak mówiłem kazanie o tym, że każdy ma prawo do pochówku, przywoływałem dramat Antygony. Gdy odmawialiśmy wtedy „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...” pamiętam... taką chwilę wahania czy zacięcia, ale przecież modlitwę „Ojcze nasz” do końca wypowiedzieliśmy.

– **Kiedy zetknął się Ksiądz z Jerzym Popiełuszką?**

– Spotkałem go, gdy przyjechał do Gdańska, a zaprosił go ks. Jankowski. Zamówił ks. Jankowski mszę u św. Elżbiety, bo miał proces z politycznymi zarzutami. Pamiętam temat kazania: uderz w pasterza, a rozproszą się owce. Po mszy wierni poszli wraz z ks. Jankowskim do sądu. Pozostało więc sędziom rozprawę odroczyć. To był już 1983 rok. Ks. Jerzy zginął rok później. Bardzo ciężko o tym mówić, ale jego ofiara, męczeństwo i śmierć posłużyły

jakoś działaniom Wałęsy, Geremka czy Mazowieckiego, bo to wtedy nastąpiło odrodzenie Solidarności. Śmierć ks. Jerzego Popiełuszki przesądziła o zwycięstwie Solidarności jak śmierć ks. Ignacego Skorupki w Bitwie Warszawskiej roku 1920.



A ja mam jeszcze jedno wspomnienie: wtedy, kiedy już zostałem przeniesiony do Lublina, co nastąpiło w 1984 roku, w drodze na pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki zatrzymała mnie milicja, że za szybko jadę. Tłumaczę, że na pogrzeb się spieszę. I co słyszę od nich? „Zabije się ksiądz i znowu będzie na nas”. W Lublinie jednak głównym moim zadaniem było zbudowanie kościoła. Ubecy przychodzili na plebanię, wiecznie o coś wypytywali, pokazywałem cegły, które trzeba przenieść. Jest takie powiedzenie, że budowniczemu kościoła połowa jego grzechów będzie odpuszczona. Ale tylko połowa. Wreszcie powstał taki kościół, który liczy 20 sal katechetycznych.

– **A komunizm upadł, wojska radzieckie się wycofały...**

– W czerwcu 1989 r. znów się bardzo kibicowało Wałęsie. Pewnie miał wrażenie, że wtedy komunistów przechytrzył. A potem przypomniało mi się takie powiedzenie: jaka jest różnica między cudem a naturalnym zjawiskiem. Rzecz naturalna, to jeśli z nieba zstąpią Aniołowie i przegonią radzieckie wojska. A cud wtedy, kiedy Rosjanie sami wyjdą i wyszli.

*Żyjemy w czasie cudu,
jednego w 1920 roku, drugiego 1980 roku.*

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

ROZMOWA Z ANTONIM PIEKAŁKIEWICZEM,
BYŁYM DZIAŁACZEM KONFEDERACJI POLSKI
NIEPODLEGŁEJ, ORGANIZATOREM MARSZÓW
SZLAKIEM PIERWSZEJ KADROWEJ



– Pana rodzina ma niezwykle tradycje patriotyczne. Zacznijmy więc od pokrewieństwa z Janem Piekalkiewiczem, Delegatem Rządu na Kraj, zamordowanym przez Niemców?

– Mój dziadek Florian z Janem Piekalkiewiczem byli braćmi stryjecznymi. Tradycja w rodzinie zawsze przeplatała się ze współczesnymi zaangażowaniami. Już jako małe dziecko poznałem i przez całe życie żywo odczuwałem historię

Jana Piekalkiewicza. Opowiadała mi o nim często jedna z moich ciotek, mieszkająca na Saskiej Kępie. To u niej w trakcie jednego ze spotkań, na które mnie zabrano, poznałem Leszka Moczulskiego, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, pod koniec lat 50. Ciotka była wtedy z Kunowskim, dawnym kapitanem Armii Krajowej. W jej domu akowcy pozostawali stałymi gośćmi. Z kolei babcia, matka mojej mamy i matka Jana Pietrzaka były rodzonymi siostrami. Oczywiście Pietrzak nie był w tamtych czasach Panem Jankiem, tylko jeszcze dzieckiem. Ojca nie pamiętam. Wiedziałem, że nie skapitulował ani przed Niemcami ani Rosjanami już po II wojnie światowej. Rzutowało to w oczywisty sposób na stosunek rządzących do moich najbliższych. Gdy matka mnie rodziła, zawieźli ją do szpitala gruźliczego. Ale przeżyliśmy oboje. Nie wiedziałem nigdy dokładnie, co dzieje się z ojcem, domyślałem się, że mógł zmienić nazwisko, uciec za granicę, obawiałem się, że mogli go zastrzelić. Wiem tylko, że jeszcze w latach 50. matka jeździła w jakimś celu do Szczecina, na Ziemię Odzyskane. Tam pewnie się z ojcem mogła spotykać, ale to nie pewność, lecz domniemanie.

– **Korzenie miał Pan warszawskie, ale jednak czas Pana działalności w opozycji antykomunistycznej kojarzy się już z Krakowem?**

– Najpierw jednak znalazłem się we Wrocławiu, moja siostra urodziła się w 1954 r, co stanowiło oczywisty dowód, że rodzice wcześniej... musieli się ze sobą widywać, ale gdzie i kiedy, tego się już nie dowiedziałem. Czasy pozostawały ciężkie dla takich rodzin jak nasza. Wyrzucono nas na zbity pysk z Wrocławia. Zameldowaliśmy się więc w Łosicach pod Siedlcami. Szanowaną tam powszechnie rodzinę Piekalkiewiczów tworzyli... prawnicy i młynarze, niektórzy żyli też z ziemi. Brat mojego ojca, Henryk Piekalkiewicz, po wojnie kupił młyn. Przy nim była jednopiętrowa kamienica. Chodziłem tam na Podlasiu do podstawówki i średniej szkoły. Mama aż do śmierci w 1967 r. została w Łosicach. Zaś siostra mieszkała później w Konstancinie i Piaseczynie. Natomiast ja ruszyłem w świat. Wylądowałem w Chorzowie. Pracowałem w komunikacji miejskiej. Jako kontroler, inspektor ruchu dbałem o punktualność tramwajów i likwidację skutków wypadków. Właśnie w Chorzowie w latach 1977–1979 współpracowałem z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Zajmowałem się kolportażem.

WSPÓŁPRACOWAŁEM Z KAZIMIERZEM ŚWITONIEM

– Pana zajęcia zawodowe wiązały się z pewną ruchliwością i możliwością uzasadnienia obecności w każdym miejscu, co miało znaczenie dla działalności, którą pan podjął?

– Tam w Chorzowie nawiązałem kontakt z Kazimierzem Świtoniem. Poznaliśmy się przez motorniczego z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Katowicach Jurka. Współpracował z ROPCiO i ze Świtoniem, któremu już wtedy marzyły się wolne związki zawodowe. Rzeczywiście z racji pracy zawodowej miałem szofera i żadnych kłopotów z wytłumaczeniem się, dlaczego jestem w danym punkcie miasta. Rozkłady jazdy komunikacji miejskiej miałem w głowie. Do nadzorowania miałem duży rejon od Bytomia po Załęże. Stawałem na rondzie, często tym przy Spodku, obserwowałem ruch. Biegałem w mundurku komunikacji, w czapce z otokiem, inaczej wtedy na mnie patrzyli: a miałem przy sobie ulotki. Wtedy nie było kamer, żeby zarejestrowały, co robię poza wykonywaniem zawodowych obowiązków. Spotkania z ludźmi, przekazywanie bibuły, nie nastroczały problemów. Pracując w komunikacji miałem żywy kontakt z mnóstwem ludzi. Gdy coś się zepsuło, tramwaje stanęły, na skargę przychodzili do mnie. Moja praca miała znaczenie dla nich, jeśli na Stadionie Śląskim odbywał się mecz, to na pętli musiało być zabezpieczonych 20–30 składów tramwajowych, żeby wszystkich potem rozwieźć. Milicja też zawsze się wokół koncentrowała, w niewielkim promieniu kilkadziesiąt bud.

– Śląsk to był jeden z najtrudniejszych terenów do opozycyjnej działalności? Jak sobie z tym radził Świton?

– Kaziu był rzeczowy, chociaż zwłaszcza później po latach czasem za dużo gadał. Świton to barwna postać. Wtedy miał warsztat naprawy telewizorów. Ale nie wiem, czy chociaż jeden w nim naprawił. Całą energię poświęcał opozycyjnym działaniom. Za jego sprawą powstały na Śląsku Wolne Związki Zawodowe, mówił mi o nich w 1978 r. Zaś z ROPCiO docierały materiały, przeznaczone do kolportażu. Tak się wtedy wszystko toczyło.

– Pierwszą wpadkę na pewno Pan doskonale pamięta?

– Komuna bała się Wolnych Związków Zawodowych. Jurek...

– ...ten motorniczy, za którego sprawą poznał Pan Świtonia?

– Tak, o nim właśnie mówię – w każdym razie Jurek opowiadał, że bezpieka go brała, przyjeżdżała po niego do domu. Cały czas mieli go na oku. Z czasem dał spokój, zaprzestaliśmy kontaktu. Powiedział, że tym wszystkim nie będzie się już zajmował. Zastanawiałem się, kto nas zakapował. Dowiedziałem się wreszcie, że kapusiem okazał się ktoś, komu Jurek regularnie wręczał ulotki. Ten człowiek doniósł na Jurka do esbeka, który pracował na drugim etacie w zajezdni WPK, też w nadzorze ruchu.

– **Czuło się presję?**

– Świętoń był inwigilowany. Mną również niektórzy bardzo się interesowali. Wydedukowałem, że albo coś wiedzą, albo bardzo... chcą się dowiedzieć. Nagle ktoś stawia na stole pół litra a później z głupia frant pyta: – Z Jurkiem się widziałeś? Oczywiście wybór Papieża wiele zmienił. W trakcie czerwcowej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski byłem jeszcze w Chorzowie. Jedni mówili o oparciu w Bogu, drudzy, że wizyta Papieża wzmocni opozycję.

– **Nie odczuwam u Pana entuzjazmu dla ówczesnych postaw społeczeństwa?**

– Powoli się to zmieniało. Na Śląsku co czwarty robotnik był w ORMO. Ormowcy dostawali pełen ubiór, buty porządne pod kolana, a na zimę kożuch i czapę jak ruska papacha. Widać ich było wieczorami, chodzili wszędzie. Teren nasycony był ludźmi władzy w tym kapusiami, bo stanowił matecznik wywodzącego się z Zagłębia Edwarda Gierka, który wtedy był pierwszym sekretarzem zaś komitetem wojewódzkim PZPR kierował Zdzisław Grudzień. Starali się więc panować nad wszystkim zwłaszcza w wielkich zakładach: kopalniach i hutach. Śląsk był oczkiem w głowie Gierka. Gdy wprowadzono kartki na cukier, tu dawano racje podwójne. Dziewczyna pracowała w mięsny i tam niczego nie brakowało pomimo niedoborów w innych częściach kraju. Ciężarówki, przyjeżdżające tu po węgiel, przy okazji zabierały stąd kielbasę, przyjezdni kupowali nawet po 50 kg. Piwa też nigdy nie zabrakło na Śląsku. Kwitły meliny. A pod meliną stał radiowóz albo patrol ORMO. Kto wychodził, to go zaraz przeszukiwali. Jeśli zaopatrzył się w większą ilość trunków, cieszył się, kiedy mu chociaż jedną flaszkę zostawili, zamiast wszystko zabrać.

– **Z czasem presja stała się coraz trudniejsza do zniesienia?**

– Rzeczywiście dostrzegałem, że chodzą za mną i wiedzą coraz więcej. Partyni zachowywali się inaczej od esbeków, ale też przychodzili i podpytywali.

Zwykle nie byli ideowi. W zajezdni zakładowym sekretarzem partii był Jasio Ruszczyk. Urodziła mu się dwójka dzieci, a na mieszkanie czekał. Gdy tylko się do partii zapisał, dostał zaraz przydział na trzy pokoje. Akurat on nie szkodził, można było z nim pogadać. Czułem jednak jak jakiś pierścień wokół się zaciska.

W KRAKOWIE PRZEDSTAWIAŁEM SIĘ, ŻE JESTEM Z KPN

– Wylądował Pan wtedy w Krakowie?

– Przeniosłem się tam akurat wtedy, jak powstała Konfederacja Polski Niepodległej. Kontakt ze Świtoniem podtrzymywałem, teraz on bywał u mnie w Krakowie albo ja u niego w Katowicach. Zaś jak czytałem ulotki KPN a wcześniej ROPCiO, to przecież wiedziałem, że Moczułski to ten facet, którego pamiętałem, bo bywał u ciotki, wtedy jako młody dziennikarz. U ciotki siedzieli zwykle w większym gronie w długim pokoiku i o polityce rozmawiali. Teraz w Krakowie pracowałem na dwie zmiany jako motorniczy. W przerwie był ping-pong w świetlicy, niedziele wolne. Jednocześnie działałem otwarcie jako KPN. Najpierw zetknąłem się z Palczewskim. Przez niego poznałem zaczątek krakowskiej KPN. Ulotki do teczki, tak się ta działalność zaczynała. Przekonałem parę osób. Dołączył Krzysztof Bzdyl. Bardzo obrotny okazał się Sławek Kotarski, teraz mieszkający w Giżycku. Nigdy nie pytał, skąd bibuła przychodzi. Pracując jako motorniczy miałem znakomite możliwości jej rozpowszechniania. Zacząłem się pokazywać na mszach patriotycznych.

– A służba bezpieczeństwa jak się wobec Was zachowywała?

– W Krakowie ubecja do mieszkań nie wchodziła, szybko spostrzegłem, że mają inną niż na Śląsku taktykę. Zaczepiali niby po koleżeńsku: – Jestem kolegą Felka, pogadajmy. Czasem któryś rozmowę zaczynał, że zaopatrzenie słabe. A ja na to: – Bo wszystko do Moskwy idzie. Pamiętam pierwsze krakowskie zatrzymanie. Wyszędłem z pracy w sobotę, nie na spotkanie opozycyjne, na wódkę się wybierałem z kolegami. Zastąpili mi drogę: – Dzień dobry, panie Tolku. Odpowiedziałem: – Myśmy się nie umawiali. Przy bliższym kontakcie broń wyczułem. Ostrzegłem więc: – Koleś, nie umiesz się z tym obchodzić. Musiał to już być początek 1980 r, bo zawieźli mnie wtedy na Mogiłską 109, nowy potężny

budynek dopiero co sobie zbudowali. Tam kawka i zaczęła się rozmowa. „- Zna pan Kazika i Franka – mówili. – Ale Józefa pan nie zna, a to on pana podp... u kierownika. Pan to mógłby współpracować i awansować. Przecież w Katowicach pan pracował jako inspektor”. Rozstaliśmy się jak koledzy. Ostrzej zaczęło się później. W wyborach w 1980 r. KPN próbowała zgłosić własnych kandydatów, których oczywiście utracono. Bezpiekę pobudzało to do bardziej żwawych działań. Dla mnie ważne było to, żeby nie dać się nakryć z ulotkami.

– **Aż zaczęła się Solidarność?**

– Jestem przyjacielem Solidarności i od początku w nią wierzę. Jednak wielkich złudzeń nawet wtedy nie miałem. Działo to, co określam mianem reguły pustej michy. Nie było co do ust włożyć. Ani w co się ubrać. W ogóle nie było niczego, jak potem w wolnej już Polsce mówił jeden kandydat. Rzutowało to na nastroje. Kwestia niepodległości interesowała wtedy niewielką grupę ludzi.

– **Jak dużą konkretnie?**

– Tylko KPN podnosiła sprawę niepodległości. Jak zapisałem się do Solidarności, to robiłem spotkania na temat KPN. Otworzyły się oczywiście możliwości działania. Nawet uzyskania pomieszczenia na działalność KPN. Na spotkania przychodziło 150–200 osób, siedzieli na parapetach. A ja opowiadałem im, że od 1945 r. ZSRR wszystko stąd bierze, nie ma w Polsce wolności, mówiłem o Katyniu, jak wymordowano polskich oficerów. KPN wydawała legitymacje, tworzyła środowisko. W samym Krakowie aktywnie działało kilkunastu ludzi. W szerszym gronie wymienialiśmy się wydawnictwami drugiego obiegu i publikacjami emigracyjnymi, czytałem wszystko, co mi do rąk trafiło, wydane w Paryżu czy Londynie. Ludzie to chłonęli.

– **Czy czuł się Pan jakby mądrzejszy od innych, skoro działał Pan już parę lat wcześniej?**

– Nie o żadne poczucie wyższości chodziło. Wiedziałem już sporo, więc nie poddawałem się hurraoptymizmowi. Zdarzało się, że od idiotów mi wymyślano, kiedy ostrzegałem, że to się może źle skończyć.

– **Jak wyglądała relacja między KPN a Solidarnością?**

– W późniejszym czasie Jacek Smagowicz był w KPN ale tego nie eksponował. W związku na ostatnich stanowiskach znajdowały się osoby wywodzące się z Konfederacji bądź z nią powiązane.

– Jak z perspektywy czasu ocenia Pan krakowską KPN?

– Tam był najsilniejszy w kraju ośrodek Konfederacji, promieniujący bez przesady na całą Polskę. Nawet w Szczecinie przeprowadzałem jakieś akcje. Wiadomo, że okres Solidarności stał się czasem masowego zapisywania się do KPN. Tyle, że wielu tych kapeenowców nikt nie znał. I nie poznał. Podobnie działo się na Śląsku. Mówiłem, ilu ludzi wcześniej było tam w ORMO. Tak ten świat wyglądał.

– W Krakowie działa też wtedy Komitet Obrony Więzionych za Przekonania, w praktyce to marka, pod którą KPN funkcjonuje, czemu trudno się dziwić, skoro Leszek Moczulski przesiedział za kratami niemal całą odnowę, a ściślej na krótko go wypuszczono po wstawiennictwie prymasa Stefana Wyszyńskiego?

– Komitet Obrony Więzionych za Przekonania dynamicznie działał. 11 listopada 1981 r. występowałem jako KPN pod pomnikiem Mickiewicza. Ja i Krzysztof Bzdyl. Potem ubecy recenzowali, że to były ostre przemówienia. Wyszliśmy wtedy pochodem z Wawelu, parę tysięcy ludzi. Z Wawelu Grodzką do Rynku. Zawsze jak szła kolumna, lokowałem się po prawej stronie, to kwestia pola widzenia. Zakładałem wtedy na taką okazję podbitą dzinsową kurtkę, bardzo charakterystyczną. Ktoś na każdej demonstracji ją widział i potem myślał, że to jakiś esbek w niej chodzi. Pomylił się. Zaś kurtka przydała się później na zadymach już w stanie wojennym, bo była gruba, solidna, nawet razy pałek tłumiła, chociaż bez przesady, całkiem nie chroniła przed nimi. Wtedy byłem wysportowany, biegałem. Pamiętam ucieczkę po sprawie Zawisłaka. Z sądu poszliśmy na przystanek przy rondzie. Dwa fiaty nagle podjechały i jeden maluch. Wymknąłem się, a Ryszard Majdzik i Agata Michałek zostali wtedy zatrzymani.

– A kontakty KPN z NZS jak wyglądały?

– Wojciech Pęgiel działał wtedy w NZS i KPN równocześnie, doskonale się znaliśmy i współpracowaliśmy. Szefem NZS na Uniwersytecie Jagiellońskim był wtedy Jan Rokita.

– Wtedy pojawiła się też inicjatywa marszu szlakiem Pierwszej Kadrowej?

– Organizowały go w 1981 r. dwa regiony Solidarności: Małopolski i Świętokrzyski. Msza w kościele i próba odtworzenia marszu I Kompanii. Pętałem

się trochę wokół, większą rolę odegrał Wojciech Pęgiel, który jak już mówiłem działał też w NZS. Zachowałem sceptycyzm bo inni z grona organizatorów mi się nie podobali. Zaś w 1982 r. nie poszedłem z prozaicznego powodu: bo się ukrywałem.

– **Występował Pan oficjalnie jako KPN, już Pan o tym wspominał. Jak to w szczegółach wyglądało?**

– Poszedłem, gdy ludzie w MPK nie mieli co jeść, do dyrektora, że coś z tym zrobić: – Dyrektorze, potrzebuję jakiś samochód. – Tak, będzie. Pojechałem ciężarówką dwu i półtonową do zakładów mięsnych. I tam przy bramie: – Otwierać, KPN! I od razu do szefa masarni. Żeby dał mięso: dla 200 pracowników zajezdni potrzeba 200 kilo. Kierownik masarni przez chwilę nawet milicją postraszył. A ja do niego: – Niech pan dzwoni. W końcu dali, co trzeba. Na hasło KPN, tak można powiedzieć. Inni chodzili, błagali, niczego przy tym nie uzyskując. Wtedy w Krakowie po ulicy chodziłem z wielką plakietą „KPN” przytroczoną.

– **Jakie plany miał Pan na 13 grudnia 1981?**

– Mieliśmy okupować ośrodek telewizyjny. Jako KPN. Ale też wcześniej zorientowałem się, że władza ma plany wobec nas. I nie tylko. Tydzień przed stanem wojennym wpada sekretarz komitetu zakładowego: na 12 grudnia zapraszamy o godz. 18, chcemy pogadać o problemach MPK Kraków. Jakbym tam poszedł w tym terminie, zapewne rozmowy by się przeciągnęły i wolny bym raczej stamtąd nie wyszedł.

W STANIE WOJENNYM ZDARZAŁO SIĘ UCIEKAĆ PO BALKONACH

– **A tak się Pan ukrywał...**

– Zamiast na zebranie, poszedłem spać gdzie indziej, niż mieszkam. Resztę zaproszonych pozwijali. I do Załęża do ośrodka. Widać, że miałem dobrego nosa, skoro mi to zaproszenie od początku śmierdziało. W domu walili do drzwi, ale przecież mnie tam nie było.

– **Co Pan robi dalej?**

– Chowam się u innej koleżanki, ściągam tam maszynę do pisania. Na początek wystarczyło. Potem doszło białko...

– ...powielacz

– ...i parę ryz papieru. Klepię na tej maszynie ulotkę, sygnowaną KPN, treści z nikiem nie uzgadniam, bo przecież wystarczy oknem wyjrzeć, żeby wiedzieć, co napisać. I nie muszę zgadywać, co o tym myślą koledzy, z którymi nie ma kontaktu. Ja to po prostu wiem. Podpisuję kolejne ulotki jako Grad. Maciej Gawlikowski i Mirosław Lewandowski wspominają jak ukrywałem się u tej Władysławy, dzielnej kobiety. Próbuję łapać kontakty, innych szukać. Skądś się wtedy nawinął Ryszard Bocian. Nawijał, jak on zawsze. Wcześniej też był w Komitecie Więzionych za Przekonania. Na Akademii Medycznej pracował jako wykładowca, ale od polityki. Nie zwinęli go. Znajdowałem miejsca, punkty kontaktowe. Niestety inni z kolei szukali nas, działał Edward Koch pseudonim Biały. Tacy jak on niewiele jednak złego narobili, staliśmy się dużo bardziej ostrożni, doświadczenie sprzed Sierpnia też pomagało. Jeszcze ważniejszy okazał się dla mnie udział w strajku w Hucie, siłą złamanym przez ZOMO. Jak się zaczął strajk, przenieśliem się ze swojej zajezdni do Huty, wtedy wciąż noszącej imię Lenina, byłem tam członkiem Komitetu Strajkowego w proteście przeciw temu, co władza zrobiła 13 grudnia 1981 r. Tam był Edward Nowak, obaj Ciesielscy, Mieczysław Gil. Jak rozbito strajk, wyszliśmy stamtąd grupą 8–10 osób, jakoś się rozśrodkowaliśmy po swojemu. Edward Nowak po paru miesiącach ukrywania się poszedł do domu, pewnie chciał zajrzeć na chwilę, myślał, że mu się uda, ale go zwinęli. Wcześniej z Edziem żeśmy tramwajem jechali, z lekko zmienioną na potrzeby chwili powierzchownością. Aż tu jakiś facet drze się na cały tramwaj: – Patrzcie, to Edek z tym drugim z MPK... Strasznie ucieszony, że rozpoznał. Tak Edek się ukrywał. Zaraz daliśmy nogę oczywiście. Na szczęście pod Hutą, gdzie akurat zaczynała się zmiana, a kończyła poprzednia, z tysiąc ludzi wtedy wysiadało z tramwajów i autobusów, inni się do nich pakowali. Nietrudno przyszło się w takim tłumie zgubić.

– **KPN krakowską udało się odbudować ale jako siatkę konspiracyjną?**

– Wiadomo, że czas chodzenia z plakietką konfederacką po Rynku minął. Wiedzieliśmy, że trwa wyłapywanie ludzi, czy coś robili, czy nie, wystarczyło, że już byli znani bezpiece. Nie było nazwisk tylko. Przez rok się ukrywałem. Do listopada 1982 r. Było kilkanaście miejsc. Po parę tygodni albo na jeden dzień. Czasem poczciwa kobieta, co zgodziła się mnie przyjąć, zaraz zapraszała sąsiadkę i pokazywała, że to jest właśnie ten pan, któremu pomaga, więc szyb-

ko stamtąd odszedłem zanim się rozniosło. Z jednego mieszkania uciekałem z siódmego piętra, kiedy już do drzwi walili.

– **W jaki sposób?**

– Linkę miałem ze sobą. Poćwiczyłem przedtem trochę. Czasu miało się wtedy dużo na takie treningi. I po balkonach uciekłem w tej decydującej chwili. Jak linka miała 20 metrów długości, starczało na trzy piętra z zachowaniem zasad bezpieczeństwa. A potem dalej. Nie dorwali mnie. Zjechałem sobie. Obszedłem blok. Na dole go nie obstawili, pewnie nie przypuszczali, że ktokolwiek może się na coś podobnego poważyć. Zwinąłem spokojnie linkę, patrzyłem ile fiatów 125 wokół, w ilu po mnie przyjechali w domu mnie nie zastając... Bezpieka krakowska wtedy przeważnie tych fiatów używała. Na taką ucieczkę przez okno i dalej potrzebowałem trzech minut góra czterech. Wywalanie drzwi też trochę trwa, wcześniej jeszcze musieli dzwonić, dobijać się. Wystarczyło. I już z góry byłem na zimowo ubrany, to znaczy katanę na siebie narzucałem i już. Spałem wtedy w spodniach, nie w piżamie, na wszelki wypadek.

KAŻDY DZIEŃ NA WOLNOŚCI TO DLA MNIE PLUS, DLA NICH MINUS

– **Warto było?**

– Uważałem, że każdy dzień na wolności to dla mnie plus a dla nich minus. Sam fakt ukrywania się był ważny, to że pomimo ich licznych starań mnie nie dostali. Czasem pokazywałem się na pętli autobusowej. Tam, gdzie dojeżdżało 5–6 linii. Wyciągałem biało-czerwoną flagę z napisem „Konfederacja Polski Niepodległej”. Ludzie widzieli. Zwijałem i znikałem. Kwatery miałem u starszych pań. Bez nich żaden opór nie mógłby istnieć. Kiedyś znowu uciekałem oknem, ale już tylko z pierwszego piętra. W trakcie akcji zaś różne sytuacje się zdarzały. Kolportuję kiedyś ulotki. Na Rynku w Krakowie zimno. Opatulony po uszy. A tu stoi radiowóz MO. Podchodzę, oni szybko uchylają a ja do nich: panowie, to nie moja sprawa, ale tam za rogiem ktoś ulotki rozdaje. Zaraz tam ruszyli, ale zanim to nastąpiło, sam im na dach paczkę ulotek zarzuciłem, tak przygotowanych, że się zaraz rozsypywały. I tak mi załoga radiowozu pomogła nielegalne materiały rozpowszechniać. Na co dzień, bo tamto było jakby od święta, wykorzystywaliśmy ten sam patent,

żeby ulotki z autobusów i tramwajów pofrunęły. Coś się zwykle inscenizowało. Dwóch wsiada do tramwaju, niby pijani, przepychają się i głośno wyzywają. Cały tramwaj gapi się na nich, bo tyle ludzie w stanie wojennym mieli rozrywki. A trzeci z tej załogi w tym samym czasie robi swoje z ulotkami. Sam je drukowałem, sito na kwaterze zawsze było. Później produkowałem również dla Solidarności Walczącej.

– Co się zdarzyło w listopadzie 1982 r.? Bo znając Pana trochę podejrzewamy, że sam się Pan nie ujawnił?

– Zostałem internowany. Brzmi to nieco zabawnie, skoro do końca roku a w praktyce do Świąt wszystkie internowania uchylono, wypuszczano ludzi, co cały rok siedzieli. A wobec mnie to orzeczono akurat na sam koniec. Zatrzymano mnie przed 11 listopada. Wiozą na Mogiłską, tam 10 piętro. I ubek Wróbel, popycha do otwartego okna, ostrzega: zaraz wypadniesz. My cię możemy wypchnąć przez to okno. Złapałem go za kłapy. Mocno przycisnąłem do okna. – Tylko, że ty przede mną – teraz ja z kolei go przestrzegłem. Esbek Wróbel z Wieliczki to była specyficzna postać. Pokątnie handlował świniami. Jechał do chłopa i służbowym fiatem od niego woził mięso. Potem żaden inny funkcjonariusz nie chciał z nim tym samochodem na żadne rozpoznanie jechać, bo strasznie tam śmierdziało. Panów pewnie bardziej interesuje, co się stało, że się na tej Mogiłskiej znalazłem. Zatrzymali mnie w Nowej Hucie w mieszkaniu. Osiemnastoletnia córka gospodarzy podeszła do drzwi otworzyć jak zaczęli walić, uciec nie było jak. Wiedzieli, po co wchodzą, nawet do którego pokoju, chociaż w mieszkaniu był jeszcze gospodarz, żona i syn nie licząc córki, o której już mówiłem, że drzwi otwierała. TW Biały mnie sprzedał, już o nim wspominałem. Znalazłem się w celi dwuosobowej, w której siedziało wtedy dwadzieścia osób. Andrzej Fischer też tam był. Widać odbyła się spora operacja zatrzymań, jak to przed 11 listopada. Potem Wróbel po tym naszym wspólnym doświadczeniu przy oknie inaczej się zachowywał, bardziej poprawnie. Pochwalił mi się na wstępie, że wie wszystko. – To niech pan opowie – zaraz mu zaproponowałem. Dostałem decyzję o internowaniu. Zawieźli mnie do Kielc. Nie wiem, po co. Przywieźli z powrotem. Znowu na dołku siedziałem.

– Po co im były te korowody?

– Później się dowiedziałem z esbeckich papierów, kiedy już się stały dostępne dla pokrzywdzonych, że ktoś pobierał mój dowód osobisty, pokwitował, że to zrobił.

– **Do czego był im potrzebny?**

– Dowiedziałem się o tym później. W 1983 r. przyjechał facet z Łodzi. Otwieram drzwi. Mówi, że chce się widzieć z Tolkiem Piekalkiewiczem. Powiedziałem, że to ja. – Nie, ty nie jesteś Piekalkiewicz – odrzekł na to. I szybko odszedł. To nie był esbek. Myślał, że to ja esbekiem jestem.

– **Bo całkiem innego Antoniego Piekalkiewicza wcześniej poznał?**

– Z moim dowodem działały się różne rzeczy też w samym Krakowie. Nagle jakaś baba mówi, że przyszedł do niej Piekalkiewicz i spytał, czy może odebrać ulotki. Na szczęście mu powiedziała, że nie ma. Bo to na pewno nie byłem ja.

– **Sporą operacją SB okazała się próba przejścia KPN, związana z nazwiskiem Krzysztofa Gąsiorowskiego? Esbecy sugerowali się tym, że gdy wielu przywódców siedzi w więzieniu, taka gra może się udać?**

– Dowiedziałem się o tej historii z podpaleniem mu drzwi. Wyszedłem już wtedy, a ponieważ znałem go od 1979/80 roku, udałem się do niego. Spalenizna, jakaś kobieta płacze. Jednak już wtedy Palczewski radził mi, żeby raczej „uważać na Gąsiora”. Ufałem więc jemu, a nie Gąsiorowskiemu. Nic złego się nie stało. Gąsior już łapał, że ja wiem. Znał całą krakowską KPN.

– **Palczewski to twardy działacz. Czy znał Pan z tamtych czasów Mariana Banasia?**

– Znałem go, był bardzo wstrzemięźliwy, oficjalnie nigdy nie zabierał głosu jako KPN, chociaż oczywiście działał w nurcie niepodległościowym jeszcze przed Sierpniem i miał spore zasługi. Nie bał się. Wysportowany, ćwiczył sporty walki. W tym sensie mi bliski, bo z kolei ja świetnie biegałem, kiedy pięciu czy nawet ośmiu esbeków mnie goniło, nie mieli szans.

– **Nie zawsze jednak to były tylko gonitwy?**

– Poza wspomnianym już incydentem z Wróblem, kiedy innego wyjścia nie było, skoro śmiercią mi groził, wyrzuceniem z okna – starałem się nawet w kontaktach z esbekami zachować pozory uprzejmości. Inaczej zachowywał się Ryszard Majdzik. Potrafił wymyślać im od ostatnich, więc go lali. Kiedyś, gdy z kolei Ryszard Bocian zrobił wykład funkcjonariuszom MO, gdy

nas razem zamknęli, o wyższości kapitalizmu nad socjalizmem, milicjanci oblali nas obu wodą ze szlauchu. Nie ukrywam, że wtedy byłem na niego wściekły: wszystko mokre, spodnie, kurtka, buty, a korzyść z całej sytuacji żadna. I tak przecież nie przekonał, chociaż na swojej uczelni wykładał nauki polityczne.

– **To jak rozumiemy już było krótkie zatrzymanie. A jak przedstawiała się sytuacja w 1982 r. Wychodzi Pan i co dalej?**

– Rok 1982 to ciekawa zabawa. Mieszkam wtedy u Sławka Kotarskiego. Któregoś dnia znowu mnie zwiijają. Zabierają w kajdankach. Na Montelupich. A stamtąd wiozą do Kielc. Po czym z powrotem do Krakowa. Jeszcze następnego dnia zajeżdżamy do Łodzi. Sadzają tam w pakamerze. Widać, że to oględziny, ktoś kogo ja nie widzę się we mnie wpatruje, czuję to po latach działalności. Zawożą do Krakowa i wypuszczają.

– **A praca?**

– Z pracy zostałem zwolniony dyscyplinarnie. Do krakowskiego Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego wróciłem dopiero w 1989 r. Innej pracy nie miałem.

– **A kartki na mięso? Stempel w dowodzie? I z czego pan żył?**

– Bez kartek na mięso musiałem sobie poradzić. Wiele osób znalazło się w podobnej sytuacji. Potem zarabiałem na znaczkach, wydawnictwach, walczyliśmy przecież również o wolny rynek, przeciwieństwo absurdałnej socjalistycznej gospodarki, wykazywaliśmy się przedsiębiorczością, żeby przeżyć. Poza tym ludzie sobie pomagali. A rzeczywiste umiejętności były w cenie. O dowód panowie pytacie... Sporo już mówiłem o tym, co się z nim działo. Jednak stempla o stałej pracy tam nie było. Za to w 1983 r. wystąpiłem o paszport. Ponieważ wciąż pozostawałem zameldowany w Chorzowie, zgłosiłem się tam. Po paszport szło się wtedy na milicję. Wchodzę, dostrzegam tłum stojących pokornie smutnych ludzi. I na cały głos pytam: – To w Polsce Ludowej po paszport się w kolejce stoi? Zaraz podszedł do mnie dyżurny. Zaprowadził do pokoju. – Paszport będzie za pół roku. A ja na to, że potrzebuję za tydzień. Do Australii się wybieram, mięsem z kangurów będę handlował. Po jakimś czasie, raczej parę tygodni, a nie pół roku upłynęło od tej rozmowy, paszport rzeczywiście dostałem. Ale nie wyjechałem nigdzie?

– **To po co Pan się o paszport starał?**

– Legalizacja taka. Jeździłem z tym paszportem po Polsce. Przy legitymowaniu okazywałem ten dokument. Po jakimś czasie mi go zabrali, a ściślej, nie oddali po prostu tylko schowali do kieszeni.

– **Prowadził Pan życie zawodowego opozycjonisty?**

– Innego wyjścia nie było. Dla ścisłości: krótko pracowałem w przedszkolu jako kucharz. Żyłem z druku: znaczki, książki, kalendarze. Rynek niezależnych publikacji już się tworzył. Jak 2 tys. znaczków na zamówienie wydrukowałem to pięćset było moich.

– **Istniały zasady BHP, których w tej pracy trzeba było przestrzegać?**

– Przez te lata tam, gdzie drukowałem, nigdy nie mieszkałem. To musiały być osobne lokale. Szukałem miejsc, które trudno obserwować. Dlatego nie było wpadek. Drukowałem dla KPN, SW, dla Konfraterni Robotniczej Jacka Smagowicza. Wiele z tamtych naszych przedsięwzięć również z perspektywy czasu da się ocenić wyłącznie jako ciekawe. Wojciech Pęgiel założył Wydawnictwo. Wydaliśmy „Kronikę życia Józefa Piłsudskiego” Jędrzejewicza, „Walkę zbrojną Polaków” Lipińskiego, „Osiemnąstą decydującą” d’Aubernona. A także śpiewniki, w sam raz na marsz. Jeździłem z bibułą od Szczecina do Przemysła.

– **Również do Warszawy. Poznał Pan ks. Jerzego Popiełuszkę?**

– W 1983 r. poznałem ks. Jerzego. Przyjeżdżałem na jego msze. Miał poikoik na górcie nad wejściem. Ktoś mnie do niego wprowadził. Byłem też u niego w mieszkaniu prywatnym. Zwróciłem uwagę, że jest delikatny. Dla mnie był takim właśnie subtelnym chłopcem. Znałem się wtedy już z ks. Alfredem Chojnackim. Obaj kapłani ujmowali się za ludźmi, ale mocno się od siebie różnili sposobem bycia. Jerzy Popiełuszko jeśli można tak to określić był bardziej bogoojczyźniany. O sercu i duszy mówił. Chojnacki występował ostrzej. O tym, że ks. Popiełuszko zaginał, dowiedziałem się w Mistrzejowicach. Od razu z Maciejem Gawlikowskim pojechaliśmy do Warszawy. Niestety potwierdziły się najgorsze przewidywania.

– **Jeździł Pan także cały czas na Śląsk, gdzie przedtem Pan działał?**

– W grudniu 1983 r. pojechałem do Katowic na rocznicę masakry górników w kopalni Wujek. Na pewno był wtedy ze mną Jacek Smagowicz. W par-

ku wokół kopalni była też Ewa Tomaszewska i Anna Walentynowicz. Z Anką zetknąłem się wcześniej w czasach legalnej Solidarności, ale zakupiliśmy się dopiero wtedy, na tych nielegalnych obchodach. Z pięciu ubeków robiło nam wtedy zdjęcie. Wszystkim zresztą uczestnikom. Smagowicz ze swoimi ludźmi robił wtedy patriotyczny teatr. Jechaliśmy więc razem w większym gronie, żeby go obejrzeć, do Bytomia. W tramwaju obok nas stał facet z teczką i zawiniętą kanapką, starał się wyglądać na robociarza. Aż nagle usłyszeliśmy od niego ryk: – R-22, gdzie jesteś? Nie możemy cię znaleźć, zgłoś się do cholery... Taką mieliśmy asystę, że nad własną techniką nie panowali, odzywała się, kiedy nie trzeba. Pamiętam, że Anka Walentynowicz jeszcze w czasach legalnej Solidarności powtarzała, że Lech Wałęsa to kapuś. Za to Borsuk, czyli Bogdan Borusewicz zawsze go bronił. Uważam, że to Borsuk naprawdę wylansował Wałęsę. Za to jego środowisko starało się Annę Walentynowicz jeśli nie całkiem utracić to lekceważyć: że co ona tam wie, jak siedziała na suwnicy. Pamiętam głódówkę w Biechanowie z udziałem Anny Walentynowicz. Dlaczego tam właśnie się odbyła? Bo ks. Chojnacki wyraził zgodę. Inni księża aż tak się nie kwapili. Głódówka miała związek z okrutnym napadem na ks. Tadeusza Zaleskiego, którego przypalano papierosami. Odbywała się w intencji jego zdrowia oraz uwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Głódówka miała rotacyjny charakter, z czasem dołączyłem ja i Wojciech Pęgiel. Po paru tygodniach jak skończyłem głodowanie, zjadłem dwie łyżki kaszy mannej i... byłem najedzony. Nie żartuję. To był rok 1985, jeszcze przed amnestią Czesława Kiszczaka. Ks. Chojnacki zawsze był porządnym człowiekiem, przy tym jakby strach pozostawał mu obcy, tak się zachowywał. Potem wysłano go do odległej parafii do Juszczyzna. Spotykała się tam KPN. Wstawiono tam sprzęt drukarski, na którym pracowała beskidzka grupa.

– O amnestii już Pan wspominał. W 1986 r. wychodzi z więzienia Leszek Moczulski. A KPN trwa?

– Przedtem jeździłem do Warszawy na drugi proces KPN. Po wyjściu Moczulskiego robimy już otwarcie, co się tylko da. Nie mówimy tylko z oczywistych względów co ani gdzie drukujemy. Jeszcze w 1987 r. pałują nas wszystkich pod Wawelem. Spotykamy się po kościołach. W tym samym 1987 r. w trakcie papieskiej pielgrzymki bez przeszkód dojechałem do Warszawy. Jednak do Tar-

nowa z ulotkami już nie dotarliśmy. Zwinęli nas po drodze. A ściślej, to nawet przed nią – bo na Płaszowie. Dostrzegliśmy, że gdy ludzie zaczynają w coś wierzyć, wiele musi się zmienić. Pod Pomnik Grunwaldzki w 1988 r. szliśmy Plantami, bo Grodzka i Rynek zostały zablokowane. Ale doszliśmy. Wtedy już raczej nie skazywali, co najwyżej kolegia nam robili. Jeszcze w 1989 r. gdy zwróciłem się o paszport, dowiedziałem się, że go dostanę, jeśli zalegę kolegium zapłać. Jednak i tak tej kwoty im nie uiściłem. Paszport zaś dostałem, gdy przyszedł rok 1989.

– **Wcześniej jednak był 1988 rok. Pacyfikacja Huty. Dlaczego władza podjęła interwencję siłową, gdy pracowała komisja Episkopatu? Ale ściślej gdy jej członkowie wyszli z Huty?**

– Podchodziłem wtedy z dystansem do środowiska „Tygodnika Powszechnego”. Podejrzywałem również, że już wtedy Mieczysław Gil i otaczający go eksperci mieli ciche konszachty z Kiszczakiem za plecami innych. Po doświadczeniu 1981 roku przebieg wydarzeń nie mógł stanowić zaskoczenia. W maju 1988 r. bywałem w Hucie, słuchałem, co kto mówi. Każdy głosił swoje teorie. Nie było takiej determinacji, jaką zapamiętałem z grudnia 1981 r, chociaż tamten strajk również okazał się przegrany. Teraz Andrzej Szewczuwaniec, który na początku protest prowadził, okazał się jednodniową gwiazdą. Wiadomo, że gdy złamano Hutę, strajk zaczął Uniwersytet Warszawski.

– **Potem była druga fala. Sierpień 1988 r.**

– Jeszcze dobrze się nie zaczęło, jak przyjechali do mnie chłopcy ze Śląska: – Panie Tolku, niech Pan przyjedzie nam pomóc na Morcinku. To była najnowocześniejsza kopalnia, znaczące, że się ruszyli. I KPN tam była nasjilniejsza. Spotykaliśmy się w Jastrzębiu w kościele u ks. Czarneckiego. Na miejscu był Tadeusz Jedynek. Przyjechał z Gdańska Bogdan Lis w imieniu Wałęsy. Zaś ja siedziałem i drukowałem. Podawałem też informacje dla rozgłośni zagranicznych. Wtedy został po raz pierwszy uruchomiony fundusz Romaszewskich, żeby władzy nie udało się ludzi szantażować, że zostaną głodem więźci. Kto stracił, miał zapłacone z funduszu strajkowego. Jeśli ucierpiały rodziny strajkujących, należy się rekompensata. Ale to jaśniejsza strona medalu. Bo żeby się prędzej ta druga fala skończyła, po spotkaniu z Kiszczakiem Wałęsa jeździł do śląskich kopalń, osobiście strajki gasił. W jednej z nich to działacze KPN

taczki dla niego przygotowali. Wtedy działał już Andrzej Andrzejczak i Alojzy Pietrzyk, wspomagał ich Adam Słomka. Oficjalnie strajki zostały zawieszona a nie zamknięte. Wałęsa naprawdę się w Jastrzębiu obawiał, że go na tych taczkach wywiozą.

– W 1989 r. jak była już o tym mowa, wraca Pan do pracy. Jak reaguje Pan na ówczesne wydarzenia?

– Znalazłem niedawno plakat z tamtego czasu, z wizerunkiem flaszki i hasłem: „Nie daj się nabić w butelkę przy Okrągłym Stole”. Gdy przed 4 czerwca różni ważni ze mną rozmawiali i namawiali, powtarzałem im: daliście się w butelkę nabić.

– W KPN, której przy Okrągłym Stole nie było, a w czerwcowych wyborach nie zdobyła mandatów, Pan nadal działa?

– Uważałem, że kandydowanie Leszka Moczulskiego na prezydenta w 1990 r. miało sens, jeśli niesło za sobą chociaż cień szansy, żeby zablokować Wałęsę, którego już wtedy uważałem za kapusia. W pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. też wspierałem różnych kandydatów z KPN, udany okazał się wtedy pomysł zablokowania list z Polskim Związkiem Zachodnim, Sojuszem Kobiet Przeciw Trudnościom Życia, Zielonymi. Konfederacja zdobyła wtedy 50 mandatów. Stanowiło to sygnał, że wciąż jesteśmy potrzebni. Z KPN wystąpiłem na zjeździe w 1992 r, który odbywał się Pod Kopułą przy warszawskim placu Trzech Krzyży. Moczulski kategorycznie wykluczył możliwość poparcia rządu Jana Olszewskiego. Zupełnie się z tym nie zgadzałem. Istniała przecież szansa poszerzenia koalicji nie tylko o KPN ale PSL i nawet Kongres Liberalno-Demokratyczny. W tym momencie drogi moje i Moczulskiego ostatecznie się rozszły.

MARSZ PAMIĘCI I SZTAFETA POKOLEŃ

– Wątek Marszu ku czci Pierwszej Kompanii Kadrowej stale powraca w tej rozmowie. Jak rozumiemy, to nieuniknione, bo to sztandarowe przedsięwzięcie krakowskiej KPN? Niepowtarzalna okazja, żeby się policzyć, skoro najpierw szło kilkadziesiąt osób a po latach nieprzebrany tłum?

– Całą trasę kadrówki przechodziłem od 1986 r. Zawsze przy okazji tych marszów od 1987 r. począwszy byłem drugą osobą, nie wysuwałem się przed

szereg, zajmowałem się konkretnymi sprawami, organizacją i logistyką, tym, żeby po drodze było co jeść i gdzie spać albo ile kotłów potrzeba do gotowania stawy. Najpierw mieli się tym zająć Gawlikowski i Dobrowolski, stanęło jednak na mnie. Trasę wcześniej znałem, pracowałem przecież tyle lat w komunikacji i innym imponowałem, że rozkłady mogą przytaczać z pamięci. Na to jak zachowują się milicja i bezpieczeństwa nie mieliśmy wpływu, imprezy ze sporym rozmachem nie da się przecież z zachowaniem zasad tajności przeprowadzić. Poza tym zależało nam, żeby garnęli się ludzie młodzi. A oni o tym, że marsz rusza skądś musieli się dowiedzieć. Zatrzymań przy tej okazji nie dawało się uniknąć, to inna sfera, niż druk niezależnych publikacji. Zdarzały się różne sytuacje. Kuria dała konserwy rumuńskie, które ktoś tam przyniósł, niestety miały wytłoczoną datę 1972. Zjedliśmy jednak ja i Wojciech Pęgiel, wcale się nie zatruliśmy. Tak przy ówczesnych niedoborach uznaliśmy, że nie zaszkodzą. Gdyby uczestnicy się o tym dowiedzieli... Ale przecież nic im nie było. Na moje pierwsze kadrówki przychodziło z 50–60 osób, z czego ze 40 było z KPN, z całej Polski. Dbaliśmy jednak o to, że idziemy jako piłsudczycy, a nie żadna siła polityczna. Ludzie związani z ideą Marszałka, tak się wtedy określaliśmy. Dlatego trochę się zdystansuję od zawartej w pytaniu oceny, że to impreza KPN. Oczywiście wszyscy wiedzieli, kto ją organizuje. Nie pozwalaliśmy też sobie w kaszę dmuchać. W Kielcach w 1988 r. obstarpił nas esbecy, cała chmara. A my na to niby do siebie nawzajem: – Panowie, solimy. Będziemy sypać. I zaraz ręce do kieszeni. Tamci odeszli, bo kto chce dostać solą po oczach. Przez całą trasę przemarszu jakaś asysta nam towarzyszyła. Zdarzało się, że jak w wiejskim giesie kupowaliśy flaszkę, to esbecy za nami stawali w kolejce. Wiadomo, że brali to samo, tyle, że zwykle więcej.

– **Jak reagowali ludzie po drodze?**

– Raczej chłodno, dominowało zmęczenie, nie wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Ale pamiętajcie Panowie, że Legionistów też z wielką rezerwą przyjmowano w Kongresówce w sierpniu 1914 r. Witwały ich wtedy zamknięte okiennice. Stąd się w I Brygadzie wzięły słowa: „nie chcemy my od was uznania”. W latach 80. także zastraszanie przynosiło pewien efekt, więc ktoś raz udzielił nam noclegu ale po roku już nie chciał, czasem nawet księży to dotyczyło. Co rok sypialiśmy po drodze u ogrodnika. Za któryś razem mówi jednak: nie mogę was przyjąć.

Wskazał nam jednak opuszczoną szopę, to chyba była stodoła, w której dało się schronić i pomieścić. W 1986 r. śpimy w Jędrzejowie, w klasztorze. Właśnie gotuje się zupa. A ja wokół dostrzegam ubeków z Krakowa. Głośno mówię: – Chcą nas otruć. Bo rzeczywiście wcześniej bardzo podejrzane niestrawności się nam zdarzały. Zawołałem Wiesława Gęsickiego i jeszcze paru chłopaków. Stanęliśmy wszyscy w postawie bojowej. Tamci odstąpili. Uciekając, wpadli w bagno aż po pas, bo terenu jak się okazuje za dobrze nie znali. Wiesław Gęsicki zaczął w latach 80. studia na Akademii Papieskiej w Krakowie i pozostawał ważną dla marszu postacią, mobilizował środowisko, zawsze miał mnóstwo energii, sprowadzał na Kadrówkę ludzi z Warszawy. Coraz więcej o tym wszystkim ludzie wiedzą. Maciej Gawlikowski nakręcił o marszach film. W 1989 r. gdy pojawiły się wojsko i milicja, z dumą przedstawiałem się znów jak w 1981 r.: – Jestem z KPN. Wcześniej jednak gdy staliśmy, w tym samym roku 1989, w dniu wyjścia Kadrówki przy pomniku w Michałowicach, zobaczyliśmy wyładowany milicjantami auto-kar. W dodatku mieli dziwne jakieś futerały.

– **Podejrzewaliście prowokację, bo czas był wciąż gorący?**

– Okazało się jednak, że to po prostu milicyjna orkiestra. Jechali na jakieś ich własne uroczystości. Ale jeden kolega pomimo błota w rowie, w którym przyszło mu się po drodze wytaplać, uciekł już, niby za potrzebą.

– **Marsz, kiedyś organizowany w warunkach nielegalnych, dobrze się ma również w wolnej Polsce?**

– Jeśli pyta mnie ktoś o sens marszu, po co go organizujemy, bez trudu znajduję odpowiedź. Nie chodzi tylko o proste upamiętnienie. W tym celu wystarczy znicze zapalić. Legiony to była przyszłość Polski, bo nie tylko dały Polsce premierów i marszałków, służyli też w nich artyści, lekarze i prawnicy, więc spodziewaliśmy się, że na marszu Kadrówki spotykają się przyszłe elity. Potwierdza to udział w nim Sławomira Skrzypka, KPN-owca, który później został prezesem Narodowego Banku Polskiego. Zginął w katastrofie smoleńskiej. Andrzej Duda też raz na marsz zabłądził, chociaż jeśli dobrze pamiętam, całej trasy nie przeszedł. Teraz często spotykamy na marszu generałów i prezydentów miast.

– **Szlakiem Kadrówki wędrowało też młode pokolenie, kogo Pan zapamiętał z tego grona?**

– Jana Józefa Kasprzyka poznałem nieco wcześniej, niż dostrzegłem go na marszu, bo w 1993 r, kiedy jako osiemnastolatek na zjeździe Związku Piłsudczyków taki szczupły chłopaczek wyskoczył na mównicę i z przejęciem opowiadał, jaka może być Polska za dziesięć lat. To był znak, że najmłodszej generacji nie interesują wyłącznie przyszłe wysokie pensje, to, żeby jeść i pić. Cenne to się okazało zwłaszcza wtedy, gdy odczuwaliśmy, że liczni ludzie władzy nie liczą się ze słabszymi, więc można było się cieszyć, że młodzi zapowiadają się lepiej, właśnie jak Kasprzyk. Zapamiętałem go z marszu w 1994 r. Schodziliśmy się wtedy na Małym Rynku, tam był punkt zborny. Wiedziałem, że pasjonuje się historią, wywarł na mnie świetne wrażenie, ale nie spodziewałem się jeszcze, że po wielu latach obejmie funkcję ministra i szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Z czasem Kasprzyk został prezesem Związku Piłsudczyków i komendantem marszu kadrówki. Zaś ja dalej zajmowałem się logistyką. Zostaliśmy w takim duecie aż do 2014. Świetnie się z nim pracowało, taka sztafeta pokoleń to znakomita sprawa i symbolicznie i w codziennej współpracy bardzo mi to odpowiadało.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

ROZMOWA Z MARKIEM MIKOŁAJEM KAMIŃSKIM,
POLITOLOGIEM I SOCJOLOGIEM, WYKŁADOWCĄ
UNIwersYTETU KALIFORNIJSKIEGO W IRVINE W USA,
DZIAŁACZEM OPOZYCJI Z LAT 80.

MARZYŁEM, ŻEBY ODBIĆ BIBUŁĘ, WIEZIONĄ NA PRZEMIAŁ

– Zaczynał Pan studia w chwili historycznego przełomu. Co zastał Pan na Uniwersytecie Warszawskim? Z jakim nastawieniem Pan tam przyszedł?

– Rzeczywiście zacząłem studia matematyczne w 1980 roku. Nie ulega wątpliwości, że to był czas wyjątkowy. Miałem już za sobą kilka szczeniackich antysowieckich happeningów, które organizowałem jeszcze w liceum w Tomaszowie Mazowieckim. Dyrektor szkoły, fizyk, tolerował te incydenty, ponieważ wygrywałem olimpiady matematyczne i fizyczne. Założyłem kabaret, odgrywany na dużej przerwie. W 1979 r. ściągał tłumy widzów. Cezary Pazura właśnie u mnie debiutował, dostał szansę wygłoszenia monologu i to był bodaj początek jego kariery... Kiedy zacząłem puszczać „Żeby Polska była Polską” Jana Pietrzaka, kabaret został poddany surowej cenzurze szkolnej i wkrótce musiałem zrezygnować. Zaś na matematyce...

– ...spotkał Pan postaci ważne, charyzmatyczne?

– Aktywny tam był Janusz Onyszkiewicz i duża część Wydziału była zaangażowana w działalność opozycyjną. Wśród zapraszanych gości był Antoni Macierewicz, który przyszedł do nas z wykładem. Kupiłem od niego kilka książek i wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z bibułą.

– Zmiana w historii Polski wiązała się ze zmianą w Pana życiu?

– Dokładnie tak. Zapisalem się do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, gdy studiowałem na drugim roku. Jesienią 1981 r. trwał strajk, w którym oczywiście wziąłem udział.

RODZICE MNIE INTERNOWALI, ZANIM MOGŁA TO ZROBIĆ WŁADZA

– Aż przyszedł 13 grudnia?

– Dwa czy trzy dni po tym, jak władza komunistyczna wprowadziła stan wojenny, pojawili się u mnie w Warszawie rodzice. Doskonale wiedzieli, że zaraz się w coś zaangażuję. Oboje są lekarzami i inteligentnymi ludźmi. Przyjechali po mnie, zabrali mnie do Tomaszowa. Internowali mnie po prostu, zanim zdążyła to zrobić władza. Parę tygodni później moja mała grupka kolegów i koleżanek z matematyki, w której zacząłem działalność, została aresztowana.

– Z działalności Pan jednak nie zrezygnował?

– W Tomaszowie założyłem nową komórkę złożoną z moich byłych kolegów z liceum. Wkrótce wszystkie śmietniki w Tomaszowie Mazowieckim udekorowane zostały napisami: „Dom partii”. Postanowiliśmy też z kolegami postraszyć chociaż jednego komunistę. Znałem jednego, przychodził na kort i czasem grywał z nami, uczniami liceum, w tenisa. W nocy wetknęliśmy temu wicewojewodzie piotrkowskiemu w drzwi jego mieszkania wystukaną przeze mnie na maszynie ulotkę z wezwaniem „Polacy do broni!”. Esbecy rzucili się zaraz do działania, sprawdzali wtedy wszystkie maszyny do pisania w okolicy. Strasznie się po tym zdarzeniu zrobili aktywni. Miałem też inne pomysły. Wymyśliłem grę „Prominenci”, wzorowaną na „Monopoly”. Można było w niej stać się Edwardem Gierkiem, Wojciechem Jaruzelskim, Stanisławem Kanią albo Stefanem Olszowskim, do wyboru. W odróżnieniu od pierwowzoru, w tym socjalistycznym „Monopolu” nie chodziło o kupowanie ani sprzedawanie. Pacyfikowało się uczelnie, zdobywało szturmem kopalnie, wprowadzało miniaturowych żołnierzyków i czołgi. Nasza gra – a graliśmy całymi dniami – była formą odreagowania wściekłości, strachu, niepewności. Makietę i gadżety do „Prominentów” mam do dzisiaj. W Warszawie, dokąd po wznowieniu zajęć wróciłem z Tomaszowa na studia, zaangażowałem się w działalność klubu science fiction SFAN, który był wtedy opozycyjny wobec działającej pod szyldem SZSP Proximy. Stanowiliśmy środowisko, które nie akceptowało dominacji oficjalnych organizacji młodzieżowych w naszej branży. Wśród moich przyjaciół przesiadujących przy wspólnym stoliku – spotykaliśmy się co tydzień w kawiarni – byli Janusz Zajdel, Rafał Ziemkiewicz i Jarosław Grzędowicz.

– Dream team, jak z perspektywy lat można skwitować? Ale jaki to ma związek z opozycją?

– Zaraz do tego dojdziemy. Muszę się jednak pochwalić się, że to ja „odkryłem” Rafała Ziemkiewicza jako przyszłe świetne pióro SF. Pokazał mi brulion ze swoimi opowiadaniem, bo wydawałem wówczas amatorskie pismo Science Fiction „Radiant”, według opracowania Rafała pierwsze takie w Polsce. Starannie przeczytałem teksty Rafała i bardzo mi się spodobały. Wcześniej Rafał te same teksty pokazał bratu, który mu powiedział, no, recenzja była negatywna. Za to ode mnie usłyszał, że są naprawdę dobre i że ma talent. Zaś co do związków SF z opozycyjnością, o które Panowie pytacie, powiem tak: najpierw wydawałem bez cenzury wspomnianego „Radianta”. Potem, w początkach 1982 roku, postanowiłem publikować również literaturę i opracowania historyczne, które komuniści uznali za zakazane. Miałem wtedy 19 lat. Namówiłem do pomocy mojego przyjaciela z matematyki, Roberta Kępczyńskiego i jego żonę Ewę. Pierwsze książki drukowaliśmy na kserografie, w nakładach 100–200 egzemplarzy i zszywaliśmy ręcznie igłą i nićmi, bardzo pracochłonna technologia.

NAZWA WYDAWNICTWA ZNACZYŁA: STOP KOMUNIZMOWI

– Tak narodziło się wydawnictwo STOP?

– Stop komunie, takie było proste uzasadnienie naszej nazwy. Oprócz Roberta i Ewy Kępczyńskich, wśród najbliższych współpracowników byli Wojciech Olszewski, Jarek Komorowski, Leszek Robakiewicz, Tomek Peszke, Agnieszka Gutkowska i Krzysztof Kawiecki. Wprowadziłem podział pracy minimalizujący zagrożenie i niektórzy pracownicy prowadzili drukarnię, inni utrzymywali kontakty z „naziemiem” (czyli tą częścią podziemia, która działała na wół jawnie i która była znana bezpiece), inni projektowali okładki i załatwiali książki oraz blachy. Spytacie pewnie Panowie, skąd zdobyliśmy fundusze. Żadnych dotacji początkowo nie miałem. Na dobry początek, żeby zdobyć trochę gotówki na rozruch sprzedałem na aukcji w SFANIE swoją bibliotekę science fiction, wówczas nadzwyczaj wartościową i gromadzoną przez lata, sto kilkadziesiąt tomów. Ale innego rozwiązania nie znalazłem. Z kupcami nie było kłopotu.

– A jak drukowaliście książki?

Jak już wspomniałem, książki najpierw odbijaliśmy na kserografie. Potem

już korzystaliśmy z offsetu, na Królewskiej, w instytucji państwowej, bo okazało się, że nasz człowiek od kserografu miał również dojście do offsetu. Wreszcie poznaliśmy technikę sitodruku. Pomagały mi różne osoby ze SFAN-a. Dawne kontakty okazały się więc kluczowe. STOP został zaprojektowany jako zespół luźno powiązanych komórek, które początkowo miały ze sobą kontakt tylko przeze mnie. Potem zwerbowałem do tych działań kolegę ze SFAN-a, który zorganizował sobie mały biznes poligraficzny wydając przedruki oficjalnych książek z fantastyką. Nazwijmy go „Smokiem”, bo taki pseudonim mu onegdaj nadałem (przypominał postać Smoka Wawelskiego z kreskówki dla dzieci). Z początku trochę wahałem się, czy można mu zaufać ze względu na domniemane powiązania rodzinne z oficjalnym ustrojem. Z czasem jednak przekonałem się, zaproponowałem mu zmianę formy działalności i zaczęliśmy wydawać bibułę korzystając z jego sieci poligraficznej. To był solidny skok ilościowy. Potem wydawnictwo rozrosło się i zatrudniłem coraz więcej osób, w tym zwerbowałem również Rafała Ziemkiewicza. Rafał prowadził kolportaż detaliczny na Wydziale Polonistyki UW. Była to ta część naszej działalności bodaj najbardziej narażona na wpadkę. Kiedy zaczęła się nasza współpraca, ja miałem 21 lat, a on 19.

Po pewnym czasie wykrystalizowała się struktura organizacyjna w postaci wyspecjalizowanych i luźno ze sobą połączonych komórek. Osobno funkcjonowała przygotowalnia makiet oraz grafika, osobno działał kolportaż. „Smok” inteligentny człowiek, absolwent matematyki, świetnie zorganizowany, prowadził działające „na wejściu” offsety w różnych instytucjach państwowych. Z drugiej funkcjonowało pół tuzina autonomicznych komórek sitodrukowych, czasem również składających książki wydrukowane na offsecie. Jedną z nich zbudował właśnie Wojciech Olszewski, inne działały w Tomaszowie i Otwocku oraz kilka w Warszawie. Nowych ludzi kształcił Robert Kępczyński, który opracował własne, udoskonalone techniki druku. Drukowaliśmy więc używając komórek sitodrukowych i wejść offsetowych do instytucji oficjalnych. Za te ostatnie trzeba było płacić – to była szara strefa, gdzie większość drukarzy nie miała silnych motywacji ideologicznych. Drukowaliśmy głównie książki – na początek „Małą Apokalipsę” Tadeusza Konwickiego oraz „1984” i „Folwark zwierzęcy” George’a Orwella.

– **Zaczęliście więc od antyutopii?**

– Janusz Zajdel, który sam napisał kilka świetnych antyutopii, gdy mu dostarczałem książki, dziwił się, że tylu ludzi przed nim tym samym się zajmowało a on o tym nie wiedział. Orwella też nie znał. Widziałem, że lektura naprawdę nim wstrząsnęła. Znał wyłącznie „Nowy wspaniały świat” Aldousa Huxleya, który był wydany oficjalnie. A „Folwark zwierzęcy” czy „1984”, które mu dałem, oczywiście nie. Takie rozmowy jak z Zajdelem działały na mnie motywująco.

– **Bo zyskał Pan poczucie, że robi coś ważnego i pożytecznego?**

– To prawda, szczególnie, kiedy pewnego razu w autobusie z Warszawy do Tomaszowa zauważyłem dziewczynę pochłaniającą z wypiekami na twarzy moją książkę! Współpracowaliśmy z różnymi wydawnictwami i pismami drugiego obiegu. Wówczas nie było tak silnych podziałów ideologicznych, jak obecnie, które zaczęły się silniej uwidaczniać zaraz po upadku PRL-u. Jeden główny wróg łągodził podziały wewnątrz opozycji. Drukowaliśmy przez pewien czas „Gazetę NieCodzienną”, z „Tygodnikiem Mazowsze” mieliśmy nieco inne relacje, ale również bliskie. Ze spotkań rodziła się wymiana, pozyskiwanie nowych dojsć do sprzętu. Niektóre książki na wejściu produkowane były od początku do końca, a niektóre przychodziły w formie zadrukowanych ryz papieru, podobnie jak cała produkcja sitodrukowa. Trzeba było to poskładać, zszyć i obciąć, a do tego potrzebny był profesjonalny sprzęt. Gdy kiedyś ktoś pożyczył nam bardziej profesjonalny zszywacz, to wybrałem ten zszywacz od pożyczkodawcy i w końcu dostałem w podarunku. Zszywacz pozostał już nasz, a w świecie druku niezależnego była to rzecz cenna.

«**LIST OD OBYWATELA... MIŁOSZ CZESŁAW**»

– **Na prawdziwą satysfakcję przyszło jednak trochę poczekać?**

– Najbardziej zabawne uhonorowanie mojej działalności spotkało mnie po wydaniu „Ogrodu nauk” Czesława Miłosza. Część nakładu – 1000 sztuk – została zarekwirowana podczas mojej wpadki. Potem, kiedy siedziałem już w areszcie na Rakowieckiej, otrzymałem od naszego noblisty list. Wyglądało to w ten sposób, że do celi wszedł klawisz: „Kamiński Marek?” Potwierdziłem swoją tożsamość „syn Mikołaja”. „Macie list od obywatela: Miłosz Czesław”,

przesylabizował. Autor dziwił się, że za wydanie rzeczy takiej jak „Ogród nauk” ktoś może być represjonowany, przyznał, że gdy tę książkę pisał, nawet o tym nie pomyślał. I dodawał otuchy.

– **A z kim współpracowaliście?**

– Jeszcze przed moją wpadką, budowaliśmy kolportaż także wspólnie z innymi wydawnictwami, wychodząc już wtedy poza środowisko uniwersyteckie. Współpracowaliśmy na przykład z MRK „S”, „Officiną Liberałów”, „NOWą”, „Myślą”, różnymi organizacjami studenckimi, m.in. z Politechniki Łódzkiej i dużą liczbą uczelni warszawskich. Granice Warszawy też nas nie ograniczały. Spora część naszych nakładów trafiała do Gdańska i Wrocławia. Zaś w stolicy mieliśmy kontakty ze środowiskiem „Woli”, z Tadeuszem Winkowskim i Teresą Bogucką z kręgu „TM”, księdzem Stanisławem Małkowskim, Zofią Kuratowską, Andrzejem Czumą. Klisze i blachy przygotowywał dla nas przez dłuższy czas Erazm Ciołek, główny fotograf „Solidarności”. Dzięki Andrzejowi Sadowskiemu utrzymywaliśmy relację z Wydawnictwem Pokolenie i innymi organizacjami podziemnymi. Właściwie to pośredni lub bezpośredni kontakt mieliśmy z całym podziemiem wydawniczym.

– **Nie wszystko jednak wtedy – co oczywiste – układało się lekko, łatwo i przyjemnie?**

– Przede wszystkim były wpadki. Ze śladami prawdopodobnej infiltracji spotykaliśmy się choćby w takiej postaci, że ktoś składał zamówienie na druk książki, ale w dziesięciu egzemplarzach. Słyszał wtedy oczywistą odpowiedź, że nie warto, bo to się nie opłaca. Upierał się jednak, że wystarczy dziesięć. Mój drukarz na wejściu, Bogdan Żak, który otrzymał takie zamówienie, nie mógł się temu nadziwić.

– **O co chodziło?**

– Prawdopodobnie te egzemplarze były przeznaczone dla instytucji sponsorujących podziemie, aby uzyskać od nich dotację. Wydawca tych dziesięciu egzemplarzy ofiarował sponsorowi książki potwierdzające druk i otrzymywał pieniądze. Z kolei ogromny pech towarzyszył próbom wydania pamiętnika Pawła Jasienicy. Kto tylko się za to zabrał, zaraz wydawnictwo wpadało. Sam odbyłem w tej sprawie spotkanie z zaprzyjaźnionym wydawnictwem MKS „V”, w mieszkaniu przy Spalskiej. Im też cały nakład wpadł. Gdy szedłem na takie

spotkania lub wracałem z nich stosowałem różne zabezpieczenia, na przykład rutynowo przechodziłem przez podziemia Pałacu Kultury, których labirynt znałem doskonale, bo wydział matematyki właśnie tam się mieścił. Te zasady bezpieczeństwa (nazywane kolokwialnie „BHP”) w takich właśnie sytuacjach sprawdzały się i pozwalały zgubić ewentualnego ogona. Dopiero gdy uwikłania wdowy po pisarzu stały się znane, cała zagadka permanentnych wpadek zyskała rozwiązanie. Nie było to żadne fatum, tylko współpraca żony Jasienicy z SB. My wydrukowaliśmy ten „Pamiętnik” bez przygód.

– **Czy pomoc z Zachodu też do Was trafiała?**

– Nie działało się z nią najlepiej. Jeśli już wsparcie pozyskiwaliśmy, to za sprawą prywatnych właściwie kontaktów a nie jakiegoś rozdzielnika centralnego. Sprzedaż samych książek nie pozwoliłaby utrzymać wydawnictwa. Po sprzedaży mojej biblioteki Science Fiction wydawnictwo utrzymywało się dzięki drukowaniu znaczków, kalendarzy i podobnej „galanterii”. Po każdej wpadce, a było ich sporo, stawaliśmy na krawędzi bankructwa. Pierwsze pieniądze przysły po pięciu latach, około roku 1987. Dotację pozyskaliśmy dzięki Teresie Boguckiej. Również, gdy w końcu lat 80-tych wyjeżdżał na Zachód Lech Robakiewicz, wnuk gen. Zygmunta Berlinga, który był naszym grafikiem i ekspertem literackim, to przywiózł więcej książek. Lech spotkał się też z Ritą Gombrowicz, wdową po pisarzu i wstępnie uzyskał zgodę na druk „Kronosa”, jego osławionego tajnego dziennika, którego jednak nie zdążyliśmy wydać. Ja wyjechałem latem 1988 roku z Robertem Kępczyńskim do Berlina Zachodniego i dzięki pomocy redakcji pisma „Pogląd” przywiozłem książki i materiały poligraficzne do sitodruku.

– **Co decydowało o doborze tytułów w wydawnictwie, które wielu nazywa jednym z największych w drugim obiegu?**

– To była... krytyczna ścieżka naszych fascynacji. Zaczęliśmy od Konwickiego i Orwella. Potem wydawaliśmy Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza. Wreszcie doszliśmy do „Siły bezsilnych” Vaclava Havla, dysydentów sowieckich, i krótkiej historii Polski lat 1944–1956 autorstwa Krystyny Kersten. Można powiedzieć, że tym, co na nas samych wywarło największe wrażenie, dzieliliśmy się z innymi. Wydaliśmy ponad 35 książek i broszur w nakładzie przekraczającym łącznie 100 tysięcy egzemplarzy. Wydawaliśmy obszerne po-

zycje w dużych nakładach. STOP osiągnął największy potencjał przed moim aresztowaniem 12 marca 1985 roku. W naszej dyspozycji pozostawało wówczas siedem offsetów, a ściślej mówiąc siedem wejść na offset i kilka mocno zakonspirowanych punktów sitodruku. To stan na 1985 rok, bo potem wydawnictwo skurczyło się i było jednym z wielu średniaków pracującym głównie na sitodruku. Sitodruk dawał wizualnie bez porównania brzydszy efekt ze względu na brak dobrej farby, której namiastkę przygotowywaliśmy z pasty do prania „Komfort”.

– **Czy zdarzyły się pomysły, z których sam Pan zrezygnował?**

– Zналиśmy trasę ciężarówki, która wcześniej skonfiskowane wydawnictwa drugiego obiegu woziła na przemiał do papierni w Konstancinie-Jeziornie. Do utylizacji. Miałem więc pomysł, żeby ten samochód – o zawartość chodziło, nie o gruchota – zablokować, odbić i przejąć towar. Zrezygnowałem z tego pomysłu, bo obawiałem się „efektu Raskolnikowa”: pomimo znacznych motywacji można było wyrządzić komuś krzywdę. Nie byliśmy przygotowani do ekspropriacji w stylu akcji pod Bezdanami Piłsudskiego. Odzyskanie w jednym ruchu kilku ton publikacji wcześniej utraconych przez podziemie i ponowne wrzucenie do kolportażu kusilo. Nie zdecydowałem się jednak na to.

– **Robiliście więc dalej swoje?**

– Liczyła się pomysłowość, a nie tylko kontakty i pieniądze. W cenie była gilotyna ręczna, konkretniej niezbędny do cięcia książek sprzęt o tak groźnej nazwie. Kiedy Tomasz Peszke uszkodził sobie rękę pracując na bardzo prymitywnej wersji, pojechałem do Łodzi i stamtąd przywoziłem plany gilotyny przygotowane przez studenta Politechniki Jacka Bińka z kolegami, na których podstawie został wykonany lepszy i bardziej bezpieczny jej prototyp. Wydaje mi się, że ten model stał się później szlagierem podziemia. Jeśli chodzi o wejścia, to ci, co dysponowali offsetem i zwykle odpłatnie go użyczali, czasem brali na siebie cały proces produkcyjny ze składem i intrologatorką włącznie. Najciekawszym miejscem druku okazał się areszt na Rakowieckiej. Znajdowała się tam drukarnia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i do niej też mieliśmy wejścia. Pracownicy potrafili wymontować części z maszyn, jeśli okazały się potrzebne gdzie indziej na mieście, stąd też gdy kiedyś pojawił się tam generał na inspekcję, to mieli wielki problem. Jednak ponieważ rewizor nie miał po-

jęcia o technice drukarskiej, żeby uruchomić zdekompletowaną w ten sposób maszynę, podłączyli do niej silnik od odkurzacza i to wystarczyło, żeby jego czujność uspić. Z trzech czwartych maszyn, które tam mieli, i tak nie korzystali. Drukowaliśmy również na wejściu w drukarni w Domu Partii, takim Mordorze PRL-u. Największym problemem było jak wywieźć z Mordoru urobek. Podstawialiśmy więc śmieciarkę, zadrukowane ryzy pakowaliśmy w szczelne worki, polewaliśmy czymś co mocno śmierdziało i brudziło, i w ten sposób wywoziliśmy pół tony lub tonę zadrukowanego papieru. Intrologatornię musieliśmy już robić sami, bo nasi drukarze z Domu Partii starali się jak najszybciej wypchnąć to, co nadrukowali. Czysty papier zwykle wynoszony był z instytucji państwowych lub kupiony od tego, co go ukradł. Magazyny mieściły się najczęściej w garażach lub piwnicach. Rozwożeniem nakładów zajmował się u nas po 1985 roku Piotr Smirnow, syn pośła Andrzeja Smirnowa, zdolny informatyk. Ważnymi ludźmi byli Robert Kępczyński, który nadzorował procesy technologiczne sitodruku i sam prowadził komórkę, Lech Robakiewicz, który zajmował się grafiką oraz zdobywał oryginały książek do przedruków oraz wspomniany „Smok”, który zresztą nie znał mojej funkcji w wydawnictwie i myślał, że jestem tylko pośrednikiem. „Smok” miał jednak kontakt do mnie i gdy wpadł z bibułą, do mnie również dotarł.

WPADKA CZYLI ESTYMACJA PRAWDOPODOBIENSTW

– **Bo nieuchronnie nadszedł czas wyspy?**

– Liczyłem się z wpadką, zanim jeszcze nastąpiła. Dla mnie była to estymacja pewnych prawdopodobieństw. A silne zwiększanie skali działania musiało zwiększyć prawdopodobieństwo wyspy. Wcześniej i później wiele razy szczęście pomogło mi uniknąć aresztowania. Miałem dokładnie 12 sytuacji, w których byłem zatrzymywany przez milicjantów z bibułą schowaną w samochodzie lub za pasem, wychodziłem z lokali tuż przed wpadką lub wchodziłem w kocioł. Podczas jednej takiej sytuacji pukam, otwierają się drzwi, a tam bezpieczeństwa. Robią kipisz. Na szczęście żona mojego drukarza przytomnie zawołała: „Panie sąsiedzie, ja panu ten cukier jutro oddam, bo teraz mam gości”. Esbek machnął ręką. Raz zostałem zatrzymany w Otwocku z workiem bibuły, gdy przechodziłem w niedozwolonym miejscu przez tory kolejowe. Zwykle milicjanci

od razu zabierali dowód, ale ja pokazałem, że mam go na dnie worka, nawet pogrzebałem w nim chwilę bezskutecznie. Opuścili więc i prowadzili mnie na komisariat, nie poznawszy tożsamości. Szliśmy tak przez wąski korytarz dworca w Otwocku, z przodu i z tyłu milicjant, a ja pośrodku, bez szans na ucieczkę. Ten z przodu otworzył przede mną drzwi i widząc, że się waham, sam wszedł pierwszy. No to ja... w długą, przez ławki dworcowe i w śnieg. Słyszałem za sobą: stój, bo strzelam. Udało mi się. Zdarzyło się to w lutym 1985 r. Mniej szczęśliwą datą okazał się 12 marca 1985 r. Wtedy mieszkałem na Czerniakowskiej. „Smok” nie przyszedł na spotkanie późnym wieczorem 11 marca. Następnego dnia zadzwoniłem więc rano przed dziewiątą, oczywiście z automatu, żeby dowiedzieć się co się stało. Żona „Smoka” odebrała telefon, ale nie powiedziała, że został zatrzymany. A w tym czasie do pani Szubert, starszej pani, u której mieszkałem, przysłała bezpieka. Punkt dziewiąta. Zadzwonili na socjologię – którą już w tym czasie studiowałem oprócz matematyki – żeby przyjechał, bo niby woda przecieka w mieszkaniu. Cała socjologia mnie szukała, ale ja już wyszedłem z Wydziału roznosić książki po Powiślu. Gdybym dostał taką informację, to od razu zorientowałbym się, że to musi być bezpieka. W międzyczasie pani Szubert wyszła do kościoła, bo bezpieka wypuściła ją na pół godziny, a malarzowi, który akurat pracował na klatce schodowej powiedziała, żeby mnie ostrzegł. Ale on akurat przerwę sobie zrobił o trzeciej i poszedł na piwo, a ja wtedy wróciłem. W ten sposób mnie zgarnęli. Miałem ze sobą blachy i książki, ale tuż przed wejściem do mieszkania zostawiłem je w schowku sąsiada i nic nie wpadło. Otwieram drzwi i słyszę: „Panie Marku, witamy, tyle na pana czekaliśmy”. Ponad sześć godzin.

– **Andrzej Sadowski** mniej więcej w tym czasie miał więcej szczęścia. Na niego też się zasadzili, przyszli koło ósmej rano. Ale gdy dochodziła szesnasta, jeden spojrzął na zegarek, powiedział że wystarczy i sobie poszli.

– Zabrakło mi tej godziny, miałem też pecha z malarzem i z Wydziałem. Przed aresztowaniem trenowałem maraton, byłem przygotowany na ucieczkę taką, jak miesiąc wcześniej, ale wtedy się na nią nie zdecydowałem, bo błędnie uznałem, że rzecz skończy się na zatrzymaniu na 48 godzin. Książek i blach przecież pozbyłem się tuż przed mieszkaniem. Już na Wilczej dokąd mnie przekazano okazało się, że „Smok” wszystko im powiedział po zatrzymaniu. Prze-

woził bibułę, miał perfekcyjnie sfalszowane papiery, na to, co wiezie, ale tym razem okazali się sprytniejsi i sprawdzili treść wydruków. Być może wcześniej go namierzili. Pokazał im nasz magazyn w garażu i oprócz tego, co przewoził zarekwirowali prawie wszystko, co mieliśmy, sześć tysięcy książek Gombrowicza, Miłosza i Mikołaja Arzaka, rosyjskiego dysydenta. Najbardziej zapamiętałem z tych pierwszych chwil scenę, kiedy wnosili wygarnięty z magazynu w garażu cały nakład „Pornografii” Gombrowicza. Taszcą go i mocno przy tym klną, bo to wszystko mnóstwo waży i są zmęczeni. Nagle któryś rzuca: „Ale teraz będziemy mądrzy, jak tyle książek mamy”. Nie rozśmieszyło mnie to, utratą wydrukowanych świeżo książek byłem wtedy bardziej zdruzgotany niż własnym losem. Dziennik Telewizyjny pokazał wieczorem migawkę o zatrzymaniu studentów drukujących pornografię. A na ekranie pojawiło się zbliżenie tytułu: „Pornografia”. Na tym jednak historia się nie kończy. Kiedy już wyszedłem, dowiedziałem się, że „Pornografia” Gombrowicza dostępna jest na bazarze na stadionie „Skrzy”. Znalazłem to stoisko na Skrze i poznałem nasze wydanie. Spytałem sprzedającego, ile może egzemplarzy zaoferować. Odpowiedział, że nawet parę tysięcy, ile chcę.

– **Habent sua fata libelli, książki mają swoje losy, powiadali starożytni?**

– Historia ta potwierdza, że bezpieka dorabiała sobie na boku, sprzedając zarekwirowane wydawnictwa na wolnym rynku zamiast je niszczyć, jak przewidywały instrukcje resortowe. Rozmowa ze sprzedawcą ze Skrzy miała miejsce w rok po moim wyjściu z więzienia. Cały nakład pierwszej partii „Pornografii” to były dwa tysiące, więc sprzedawca trochę fantazjował, że może mi sprzedać dowolną liczbę. Zaś ja za kratami od razu miałem dobre wejście: student co wydawał pornografię... Wszystkiego miałem dwa przesłuchania. Jedno na gorąco, zaraz po zatrzymaniu. Usiłowali mnie podejść, trochę rozmawialiśmy, ale pilnowałem się, żeby nie ujawnić żadnych nawet pozornie nieznaczących faktów, bo mogliby to wykorzystać. Esbek mówił o oficjalnych wydaniach Gombrowicza, mylił tytuły i daty, a ja dziwiłem się, nie prostowałem. Przygotowałem się od dawna na taką ewentualność. Wskazywałem już, szacując odpowiednio prawdopodobieństwa byłem przekonany, że wpadka kiedyś nastąpi i starałem się do niej przygotować najlepiej jak potrafiłem. Trening maratonu, joga pozwalająca wyciszyć nerwy – bardzo przydatna w pierwszych dniach po

aresztowaniu, nauczyłem się też praktycznie na pamięć „Małego Konspiratora”, doskonałego przewodnika podziemnego autorstwa Czesława Bieleckiego. Wiedza ta bardzo mi się przydała, chociaż do procesu nie doszło, z powodu zwolnienia spowodowanego „względnymi zdrowotnymi” oraz późniejszej amnestii, która przyniosła ze sobą umorzenie mojej sprawy. Te „względy zdrowotne” to była precyzyjna strategia symulacji choroby wypracowana przez mojego ojca, Mikołaja Kamińskiego, chirurga, z ordynatorem Oddziału Chirurgicznego na Rakowieckiej, doktorem Jerzym Possartem. Lekarze więzienni zdiagnozowali u mnie w oparciu o niedawną chorobę nowotworową problemy z trzustką, co w końcu doprowadziły do mojego zwolnienia. Od tego czasu trzustka to mój ulubiony organ!

– Pana pobyt za kratami zaowocował wydaniem aż dwóch książek... Pierwsza z nich dotyczy subkultury więziennej, najpierw ukazała się – po wielu latach – po angielsku, potem po polsku?

– W sumie spędziłem w więzieniu pięć miesięcy. W trzynastu różnych celach. Dla więźnia częsta zmiana otoczenia i celi jest bardzo stresująca. Dla badacza, socjologa – wręcz przeciwnie, to wspinała okazja do poznania nowych ludzi i zebrania większego materiału. Jako badacz miałem więc szczęście, że często zmieniałem cele i jak na te pięć miesięcy doświadczyłem dużo. Poza tym spędziłem też sporo czasu w więziennym szpitalu, gdzie były normalne cele, tylko z większą powierzchnią na osobę i nieco luźniejszymi regułami. Dlatego uniknąłem jeszcze ze 3–4 przesłuchań, bo ze szpitalki nie mogli brać na przesłuchania. O pierwszym, zaraz po aresztowaniu, już wspominałem. W drugim, bardziej oficjalnym, brało udział dwóch przesłuchujących: dobry i zły glina. Najpierw zły glina wrzeszczał, a potem dobry pocieszał i sugerował zeznawanie. Trochę porozmawialiśmy o głupstwach po czym nie podpisałem protokołu przesłuchania. Potem zatrzymywali na dzień lub kilka tygodni z naszego środowiska również Wojciecha Olszewskiego, Jarka Komorowskiego, Marka Djakowskiego i Roberta Kępczyńskiego. Andrzej Sadowski miał postępowanie umorzone, ale bodaj przez rok musiał meldować się co tydzień w Łomży. Z Jackiem Kuroniem leżałem w więziennym szpitalu na chirurgii, ale w innych celach, przesałem mu do jego celi kawałek piernika, otrzymanego w paczce. W innej celi poznałem jedyne autentyczne polityczne, starszego o 15 lat

Andrzeja Bogusławskiego. Zostały po nas historie pod celą. Markowi Dżakowskiemu, który trafił na Białolękę – gdzie najpierw siedziałem – kilka miesięcy później moi koleżkowie spod celi opowiadali o mnie, że siedział taki student co miał raka, a zabił dziesięciu ubeków.

– **Zostały też książki, chociaż wydane już po latach?**

– Bardzo dużo czasu zabrało mi uporządkowanie moich historii więziennych. Reguły i hierarchie więzienne są dla każdego socjologa niezwykle pasjonujące. Więźniowie polityczni siedzieli często ze zwykłymi, tymi z kryminalnych spraw. Wbrew utartym opiniom, wcale nie recydywa była najgorsza, bo oni szanowali czas, nie chcieli go tracić choćby na zbędne konflikty za kratami, można rzec w ślad za porzekadłem więziennym, że „erka potrafi siedzieć”. Łagodzili czasem konflikty. Najgorsze były „skakańce”, małolaty po poprawczakach. Na Białolęcę trafiłem z nimi do ostrej celi, klawisz ostrzegwał, że mi dadzą wycisk. Trochę tam miałem spięć. Polityczni czasem – przynajmniej na początku – odmawiali stosowania się do dziwacznych więziennych reguł. Jednak ogólnie politycznym, czyli więźniom „za Solidarność”, pomagał fakt, że praktycznie wszyscy więźniowie kryminalni byli antykomunistami. Trudno w tym nie dostrzec logiki, w końcu to komuniści ich za kraty wsadzili. Jeden z osadzonych, taksówkarz, który spowodował wypadek i uciekł z miejsca wypadku, twierdził, że też jest więźniem politycznym. Bo potrafił pułkownika bezpieki. Aż się prosiło o opis tej społeczności więziennej. W ten sposób powstała książka „Games Prisoners Play”, która dostała nagrodę od European Academy of Sociology za najlepszą książkę z socjologii na świecie za rok 2005, a której rozszerzone wydanie polskie ukazało się pod tytułem „Gry więzienne”. Druga moja książka, która nie powstałaby nigdy, gdyby nie pobyt za kratami, stanowiła efekt znajomości z Józefem Koryckim, którego – ciężko schorowanego i nie mogącego już wstawać z łóżka – spotkałem w więziennym szpitalu. Spędziliśmy prawie miesiąc w jednej celi i po mniej więcej dziesięciu dniach zdecydował się opowiedzieć mi historię swojego życia. On był takim ostatnim partyzantem, ludowym Robin Hoodem, który na Podlasiu ukrywał się aż do 1982 r. i rabował wyłącznie państwowe, zabierając na przykład sołtysom pieniądze z podatków i rozdając prawie wszystko biednym chłopom, zatrzymując dla siebie tylko tyle, żeby przeżyć. Wraz z historykiem Ernestem Szumem, któ-

ry wykonał mnóstwo pracy archiwalnej i zrobił kilka kapitalnych wywiadów na Podlasiu z rodziną Koryckiego, napisałem książkę „Janosik Podlaski. Józefa Koryckiego prywatna wojna z komunizmem”. Po wyjściu z więzienia próbowałem zainteresować losem Janosika opozycyjne pisma, ale Jacek Kuroń postanowił, że tekst o Koryckim w „Tygodniku Mazowsze” się nie ukáže. Skoro o książkach rozmawiamy... Na 15 minut przed wyjściem z więzienia dostałam piętnaście zamówionych książek z Instytutu Socjologii, grubych tomów. Wcześniej trzy miesiące czekały w magazynie.

– **Czy uniwersytet pomagał swojemu studentowi za kratami?**

– Bardzo. Pomagało wiele osób i instytucji. W pomoc zaangażowali się zarówno moi koledzy i koleżanki jak i administracja. Pomagała mi m.in. Jadwiga Staniszkis, do której wcześniej chodziłem na wykłady i która dostawała od nas bibułę. Wysyłano paczki i dziesiątki listów. Dzięki pomocy Komitetu Prymasowskiego, dostawałem od Amnesty International witaminy, które zapewne ocaliły mi uzębienie. Z kolei Henryk Banaszak, ówczesny prodziekan Wydziału Filozofii i Socjologii UW, gdy do niego przychodzili esbecy z żądaniem, żeby mnie ze studiów wyrzucić, przetrzymał ich dwie godziny na korytarzu a gdy już weszli do gabinetu nie poprosił nawet, żeby usiedli. Oczywiście nikt nie zamierzał mnie wyrzucać. Wyszedłem 9 sierpnia 1985 r. Na formalne umorzenie postępowania przyszło poczekać rok.

TRUDNY POWRÓT NA WOLNOŚĆ

– **Czy powrót na uczelnię był trudny?**

– Kłopotliwy w tym sensie, że czasem traktowano mnie jak bohatera, a nikim takim wcale się nie czułem. Profesor Antoni Kamiński, dyrektor Instytutu Socjologii i mój późniejszy promotor – nie jesteśmy spokrewnieni – przywitał mnie z honorami na seminarium. Wszyscy wiedzieli, co się ze mną działo. Wysłałem bowiem zaadresowaną do Instytutu Socjologii UW humorystyczną kartkę „Pozdrowienia z wczasów na Białoleczę”, którą zaraz ktoś wyeksponował i wstawił do gabloty. Wtedy z socjologii siedziała też wykładowczyni Mirosława Grabowska, obecna szefowa CBOS. Oczywiście chciałem normalnie zdawać egzaminy, uzupełnić zaległości, które ostatecznie zbytnio nie narosły, skoro aresztowano mnie w marcu a wypuszczono w sierpniu tego samego 1985 r.

Jednak w praktyce wyglądało to tak, że idę na egzamin, po czym słyszę miłe słowa i grzecznościowe banalne pytania. I od razu piątka do indeksu. Wcale nie o to mi chodziło. Chciałem być traktowany jak wszyscy. W każdym razie pomimo odsiadki, jaką za sobą miałem, nie zawałem roku.

– **Powrót do rzeczywistości jednak okazał się trudny, wiele się zmieniło wokół, jak przebiegało odtwarzanie tego, co nie przepadło?**

– Joseph Conrad napisał w «Jądrze ciemności», że każdy ma swój próg wytrzymałości. Mój nie został wówczas osiągnięty. Nie zamierzałem rezygnować z działania. Jeszcze w więzieniu zwerbowałem taksówkarza, tego, co uważał siebie za ofiarę ustroju i planowałem rekonstrukcję struktur. Od pierwszego dnia po wyjściu spotykałem się z ludźmi, z którymi wcześniej to ciągnąłem. Pierwszą osobą, którą spotkałem po wyjściu był Jakub Wygnański, asystent Henryka Wujca, sekretarza Komitetu Obywatelskiego. Kuba odwiedził mnie w Instytucie Onkologii na Wawelskiej, gdzie się znalazłem. I zacząłem wszystko odtwarzać. Okazało się, że wpadło całe siedem naszych wejść na offset, które obsługiwał „Smok”, ale sitodrukowa struktura, przygotowalnia i kolportaż ocalały, bo ja byłem jedynym łącznikiem. Ludzie, których „Smok” nie znał, przetrwali. Sitodruk działał, więc nawet kiedy siedziałem, wciąż ukazywały się książki pod logotypem wydawnictwa STOP.

– **Ale Pan już został zdekonspirowany, co utrudniało działalność?**

– Zorientowałem się szybko, że za mną nie chodzą. Zabawne z tym zdarzenie wiąże się z moim jeśli tak można powiedzieć imiennikiem, później znakomitym polarnikiem Markiem Kamińskim, który studiował na tym samym wydziale, ale w Instytucie Filozofii. Nie jesteśmy spokrewnieni, znaliśmy się jednak wtedy trochę. I nagle na wydziale Marek zaaferowany podchodzi do mnie i oznajmia, że „oni” za nim chodzą. Okazało się, że bezpiekę interesował student Wydziału Filozofii i Socjologii Marek Kamiński, a ponieważ było dwóch takich, więc wzięli Marka za mnie. Marek martwił się, że gdy tak ciągle mu towarzysząc, pójdą za nim w góry, do jaskini, przecież nogi sobie połamią. Doradziłem mu, że najprościej będzie, żeby im to wyjaśnił i nawet zaoferowałem, że sam z nim pójde i pokaże im moją legitymację studencką, ale wiem, że tego nie zrobił. Sam z kolei kiedyś złapałem ogon na Filtrowej. Zorientowałem się, że łązi za mną jakiś niewielki facecik w pobrudzonym

płaszczu, postać prosto z Gogoła. Zaczaiłem się za jakimś filarem i nagle z impetem wyszedłem prosto na niego. Wystraszył się, postaliśmy chwilę na przeciw siebie i uciekł.

– Cały czas mowa o esbekach niemądrych, którym się wszystko myli, tchórzliwych jak ten ostatni, albo o cynicznych, co sprzedawali za dużą kasę na bazarze zarekwirowane uprzednio przez siebie książki. A spotkał Pan esbeków szlachetnych? Przecież był Adam Hodysz w Gdańsku?

– Na pewno zdarzały się zachowania niestandardowe. Kiedy jeszcze siedziałem, siostra strasznie chciała zobaczyć mnie na więziennym spacerniaku. Sprawdziła, z których okien w okolicznych wieżowcach będzie mnie widać. Zaczęła chodzić po ostatnich piętrach i stukać do drzwi. Tam mieszkali pracownicy resortu i najczęściej ją wyrzucali. Ale młody chłopak, który jej w końcu otworzył, wpuścił ją na balkon. I chyba się w niej zaczął podkochiwać, a była bardzo atrakcyjną dziewczyną. Chłopak starał się utrzymywać z nią kontakt i wymyślał różne preteksty, a w końcu znalazł klawisza z Rakowieckiej, który zgodził się przemycić ode mnie grypsy a do mnie czekoladę i inne drobiazgi. Nawet chciałem, żeby mi aparat fotograficzny przyniósł do zrobienia dokumentacji, ale przenieśli go wcześniej. Z chwilą ogłoszenia we wrześniu 1986 r. przez generałów Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka uwolnienia wszystkich więźniów politycznych skończyły się areszty i większość nieprzyjemnych interakcji z bezpieką. Rządzący próbowali wykończyć opozycję ekonomicznie konfiskując samochody i grożąc rekwirowaniem mieszkań.

CZAS NA «GRY PODZIEMNE»?

– Wychodzenie na jawność nie było łatwe. Trochę już o tym rozmawialiśmy, że już przedtem za wszystko przyszło w pewnym momencie płacić, a teraz można powiedzieć, że drugi obieg się urynkowił?

– To był stopniowy proces. Już wcześniej na książkach Oficyny Liberałów drukowano formułkę: „kup i sprzedaj drożej”, zachęcającą do myślenia rynkowego. Oni od dawno myśleli w tych kategoriach, ale większość podziemia, również i ja, nie rozumiała funkcjonowania rynku. Od mniej więcej 1986–1987 roku drugi obieg zaczął stawać się enklawą kapitalizmu. Walczyliśmy przecież nie tylko o wolność, niepodległość i prawa człowieka,

ale również o wdrożenie normalnych rynkowych reguł w miejsce urzędowego rozdzielnika w nakazowym systemie, skutkującym na co dzień niedoborami w gospodarce. Jak mawiał Stefan Kisielewski, gdyby na Saharze wprowadzono socjalizm, to wkrótce zabrakłoby piasku. Wtedy wpadłem na pomysł doprowadzenia do częstych spotkań ludzi tworzących drugi obieg, prowadzących do wymiany doświadczeń i współpracy. Znałem Grzegorza Bogutę z Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa i Krzysztofa Bąkowskiego z Oficyny Liberałów, który wtedy miał etat u Janusza Korwin-Mikkego i w jego imieniu zarządzał Oficyną Liberałów. Współpracowałem z nim przy wydaniu „Wszystko inaczej” Stefana Kisielewskiego i, podobnie jak z NOWą, wymienialiśmy się książkami wrzucając je w swoje struktury kolportażu. Obydwaj doskonale znali podziemie wydawnicze i od obydwu dużo się nauczyłem. Spotykaliśmy się w tym gronie regularnie w kawiarni „Nowy Świat” położonej na rogu tej ulicy i Świętokrzyskiej. Rzeczywiście zaczynała się u nas wtedy gospodarka rynkowa. Boguta, który wcześniej był zwolennikiem cen regulowanych na bibułę (normą było 2 zł za stronę książki formatu A5) szybko przyjął rynkowy sposób myślenia Bąkowskiego. Sam długo trzymałem się zasady, że można u mnie zarobić tylko, jeśli się składa książki. Dotyczyło to też i mnie. Początkowo nie zgadzałem się na druk znaczków, kalendarzy i innych gadżetów. Z czasem okazało się, że bez tych produktów wydawnictwo musiałoby upaść. Ich produkcja nie była droga a rynek chłonny. Wspomagaliśmy wydawaniem znaczków również różne organizacje podziemne. Wydrukowaliśmy serię znaczków dla NZS Politechniki Łódzkiej, z którym mieliśmy kontakt przez Piotr Swaczynę. Andrzej Sadowski kolportował znaczki wydrukowane dla Instytutu Konserwatywnego w Polsce. Wzajemne kontakty stopniowo się rutynizowały. Z czasem Bąkowski z Bogutą rozmawiali w „Nowym Świecie” co tydzień. W grudniu 1988 r. wpadłem na pomysł doprowadzenia do spotkania wszystkich dużych wydawnictw podziemnych, który Boguta uznał za własny. Zorganizował to Jan Walc. Spotkanie to pomogło wydawnictwom podziemnym lepiej przygotować się do nadchodzących wyborów. Bibuła książkowa wchodziła już wtedy na stragany, a potem do księgarni. Gdy w 1988 r. zacząłem pracę jako asystent na socjologii, zapraszałem tam Grzegorza Bogutę i Piotra Szwajcera, którzy opowiadali

moim studentom o podziemiu wydawniczym i sprzedawali książki. Dzięki moim siedmiu latom w podziemiu zebrałem sporo materiału o jego funkcjonowaniu. Po „Grach więziennych” zastanawiałem się nad napisaniem „Gier podziemnych” ale jednak się do tego nie zabrałem.

– Dlaczego? Coś pasjonującego przecież mogłoby powstać z takiej perspektywy, przed laty określonej przez tytuł książki Raymonda Arona „Widz i uczestnik”. Metoda badawcza obserwacji uczestniczącej leży u podstaw „Nielegalnej polityki” opublikowanej przez Andrzeja Anusza, zaś drugi z uczestników tego wywiadu też wiele razy w tekstach dla „Opinii” powoływał się na własne doświadczenia, czasem pół żartem pół serio dodając, że w tym wypadku ma się pewność, że informator się nie wycofa?

– Być może na „Gry podziemne” przyjdzie jeszcze czas. O sposobie pozyskiwania informacji o więzieniu i o typach obserwatorów napisałem swoją pracę magisterską w Instytucie Socjologii UW. Podejście moje i podobne nazwałem „uczestnictwem obserwującym”, ponieważ wyjściową rolą społeczną jest tu rola uczestnika, który zbiera informacje o otaczającym go świecie w opozycji do „obserwatora uczestniczącego”, który zaczyna jako badacz. Uczestnik jest bardziej zaangażowany od badacza w otaczający go świat i nie może z niego „wyjść” na zawołanie, ma zazwyczaj lepszy dostęp do pewnych sekretnych informacji, ale też często brak mu przygotowania metodologicznego i często fetyszyzuje własne doświadczenia. Typowy więzień jest na przykład przekonany, że – śladem rosyjskiego dysydenta Władimira Bukowskiego – tylko więzień zrozumie drugiego więźnia. Ja miałem dystans do swojej roli społecznej od samego początku mojej działalności podziemnej. Kiedy tworzyłem wydawnictwo, całe przedsięwzięcie pragmatycznie ujmowałem w kategoriach połączeń między ludźmi, ryzyka, przepływów papieru i gotówki. Szyfrowałem wszystkie kontakty używając metody wykorzystującej zarówno prostą zamianę liczb (numery telefonów!) na litery w połączeniu ze skojarzeniami osobistymi, niemożliwymi do odtworzenia przez bezpiekę. Na przykład jedna z moich współpracownic, studentka matematyki, zawsze marzyła o tym, aby być dziennikarką więc w moim notesie nosiła pseudonim „Dziennikarka”. Po mojej wpadce „dobry glina” bezradnie pokazywał mi mój notes prosząc o rozszyfrowanie... Jeśli coś mnie do tej pory powstrzymywało

przed napisaniem „Gier podziemnych” to właśnie obawa przed absolutyzacją własnego doświadczenia i jednak pewien ograniczony ogląd podziemnej rzeczywistości. „Gry więzienne” powstały, ponieważ przez pięć miesięcy pobytu w więzieniu, już od pierwszego dnia, zacząłem systematycznie zbierać materiały i wymyśliłem kilka reguł pozwalających unikać podstawowych błędów badawczych. Jako socjolog starałem się patrzeć na własne doświadczenie intersubiektywnie i dawać taką samą wagę relacjom innych wiarygodnych obserwatorów. Słownik języka więziennego zestawilem na podstawie dziesiątek stron notatek, grypsów i oficjalnie wysyłanych listów. Z kolei w działalności podziemnej łatwiej było poznać anegdoty i doświadczyć przypadkowych przygód, a trudniej o twarde fakty. Ale nie mówię „nie”, prawie mnie Panowie przekonali, że warto...

– **W opowieści o latach 80. zblizamy się do momentu zmiany ustrojowej. Jako socjolog miał Pan w tym względzie szczególne kompetencje?**

– Po otrzymaniu pracy w Instytucie Socjologii UW w 1988 roku zostałem na rok asystentem prof. Stefana Nowaka, ojca polskiej socjologii sondażowej. Wiele mu zawdzięczam. Jako nauczyciel prawie wszystkich sondażowców polskich, mimo swojej jednoznacznie opozycyjnej postawy, miał dostęp do wszystkich sondaży, państwowych i uniwersyteckich, jawnych i tajnych. Nikt mu nie śmiał odmówić danych. Na seminarium porównywaliśmy sondaże różnych ośrodków. Trzeba pamiętać, że wtedy zbierający odpowiedzi ankieterzy często spotykali się nie tylko z odmowami – czasem nawet na poziomie kilkudziesięciu procent – ale i z aktami oczywistej niechęci czy agresji. Zdarzało się, że musieli uciekać z fabrycznej hali, bo respondenci uznawali, że pracują dla władzy. Na wyniki badań wpływał też efekt sponsora, czyli dla kogo były przygotowane. Badania uniwersyteckie można było uważać za bardziej wiarygodne niż prowadzone przez ośrodki rządowe, takie, jak OBOP czy CBOS. Jednak zestawienie wyników prac różnych ośrodków przynosiło całkiem spójny obraz polskiej rzeczywistości społecznej.

– **Pozwalający przewidzieć to, co się stało 4 czerwca 1989 r?**

– Sondaże absolutnie nie zapowiadały wyniku wyborów czerwcowych. Ponieważ w PRL-u nie było wolnych wyborów, więc pytano nie o preferencje wyborcze, ale o „zaufanie” do osób i instytucji społecznych i politycznych. Z py-

tań o zaufanie wynikało, że ogromnym cieszą się papież Jan Paweł II i kardynał Józef Glemp, względnie wysokim gen. Wojciech Jaruzelski, zaś Lech Wałęsa, uosabiający opozycję, lokuje się raptem na poziomie 20 proc. Wśród instytucji największym zaufaniem cieszył się niezmiennie Kościół ale wojsko było niewiele niżej. Opozycja szorowała po dnie. Badania w znacznej mierze uśpiły wtedy czujność rządzących, o czym świadczą zachowane protokoły spotkań Biura Politycznego KC PZPR. Trzy efekty doprowadziły do nadmiernego optymizmu komunistów. Po pierwsze, liczba odmów odpowiedzi regularnie sięgała 20–30 proc, a czasem i 50 proc, bo ludzie nie chcieli odpowiadać na pytania „komunistów”. Z czasem liczba odmów zmalała. Po drugie, nawet ci, co już odpowiadali, bali się przyznawać do poparcia opozycji, co zawyżało „zaufanie” do ludzi i instytucji reżimu. Po trzecie, opozycja była demonizowana, aczkolwiek ten efekt zniknął gdy jej przedstawiciele zaczęli pojawiać się w oficjalnych środkach przekazu przy okazji toczonych rozmów. Byliśmy przekonani, że poparcie dla władzy jest systematycznie zawyżane, ale skali tych przekłamań nie sposób było ocenić.

– **Doceniono Pana wtedy i otrzymał Pan konkretną propozycję?**

– Wszystkie struktury mojego wydawnictwa otrzymały wolną rękę, żeby włączyć się w działania kampanii wyborczej i każdy był jakoś w to zaangażowany. Ja rozmawiałem z Andrzejem Machalskim, koordynującym działalność Komitetu Obywatelskiego, w ich biurze na Fredry. Zaproponował mi poprowadzenie kampanii wyborczej Komitetu Obywatelskiego. Odmówiłem, ponieważ nie czułem się kompetentny. Mimo, że oferty Machalskiego wtedy nie przyjąłem, to od tego czasu datuje się moje zainteresowanie teorią głosowania.

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

– W książce „Ordynacje większościowe i JOW-y” zweryfikował Pan po części mit wielkiego zwycięstwa Solidarności 4 czerwca 1989 r, to znaczy ogromne rzeczywiście ono było, jednak kandydaci wspierani przez PZPR – co Pan udowadnia – w sumie osiągnęli poparcie 20–25 proc, czyli mniej więcej takie, jak SLD w cztery lata później, co z kolei uznano wtedy za klęskę podzielonego już obozu solidarnościowego?

– Rzeczywiście do zdobycia przez Komitet Obywatelski „Solidarności” – co tego zwycięstwa w niczym nie umniejsza – wszystkich możliwych mandatów z wyjątkiem jednego w Senacie przyczynił się błąd komunistów, polegający na przeszacowaniu własnego poparcia oraz na błędnej ocenie skutków przyjęcia większościowej ordynacji wyborczej. Oprócz zarezerwowanych dla siebie mandatów, PZPR do walki o pozostałe desygnowała ówczesnych celebrytów. Sami partyjni nazywali ich małpami, a pierwszy tego określenia użył Jerzy Urban. To były osoby znane z Dziennika Telewizyjnego i ogólnie osobowości medialne, które ze względu na popularność miały przyciągnąć wyborców. To komuniści chcieli wtedy głosowania „na osoby” i w związku z tym przeforsowali ordynację de facto większościową. Gdyby postawili na jakąkolwiek wersję ordynacji proporcjonalnej, wówczas osiągnęliby znacznie lepszy wynik i ich mandaty, razem z mandatami gwarantowanymi byłyby wystarczające do spokojnego rządzenia. Ordynacji proporcjonalnej nie wybrali, bo chcieli mieć te swoje małpy a także nie chcieli rejestrować partii politycznych niezbędnych w ordynacjach z listami, takimi jak obecna polska. Nie wiedzieli jednak, że istnieją systemy proporcjonalne, w których można głosować na osoby i które nie wymagają rejestracji partii politycznych, takie jak STV (Single Transferable Vote). Podobny błąd jak PZPR popełnili komuniści węgierscy po tamtejszym „trójkątnym stole”, ale już trochę później w Estonii w pierwszych wyborach wyglądało to inaczej, bo rzeczywiście tamtejsze pierwsze wybory odbyły się z wykorzystaniem ordynacji STV. Mój kolega z Wydziału, Estończyk, mówił mi, że komuniści w Estonii też chcieli mieć swoje małpy i też nie chcieli rejestrować partii. Być może więc te sprawy były koordynowane na poziomie całego bloku. Podział mandatów po 4 czerwca, a ściślej 4 i 18 czerwca 1989 r, bo przecież odbyła się jeszcze druga tura, pokazuje, jakie fundamentalne znaczenie dla systemu politycznego niesie za sobą wybór ordynacji wyborczej. Wydaje mi się, że w ostatnich latach świadomość znaczenia ordynacji wyborczej rośnie w Polsce nie tylko u polityków i badaczy, ale i u wyborców. Nie ma przecież jednej ordynacji proporcjonalnej, ale jest wiele zmiennych mogących decydująco wpłynąć na wyniki wyborów. Taką często omawianą w prasie zmienną jest algorytm podziału mandatów D’Hondta, jeden z wielu, w rzeczywistości zaproponowany najpierw przez Thomasa Jeffersona.

– W swojej książce konsekwentnie opowiada się Pan za ordynacją większościową. A przecież ona już obowiązuje do Senatu, a jednak chyba nie ma wielkiej różnicy pomiędzy poziomem i skutecznością tej izby refleksji i Sejmu?

– Senat, aż do tych ostatnich wyborów w 2019 r, w których następnie uformowała się tam większość odmienna niż w Sejmie, uchodził za mniej ważny. Ordynacja większościowa w Sejmie zmieniłaby zarówno kształt systemu partyjnego jak i zachowania polityków. Polscy politycy są niepewni siebie, czasem służalczy, co wynika z braku bezpośredniej więzi z wyborcami i pełnej zależności od selekcyonerów partyjnych, wyznaczających kolejność na listach. Polska Konstytucja jest pełna błędów i niejasności. W dość wieloznacznym ustępie zakłada wybory proporcjonalne, więc z konieczności realnym początkiem zmian musiałoby się zapewne stać wprowadzenie jakiejś formy ordynacji mieszanej. Jest takich systemów wiele, ale warto pamiętać, że popularny w Polsce system niemiecki jest obciążony licznymi problemami. Pojawiają się tam tzw. mandaty nadwyżkowe, które zwiększają liczbę posłów w Bundestagu. Po wyborach 2021 roku takich dodatkowych mandatów było prawie 20%. Moi znajomi Niemcy żartują, że jak tak dalej pójdzie, to Bundestag będzie zmuszony na stadionie obradować... Pracuję teraz razem z Jarosławem Flisem i Jeremiaszem Salamonem nad raportem analizującym zalety i wady systemów mieszanych.

– A jakie są wady i zalety ordynacji większościowych?

– Wiadomo, że diabeł tkwi w szczegółach. Na pewno wybór konkretnego człowieka, bez list partyjnych, zwiększa motywację do głosowania i upraszcza sam akt głosowania. Wzmacnia też poczucie odpowiedzialności posłów. Podobnie jak zmniejszenie liczebności parlamentu, które też wydaje się potrzebne. Potencjalnych zalet i problemów ordynacji większościowej, które opisuję szczegółowo w książce, jest znacznie więcej. Na przykład amerykańska wersja JOW-ów ma sporo problemów. Do najważniejszych należy manipulacja kształtem okręgów wyborczych poprzez „gerrymandering”, nazwa pochodząca od nazwiska pierwszego manipulatora i kształtu okręgu przypominającego salamandrę, który zaprojektował. Inni Anglosasi potrafili sobie z tym jednak łatwo poradzić po prostu odbierając politykom uprawnienia do zmian kształtu okręgów wyborczych i cedując je na bardziej niezależne ciała. Po prostu, politycy zawsze będą manipulować tym, na co mają wpływ.

– Po zmianie ustrojowej nie poszedł Pan do czynnej polityki. Wybrał pan naukę. Dlaczego?

– Zdecydowała o tym moja pasja do rozwiązywania „ważnych łamigłówek”, znajdowania odpowiedzi na ważne pytania, a przecież najciekawsze łamigłówki oferuje właśnie nauka. W 1990 r. wygrałem konkurs na stypendium i pojechałem wziąć udział w szkole letniej na amerykańskim Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor. Spędziłem tam dwa miesiące. Tam mieści się najważniejsza letnia szkoła metodologii nauk społecznych na świecie. Wcześniej w kraju po upadku komunizmu założyłem dwie firmy, teraz powiedzielibyśmy start-upy, które zarabiały kilkadziesiąt razy tyle, ile wynosiła średnia krajowa. Wydawało mi się, że można łączyć biznes z pracą naukową. Po Ann Arbor uznałem to za niebezpieczną iluzję, której zresztą uległa większość moich znajomych. Wielu zrobiło świetne kariery, ale tylko w biznesie. Nauka wymaga pełnego poświęcenia. W Ann Arbor zaprzyjaźniłem się z dwoma doktorantami młodszymi ode mnie, ale pod pewnymi względami bardziej zaawansowanymi naukowo, którzy poświęcili się w pełni studiom. Rozmowy z nimi były ważnym doświadczeniem. Organizacja zajęć, podejście do ich prowadzenia, a także wsparcie późniejszej pracy naukowej było tam nieporównanie lepsze niż w Polsce. Mimo, że w Polsce znałem wielu wybitnych naukowców uznałem, że jedynie dalsze kształcenie w Stanach Zjednoczonych pozwoli mi na prawdziwy rozwój intelektualny. Zaaplikowałem więc na studia doktoranckie do Stanów, dostałem stypendium na Uniwersytecie Maryland w College Park i wyjechałem zamieniając dostatanie życie młodego przedsiębiorcy w Warszawie na klepanie biedy na studiach doktoranckich pod Waszyngtonem. A po doktoracie dostałem ofertę na jednym z najlepszych uniwersytetów amerykańskich i zacząłem się wspinać po szczeblach kariery profesorskiej. Duża część mojej pracy naukowej poświęcona jest polityce i historii politycznej Polski. Opublikowałem w kraju kilkadziesiąt artykułów i cztery książki, współredaguję pismo „Decyzje”, uczę Amerykanów o Polsce, edukuję moich kolegów często nierozumiejących meandrow polskiej polityki, mam też doktorantów Polaków, którzy radzą sobie świetnie. Nie czuję się żadną „Polonią”. Jestem Polakiem pracującym obecnie w Stanach Zjednoczonych.

ROZMOWA Z MARKIEM MIKOŁAJEM KAMIŃSKIM, POLITOLOGIEM...

Polskie wersje książek omawianych w tekście autorstwa Marka M. Kamińskiego:

1. 2006. *Gry więzienne: Tragikomiczny świat polskiego więzienia*. Oficyna Naukowa.
2. 2016. *Ordynacje większościowe i JOW-y. Kompendium reformatora ordynacji wyborczej*. Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR.
3. Wspólnie z Ernestem Szumem: 2019. *Janosik Podlaski. Józefa Koryckiego prywatna wojna z komunizmem*. Oficyna Naukowa.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

PIERWSZE DZIESIĘĆ LAT WYSZŁO NAM DOSKONAŁE

ROZMOWA Z ANDRZEJEM MACHALSKIM, DZIAŁACZEM OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ, SZEFEM AKCJI GOSPODARCZEJ, SZEFEM KAMPANII KOMITETU OBYWATELSKIEGO SOLIDARNOŚĆ PRZED WYBORAMI 4 CZERWCA 1989 R.

– Sporo legend się słyszy, dotyczących historii najnowszej. Jak z nich wy-preparować prawdę o epoce, jak widzi rzecz wykonawca najważniejszej z pol-skich kampanii, tej przed wyborami czerwcowymi '89?

– Opisana i opowiedziana, a także ta w sercach noszona historia ostatniego półwiecza mocno odbiega od rzeczywistości. Nie zmienia to faktu, że warto od-twarzać tę ostatnią. Ludzie, biorący udział w wydarzeniach nawet najwyższej wagi, czasem nie do końca wiedzieli, co trzeba zmienić. Aktywnie jednak uczestniczy-li w przekształceniach ustrojowych. Polacy, również zaangażowani w opozycję, a przecież od 1980 r. był to już ruch masowy, nie dysponowali wiedzą, jak ma wyglądać przyszłe państwo, ale chcieli trafić do świata normalnego. Pod koniec lat 80 rzeczywistość polityczna, ta opozycyjna, formowana była przez ludzi pełnych dobrej woli, ale pozbawionych informacji, jak wygląda świat współczesny poza strefą ustroju socjalistycznego. Nie wiedzieli, co konkretnie trzeba zrobić, ale mieli doskonałe motywacje, oparte na przekonaniu, że działają po to, żeby ludziom było dobrze. A tu trzeba było formować państwo, dokonać jego rekonstrukcji.

WYSZEDŁEM Z WIĘZIENIA I ORGANIZOWAŁEM DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZĄ

– Jak na tym tle postrzega Pan ówczesny stan wiedzy własnego środowi-ska z lat 80?

– W nielicznym wtedy towarzystwie, wraz z Andrzejem Sadowskim oraz innymi przyjaciółmi i współpracownikami, wiedzieliśmy, jak bardzo brakuje ludzi, którzy są przygotowani do przyszłej pracy państwowej czy dysponują wiedzą, jak to odrodzone państwo wyglądać powinno. Wtedy już byliśmy gotowi działać na tę rzecz, aby ludzi, którym ta wizja okazuje się nieobca, było jak najwięcej. Zależało nam na przygotowaniu grupy, zdolnej odpowiedzieć na pytania, jakie postawi nowa rzeczywistość. W kilka osób więc powtarzaliśmy, że najważniejsze okaże się stworzenie miejsca, gdzie skupią się tacy ludzie.

– **I z tej potrzeby powstało Towarzystwo Gospodarcze?**

– Idea Towarzystw Gospodarczych i Przemysłowych zakładała, że ich członkowie nie mają niczym rządzić. Chodziło o to, żeby towarzystwa skupiły wtedy, w drugiej połowie lat 80. ludzi mających coś do powiedzenia w sprawach dla Polski najważniejszych. Towarzystwo Gospodarcze powstawało niemal równocześnie w kilku miejscach. W Warszawie, m.in. w pięć osób spotkaliśmy się w tej sprawie w kawiarni przy Grójeckiej. Bardzo szybko doszło do połączenia inicjatyw, w których brali udział przede wszystkim ludzie przygotowani do myślenia o sprawach gospodarczych. Po tym, jak wyszedłem z więzienia, udało mi się zorganizować działalność gospodarczą. Gdy się rozwinęła, dała szansę wielu kolegom z opozycji, żeby nie czekali w kolejkach po pomoc pod kościołem, jeśli w międzyczasie zostali wyrzuceni z pracy, tylko mogli normalnie zarobić. Ale to była jedna z motywacji. Zależało mi na wytworzeniu grupy ludzi, którzy rozumieją, czym jest kapitał i wolny rynek. Ciągnęliśmy tę ideę, a tam w kawiarni na Grójeckiej róg Wawelskiej dalej się spotykaliśmy.

– **Skąd Pan wiedział, po ludzku spytajmy, że ta idea chwyci?**

– Żadnego oporu przed nią nie było. W więzieniu w Hrubieszowie wszyscy w lot chwyтали szczegóły moich opowieści o wolnym rynku i chętnie ich słuchali. Na wolności jak się okazało, działało się podobnie. Stale poszerzałem krąg znajomych. Idea została jasno sformułowana. Próbowałem znaleźć kogoś, kto nie siedział. Padło więc na Aleksandra Paszyńskiego i Rafała Krawczyka, których zasugerował mi Andrzej Sadowski, spotkając się z nimi wcześniej i rozmawiając o założeniu niezależnego towarzystwa gospodarczego. W tym czasie podobne idee powstawały w środowiskach Mirosława Dziel-

skiego i Janusza Korwin-Mikkego, który już w 1981 roku współorganizował Narodową Federację na rzecz Wolnej Gospodarki. Rozmawialiśmy i wiele koncepcji się wykrystalizowało w naszych dyskusjach. A. Paszyński miał już spółdzielnię „Murator”, która z sukcesem działała na rynku permanentnego niedoboru jakim było budownictwo w PRLu, a która stała się miejscem zebrań zarządu Towarzystwa. A. Sadowski zaprosił wtedy Aleksandra Paszyńskiego i mnie na Uniwersytet Warszawski i zorganizował wykład, po którym długo rozmawialiśmy. Zaczęliśmy starania o legalizację, zwłaszcza po walnym zgromadzeniu Towarzystwa w styczniu 1989 roku, na które przybyły delegacje z całej Polski do dużej auli SGGW, dzięki odwadze ówczesnej rektor prof. Marii Radomskiej. Władza uznała, że niezależny ruch gospodarczy jest siłą antysocjalistyczną, ale realia już się w błyskawicznym tempie zmieniały i dostaliśmy odpowiedź.

– Jak brzmiała? Jak rozumiemy, nie była jednoznacznie negatywna?

– Dowiedzieliśmy się, że mogą być towarzystwa – ale nie ogólnopolskie, lecz lokalne.

POWOŁALIŚMY AKCJĘ GOSPODARCZĄ JAKO SPÓŁKĘ Z OGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

– Jak Pan na to stanowisko zareagował?

– Setki godzin spędziłem w samochodzie. Jeździłem do niewielkiego Gostynina, a nie tylko do znanego z działalności opozycyjnej Gdańska czy Krakowa. Również do Mielca, który kojarzył się bardziej z wielkim przemysłem państwowym. W Częstochowie też niebawem powstało Towarzystwo Gospodarcze (dzięki kontaktom Andrzeja Sadowskiego z Tomaszem Mysłkiem, działaczem tamtejszej opozycji). W Kielcach powstało Staropolskie Towarzystwo Przemysłowe. W Warszawie Towarzystwo Gospodarcze w Warszawie jako stowarzyszenie ogólnopolskie dostawało kolejne odmowy rejestracji, a rząd powołał własne pod nazwą TWIGER – Towarzystwa Wspierania Inicjatyw Gospodarczych. Dzięki zaprzyjaźnionym z nami dziennikarzom zagranicznym Jerzy Urban wielokrotnie tłumaczył się na konferencjach prasowych z braku rejestracji Towarzystwa, które wreszcie po bojach zalegalizowano jako ogólnopolską reprezentację przedsiębiorców.

– **Jaki format prawny ta idea zyskała?**

– Powołaliśmy Akcję Gospodarczą jako spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Zawarliśmy akt notarialny przy ulicy Narbutta w siedzibie spółki „Wola” która była powołana przez moją spółdzielnię. Zależało nam, żeby taka reprezentacja powstała, choćby jako grupa dyskusyjna. To sprawy dzisiaj niesłusznie zapomniane, wracam tutaj do pierwszego Panów pytania. W istocie bowiem Towarzystwa Gospodarcze i Przemysłowe stały się ważnym elementem zmiany, zwłaszcza w sferze idei i wprost propozycji tejsze zmiany na system kapitalistyczny. Nawet małe grupy, które w nich się skupiały, okazały się nośnikiem nowych w Polsce idei. Pracom w Krakowie niezmiernie istotny ton nadał Mirosław Dzielski, lider „13 Trzynastki-Pisma Chrześcijańsko-Liberalnego” i Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego. Gdańsk zachowywał wobec nas większy dystans i przystąpił do integracji dopiero na jesieni 1989 roku na zjeździe towarzystw gospodarczych i przemysłowych, które miało miejsce w tymże mieście. Tam przebijął się jako lider intelektualny Janusz Lewandowski. Środowisko gdańskie miało jeden niezwykle cenny atut...

– **Jaki?**

– ...Lecha Wałęsę pod ręką. Dochodzimy już do 1989 roku. I wtedy dzieje się tak, że odbieram telefon od Jacka Kuronia. „Przyjdź rano do mnie”.

– **Co Panu Kuroń powiedział w trakcie spotkania bezpośredniego?**

– „Będą wybory”. A ja w odpowiedzi: „To fantastycznie”. I on dalej: „Wszystko przegramy. Przecież my nie umiemy tego robić. Czapkami nas nakryją”.

– **Jak Pan zareagował na jego pesymizm?**

– Powiedziałem, że nie będzie 30 proc., ani nawet 50 proc. w wyborach dla nas, tylko sto.

– **Co Kuroń na to?**

– „Chcesz, to zrób te wybory”, tak mi wtedy odpowiedział.

– **Ale Pan był już wtedy przecież zwolennikiem konkretnego, z doświadczeniem w działalności gospodarczej?**

– Dlatego zapytałem: „Zostaję szefem, i co? Trzeba zapłacić za papier w drukarniach”. Znaleźliśmy wspólnie rozwiązanie. A ściślej to oczywiście ja Kuroniowi je podpowiedziałem: „Wy jako Komitet Obywatelski zawiązujecie umowę z moją Spółdzielnią Pracy Unicum”. On na to: „Podpiszemy, zobowią-

zujemy się – i rób”. W dwadzieścia minut to wszystko załatwiłem. Załatwiłem też lokal na ulicy Fredry. Trzy księgowo tam ulokowałem. I sekretarkę.

– **Dlaczego Kuroń do Pana zadzwonił?**

– Bo wiedział, że przed laty założyłem spółdzielnię Unicum. Uznawał mnie za praktyka. Wiedział, że u mnie pracowało 150 osób z podziemia i opozycji. I to rozstrzygnęło. Zapamiętałem dużo późniejszą z nim rozmowę, kiedy został już ministrem pracy.

– **Jak przebiegała?**

– Spytał mnie mocno strapiony: „Andrzej, czy to naprawdę tak musi być”, na co oczywiście usłyszał moje: „Jak?”. I wtedy on: „że ten kapitalizm musimy zrobić”. Odpowiedziałem: „tak, żeby było ludziom w przyszłości dobrze”. Sprawiał wrażenie mocno zmartwionego.

WIEDZIAŁEM, ŻE JAK LUDZIE DOSTANĄ SZANSE, TO NA NAS ZA- GŁOSUJĄ

– Jeden z nas, Pana rozmówców, prowadził wtedy przed 4 czerwca 1989 r. kampanię J. Kuronia w walce o mandat poselski z Żoliborza. I się z nim założył, że Solidarność weźmie więcej, niż 70 proc mandatów do Senatu. O butelkę whisky. Wygrał. Skąd brał się Pana optymizm, że będzie 100 proc tego, co do zdobycia?

– Słaby mam słuch muzyczny, ale ten społeczny – bardzo dobry. Mój optymizm, o który Panowie pytacie, wziął się z rozmów z ludźmi. Zrodziły go ich nastroje. Rozmawiałem wtedy z setkami ludzi. Nie z działaczami ani kandydatami. Tylko ze zwykłymi obywatelami. Wiedziałem, że jak dostaną szansę, to na nas zagłosują. Byle tylko ludzie wiedzieli, kto jest nasz.

– **Co sprawiło, że się tego dowiedzieli?**

– Stąd pomysł zdjęcia z Wałęsą. Za jego sprawą tak się stało. A wybory były pełne różnych nowych wrażeń. Raz wpada Marek Edelman. „Moje pieniądze, gdzie są?” – pyta. I przypomina, że Łódź, gdzie robi kampanię, to spore miasto. A ja mu na to: „I właśnie dlatego nie dostaniecie ani złotówki”. Edelman się oczywiście dziwi. A ja tłumaczę: „Bo pan ma u siebie setki studentów. Puści ich pan na ulice z puszkami. I już”. Zresztą w Warszawie też mówiłem: „Wasze pieniądze będą, jak sobie uzbieracie”. Kiedyś siedzę, a tu wchodzi Broni-

sław Geremek. Właśnie przyjechał z Paryża. „Mam 100 tys. dolarów” – mówi. Bardzo dobrze. Zawołałem księgową. Ona rozkłada pieniądze, a my gadamy o historii średniowiecznej. Mówię, że zaraz wypiszę kwity potwierdzające odbiór pieniędzy. A Geremek pyta: „Chce pan, żeby mnie zamknęli?”. Tak się to wszystko wtedy odbywało. Te pieniądze poszły na Łomżę i Radomsko, kampanię tam, gdzie nie dałoby się zbierać środków na ulicy, bo ani nie było komu, ani ludzie ich tam nie mieli. Andrzej Sadowski dostał od Marka Matraszka 1,5 tys. funtów, które zostały użyte na kampanię Jerzego Dietla, Cezarego Józefiaka i Andrzeja Zawisłaka.

– Jacek Kuroń pojechał wtedy do Ameryki po odbiór nagrody dla obrońców praw człowieka. Niestety już na miejscu okazało się, że jest to nagroda honorowa. Nadzieje na zasilenie kampanii okazały się płonne. Jeśli jakiś zysk z tego był, to w postaci pięknie wygrawerowanej tacy, którą Kuroń dostał wtedy wraz z dyplomem. I potem na Żoliborzu podawał na niej gościom herbatę.

– Zdarzało się wiele barwnych sytuacji. Uczestnicy spotkań w „Niespodziance” opowiadają to inaczej, jakie to strategie tam się przy herbacie rodziły, ale to były wybory ręcznie robione...

– ...analogowo, można powiedzieć?

– Podnoszę kiedyś słuchawkę telefonu, a tu dzwoni dziewczyna z Piotrkowa. Z jakim problemem? „Jesteśmy już gotowi, tylko nie mamy kandydata. Wtedy akurat u mnie drzwi się otwierają. Wchodzi Andrzej Zawisłak. A ja mówię do słuchawki: „to mam już propozycję. Profesor zarządzania, mądry człowiek”. I dopiero potem do niego: „Jedziesz do Piotrkowa”. I rzeczywiście kandydatem stamtąd został, mandat zdobył... W kasie na Fredry było zero złotych na początek. Kuroń liczył, że znany prezes spółdzielni coś załatwi.

– Jak układały się relacje z Wałęsą?

– Lech Wałęsa stał się identyfikacją całej tej swojej drużyny w oczach społeczeństwa. Gdy kandydaci kolejno pstrykali sobie z nim zdjęcia, po godzinie przyszedł do mnie i powiedział: zrobmy przerwę. Już go ręka bolała od kolejnych coraz to nowych uścisków dłoni. Myślał, że aż mu pęknie, tak ją ustawieni w kolejce pretendenci ściskali. Następnym, co podchodzili, poradziłem już, żeby byli bardziej delikatni. Wszystko odbywało się jednak chałupniczo. Dzwoni ksiądz z Konina, że nie mają kandydata. I znowu trzeba przymierzać

i szukać. W Ostrołęce z kolei Andrzej Sadowski, który reprezentował w tym województwie Komitet Wyborczy „Solidarności” zaproponował byłego dyrektora Ursusa Henryka Wilka, członka Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie i Akcji Gospodarczej. Zależało nam na obecności w parlamencie ludzi, rozumiejących gospodarkę i tak w parlamencie znalazła się ponad połowa składu Akcji Gospodarczej w tym Andrzej Zawisłak, Cezary Józefiak i Jerzy Dietl z Łodzi, Aleksander Paszyński, Michał Wojtczak z Poznania i Gabriel Janowski.

– **A Pan jak został kandydatem?**

– Ubiegania się o mandat z Częstochowy w ogóle nie brałem pod uwagę. Aż tu nagle dzwoni Juliusz Braun z Kielc, że w Częstochowie kandydata nie mają. Tam szkoły kończyłem, miałem więc związek z regionem. Pojechałem tam raz w kampanii, wystarczyło, żeby zostać senatorem. Chyba oczywiste, że skupiałem się na prowadzeniu kampanii ogólnopolskiej, a nie własnej. Realnie kampania sprowadzała się do tego, żeby zawiesić maksymalnie dużo plakatów. I rozprowadzać ulotki. Wciąż przy tym powtarzałem, że będziemy mieli 100 procent tego, co możliwe do zdobycia. Korespondenci zagraniczni próbowali mnie podchodzić: wiemy, że pan musi tak mówić, bo prowadzi kampanię, ale jak będzie w rzeczywistości? Jednak naprawdę w te 100 procent wierzyłem i miałem ku temu podstawy. Aż wreszcie 7 lipca 1989 r. odbyło się w Belwederze spotkanie przedstawicieli Akcji Gospodarczej z Wojciechem Jaruzelskim i Władysławem Baką, w którym uczestniczył Aleksander Paszyński, Michał Wojtczak, Andrzej Zawisłak, Bolesław Banaszekiewicz, Gabriel Janowski, Andrzej Sadowski i ja. Po spotkaniu media pozostające ciągle w rękach rządu opublikowały wspólną deklarację z propozycjami zmian „Trzeba zmienić system”.

– **100 procent się potwierdziło... Od razu przystał Pan na to, że obóz Solidarności przejmie odpowiedzialność i władzę?**

– Uważałem, że przejmujemy władzę. Ale tylko parę osób rozumiało, że komuniści ją oddadzą do końca tylko wówczas, gdy zyskają zupełną pewność, że nie będą wisieć. Jedyłą tego gwarancją pozostawała prezydentura dla Wojciecha Jaruzelskiego. Rozumiał to wtedy Bronisław Geremek, Andrzej Stelmachowski, ja też. W parę dni po wyborze Jaruzelskiego na prezydenta on zaprosił mnie do Belwederu. Rozmawialiśmy przez godzinę i gdy już mnie do drzwi odpro-

wadzał, powiedział, że dziękuje mi za mój głos. Szczerze odpowiedziałem, że taki głos, umożliwiający jego wybór oddałem nie ze względu na jego osobiste walory, tylko z przekonania, że tak trzeba. Uważałem, że to konieczne. Zresztą Amerykanie poprzez swoich dyplomatów prowadzili regularny lobbing, byle wybór Jaruzelskiego ułatwić. Wiedzieliśmy też, że dokonuje się realna próba zmiany ustrojowej i brak oporu na nią, możliwy będzie tylko przy braku bardzo aktywnego oporu ludzi, którzy przez ostatnie wiele lat rządili Polską.

– **Jak na tle całości wyodrębniali się ludzie czujący gospodarkę, o których Pan wspomniał?**

– Cały ten wielki ruch trochę się skupiał na wypijaniu ogromnej liczby kaw w „Niespodziance”, tam nawet pieniędzy nie zbierano.

– **Aż pojawił się Leszek Balcerowicz?**

– Nie znałem go wtedy. Jego asystent Jurek Koźmiński, spotkał się od razu ze mną, prosząc o wsparcie dla L. Balcerowicza. Kandydatura tego ostatniego wyłoniła się trochę z przypadku. Inni odmawiali. Tadeuszowi Mazowieckiemu zaproponował go Waldemar Kuczyński, zastępca przyszłego premiera w „Tygodniku Solidarność”. Leszek Balcerowicz miał tę energię, która wtedy była potrzebna. Zaangażowałem się we wspieranie go. Sam się trochę wahał, za dwa dni miał przecież wyjechać za granicę, w końcu z tego zrezygnował. W moim środowisku wcale nie był znany. Zorganizowałem mu spotkanie z Towarzystwami Gospodarczymi. Wypadł doskonale. W ogóle szło mu dobrze. Czasem przychodziło pomagać mu w nieco niekonwencjonalny sposób. Dzwoni kiedyś A. Zawisłak, że mają problem z kwestią czasu pracy, w klubie silny opór. Poradziłem, żeby im powiedział, że jak tego nie załatwią, to Rosjanie nie wyjdą z Polski. – Co ty, idiotę ze mnie robisz? – zachnął się. – Nie, to ty z nich zrobisz idiotów, żeby za tym zagłosowali – poradziłem. Wzbraniał się jeszcze trochę, w końcu na to przystał, aż się udało.

– **A tak już poważniej, jak Pan Balcerowicza oceniał?**

– Uważałem, że robi to, co powinien, fundamentalne rzeczy. Wszystko zmieniało się w oczach. Z Unicum już się powoli wycofałem. Miałem jeszcze swój mimowolny udział w promocji Stanisława Tymiańskiego. Przyszedł do mnie Wojtek Sobociński prowadzący należącą do niego oficynę wydawniczą. Pyta, co ma robić. Bo zgłosił się do niego facet, książkę chce wydać, przyjechał

z Kanady, ale to może być wariat. Spytałem więc ja, czy on płaci. Potwierdził. Wtedy ja na to: to wydawaj. Okazało się, że chodzi o „Święte psy” autorstwa S. Tymińskiego, który później w wyborach prezydenckich w 1990 roku pokonał w pierwszej turze Mazowieckiego i dopiero w drugiej przegrał z L. Wałęsą.

– **Czy próbował Pan mediować między nimi, oczywiście nie Tymińskiego mamy na myśli, jako szef zwycięskiej kampanii z roku 1989?**

– Opowiadałem się za Wałęsą i poszedłem do T. Mazowieckiego prosić, żeby się z nim nie zderzał w tym wyścigu. Ale Mazowiecki poczuł się już naznaczony przez Boga, żeby zostać prezydentem. Co do Wałęsy, za jego oczywisty walor uznawałem pieczętkę Solidarności, wciąż pozostawał uosobieniem ruchu. Wałęsa opowiadał się już wtedy za tworzeniem partii: wielu, nie jednej. Nie monolitu. Wśród nich znalazła się partia liberalna. Zakładała ją w znacznej mierze moja sekretarka. To był mój ostatni zryw w polityce. Deklaracja powstania partii liberalnej została podpisana w czasie zjazdu towarzystw gospodarczych i przemysłowych w Gdańsku jesienią 1989 roku, ale partia zmateriałizowała się dopiero w Warszawie na ulicy Długiej w siedzibie Archiwum Akt Nowych. Jednak polityczną stolicą Polski pozostawał Gdańsk, bo decydowała bliskość Wałęsy. Tam działał Jacek Merkel, stąd w znacznej mierze brała się jego wyjątkowa pozycja. Donald Tusk i Janusz Lewandowski swego czasu jako ostatni, już ręcznie do listy pod deklaracją dopisani, weszli do Akcji Gospodarczej, powołanej 3 grudnia 1988 r. Wtedy zrobił się nagle problem, bo D. Tusk powinien przyjechać, ale nie miał pieniędzy na bilet. A ja na to do sekretarki mówię: „to wystaw mu delegację ze spółdzielni Unicum. Tusk najbardziej mi się wtedy podobał, miły chłopak i zaproponowałem mu, żeby został szefem. Odpowiedział, że najpierw porozumie się z kolegami, którzy powiedzieli mu, że jest za młody. I tak szefem został Janusz Lewandowski. Nie oponowałem. Jednego wtedy byłem już pewien: partie muszą być.

– **Jarosław Kaczyński wtedy oceniał, że to Pan był głównym macherem po stronie liberalnej? Czy był Pan gotów rozmawiać o formie federacji KLD z Porozumieniem Centrum?**

– Nie wszyscy się wtedy do tego palili, co oczywiste. Wałęsa też tego nie chciał. A to za sprawą jego kampanii Jacek Merkel i inni koledzy z Gdańska poczuli się mocni jak dotąd.

KUPIŁEM SOBIE KONIA. I JEŹDZIŁEM

– Wspomniał Pan o stopniowym pożegnaniu z polityką. Spytamy więc o bilans?

– Przez pierwsze dziesięć lat wszystko szło doskonale. Okazało się, że to, co się wtedy pojawia, ma sens. Polska zrobiła wielki krok do przodu. A ja kupiłem sobie konia. I jeździłem. Przejeździłem z nim 40000 km.

– Czy Leszek Balcerowicz Pana nie rozczarował? Nie tylko nie wywodził się z Pana środowiska, ale miał w życiorysie pracę w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu? Więcej niż epizod?

– Nie było rozczarowania. Wielu ludzi miało wtedy poplątaną przeszłość, ale dla budowy nowej Polski okazali się zasłużeni. Wiedziałem, że Balcerowicz myśli prawidłowo i proponuje, co właściwe: liberalizm, wolność gospodarczą, którą wcześniej wprowadzono ustawą Wilczka. Dynamikę miał ogromną i J. Koźmińskiego przy sobie. Ten ostatni odgrywał ogromną rolę jako jego alter ego. A przy tym dobrze mówił. Wiedziałem, że jak mówi, to tak będzie. Mazowiecki miał wiele zalet, ale ludzi nie znał. Balcerowicza mu podpowiedziano. Nie ma rozwiązań żelaznych. U Jarosława Kaczyńskiego dostrzegałem wtedy kolosalną zachłanność na władzę. Spytałem kiedyś go, czy mógłbym pojechać z nim do Modlina. Tam była możliwość przekształcenia lotniska wojskowego w cywilne. Pomysły były jednak takie, że powiedziałem: – To wygląda, jakbyśmy kradli to wszystko. A on na to: – Komuniści kradli przez kilkadziesiąt lat...

To budziło mój sprzeciw. Estetycznie mnie raziło. Podobnie jak agresywne zachowania J. Kaczyńskiego teraz, które spychają Polskę z prawidłowej drogi rozwoju.

– **Wtedy było inaczej?**

– Mnie nie interesowały pieniądze. Raczej działanie. Gdy Jan Krzysztof Bielecki został premierem, spytał mnie, czy mógłbym objąć KGHM. Pojechałem tam, rozmawiałem z robotnikami. Zarabiałem jako szef 250 zł. miesięcznie, w przeliczeniu na walutę po denominacji. To ja sobie taką pensję wyznaczyłem, uznałem, że wystarczy. Teraz Adam Glapiński dziewczynom w Narodowym Banku Polskim wypłacał po kilkadziesiąt tysięcy. A ja wspierałem różne projekty infrastrukturalne, Jana Kulczyka, żeby budował autostrady. Jeździłem do

Poznania. KGHM-em bardzo interesował się z ramienia Porozumienia Centrum Maciej Zalewski.

– **Wracamy więc do oceny tego pionierskiego okresu?**

– Ważne, że nowa rzeczywistość kształtowała się w procesach świadomie skonstruowanych. To był fascynujący okres. Sprawił, że przyjemnie się żyje w naszym kraju. Pozostają przekonany, że generalnie... już tej Polski nie zmarujemy. Mam nadzieję. To zbawienne, że Polska znalazła się w NATO i Unii Europejskiej. Kto sądzi inaczej, nie rozumie, co dzieje się w polityce.

REGULARNIE CO ROK TRACIŁEM PRACĘ

– **Jedno pozostawało niezmiennie: zawsze był Pan wrogiem komunizmu i PRL?**

– Wiele czasu spędziłem na myśleniu. Wcześniej zrozumiałem bezsens wszystkiego, co wiązało się z tamtym ustrojem. Przez dziesięć lat nie dostawałem paszportu. Pojechałem bowiem na obóz studencki do Francji, w Paryżu odwiedziłem polską księgarnię, trochę egzemplarzy przywiozłem. Potem rzecz się wydała a kolega z Wrocławia powiedział, od kogo swój egzemplarz „Kultury” dostał. To był rok 1964. Miałem za to proces. Przeciągał się on jednak, bo żaden sąd nie chciał wydać wyroku. Za to później, kiedy już skończyłem studia, regularnie co rok traciłem pracę. Czy w grę wchodziła Politechnika, czy Akademia Medyczna. Wreszcie, w 1968 r. kiedy pod gmachem Politechniki działy się straszne rzeczy, milicja studentów pałowała, poszedłem do szefa z pytaniem jak będziemy popierać studentów. Odpowiedział: „cicho, bo nas wszystkich wyrzucą”. Zawieszono prowadzenie przeze mnie zajęć.

– **Jak Pan sobie poradził?**

– Sprzedawałem warzywa i owoce przed sądami na Lesznie. Wymyśliłem, że można podłączyć butlę gazową i handlować dłużej, aż do dziesiątej wieczorem. Znałem też języki obce, więc cudzoziemcy kupowali u mnie. W miesiąc zarabiałem tyle, co przez rok na uczelni. Później spotkałem Stefana Kurowskiego i Janusza Zabłockiego. Zabłocki lider części oficjalnego, akceptowanego przez władze PRL ruchu katolickiego, który stworzył się po zmianach w Polsce w 1956 roku. Był szefem i liderem części tego ruchu zorganizowanej w instytucji Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych – ODiSS.

Przystąpiłem do nich. Zabrali mnie kiedyś na spotkanie z prymasem Stefanem Wyszyńskim. Zobaczyłem, że traktuje on Zabłockiego jak syna. Dużo wtedy mówiłem. Po wyjściu Zabłocki mnie skarcił, że ksiądz prymas to święty człowiek, ale nie należy się w jego obecności mądrzyć. Wtedy Janusz Zabłocki był w konflikcie z Tadeuszem Mazowieckim, mieli różne wizje formowania społecznego i intelektualnego katolicyzmu w Polsce. Spór wydawał się nierozwiązywalny a obydwaj mieli swoje racje i uczciwie dążyli do umocnienia Kościoła i religii w Polsce. Nie chciałem uczestniczyć nawet i w tym konflikcie i zrezygnowałem z działalności w Więzi i pracy w ODiSS. Koleżanka pracowała w telewizji, była tam dyrektorką i zaproponowała, żebym zrobił dla nich teleturniej na Dzień Kobiet. W tydzień się z tego wywiązałem. Potknąłem się jednak, bo bohaterem odcinka mojej kolejnej produkcji został szermierz, złoty medalista olimpijski Jerzy Pawłowski. Wtedy akurat wyszła na jaw jego współpraca z CIA. Wyleciałem z teleturniejów, jednak zostałem szefem redakcji scenariuszy telewizyjnych. Praca polegała na tym, że czytało się książki, zastanawiając się, co można wykorzystać w różny sposób w telewizji, aż zaczął się stan wojenny w 1981 roku.

– Jak to się stało, że związał się Pan wówczas z MRK”S” Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności” w Warszawie uchodził za najtwardszą z podziemnych struktur?

– Zdecydował o tym najprostszy mechanizm. W lutym trzech chłopaków przyszło do mnie. Zamierali wydawać pismo, ale jeszcze nie wiedzieli, jak to zrobić. Moja żona przyjaźniła się z Zofią Romaszewską. No i Zbyszek zasugerował, żebyśmy współpracowali. Zaczął się ukazywać „Głos Wolnego Hutnika”, pierwszy numer sam w trzech czwartych napisałem. Potem pismo przybrało kształt „CDN Głos Wolnego Robotnika”. Ideologia nie była nam potrzebna, wystarczało odbiorcom potwierdzenie, że komunizm jest złem. Z czasem dołączyła struktura z zakładów Nowotki, mieli wejścia na maszyny do państwowych drukarni. Huta, Ursus, FSO – zasięg MRK”S” opierał się na wielkich zakładach pracy. Wokół nich najłatwiej przychodziło coś zorganizować. Po jakimś czasie okazało się jednak, że w naszym kręgu pojawił się agent Sławomir Miastowski. Podejrzywałem go od momentu spotkania na ulicy Próźnej. Normalnie rozmawialiśmy, a on nagle zwraca się do mnie: „mam coś dla ciebie”. I pistolet wyciąga.

– Jak Pan zareagował?

– Powiedziałem mu wtedy, że szybko biegam, więc w razie czego ucieknę, pistoletu nie potrzebuję. Dowodów na jego współpracę jednak nie mieliśmy. Aż doprowadził do wsypy. Cała wielka akcja służb wymierzona była w MRK'S". Jechałem samochodem ze Zbigniewem Romaszewskim. Przy Krochmalnej widzimy mnóstwo samochodów bezpieki. Mówię więc do Romaszewskiego: „wyskakujesz, a ja jadę dalej”. Widzę, że stają i biegną za nim. Nie miałem złudzeń, jak się to skończy. Sam wyskoczyłem przy Żelaznej. Wpadam na podwórko. I tam starsza pani do mnie mówi: „proszę pana, stąd nie ma wyjścia”. Wspiąłem się jakoś na pierwsze piętro. Podobnie jak jeden ze ścigających mnie – po metalowej siatce. Potrząsnąłem więc tą siatką, aż spadł. Gdy mnie ściągnęli, obawiałem się, że mi za to przyłożą. Ale dowódca akcji na to nie pozwolił. Powieźli do Mostowskich, potem na Rakowiecką. Zmęczony, tam zasnąłem. Aż wreszcie w północy słyszę, jak wchodzi: „ty, zobacz, on śpi”. I wyszli. Potem znowu się pojawili, gdy już nie spałem ale stanowczo odmówiłem rozmowy i wysłano mnie więc niedaleko do więzienia na Rakowieckiej. Do celi wsadzili mnie z podoficerem złapanym na kontaktach z Amerykanami w Wietnamie. Ponieważ niezbyt mnie przekonywała jego wersja, starałem się, żeby jak najwięcej mówił on, a jak najmniej ja. „Taki jestem zmęczony, to niech pan mówi” – tego się trzymałem. Potem moimi kolegami z celi stali się Andrzej Słowik i Leszek Moczulski. Od lekarza dostał Moczulski prawo leżenia na pryczy w dzień, czego innym regulamin zabraniał. Jednak Słowik mu dokuczał. Pytał Moczulskiego, jak to będzie wyglądać, gdy naród powstanie, więzienie rozbije i wodza zastanie, jak się wyleguje... Przesłuchań próbowali codziennie. Kiedyś jedną z przesłuchujących była młoda kobieta. Powiedziała: „wiem, że nic pan nie powie. Ale musimy odbębnić tę godzinę”. Ponieważ jestem absolwentem filozofii, a ona jak się okazuje wtedy ją studiowała, więc rozmawialiśmy o Ludwiku Wittgensteinie. Z poważniejszych spraw, udało mi się spod celi wysłać gryps, że Miastowski to agent. Ostrzegłem tym samym, kogo trzeba. Później dopadli go w ciemnej ulicy, ale przecież był wyszkolony, więc skończyło się tak, że to on ich pobił. Proces MRK'S"-u władza musiała przerwać – a z czasem i cele przewietrzyć – z powodu wizyty Papieża. Przedtem nawet widzeń nie było. gdy wreszcie przyszła żona z czteroletnią córką, zoba-

czyliśmy, że córka się kręci. „Dokąd ty idziesz, Agnieszka?”. „Zobaczyć tego złego człowieka, co mi tatusia wsadził do więzienia”. Jak wyszedłem z amnestii, to się trochę pętałem. I wtedy wpadłem na pomysł tej spółdzielni.

– **Także po to, by zapewnić środki utrzymania pozwalnianym z państwowych instytucji kolegom z opozycji?**

– Logika pozostawała jasna. Przedsiębiorstwo państwowe miało nadmiar jakiś materiałów, których nie potrzebowało. Za to bardzo by się one przydały firmie prywatnej, czy też jak się wtedy mówiło oficjalnie, polonijnej. Jednak państwowe przedsiębiorstwo nie mogło legalnie prywatniarzowi sprzedać tych materiałów ani on ich w majestacie prawa kupić. Spółdzielnia Pracy Unicum występowała więc jako pośrednik. Jako jednostka gospodarki uspołecznionej mogliśmy to robić. Z czasem zabrałem się też za działalność bliską moim przekonaniom, dotyczącą gospodarki i państwa. Z Januszem Korwin-Mikkem chodziliśmy kiedyś razem na matematykę, jesteśmy rówieśnikami. Gdy go spotkałem, mówi, że partię chce założyć. A ja na to: „załóż u mnie”. Później sekretarka mocno się skarżyła, gdy przyszedł: „kogo mi tu przysłałeś. Jakiś wariat”. Zaczęły się spotkania na ulicy Noakowskiego. Niezwykle ważną postacią był Mirosław Dzielski, spotykaliśmy się, ilekroć przyjeżdżał z Krakowa. Często rozmawialiśmy w Pałacu Kultury, w sprzyjającej spotkaniom kawiarni rosyjskiej „Trojka”, było tam dosyć pusto i łatwo było wychwycić śledzących agentów. W naszym kręgu znajdował się już wtedy Andrzej Zawisłak. Na spotkaniach w tej kawiarni bywał też Witold Gadomski. W czasie jednego z takich spotkań we czterech wymyśliliśmy nazwę dla nowej organizacji, która integrowałaby liderów towarzystw gospodarczych i przemysłowych. I tak Mirosław Dzielski i Andrzej Sadowski w czasie jednego z takich spotkań wymyślili „Akcję Gospodarczą”. Warto pamiętać, że z naszego ówczesnego kręgu wywodziło się kilku przyszłych ministrów między innymi: T. Syryjczyk i A. Zawisłak i wiceminister rolnictwa M. Wojtczak. Pierwsza konferencja organizowana przez Akcję Gospodarczą z udziałem przybyłych z zagranicy profesorów Andrzeja Brzeskiego i Bartłomieja Kamińskiego z USA, dr Pawła Dembińskiego z Szwajcarii i dr Wojciecha Kostrzewy z Niemiec odbywała się od 4 do 7 listopada 1989 r. w ministerialnym ośrodku w Konstancinie-Jeziornej, w której brał wtedy m.in. udział wiceminister finansów, przyszły profesor Marek Dąbrowski. Do-

ROZMOWY Z ...

szło wówczas do spotkania z wicepremierem L. Balcerowiczem, któremu przekazaliśmy propozycję koniecznych zmian, a kiedy Bielecki został premierem tempo tych zmian jeszcze przyspieszyło i dopiero rozwój politycznych inicjatyw J. Kaczyńskiego zaczął deformować dobrą drogę, po której Polska kroczyła od 1989 roku.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

WOLNORYNKOWYM ANTYKOMUNISTĄ JEST SIĘ NA CAŁE ŻYCIE

ROZMOWA Z ANDRZEJEM SADOWSKIM, PREZYDENTEM CENTRUM IM. ADAMA SMITHA, DZIAŁACZEM WOLNORYNKOWEJ OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ

– Pana rodzinny Przasnysz pojawia się również we wspomnieniach Tadeusza Witkowskiego. Jak to się stało, że niewielkie miasto stało się ośrodkiem opozycyjnej działalności?

– Podobnie jak w innych miejscach dlatego, że było kilku myślących i nie-
lękających się ludzi, którzy byli aktywni jeszcze przed Sierpniem 1980 i mieli kontakt ze środowiskami akademickimi oraz związki chociażby z Klubem Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Liderami niezależnej opinii i działań byli Tadeusz Witkowski, dziś już zasiedziały profesor w USA i Mariusz Bondarczuk, prawdziwy humanista, któremu policja polityczna uniemożliwiła pracę na uczelni. Obu ich i jeszcze jedną osobę internowano w noc stanu wojennego z terenu przasnyskiego.

– Jakie doświadczenia miały wpływ na Pana tak jednoznaczne wolnorynkowe przekonania jeszcze w czasach opozycji antykomunistycznej?

– Nie tylko wolnorynkowe. Obaj moi dziadkowie byli małymi przedsiębiorcami, a jeden poza tym, że miał sklep kolonialny, był jeszcze tzw. kułakiem zatrzymywanym co jakiś czas przez Urząd Bezpieczeństwa. Moi rodzice pod koniec lat 70 postanowili zostać przedsiębiorcami, pogardliwie przez system zwanymi „prywaciarzami”. W ramach tzw. obserwacji uczestniczącej pozna-
wałem los polskiego przedsiębiorcy, który dziś coraz bardziej przypomina ten znany mi doskonale z czasów peerelowskich. Zaś na początku tychże lat 70 mój wuj ujawnił jak już poważnie zapadł na zdrowiu swoją przeszłość, jako

żołnierz wileńskiej AK. Został zesłany do kopalni za Ural, ale udało mu się stamtąd uciec. Został zatrzymany na granicy i trafił do lokalnego posterunku, w którym byli już pojmani żołnierze NSZ. Oddział Narodowych Sił Zbrojnych odbił wszystkich aresztowanych, w tym i wuję, który zaszył się na Warmii i Mazurach. Od siódmej klasy podstawówki zacząłem bez ojca już sam słuchać Radio Wolna Europa, które nadawało w odcinkach m.in. „Archipelag Gułag” Aleksandra Solżenicyna.

– **RWE była wtedy przecież ostro zagłuszana**

– A w Przasnyszu znajdowała się nawet stacja zagłuszarek. Jednak w niższych pasmach fal krótkich nie zagłuszano RWE i dzięki temu słuchałem RWE, tak jak inni audycji „Tu Jedyńka”. Zanim miałem w ręku pierwszą broszurę wydaną poza cenzurą czy książkę paryskiej „Kultury” słuchałem zakazanych książek w audycji „Na czerwonym indeksie”. Buszując po skali w radio odkryłem kilkanaście rozgłośni zagranicznych nadających w języku polskim, łącznie z „Radiem Tiraną”, której „Kult” poświęcił sarkastyczny utwór w roku 1982 o tym samym tytule.

– **Tak kształtowała się świadomość przyszłego młodego opozycjonisty?**

– Młodego człowieka, który zaczytywał się w książkach historycznych, który z osobistych relacji, zwłaszcza dziadków dowiadywał się, że nie ma w nich całej prawdy. Jednak pierwszym większym zaskoczeniem były przedłużone ferie zimowe, po których zniknęły z klas portrety Władysława Gomułki i Józefa Cyrankiewicza. W domowych rozmowach mówiło się, że znów władza strzela do ludzi, jak w czerwcu roku 1956. Wiało grozą, ale która prowokowała do zadawania tzw. dzieciennych pytań.

– **Wtedy jednak, w latach 70 ludzie żyli nie tylko polityką, nie tylko ona określała podejście do ustroju.**

– Żyli codziennym krzątaniem się o lepszy byt. Po strajkach w roku 1976 w Ursusie i Radomiu zapasć systemu uległa przyspieszeniu, co szczególnie dało się zauważyć przez drastyczne obniżenie poziomu rządowej aprowizacji na polskiej prowincji. W tej sytuacji część mieszkańców Przasnysza wstawała bladym świtem, na pierwszy autobus do Warszawy, który odchodził po godzinie czwartej, aby za dwie i pół godziny dojechać do stolicy i tam spróbować zdobyć jakieś „lepsze” towary i trochę mięsa. Rozczarowanie i niezadowolenie rosło tym większe, im szybciej znikwały nie tylko te lepsze, ale i pospolite dobra, które jeszcze do

niedawna były w każdej chwili dostania. Ferment społeczny, zwłaszcza po Ursusie i Radomiu, powstaniu KOR, ale też i Studenckiego Komitetu Solidarności po śmierci Stanisława Pyjasa, o czym na samym początku informowały we właściwy sobie sposób partyjne media, doprowadził do osłabienia nawet wśród zwykłych ludzi poziomu strachu. Przyjazd w tym czasie do Polaków papieża Jana Pawła II przebudził obywateli nie tylko religijnie, ale też wolnościowo. Nic dziwnego, że pojawiły się w nieznanym do tej pory rozmiarze w tym systemie druki i całe wydawnictwa poza zasięgiem urzędu cenzury i policji politycznej. Jeszcze na wiosnę roku 1980 dostałem do ręki powielaczową broszurę o rewolucji na Węgrzech w roku 1956, która była pierwsza w moim życiu „bibułą”.

– **A kolejne?**

– Nie pamiętam, bo same później wchodziły mi do ręki. „Piękni, dwudziestoletni” Marka Hłaski przeczytałem w dużej części jadąc z Warszawy do Przasnysza. Jeszcze w liceum, zanim zacząłem studia jeździłem po gazetki i książki do pierwszej siedziby Regionu Mazowsze „Solidarności” przy Szpitalnej, z wejściem przez podwórze. Pamiętam stoisko z bibułą w pałacyku Sobańskich w alejach Ujazdowskich, z długowłosym i nadzwyczajnie szczupłym nawet jak na tamte czasy Piotrem Szwajcarem. Kiedy na ostatnim piętrze w siedzibie Regionu Mazowsze „Solidarności” kupowałem wydawnictwa niezależne na potrzeby biblioteki przasnyskiej jej oddziału pojawił się Zbigniew Hołdys, który chciał też kupić je dla siebie. Nakłady tych wydawnictw były na tyle ograniczone, że sprzedawano je przede wszystkim dla osób, które miały upoważnienia od bibliotek na ich zakup, jak ja. Zbigniewowi Hołdysowi nie pomogło, że jest z „Perfectu” i wówczas nie sprzedano mu nic.

– **Jak rozumiem, Pana inicjacja w działania opozycyjne miała miejsce wcześniej?**

– Nie myślałem wówczas w ten sposób o tym co robię. Po Sierpniu 1980 byłem już w maturalnej klasie liceum. Znalazłem w jakiejś gazetce telefon do organizatorów niezależnego ruchu uczniowskiego w Warszawie. Wtedy z Przasnysza można było już dzwonić automatycznie do stolicy bez zamawiania rozmowy. W zimowe ferie pojechałem na umówione spotkanie do Warszawy, w czasie którego poznałem m.in. Andrzeja Czumę, z którym organizujące się środowisko uczniowskie współpracowało. W kilka osób postanowiliśmy zor-

ganizować samorząd uczniowski w naszym liceum, które w roku 1923 otwierał prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Stanisław Wojciechowski. Z poparciem nauczycielskiej „Solidarności” dostaliśmy tablicę ścienną, na której wywieszaliśmy własne treści i hasła, jak np. „świecąc własnym przykładem poprawiasz bilans energetyczny kraju”, które dziś znów jest aktualne. Tomasz Ulatowski regularnie rysował plakaty, jak ten z czołgiem z namalowaną czerwoną gwiazdą i z informacją, że na nim zostanie dostarczona pomoc żywnościowa dla Polski, który już po jednej przerwie został zdjęty. Kiedy dowiedziałem się, że studenci i młodzież szkół średnich tworzą Związek Młodzieży Demokratycznej postanowiłem założyć jego oddział w Przasnyszu. W liceum zorganizowaliśmy m.in. uroczystość z okazji święta Konstytucji 3 Maja z udziałem wszystkich klas. Nawiązaliśmy na miejscu współpracę z międzyzakładową strukturą Solidarności, której pomagaliśmy m.in. rozwieszając po mieście plakaty o gotowości strajkowej. Później Mariusz Bondarczuk, który redagował i był wydawcą pism „Solidarności” na miejscu pomaga mi wydać pierwszy i jedyny numer gazetki ZMD „Przed” z moim wstępniakiem, która została wydrukowana dosłownie na moich oczach w poligrafii Zakładu Wytwórczego Aparatury Wysokiego Napięcia w Warszawie.

– **Aż nadszedł 13 grudnia?**

– 12 grudnia pomagaliśmy z kolegą w biurze Solidarności w Przasnyszu przy ulicy Hanki Sawickiej. Około godziny 20 próbowałem dodzwonić się do Regionu Mazowsze, a tu po podniesieniu samej słuchawki był nieustający sygnał zajętości. Potrafiłem posługiwać się teleksem i jak próbowałem nadać przez niego informację dosłownie zwirował wystukując na rolce papieru ciąg przypadkowych liter i cyfr. Przy kolejnych próbach użycia teleksu sytuacja powtarzała się. Opuściliśmy wszyscy biuro i ruszyliśmy z kolegą do domów. Po drodze mijała nas kolumna samochodów ciężarowych ze szkoły milicyjnej ze Szczytna ciągnąca w stronę Warszawy. Nawet po pokazowej pacyfikacji strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej, z lądowaniem śmigłowców na dachu łącznie, nie było powszechnego poczucia, że władza jest już gotowa na wszystko.

– **W jakich okolicznościach dowiedział się Pan o wprowadzeniu stanu wojennego?**

– Przed godziną dziewiątą wrócił z miasta mój ojciec mówiąc, że są powieszane ogłoszenia o stanie wojennym. W radio nadawano muzykę poważną, a w telewizorze niedługo później generał Wojciech Jaruzelski, jako szef Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, ogłosił o wprowadzeniu stanu wojennego. Zaraz po zakończeniu przemówienia wyszedłem z domu, bo telefony nie działały. Za szybą zamkniętego kiosku „Ruchu” spostrzegłem najnowszy i zarazem wówczas ostatni numer „Tygodnika Solidarność”. Chodząc po znajomych dowiedziałem się o internowaniu Tadeusza Witkowskiego i Mariusza Bondarczuka. Na rogatkach miasta posterunki wojska kontrolowały ruch. Do Warszawy pojechałem dopiero, kiedy wznowione zostały zajęcia na uczelniach w lutym następnego roku.

– **Wraca Pan na Uniwersytet i co...?**

– Jak tylko wznowiono działalności Uniwersytetu Warszawskiego na jego dziedzińcu miały miejsce protesty przeciwko stanowi wojennemu, podczas których najczęściej skandowaliśmy „Nowe związki na Powązki”. Zaczęło pojawiać się coraz więcej ulotek i bibuły, którą po stanie wojennym regularnie dostarczałem do Przasnysza. Zostałem zadenuncjowany przez jedną z osób, której je przekazywałem. Kiedy przyszli po mnie funkcjonariusze SB, to nie zastali mnie, bo akurat tego dnia dość wcześnie wyszedłem. Po przeszukaniu i znalezieniu pojedynczych egzemplarzy bibuły siedzieli i czekali na mnie.

Po kilku godzinach kierujący akcją spojrzął na zegarek i powiedział: „czwarta, fajrant” i po prostu sobie poszli. W wyniku złożenia obciążających zeznań wszczęto wobec mnie sprawę karną oraz otrzymałem dozór milicyjny. Przez pół roku co tydzień meldowałem się na posterunku. Na mocy amnestii w roku 1985 sprawę wobec mnie umorzono. Zdumiewające w tym zdarzeniu dla mnie było zachowanie funkcjonariuszy policji politycznej, którzy w obronę systemu angażowali się już tylko w godzinach urzędowych do godziny szesnastej. Na gorącym uczynku zatrzymano mnie we Wrocławiu. Przyjechałem wtedy spotkać się z twórcami „CDN-Kolibra” Tomaszem Gabisiem, Andrzejem Maśnicą, Aleksandrem Popielem (zmarłym w 2021) i Krzysztofem Bąkowskim, wówczas odsiadującym wyrok, z którymi spotkałem się już wcześniej w roku 1986 na zebraniu założycielskim pisma „Stańczyk”, w którym brał udział Mirosław Dzielski, a które miało miejsce w mieszkaniu Janusza Korwin-Mikke

w Józefowie. Po spotkaniu z „kolibrowcami” jechałem z Józefem Białkiem małym fiatem wypełniony świeżo co odebrany wydaniem Irvinga Kristola ze wstępem Roberta Smoktunowicza „Wyznania jedyne go prawdziwego neo-konserwatysty” Instytutu Konserwatywnego w Polsce, który co założyłem. Zatrzymał nas milicyjny patrol kontroli drogowej, a Józek nie miał przy sobie dokumentów. 4 lutego roku 1987 w moje urodziny i imieniny trafiam do aresztu komisariatu Wrocław-Krzyki i tam „spędziłem” je w celi z kilkoma innymi zatrzymanymi. Około 22 godziny drzwi od celi otwierają się i słyszę: „Sadowski, wychodzić!”. Milicjant zaprowadził mnie do kantoru niedaleko celi. Wyjmuje butelkę wódki, nalewa ją do kieliszka i mówi: „Pij, jeszcze nie miałem politycznego na swojej zmianie”. Po konfiskacie samochodu, nakładu i dotkliwej grzywnie na zapłacenie której otrzymałem pieniądze ze specjalnego podziemnego funduszu, o pomoc w kolejnym druku zwróciłem się do Marka Kamińskiego, który zanim został aresztowany na kilka miesięcy stworzył jedno z najbardziej profesjonalnych podziemnych wydawnictw lat 80.

– **Zakazy stanu wojennego zepchnęły znaczną część niezależnej działalności do podziemia i co wtedy?**

– Ale i skłaniały do wykorzystywania oficjalnych możliwości do prowadzenia działalności. Doskonałym wehikułem były studenckie koła naukowe, na których działalności wyrażał zgodę tylko dziekan, co skwapliwie i jak się tylko dało wykorzystywaliśmy. Przez chwilę pozwolono na wznowienie działalności samorządu studenckiego, który oddelegował kilku swoich reprezentantów, w tym mnie i Rafała Szczerbę do komisji dyscyplinarnej dla studentów Uniwersytetu Warszawskiego, a która odegrała niezwykle ważną rolę w chronieniu osób przyłapanych na działalności przeciwko systemowi. Po likwidacji samorządu nie było instytucji, która nas delegowała i tak zasiadaliśmy w komisji, aż do roku 1988. Praktyka komisji w przypadku kierowania wniosków o relegowanie ze studiów przez milicję czy policję polityczną była tak, że aresztowani na demonstracjach, za przewożenie większej liczby towarów przez granicę i za tzw. spekulację, dostawali naganę, ale bez wpisywania do akt. Miałem też kilkuletni epizod z prowadzeniem Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Sigma”, który założyliśmy we dwóch z Pawłem Janasem dzięki pomocy Sławka Salomona, weterana dekaefów, ale też i producenta bibuły. Jako dekaef uzyskaliśmy,

ku zaskoczeniu indywidualne zezwolenia na zamknięte pokazy filmów, które są zatrzymane przez cenzurę, takie jak „Indeks”, czy „Dziecinne pytania”, ale „przegrzaliśmy”, bo wyświetliliśmy je w sali kinowej ówczesnego Domu Radzieckiej Nauki i Kultury przy Foksal. Jednocześnie „puszczałem” na prywatnych pokazach „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego, którego kopię na VHS dostałem od Piotra Niemczyka.

– **A co z wspomnianymi przez Pana kołami naukowymi?**

– W roku 1984 zaproponowałem Pawłowi Ziółkowi i Robertowi Smoktunowiczowi – którzy wprowadzili mnie do środowiska „Polityki Polskiej”, gdzie wówczas poznałem Tomka Wołka i Aleksandra Halla – założenie „Zespołu Badań nad Myślą Konserwatywną i Liberalną”, który rozpoczął działalność w ramach Międzywydziałowego Koła Naukowego „Wiedza”, wymyślonego przez m.in. nieżyjącego już Grzegorza Ilkę. Pierwszą pozycją „Zespołu” był „Program i zadania krakowskiej szkoły konserwatywnej” Jana Bobrzyńskiego, którą ze stemplem cenzury wydaliśmy w tysiącu egzemplarzy! „Wiedza”, jako studenckie koło międzywydziałowe prowadziła szeroką akcję niezależnej edukacji na Uniwersytecie Warszawskim skupiając de facto młodą opozycję, od zwolenników PPS do nas, jako liberałów i konserwatystów. Organizowaliśmy dzięki zgodom władz dziekańskich mnóstwo otwartych spotkań na Uniwersytecie z liderami opozycji, autorami wydawanych poza cenzurą książek, studentami z Węgier działającymi, jak my w opozycji, czy też Jakubem Świącickim, który był wiceprzewodniczącym Ludowej Partii Liberałów w Szwecji. Równolegle prowadziliśmy konspiracyjne spotkania. Dwa z nich utkwily mi w pamięci – z Władysławem Bienkowskim, weteranem ruchu komunistycznego, reżimowym ministrem, który stał się partyjnym rewizjonistą i dysydem oraz współpracownikiem KOR i z Jackiem Czaputowiczem, jednym z inicjatorów ruchu „Wolność i Pokój”, który chciał nas nauczyć akcji bezpośredniej, w tym wchodzenia na kominy i wywieszania transparentów. Nasza działalność jako „Wiedzy” nabrała takiej skali, że zmieniono ustawę o szkolnictwie wyższym i zakazano tworzenia studenckich kół międzywydziałowych. Spróbowaliśmy przejmowania lokalnych struktur oficjalnych organizacji, jak Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, czy Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej. Przy próbie przejścia jednego z oddziałów „Wszechnicy” poznaliśmy się

z Tomkiem Ziemińskim, z którym pomagaliśmy przejąć go Januszowi Korwin-Mikkemu. Legalnie przejęliśmy z Robertem Dymkowskim, Rafałem Szczerbą i innym OPP „Sigma”, która była związana z ZSP, ale skończyło się to nocną wymianą przez „zsympowców” zamków w drzwiach. Przy Krakowskim Przedmieściu, na pierwszym piętrze dostaliśmy do dyspozycji kół naukowych pomieszczenie z widokiem na tablicę upamiętniającą protesty w marcu roku 1968. Ze względu na działalność mocno wykraczającą poza statut koła naukowego dokwaterowano nam szybko młodzieżówkę PZKS z Bogusławem Kowalskim.

– **Bogusław Kowalski później okazał się agentem.**

– Na czas jego obecności i towarzyszących mu osób przerywaliśmy kolportaż niezależnych wydawnictw i niecierpliwie czekaliśmy, komu się bardziej znudzi obserwowanie drugiej strony. Za ścianą swój lokal mieli działacze Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, którzy oficjalnie zaprotestowali przeciwko prowadzeniu przez nas antysocjalistycznej działalności. Poza kolportażem wydawnictw bez cenzury miały miejsce spontaniczne „wieczory z prozą” polegające na czytaniu na głos przez Piotra Niemczyka, wewnętrznego wydawnictwa partii rządzącej „Notatnik partyjnego agitatora”, czym został zapamiętany nie tylko za wielomiesięczny pobyt w areszcie za działalność w „Wolności i Pokoju”, ale i za ponadprzeciętny wkład rozrywkowy w studencki ruch naukowy i opozycyjny. Zamarzyliśmy też o własnym piśmie politycznym i w ten sposób powstał podziemny „Dodruk”, którego intelektualnym spiritus movens był Antoni Łepkowski. W tym samym roku dzięki otrzymaniu kapitału od Andrzeja Machalskiego, jako spółdzielni „Unicum” założyłem swoją pierwszą firmę o nazwie „Kompania Przemysłowo-Handlowa Re-Vera” spółka z o.o. (jednostka gospodarki uspołecznionej), z której wypączkowało wiele firm, działających z sukcesem do tej pory. Na koniec tego wzięłem udział w powstaniu Ruchu Polityki Realnej i miałem okazję bliżej poznać Stefana Kisielewskiego.

PRZYGOTOWYWALIŚMY ZMIANĘ SYSTEMU GOSPODARCZEGO

– **Współtworzył Pan Towarzystwo Gospodarcze. To już nie było studenckie koło...**

– Idea powołania niezależnego w tamtym systemie Towarzystwa Gospodarczego pojawiła się w kilku rozmowach w roku 1985. Na opozycyjnym spotkaniu u Janusza Korwin-Mikke poznałem Aleksandra Paszyńskiego, z którym zacząłem rozmawiać o Krakowskim Towarzystwie Przemysłowym i potrzebie zorganizowania podobnego w Warszawie. Przy okazji wydawania „Etatyizmu w Polsce” Adama Heydla zwróciłem się z prośbą o napisanie wstępu do Rafała Krawczyka, który zasłynął przed stanem wojennym jako odważny propagator zmiany systemu gospodarczego i również zainteresował się ideą powołania takiego towarzystwa. Przy Długiej, w pokoju Rafała Krawczyka na Wydział Ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego zorganizowałem jego spotkanie z udziałem Aleksandra Paszyńskiego i Andrzeja Machalskiego, który jak okazało się również powoływał takie towarzystwo. Wśród tak zebranych zwolenników gospodarki wolnorynkowej sprawy powołania Towarzystwa Gospodarczego zaczęły się dość szybko toczyć. Oparciem były spółdzielnie „Murator” i „Unicum”, w siedzibach których miały miejsce zebrania przygotowujące bezprecedensową w tamtym okresie inicjatywę polityczną, ale i gospodarczą.

– **Co się wam marzyło?**

– Zachód, czyli normalność i jak można ją przywrócić. System nieodwołalnie bankrutował, ale mało kto wówczas zastanawiał się jak np. Tomasz Gruszecki, jakie zmiany należy przeprowadzić, aby zacząć wychodzić z socjalizmu. W gronie praktyków gospodarki i naukowców zaczęliśmy pracę nad koniecznymi zmianami systemowymi, które na tyle stały się znane też i ówczesnej władzy, że piórem Daniela Passenta w felietonie w „Polityce” złożyła ofertę „silnej policji i silnego rynku”.

– **Jak powszechne było wtedy zainteresowanie w opozycji gospodarką?**

– Śladowe. W dziesiątą rocznicę „Okrągłego stołu” niektórzy z jego uczestników przyznali, że w opozycji demokratycznej horyzont zmian w gospodarce zaczynał się i kończył na wprowadzeniu samorządu robotniczego do państwowych fabryk. Jako antykomunistyczna opozycja wolnorynkowa tworząca Towarzystwo Gospodarcze nie mieliśmy tych złudzeń, co wyrażało się w hasło „kapitalizm tak, wypaczenia nie”. Pamiętam, jak jeszcze przed samymi wyborami w czerwcu roku 1989 ze Zbigniewem Bujakiem jego Fiatem 125 p wzięliśmy Zbigniewa Wilka i Aleksandra Małachowskiego jako kandydatów

„Solidarności” do Senatu i Sejmu na zebranie wyborcze do Ostrołęki, na którym przyszedł poseł Małachowski tłumaczył, że socjalizmu nie należy likwidować, tylko go naprawić, co w znacznej części opozycji było powszechnym poglądem. Zaś szybko rosnące nasze środowisko od początku proponowało przywrócenie normalnej gospodarki, czyli wolnorynkowej. Zimą roku 1986 prof. Maria Radomska rektor SGGW umożliwiła na swojej uczelni krajowe zebranie Towarzystwa Gospodarczego, które rozpoczęło walkę o rejestrację. Na stowarzyszenie ogólnopolskie władza nie chciała zgodzić się, a tylko lokalne, jak Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe, na którego tzw. legalną działalność wyraziła zgodę.

– **Jak na to zareagowaliście?**

– Dalej działaliśmy oficjalnie bez rejestracji. Inicjowaliśmy powoływanie kolejnych towarzystw w innych miastach, do których jako najmłodszy członek zarządu Towarzystwa jeździłem z różnymi misjami. Liderami ruchu towarzystw przemysłowych i gospodarczych, czyli fundamentu środowisk liberalnych stały się dwa ośrodki krakowski i warszawski, które najszybciej i najwcześniej zaczęły ze sobą współpracować oraz wspólnie występować programowo, na co są liczne zachowane świadectwa z tego okresu, najczęściej podpisywane przez Mirosława Dzielskiego i Andrzeja Machalskiego.

– **A Gdańsk?**

– Został zaproszony do tworzącej się „Akcji Gospodarczej”. Zaproszenia na zjazdy środowisk gospodarczych w Gdańsku były sygnowane wspólnie przez Janusza Lewandowskiego i Andrzeja Machalskiego. W czasie jednego z nich na jesieni roku 1989 nasza strona zaproponowała wspólne powołanie partii liberalnej, która później ukonstytuowała się w Warszawie jako Kongres Liberalno-Demokratyczny.

– **Ale zanim doszło w wolnej Polsce do powstania partii liberalnej to w PRL powstała Akcja Gospodarcza.**

– I to jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, co było ewenementem wśród opozycji. 3 grudnia 1988 w siedzibie spółki „Wola” przy Narbutta akt notarialny Akcji Gospodarczej podpisało blisko 20 osób. Wcześniej otrzymałem zadanie zaproszenia do jego grona Ryszarda Reiffa, który w roku 1981 jako jedyny członek Rady Państwa sprzeciwił się wprowadzeniu stanu wojen-

nego, profesora Stefana Kurowskiego i jeszcze kilku innych jako „udziałowców”, Akcji Gospodarczej. Cenzura „puściła” pierwszy dokument programowy Akcji pt. „Minimum zmian” w pierwszym tygodniu stycznia 1989 i później kolejne, które w od ręki drukował tygodnik „Ład”, ale też i rządowa „Gazeta Bankowa”. Czytając go dziś można odnieść wrażenie, że znów w części staje się aktualny. Nieoczekiwaną furorę zrobiła opinia Akcji przygotowana przez prof. Jerzego Dietla i dr Bolesława Banaszkiwicza o uwolnieniu rynku produkcji rolnej, która jak się później okazało posłużyła ówczesnemu rządowi do uwolnienia cen artykułów żywnościowych latem roku 1989, o czym premier Mieczysław Rakowski powiedział Aleksandrowi Paszyńskiemu, prezesowi Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie, a wcześniej koledze redakcyjnemu w „Polityce”. Członkowie Akcji Gospodarczej odegrali nietuzinkową rolę przy Okrągłym stole, o czym informował w „Financial Times” ówczesny jego korespondent w Polsce Krzysztof Bobiński. Niedługo po tym dochodzi do spektakularnej wspólnej konferencji Towarzystwa Gospodarczego i największego koncernu włoskiego IRI, którego prezes został później premierem tego państwa, na które oficjalnie przybywa ówczesny minister przemysłu Mieczysław Wilczek, co zostało odnotowane nawet przez reżimową prasę.

– **Angażuje się Pan w wybory 1989 i co dalej?**

– Mamy pełen sukces w podwójnym tego słowa znaczeniu, bo wszyscy kandydaci Akcji Gospodarczej, a było ich kilkunastu znaleźli się na listach „Solidarności” i tym samym trafili do parlamentu. Zacząłem brać udział w powołaniu w ramach OKP klubu liberalnego, a jak to przy tej dynamice politycznej nie udało się, to poprosiłem Jana Winieckiego i Andrzeja Machalskiego, aby zostali współfundatorami Centrum im. Adama Smitha, które założyliśmy we trzech 4 dni po powołaniu przez Sejm rządu Tadeusza Mazowieckiego. Misją Centrum było i cały czas jest propagowanie i działanie na rzecz wolnego rynku, zbudowanego na fundamencie wolności, moralności i odpowiedzialności, co z każdym dniem jest tak samo aktualne jak ponad trzech dekady temu. Dzięki doświadczeniu komunizmu, czy tzw. realnego socjalizmu na całe życie zostałem wolnorynkowym antykomunistą i chcę wystąpić o urzędowe sprostowanie informacji na legitymacji, żeby skreślić na niej słowo „był” przed „działaczem opozycji antykomunistycznej”.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – Pierwszego Niezależnego Instytutu w Polsce (1989), jeden z założycieli Zespołu Badań nad Myślą Konserwatywną i Liberalną na Uniwersytecie Warszawskim (1984–1989) i Zespołu Studiów Ekonomicznych im. Adama Smitha (1986–1989). Współzałożyciel i członek zarządu Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie (1986–1989). Współzałożyciel wraz z Mirosławem Dzielskim i Aleksandrem Paszyńskim i członek zarządu Akcji Gospodarczej (1988–1989). Jeden z założycieli (1996) i członek Zarządu Transparency International Polska (do 2003). Członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP – 2009–2010 i 2015–2020. Członek Rady Naukowej Ośrodka Badań nad Przedsiębiorczością Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości (2009–). Przewodniczący rady fundacji Razem w Chorobie (2014–).

W 2014 roku odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za propagowanie przedsiębiorczości.

W 2021 roku odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Wolności i Solidarności za działalność w opozycji antykomunistycznej po wprowadzeniu stanu wojennego.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

ROZMOWA Z ROBERTEM KWIATKOWSKIM
OPOZYCJONISTĄ, PRZEWODNICZĄCYM SAMORZĄDU
STUDENCKIEGO UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO
W LATACH 80.

NIE BYŁO MARAZMU

– **Działacza studenckiego zawsze pyta się na początek, jaką sytuację zastał na uczelni, gdy tam trafił?**

– To był szczególny rok 1980 r. Mieszkałem wtedy na Starym Mieście. Wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego miał wtedy opinię, że trudno się tam dostać z powodu dużej liczby kandydatów. A ja na prawo na kampusie akademickim przy Krakowskim Przedmieściu miałem od siebie ze Starego Miasta naprawdę niedaleko. Trafiłem na uczelnię, tak się złożyło, zarówno do pracy jak i na studia – bo miałem za mało punktów, więc znalazłem się więc w Studenckich Hufcach Pracy (SHP).

– **SHP polegały na tym, że przez rok się pracowało i chodziło na niektóre zajęcia i egzaminy, a potem już studiowało zwyczajnie.**

– Wykonywałem różne prace na terenie Uniwersytetu, co oczywiście przyczyniło się do tego, że lepiej poznałem uczelnię od tych, którzy studiowali w zwyczajnym trybie. Przydało mi się to później w działalności na uczelni i w samorządzie. Pracowałem na pierwszym roku w dziekanacie i w szatni. Do dziś mam umowę o pracę na stanowisku „pedel z obsługą szatni”. Nie było to najgorsze zajęcie, bo można było sporo czytać.

– **Dla studenta, który w ten sposób trochę popracował w kraju, wyjazdy zarobkowe na Zachód stawały się okazją do błyskawicznego porównania?**

– Niewątpliwie tak. Wyjechałem na saksy do Holandii. W wakacje pracowałem tam na barce, to było dobre zajęcie, trzeba się było starać, żeby sobie załatwić taką pracę. W wolnych chwilach grywaliśmy w szachy. Wygrywałem

z miejscowymi, więc od razu zyskałem sobie ich szacunek, bo to przecież królewska gra. Dlatego zaczęli mnie pytać o zdanie, czy chociaż zwracać uwagę na to, co mówię. Patrzyłem, jak się ładuje taką 40-metrową barkę. I nagle mówię: – Żle. Zaplanowałem, żeby to robić inaczej, więcej towarów się zmieściło. To było oczywiście niespodziewane, bo zatrudniając mnie inaczej wyobrażali sobie moją rolę.

– **Na SHP pomysłów Pan nie zgłaszał, bo ich nie oczekiwano?**

– Powodów do narzekań jednak nie miałem. Uczestniczyłem w życiu uczelni, na prawie wpadałem na zajęcia, zaliczyłem ćwiczenia za trzy lata z góry. Wreszcie w październiku 1981 r. zacząłem studiować normalnie.

– **Czas był wyjątkowy. Czym się Pan zajął?**

– Włączyłem się w „karnawał wolności”, aktywnie uczestniczyłem w życiu uczelni.

– **Rok 1981 r. to strajki na uczelni.**

– Strajki doskonale kojarzę, nie wciągnęły mnie jednak aż tak bardzo jak bardziej konkretna działalność. Z osób aktywnych wtedy na prawie zapamiętałem trzech Robertów Gwiazdowskiego, Małeckiego i Smoktunowicza. Przed stanem wojennym przeczuwaliśmy trochę, co może się zdarzyć. Oczywiście dokładnego scenariusza znać nie mogliśmy. Na wszelki wypadek umówiliśmy się z Tomkiem Przybyszewskim, że jak coś się złego w kraju zdarzy – widzimy się następnego dnia o 12 przy kościele Świętego Krzyża. I tam się właśnie spotkaliśmy 13 grudnia, chociaż mieszkałem na Starym Mieście spóźniłem się pół godziny, a on godzinę.

– **Co zmienił stan wojenny w działaniach Pana i przyjaciół?**

„Stan wojenny” wszystko zmienił. Uczelnia została zamknięta, a Polska podzieliła się na władzę, czyli onych i my, Naród.

Od razu wiedziałem, że nie mogę być obojętny. Razem z Tomkiem Przybyszewskim nawiązaliśmy kontakt z tworzącym się podziemiem i włączyliśmy się w kolportaż ulotek i malowanie napisów. Ulotki kleiliśmy na murach, przystankach i klatkach schodowych.

– Nasza aktywność była początkowo umiejscowiona poza uczelnią. Zaczęło się od kolportażu „Tygodnika Mazowsze” w lutym 1982 r. Kontakty utrzymywałem wtedy głównie z ludźmi „Solidarności”. Tomek okazał się najlep-

szym łącznikiem. Rodziły się Grupy Oporu Solidarni, kierowane przez Teosia Klincewicza.

– **Zresztą dominował wtedy pogląd, że najważniejsze, żeby studenci włączali się w działania opozycyjne, niekoniecznie akademickie.**

– Tych było coraz więcej. Kolportaż, potem wykorzystanie mieszkania dla działalności opozycyjnej. Na Starym Mieście przy Piekarskiej mieszkałem na parterze. Wszystko na ulicy było słycać, każdą głośniejszą rozmowę, więc szybko się zorientowaliśmy, że to dla konspiracji nie najlepiej. Praktycznie przez cały 1982 r. wraz z przyjaciółmi włączałem się w działania opozycyjne, ale też zastanawialiśmy się intensywnie, co robić dalej, również na uczelni.

– **Wbrew logice stanu wojennego akurat w maju 1982 r. pojawia się ustawa o szkolnictwie wyższym, przygotowana jeszcze pod presją legalnej „Solidarności”. Pozostawia ona szerokie możliwości działania dla niezależnych inicjatyw studenckich.**

Szukaliśmy istniejących możliwości i znajdowaliśmy je, szybko zaczęliśmy mówić o przywróceniu przedwojennego Bratniaka. Grałem w piłkę ręczną i połowa naszej uniwersyteckiej drużyny związana była z działaniami opozycyjnymi (Tomek Przybyszewski, Grzesiek Chyłek, Darek Bogucki, w 1984 roku dołączył Andrzej Anusz??). W czasie rozmów Darek Bogucki zaproponował, żeby wykorzystać obowiązujące prawo do naszych celów, czyli stworzenia niezależnej organizacji studenckiej na wydziale prawa. I tak rozpoczęła się wieloletnia batalia o zarejestrowanie „Bratniaka”.

– **Tuż po wojnie działaczem krakowskiego Bratniaka był Karol Wojtyła.**

– Tradycja i historia miała dla nas duże znaczenie. Ale chcieliśmy zrobić coś tu i teraz, widząc powszechne zniechęcenie i brak wiary w zwycięstwo. Zaangażowało się w to może 40–50 osób. Ciągłe o coś walczyliśmy, a Bratniak stanowił dogodny przyczółek również dla innych aktywności. Ważne było też, aby robić coś, co przyciągnie innych. A na początku lat 80 warunki życia były niezmiernie trudne. Brakowało podstawowych produktów, więc zwłaszcza dla studentów zamiejscowych, pozbawionych możliwości codziennej pomocy z domów rodzinnych, hasło pomocy wzajemnej wcale nie było abstrakcją. Współpracowaliśmy z ks. Majem z kościoła św. Anny, który przekazywał nam dary dla studentów. Szukaliśmy też aktywności, które pozwalają występować

jako legalna grupa na uczelni, korzystać z pomieszczeń, rozmawiać z władzami akademickimi, które zresztą w większości sprzyjały wszelkim niezależnym działaniom.

– **I od razu był widoczny.**

– Zajmuje bowiem kluczowe miejsce na prawie UW – kawiarnię Szafot z całym dołem, podziemiem wydziałowego budynku.

– **To było święte miejsce. Kłęby dymu, nie kończące się rozmowy przy wielkich kubkach herbaty albo małych filiżankach kawy. Znało się nawet studentów, co jechali na uczelnię, ale na zajęcia nie docierali, bo w Szafocie utknęli. Bufet w Pałacu Kazimierzowskim nie miał już podobnego klimatu, teoretycznie był profesorski, ale nikt studentów stamtąd nie wypraszał. Z kolei Harenda w domu PTTK była ogólnie dostępna, konspiracyjacy studenci stykali się tam z Jankiem Himilsbachem, waluciarzami albo zaopatrzeniowcami socjalistycznych przedsiębiorstw na delagacjach. Jedni popatrywali na drugich zza stolików. I coście wtedy w tym Szafocie w kłębach tytoniowego dymu uradzili?**

Pomysł na tworzenie Bratniaka zyskał poparcie nie tylko studentów, ale i niektórych pracowników wydziału prawa związanych z opozycją. Tworzący się Bratniak przejął z czasem cały wydział w swoje władanie. Na wydział nie został wpuszczony ZSyP, a ZSMP działało w konspiracji. Dzięki ludziom z Bratniaka przejęliśmy też tworzący się samorząd studentów, a ja zostałem szefem samorządu na prawie.

– **Nie wzięły tej funkcji starsze roczniki?**

– Oni w najlepszym wypadku ewakuowali się do dorosłej działalności politycznej w opozycji.

– **A NZS?**

– Z nim był problem. Słyszeliśmy: mocny NZS. A jego faktycznie nie było. W konkretnych działaniach prawie nie istniał. Sporo osób zaangażowało się rzeczywiście poza uczelnią, wielu przestało robić cokolwiek. Specyfika każdej organizacji studenckiej polega również na tym, że co roku 20 proc jej składu powinno się odnawiać w naturalny sposób.

– **NZS na polonistyce w połowie lat 80 to było paru przerośniętych studentów, którzy organizowali wydziałowe opłatki wspólnie z konserwatyw-**

ną profesurą i czasem na choince wieszali bombkę z logo „Solidarności”. Młodym, czytany w bibule, uciekającym przed milicją w trakcie licznych demonstracji, już to nie wystarczało.

– Wzięły to na siebie z czasem nowe roczniki. Oporu nie było, przynajmniej go nie wyczuwaliśmy. Wielu się zniechęciło, niektórzy wyjechali. Zaś my stanęliśmy przed dylematem: czy wchodzić w legalne struktury, przejmować je i budować, jak pozwalała na to liberalna jak na stan wojenny ustawa o szkolnictwie wyższym – czy skupić się nadal na działalności podziemnej, której i tak nie zaprzestaliśmy.

– Jak rozumiem warto było jednak próbować również *na legalu*, a przy tym z każdym kolejnym miesiącem – gdy władza stanu wojennego nie odpuszczała, a wielkiego buntu społecznego wciąż nie było – okazywało się, że działalność w podziemiu musi być zakrojona na wiele lat, bo po prostu szybkich efektów nie przynosi?

– Z tych względów byliśmy zainteresowani legalną działalnością. Sam Bratniak stwarzał szansę, żeby pod jego szyldem organizować koncerty i spotkania, a także obozy roku zerowego, na nich zaś pozyskiwać nowych uczestników niezależnych inicjatyw. Obozy odbywały się w górach, na Mazurach i nad morzem, dla studentów stanowiły atrakcję. Za sprawą Bratniaka zyskiwało się też dostęp do lokali na terenie uczelni, wreszcie do pieniędzy – co dla działalności istotne, funkcjonowały też kursy językowe.

– Czy zasmakowaliście w koncepcji przejmowania legalnych instytucji i wyszliście z nią poza uczelnię?

– Przejęliśmy PTTK na Mokotowie. Dziś ktoś może się z tego śmiać, ale wtedy była to fajna organizacja z ciekawymi ludźmi, dająca spore – jak na tamten czas – możliwości działania. Rozwój turystyki służył nam głównie do pozyskiwania nowych studentów do naszej działalności, jeżdżenia w ważne miejsca (odwiedzaliśmy Lecha Wałęsę, byliśmy w Suchowoli, rodzinnej miejscowości ks. Jerzego Popiełuszki). To pokazuje, jak rozmaite i bogate pozostawały formy naszej ówczesnej aktywności.

– Koło PTTK zdominowane przez opozycję powstało też na uczelni...

– W czasie kiedy trwała walka o Bratniaka odbywało się również przejmowanie istniejących od dawna legalnych organizacji. Z ludzi z uczelni zaangażo-

wał się w to m.in. Tomasz Ziemiński. W 1983 r. utworzyliśmy koło towarzystwa antyalkoholowego, które jako jedna z niewielu organizacji miała dostęp do papieru. Plakaty służyły nam również do naszej działalności opozycyjnej i Bratniaka. Nasz ulubiony plakat to: „z pijanym nie tańczę”.

– **Dopowiadaliśmy: a trzeźwy by nie poprosił.**

– Nie obracałbym całego sztafazu ówczesnej działalności w żart, aczkolwiek wykorzystywaliśmy tą organizację do swoich celów. Nadużywanie alkoholu było jednym z nieszczęść realnego socjalizmu i źródłem wielu innych patologii, ale na studiach też się sporo piło.

– **Czy na uczelni spotykała się ona ze zrozumieniem kadry?**

– Na pewno spotykała się z życzliwością dużej części, pewnie nawet większości pracowników naukowych. W rzeczywistości po 13 grudnia 1981 r. nie było przecież wielkich demokratycznych instytucji. A przeważająca część kadry akademickiej, nie tylko naukowej, sympatyzowała wcześniej raczej z „Solidarnością” niż z władzą. Oczywiście Uniwersytet Warszawski poniósł wielkie straty po 1968 r, część naukowców wyrzucono, sporo wyjechało za granicę, pojawili się też docenci marcowi – ale jednak nie oni kształtowali klimat uczelni, która w latach 1980–81 ponownie stała się areną demokratycznych przeobrażeń. Po 13 grudnia tej roli nie utraciła.

– **Bo zadbałście o to.**

– Jednak bez zrozumienia i poparcia ze strony pracowników uczelni, a także części jej władz nie stałoby się to możliwe, przynajmniej w tym stopniu.

– **Kogo Pan z perspektywy 35 lat wyróżni?**

– Wśród młodych pracowników naukowych życzliwy nam pozostawał zawsze Janusz Szewczak. Również prodziekan z prawa prof. Marek Wierzbowski, który później został prorektorem do spraw studenckich był bardzo przychylny dla studentów pomimo, że był wcześniej członkiem PZPR. Zawsze zachowywał się bez zarzutu, krył niezależną działalność, bronił konkretnych ludzi, gdy trzeba było. Doskonale rozumiał opozycyjnie nastawionych studentów dr Jacek Kraus. Otwartością wobec nas wyróżniał się prof. Lech Falandysz. Wtedy chodził zawsze w zielonej kurtce, pisywał do „Powściągliwości i Pracy”, katolickiego pisma przechodzącego wprawdzie przez cenzurę, ale zamieszczającego wyłącznie przyzwoite artykuły na wysokim poziomie. Za sprawą takich osób

upowszechniło się przekonanie, że przynajmniej z wydziału prawa nikogo nie da się wyrzucić za działalność opozycyjną – co dla przełamania bariery strachu miało oczywiście pierwszorzędne znaczenie. I według mojej wiedzy nikt nie został wyrzucony.

– **Korzystalistacie wciąż z legalnych możliwości działania?**

– Ciągłe działał Bratniak w rejestracji i samorząd na wydziale i uczelni. Rozwijały się koła naukowe. Ja również zdobyłem nowe możliwości działania, bo zostałem w 1984 r. senatorem studenckim razem z Maciejem Strzemboszem. Reprezentowaliśmy w Senacie U.W. głos i sprawy studentów np. w sprawie rejestracji Bratniaka lub aresztowanych studentów.

– **To było coś wyjątkowego w skali bloku wschodniego: wolna reprezentacja studentów w uczelnianym Senacie. Na polonistyce trwała wtedy prawdziwa kampania wyborcza, aż miła studentka z Bułgarii Ałbena Georgijewa zaniepokojona wypytywała starostę grupy, czy koniecznie trzeba głosować. Tłumaczyło się jej, że nie musi, jeśli chce, niech zagłosuje, jeśli nie, to nie... Dla dziewczyny, wychowanej w państwie, rządzonym nie-**



Lipiec 1984 rok, Warszawa. Po amnestii uwolnieni więźniowie polityczni spotkali się na Mszy św. w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Fot. ze zbiorów Roberta Nowickiego

przerwanie od 1954 r. przez Tadora Żiwkova to był pierwszy kontakt z demokracją.

– Aż do niekorzystnej nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, która w 1985 r. pozbawiła studentów reprezentacji w Senacie rzeczywiście wszystko odbywało się demokratycznie. Chociaż rzeczywistość wokół przygnębiała, a na pewno nie skłaniała do opinii, że przemiany w dobrym kierunku są bliskie. W 1984 r. wprowadzono i zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę.

– Jak ks. Popiełuszko został porwany, na UW odbył się wiec pod BUW-em.

– Byłem wtedy wśród tych, którzy czuwali w parafii Św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Spędziłem w kościele kilkanaście dni i nocy. Było tam wielu studentów z uniwersytetu warszawskiego i wydziału prawa.

– A co z Twoją działalnością w podziemiu?

– Jak wspominałem, stale współpracowałem z opozycją spoza Uniwersytetu, z Grupami Oporu Solidarni, ze środowiskiem Grupy Polityczne Wola oraz wydawnictwami Rytm i Pokolenie. Na uczelni najlepiej współpracowało się z Maćkiem Jankowskim z Solidarności i z NZS-em. Niezgodnie z zasadami konspiracji łączyłem funkcje oficjalne (samorząd, Bratniak) z wieloma zadaniami w podziemiu (drukowanie, kolportaż, demonstracje). Z Regionu Mazowsze dostawaliśmy z Tomkiem Przybyszewskim do kolportażu „Tygodnik Mazowsze”, a my odpowiadaliśmy za druk ulotek. Powielacz, który pracował u mnie na Piekarskiej stanowił własność Grup Oporu Solidarni i oni byli naszym głównym odbiorcą ulotek i książek..

– Mówiłeś już o tym w jakich warunkach wszystko się odbywało: w hałasie, z ułańską fantazją.

– Puszczaliśmy muzykę, żeby odgłosy druku zagłuszyć. Powielacz był korbkowy. Przy drukowaniu ulotek musieliśmy ściągać tłustą czarną farbę z sufitu, która nam wystrzeliła z puszkii. Później przerzuciliśmy powielacz na Białołękę do domu teściowej internowanego działacza Solidarności Aleksandra Janiszewskiego, w wolnej Polsce Dyrektora Naczelnego PKP. Pracowałem też przy druku książek dla „Pokolenia” i „Rytmu”.

– Na historii była grupa, która też składała dla „Pokolenia”, przewodził jej Piotr Skwieciński, później w latach 90 wiceszef „Wiadomości TVP”.

– Zapamiętałem również lokal innego gościa mieszkającego blisko Uniwersytetu, przy Oboźnej. Później coś się z nim stało, nie wytrzymał napięcia, miał kłopoty ze sobą. To smutna historia. Wielu ludzi pozostawało ponad miarę obciążonych i zaganianych pracą dla opozycji, stały stres do tego dochodził. Nie istniał ścisły podział na działalność studencką i zewnętrzną, tylko środowiska, które przenikały się i wspierały.

– **Drukarze mieli zakaz uczestniczenia w demonstracjach ulicznych, żeby niepotrzebnie nie mnożyć ryzyka. To był rodzaj podziemnego BHP.**

Tak było ustalone np. w Grupach Oporu „Solidarni”, ale...

– Do 1987 roku byłem na wszystkich demonstracjach w Warszawie i na wszystkich pielgrzymkach papieskich. Skoro mieszkałem na Starym Mieście, łatwiej przychodziło mi na nie dotrzeć i po nich uciec. 1 maja 1982 r. rozmiary demonstracji zaskoczyły władzę, wtedy nawet nie atakowano. Z kolei 3 maja 1982 r. wydarzenia wymknęły się milicji spod kontroli, manifestacja po rozproszeniu przekształciła się w wielogodzinne walki uliczne. Zdobyliśmy wtedy



3 XI 1984 rok. Warszawa. Pogrzeb księdza Jerzego Popiełuszki. Fot. Mirosław Mikulski

pałkę i czapki milicyjne. Miałem je jeszcze przez wiele lat. 31 sierpnia 1982 r. Stare Miasto w ogóle wcześniej zamknięto, więc wszystko, czego na demonstrację potrzeba, trzeba było przenieść wcześniej. Mniejsze spotkania odbywały się przy krzyżu z kwiatów, stojącym na placu Piłsudskiego, wtedy noszącym oficjalnie nazwę placu Zwycięstwa. Tam poznałem swoją żonę. Władza zamiast te demonstracje za każdym razem rozganiać, a odbywały się najpierw trzynastego, szesnastego, dla upamiętnienia ofiar stanu wojennego i konkretnie górników z Wujka, postawiła wreszcie na tym pl. Zwycięstwa płot, ogrodziła teren, że niby remont się tam zaczął. Krzyże z kwiatów stały też przy kościele Św. Anny oraz przy wizytkach, tam gdzie teraz znajduje się pomnik prymasa Stefana Wyszyńskiego.

– Z czasem jednak demonstracje spowszedniały, coraz mniej ludzi na nie przychodziło, bo nie przynosiły przecież widocznego skutku?

– Dlatego poszukiwało się innych form działania, Grupy Oporu Solidarni postawiły w Pasażu Śródmiejskim „gadałę”, która nadawała komunikaty, póki władze jej stamtąd nie ściągnęły. Nadawali audycje radiowe i telewizyjne, wywieszali wielkie plakaty razem z wystrzeliwanymi ulotkami. Pojawiły się też kontakty z interesującymi środowiskami. Nawiązałem współpracę, na początek przy kolportażu z „Wolą” i jej środowiskiem, tworzyli je Michał Boni, Maciej Zalewski – młodzi wykładowcy z polonistyki, prawdziwi intelektualni fightery, a także Paweł Bujalski. Liczne spotkania i dyskusje odbywały się w kościele na Karolkowej. Organizował je Marian Parchowski, wywodzący się z „Solidarności” MZK.

– Na samym UW też się ważne dyskusje odbywały, mam na myśli Międzywydziałowe Koło Naukowe „Wiedza”, gdzie organizował je Grzegorz Ilka.

– Ściągali fajnych panelistów, Ilka i Cezary Miżejewski, organizowali wykłady, pasjonujące spotkania, dla nich to była przygrywka do odrodzenia Polskiej Partii Socjalistycznej, w którym wkrótce czynnie uczestniczyli.

– Ale zaraz się okazało, że PPS-y są aż trzy i ze sobą konkurują. Natomiast do władz koła „Wiedza” wszedł Paweł Lisicki.

– Międzywydziałowe Koło Naukowe „Wiedza” wydawało broszury na różne tematy...

– ...**cieszące się zainteresowaniem zarówno na historii, jak polonistyce.**

– Wśród nich były publikacje dotyczące dziejów najnowszych, prawa pracy, ruchu związkowego. Jak drugi obieg, tyle, że nie były nielegalne.

– **Podobnie jak samorząd studencki. Kiedy zdecydowałeś, że spróbujesz sił na szczeblu wyższym niż macierzysty wydział?**

– Ludziom podobało się to, co robiłem w samorządzie na wydziale prawa i administracji, mnie samemu również to odpowiadało. Namówili mnie Tomasz Wiścicki i Maciek Strzembosz. To był czas marazmu i zniechęcenia. Wejście do samorządu na wyższym szczeblu wypełniało lukę w możliwości legalnego działania. Samorząd na uniwerku miał o wiele większe możliwości działania niż to wynikało z reżimowej ustawy i był faktycznie przejęty przez studentów związanych z opozycją. Oficjalne organizacje studenckie faktycznie się od dawna nie liczyły.

– **Na polonistyce na roku było około 150 osób, trzy z nich należały do ZSP.**

– Na prawie wybory do samorządu zawsze wygrywały wskazane przez nas osoby. Nie chodziło o to, żeby kogokolwiek sekować. Raczej zdrowa logika podpowiadała, że nie ma sensu, żeby samorządem na uczelni zawiadywało przedłużone ramię formacji, która i tak niepodzielnie rządzi w kraju. Zresztą skupieni byli na czym innym. Socjalistyczne organizacje, wtedy już kadrowo nieliczne, zajmowały się załatwianiem pracy, spółdzielniami studenckimi, turystyką. Tam był szmal.

– **Wspomniałeś, że zachęcano Cię do kandydowania, bo podobało się to, co robisz na wydziale. Co konkretnie?**

– Na prawie nie było marazmu. Organizowaliśmy obozy, koncerty (Maciej Zembaty, John Porter, Przemysław Gintrowski, Zbigniew Łapiński), klub filmowy, spotkania dyskusyjne z ludźmi z zewnątrz o interesującym dorobku czy poglądach. Utrzymywaliśmy relację z duszpasterstwem akademickim w św. Annie, spotkania odbywały się tam w salach za kościołem. Doskonale pamiętam ks. Józefa Maja, lubił mnie, wiedział o mnie, że jestem wierzący, chociaż praktykujący nie bardzo. Potem w 1984 r. udał się on do parafii na Służewie, a w św. Annie współpracowaliśmy z ks. Tadeuszem Uszyńskim.

– **Jak się to wszystko udawało pogodzić?**



Studencki happening z cyklu: „Niestety Znowu Studenti” (NZS), 1987 rok. Na zdjęciu od prawej m.in.: Elżbieta Szkopek i Robert Kwiatkowski. Fot. Danuta Bolikowska.

– Wielkie sprzeczności raczej się nie pojawiały, w tym, co robię różne sfery się raczej doskonale uzupełniały. Obawiać się można było wpadki. Najbliżej jej byłem w stanie wojennym, gdy jeszcze obowiązywała godzina milicyjna. Przekroczyłem ją, wysiadłem z autobusu przy Kapucyńskiej już po 23. Z daleka zobaczyłem skota, transporter opancerzony. Wbiegłem w Kapitulną. Liczyłem na to, że takie pojazdy bojowe nie skręcają równie sprawnie jak samochody. Okazało się jednak, że skręcają praktycznie w miejscu. Udało się. Wpadłem do klatki swojego domu na ul. Piekarskiej. Potem do mieszkania. I od razu rozebrałem się i do wanny. Słyszałem jak ZOMO-wcy pobiegli na podwórko, przeszukują blok, dobijają się do mieszkań, ale do mnie na parter już nie trafili, widać zrezygnowali wcześniej.

– **Czy już jako szef samorządu studentów Uniwersytetu Warszawskiego bywałeś ciągnany przez bezpiekę lub milicję?**

– Przed 1 maja 1986 r. miałem rozmowę ostrzegawczą. Przyjechali do mnie do domu, żeby mnie do Pałacu Mostowskich na nią zabrać. Powiedziałem, że zaraz w telewizji jest „Isaura”, którą zawsze oglądam. Uspokoiли mnie więc, że

mnie odwozą. Przesłuchiwali mnie – można powiedzieć – lajtowo, opowiadali, że niby wiedzą, że coś organizujemy, ale nawet bez wielkiego straszenia.

– **Czy rzeczywiście potem do domu odwieźli? Niby na tę „Niewolnicę Isaure”?**

– Nie odwieźli w końcu. Powiedzieli: „masz blisko”. Zresztą rzeczywiście, z Pałacu Mostowskich na Piekarską nie jest daleko.

– **Jak wyglądała Twoja rola w uniwersyteckiej polityce, gdy zostałeś szefem samorządu studenckiego?**

– Udawało się łączyć działalność opozycyjną z działalnością samorządową. Byłem powszechnie znany, przynajmniej na Krakowskim Przedmieściu (główny kampus uniwerku) Nie zaniedbywałem oczywiście codziennych spraw studenckich, socjalno-bytowych. Wiadomo, że nawet jak na socjalizm – był to również pod tym względem czas trudny. W akademikach zimno i ciągłe awarie, brakowało wszystkiego, podobnie na uczelni sale niedogrzone i wieczny brak funduszy na cokolwiek. Jeśli zaś chodzi o pozostałe sprawy – wypracowałem sobie formy stałej konsultacji. Nie dlatego, że komuś podlegaliśmy, bo tak nigdy nie było, tylko żeby współpracować. Z tego powodu uzgadnialiśmy nasze działania z Maciejem Jankowskim. Również z Januszem Onyszkiewiczem. Działająca tajnie Komisja Zakładowa „Solidarności” UW zaczęła zapraszać studentów na swoje zebrania. Świetnie rozmawiało się z filozofem Jerzym Wociałem, ważną postacią inteligenckiej opozycji. Samorząd był dla „Solidarności” ważny, wyczuwaliśmy to i... nie dziwiliśmy się wcale. Większość rzeczy wygrywaliśmy przecież. Mimo przeforsowania przez władzę niekorzystnej dla nas nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, samorząd zachował swoją pozycję i nie pozwolił się stłamsić.

– **Pamiętamy kampanię przeciw nowelizacji w 1985 roku, uniwersytet oblepiony plakatami: „Nie znowelizujecie naszych umysłów”.**

– Możliwości samorządu pozostały o wiele większe, niż wynikało to ze znowelizowanych przepisów. Siła samorządu była taka, że wszystko z nami konsultowano. Choćby to, które organizacje dostają pieniądze. Trzeba pamiętać, że nie były to czasy wielkiej opozycyjnej polityki. Na prawie działalnością opozycyjną, wszystkimi jej formami w sumie zajmowało się ze sto osób.

– **Na historii jeszcze mniej.**

– Cała młoda opozycja, to były organizacje kadrowe. Nie masowe.

– **Tomasza Ziemińskiego od kiedy pamiętasz?**

– Jakoś tak od początku, spokojny student, zaangażowany, w wielu rzeczach aktywny, takim go właśnie zapamiętałem. Podobnie jak wielu studentów wiedziało, że głównym kolporterem bibuły jest Paweł Porucznik. Stworzył całą sieć kolportażu. Ale tę bibułę rozpowszechniało się przy różnych okazjach, podobnie jak plakaty, czasem doraźnych. Grałem w reprezentacji uczelni w piłkę ręczną. Dogadałem się z paroma kolegami i kiedy graliśmy na wyjeździe w Kielcach, oplakatowaliśmy przy okazji centrum miasta. Podobnie było w Puławach, okleiliśmy je dokładnie. Na wyjeździe czuliśmy się swobodnie. Niestety potem w „Tygodniku Mazowsze” przeczytaliśmy, że w tym drugim mieście po naszej akcji aresztowano aktywnych tam działaczy „Solidarności”.

– **Ale formuła tego, co robicie, stopniowo się zmieniała. Na łżejszą.**

– Współpracowaliśmy z Krakowem i z Wrocławiem. Podobała mi się Pomarańczowa Alternatywa, związana z drugim z tych miast. Spotkałem się z Waldemarem Fydrychem, dowiedziałem się, jakie akcje przeprowadzają i jaką mają filozofię.

– **Przebrani za krasnoludki wychodzili na Świdnicką we Wrocławiu i z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej rozdawali przechodniom papier toaletowy, wtedy naprawdę niedostępny w sklepach.**

– Spodobało mi się to.

– **I tak w 1987 r. zrodził się pomysł happeningu „Niestety Znowu Studenti”? Za jego sprawą historyczny skrót... powrócił do gry. Jak postrze-gałś odrodzenie NZS?**

– Poszliśmy na akcję również z udziałem osób dotychczas z NZS nie kojarzonych. Mieliśmy transparent „Niestety Znowu Studenti”. Nie ukrywam, że ja to wymyśliłem w trakcie spotkania w którym uczestniczyli też Paweł Porucznik i Tomek Ziemiński, „Zimol”, a na samej akcji byli również m.in. Mariusz Kamiński, Andrzej Papierz... Uformowała się grupa, nazwijmy ją towarzysko-polityczną, która spotykała się, ustalała, wyjeżdżała jeśli trzeba. Można powiedzieć, że było z czym wracać. Większość aktywnych osób zajmowała się kolportażem. Jako szef samorządu na UW jeździłem do Lecha Wałęsy podładować akumulatory, zawsze tam stał fiat przed jego domem, wiadomo skąd.

Pamiętam, jak jego żona podawała kawę i herbatę, a dzieciaki po mieszkaniu biegały. Byłem witać Papieża na Westerplatte, tam pojawiły się już transparenty NZS, towarzyszące epokowemu przesłaniu, skierowanemu do młodzieży, niezmiernie istotnemu również dla budzenia się opozycyjnych nastrojów pod koniec lat 80. W różnych sferach rozwijaliśmy aktywność. Próbowaliśmy nawet przejąć z Tomkiem Ziemińskim klub „Hybrydy” na przełomie 1987/88, mając poparcie władz uczelni. Zabrakło niewiele: konkretnie jednego głosu w radzie, która o tym decydowała. Jeden z naszych przeszedł na drugą (ZSP) stronę.

– **Jak wyglądała czołówka kadrowa ówczesnej opozycji studenckiej?**

– Stale ci sami ludzie się angażowali w różnych formach: Tomek Ziemiński, Paweł Porucznik, Jan Szczurba, Andrzej Anusz, Mariusz Kamiński). Dzielnie działały dziewczyny, na prawie Lilianna Plesiewicz aktywna i waleczna, również na tym wydziale Kinga Hałacińska. Kobiety były wtedy skłonne do poświęceń, piękny transparent „Nie zapomnimy studenci prawa” wywieszony na mszy w czasie pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki zrobiliśmy z materiału na suknię mojej żony (fot. ze str. 244). Z czasem zagustowaliśmy w formie happeningowej, ponieważ wzbudzała ona zainteresowanie, ściągała ludzi, wreszcie utrudniała interwencję milicji i służby bezpieczeństwa, przygotowanych lepiej na konwencjonalne formy demonstracji protestacyjnych lub rocznicowych. Trudniej przychodziło rozpraszać dziwacznych przebierańców, jak krasonoludki we Wrocławiu, niż wychodzących z kościoła i śpiewających pieśni patriotyczne. Rozegraliśmy na błoniach Stadionu Dziesięciolecia – tam, gdzie dziś stoi Narodowy – mecz piłkarski KS Nędza – FC Dobrobyt. Zapożyczona od wrocławian formuła Pomarańczowej Alternatywy sprawdzała się znakomicie. Kadrowki organizowało się już wcześniej, pamiętam taką na Starówce przy Barbakanie z udziałem Mariusza Kamińskiego w trakcie X zjazdu PZPR w 1986 r. – ale robione na poważnie, nie przynosiły takiego efektu, chociaż mówiło o niej Radio Wolna Europa.

– **Jak się w tym odnajdował samorząd?**

– Temat kolejnego happeningu: pogrzeb BUW, wiązał się ściśle z misją na Uniwersytecie, która pociągała za sobą zagrożenia dla biblioteki. Zajmowaliśmy się tym na co dzień. Samorząd studencki zachowywał swoją niepowtarzalną rolę do odegrania. W latach 80 niektórzy rektorzy UW nie reprezentowali już władzy, tak jak wcześniej np. prof. Henryk Samsonowicz

i prof. Grzegorz Białkowski. Zwłaszcza ten ostatni, fizyk i poeta, otwarcie sympatyzował z opozycją, zresztą w 1989 r. został wybrany senatorem z Komitetu Obywatelskiego. Wcześniej pojawiał się na zebraniach uniwersyteckiej „Solidarności” z punktu widzenia władzy nielegalnych.

– Prorektor Marek Wierzbowski z działaczami nielegalnego wtedy NZS spotykał się i rozmawiał w Łazienkach.

– Z nami, z samorządem rektor, czy prorektor mógł spotkać się u siebie w gabinecie na uczelni. Wszyscy mieli swoje role do odegrania. Samorząd studencki wtedy swoją szansę na pewno wykorzystał. Szefem samorządu na UW zostałem w 1986 r, a w listopadzie 1987 r. Piotr Ciompa został wybrany na mojego następcę. Pomagałem mu w przejściu władzy przez NZS, bo mieliśmy ogromny problem z zaangażowaniem studentów w wybory samorządowe. W kolejnym, 1988 roku ma miejsce masowy wiec na UW z okazji 20-tej rocznicy 8 marca 68, a potem majowy strajk, wspierający protesujących robotników, w tym z wziętej szturmem przez władzę Nowej Huty.

– Z czasem jednak pojawi się odczucie, że coś się kończy.



16 grudnia 1987 rok. Pogrzeb „BUW-u” (Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego).
Fot. Elżbieta Szkopek.

ROZMOWA Z ROBERTEM KWIATKOWSKIM. OPOZYCYJONISTĄ...

– W działalności wydawniczej już od 1985 roku pojawiły się pierwsze tego symptomy, coraz więcej było komercji, działalność podziemna musiała się sama finansować. Największe przebitcie osiągały znaczki o tematyce patriotycznej, więc niektórzy się w nich wyspecjalizowali. Z książkami zaczęło być podobnie.

– **Strefa wolności jednak rozszerza się stopniowo, najpierw książki drugiego obiegu kolporterzy sprzedają pokątnie na wydziałach. Potem stoliki z nielegalnymi wydawnictwami stają na dziedzińcu. Wreszcie wychodzi się z nimi na Krakowskie Przedmieście, za bramę uczelni, do przechodniów...**

– Na pewno – za sprawą NZS-u, mądrych, sprzyjających nam profesorów, młodej kadry, samorządu studenckiego i wszystkich, którzy pozostali aktywni w opozycji Uniwersytet Warszawski pozostał w najtrudniejszych czasach oazą wolności, spokoju i solidarności. Udało się tam stworzyć ośrodek wyjątkowych działań, promieniujących na zewnątrz. Nie zmarnowaliśmy tego czasu. Samorząd studencki stał się dla wielu nauczycielem życia i miał wpływ na to co robiliśmy w wolnej Polsce.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

**TO NIE JA ZAINTERESOWAŁEM SIĘ HISTORIĄ.
TO ONA MNĄ SIĘ ZAINTERESOWAŁA**

**ROZMOWA Z BOGDANEM RYMANOWSKIM, DZIENNIKARZEM,
DZIAŁACZEM FEDERACJI MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ Z LAT 80.
AUTOREM BIOGRAFII KORNELA MORAWIECKIEGO**

– Co takiego szczególnego charakteryzowało klimat Nowej Huty, gdy w latach 80. zaczynał Pan tam działalność opozycyjną?

– Obrazek z 13 grudnia 1981 r. mam dotąd w pamięci. Jako nastolatek mieszkam wtedy przy głównej arterii nowohuckiej, później nazwanej ZOMO-strasse. Widzę czołgi i transportery, jadące w stronę Huty, wtedy imienia Lenina, później Sendzimira. Chodzę wtedy do ósmej klasy podstawówki. To nie ja zainteresowałem się historią. To ona się mną zainteresowała.

– Jak wyglądał pierwszy Pana kontakt z „bibułą”?

– Mama pracowała wtedy na poczcie. Przyniosła jakieś ulotki. Przeglądałem je z wielkimi emocjami.

– Federacja Młodzieży Walczącej dużo później powstała...

– Najpierw zginął Bogdan Włosik, w październiku 1982 r. Nie tylko dla mnie stało się to wielkim przeżyciem, dla wielu rówieśników również. Wtedy już byłem w liceum, chodziłem do 16. LO. Czekaliśmy na trasie przemarszu robotników z huty: wychodzili, gdy kończyła się zmiana. Przy kościele, tam gdzie Szklane Domy, B-1, tam zwykle czekałem. A przy naszej szkole parkowały zomowskie samochody. Wtedy, jak zginął Włosik walki w Nowej Hucie trwały prze trzy dni.

– Największe starcia uliczne, może po pamiętnej „bitwie wrocławskiej” z 31 sierpnia tego samego roku, którą opisuje Pan w biografii Kornela Morawieckiego?

– Oczywiście nie byłem świadkiem śmierci Bogdana Włosika, chociaż znajdowałem się wtedy na ulicy, ale w innym miejscu. Młodzież dołączyła wtedy do robotników. Huta oddalona była o 2–3 kilometry. Tyle miał do przejścia ich pochód. Demonstrację przy Szklanych Domach rozganiało ZOMO. Robotnicy szli na Plac Centralny. Tam stał pomnik Lenina. A wieczorem odbywały się msze w Arce. Tam właśnie, niedaleko zginął Bogdan Włosik. Wtedy w trakcie tej trzydniowej bitwy gdy wychodziłem po mszy musiałem przejść przez kordon ZOMO. Sprawdzali ręce. Patrzyli, jeśli były brudne – to uznawali, że od rzucania kamieniami. I wtedy zatrzymywali. Dwie moje koleżanki zostały wówczas złapane. W goglach narciarskich, okularach w sam raz na gaz łzawiący. Jakoś przez ten kordon przeszedłem. Poznawaliśmy się wtedy na demonstracjach. Kontakty przy ich okazji zawarte przydały się później i przetrwały.

SZAŁ NIEBIESKICH CIAŁ

– **Czy można mówić wprost o fenomenie Nowej Huty jako miejsca antykomunistycznego oporu?**

– To wdzięczne miejsce do bitwy. Warto bowiem pamiętać, że Nową Hutę zbudowano tuż po wojnie na planie miasta rzymskiego. Szerokie arterie sprzyjały temu, co robiliśmy w latach 80. Zupełnie inaczej działało się w starym Krakowie. Tam ośrodkiem demonstracji stawał się zwykle Wawel albo Kościół Mariacki, później kierowały się one w boczne ulice, warunki okazywały się bez porównania trudniejsze, to znaczy milicji łatwiej było manifestantów rozprasać. W Hucie to co innego... Szał niebieskich ciał... Niektóre demonstracje trwały nawet do czwartej czy piątej nad ranem.

– **Ale przecież nie tylko o topografię chodziło?**

– Z drugiej strony był tam też duch, wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju. Myśmy mówili między sobą, że Nowa Huta to jest coś, u nas są robotnicy i młodzież, a krakusy to cieniasy. My walczymy z komuną nie w kawiarni przy kawie... Myśmy wtedy żyli walką. Równocześnie jednak rozwijaliśmy akcję samokształceniową. W latach 1983–84 powstawały wśród nas grupy małego sabotażu. Malowaliśmy po murach, szlachetnych wzorców nie brakowało. Zналиśmy się ze starą Solidarnością, z ludźmi w nią zaangażowanymi, ale o żadnej formalnej podległości nie można było mówić. Nie na niej przecież

nasza działalność polegała. Potem cała nasza grupa, to już był 1984 rok, weszła w skład Federacji Młodzieży Walczącej, która powstała w Warszawie.

– **Skąd się wziął ten wybór?**

– Ze zgredami iść nie chcieliśmy. Mieliśmy swój radykalny styl, nasze formy działalności. Wcale nie tylko o zadymy uliczne chodziło. Prowadziliśmy kółka samokształceniowe, wymienialiśmy się bibułą, mnóstwo czytaliśmy i dyskutowaliśmy. Duże znaczenie miał dla nas kościół w Mistrzejowicach.

RADYKAŁAMI BYLIŚMY, ALE NIE PROSTAKAMI

– **Kogo uznawaliście za przywódcę duchowego, jeśli o tej kategorii można mówić?**

– Postacią mającą dla nas ogromne znaczenie, prawdziwym autorytetem pozostawał dla nas ksiądz Kazimierz Jancarz. Nasz ks. Jerzy Popiełuszko, śmiało mogę tak powiedzieć. Kładł nacisk raczej na formację duchową. Oczywiście z wyższością patrzyliśmy na oazowców, z rezerwą słuchaliśmy ich prostych piosenek, to zupełnie nie były nasze klimaty. Nie pociągali nas ludzie, którzy uznawali, że działalność opozycyjna polega na regularnym chodzeniu na mszę i to w zupełności wystarczy. Ważni dla nas byli za to opozycyjni działacze z Huty, jak Mieczysław Gil czy Edward Nowak. Z czasem poznałem Janka Ciesielskiego, współpracowało się z nim doskonale. To oczywiste, że FMW współdziałała z „S”. Dostawaliśmy „Hutnika”, którego redagowali i drukowali Wojciech Marchewczyk i Leszek Jaranowski, ulotki a także wydmuszki z bitumiksem, którymi potem rzucaliśmy w rozmaite ustawione na ulicy konstrukcje propagandowe władzy, dzisiaj byśmy je nazwali banerami czy billboardami. Ale na tym rzecz się nie kończyła. Czasem na drzwiach mieszkań esbeków wykonywało się napisy: „tu mieszka kapuś”.

– **Ale zaczął też Pan działalność dziennikarską?**

– W 1986 r. rozpocząłem studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zresztą obowiązywała zasada, że pozostajemy zakonspirowani. W szkole średniej ciężko przecież przyszłoby działać z otwartą przyłbicą. Wtedy zresztą spytałem szefa struktury FMW czy mogę wystartować w olimpiadzie wiedzy o partii. Zgody mi udzielił, a ja tę olimpiadę wygrałem. Staraliśmy się przecież jak najwięcej dowiedzieć o polityce, w tym o przeciwniku. A tego samego wie-

czora jeszcze poszedłem w miasto niszczyć partyjne transparenty. Natomiast rzeczywiście na przełomie 1985/86 zacząłem się bawić w dziennikarstwo.

– **Niech Pan nie będzie taki skromny, stał się Pan jednym z najpłodniejszych autorów tego środowiska?**

– Rzeczywiście używałem paru pseudonimów. To znaczy imię zawsze było to samo: Karol. Ale dalej już różnie: Karol S-ki, Karol Radykalny, różne warianty się pojawiały.

– **Pojawił się skrótowiec „BMW”?**

– Biuletyn Młodzieży Walczącej... To oddawało ówczesny styl. W Warszawie Niezależne Zrzeszenie Studentów wydawało „CIA” od Centrum Informacji Akademickiej. U nas w Krakowie potem pojawiło się też „FBI” – Federacyjny Biuletyn Informacyjny.

– **Fantazji Wam nie brakowało?**

– Zależało nam na pewno na przełamaniu krzywdzących stereotypów, że są „chuligany” z Nowej Huty i „mądrale” z Krakowa. To, że pozostajemy radykalni, wcale nie oznaczało, że czujemy się prostakami. Wręcz przeciwnie, angażowaliśmy się w Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy pod auspicjami ks. Kazimierza Jancarza. To była już prawdziwa akademia podziemna. Kolegów miałem wciąż zarówno w szkołach zawodowych jak na studiach. Na fenomen opozycyjnej Nowej Huty składało się również to, że środowiska robotnicze i młodzieżowe nie musiały się szukać nawzajem. Również budowało to swoistą masę krytyczną radykalizmu. Stykaliśmy się z ludźmi, którzy mają realne problemy. Publikacje FMW cechował wysoki poziom.

WPADŁEM RAZ PRZEZ GŁUPIE ULOTKI

– **Jak rozumiemy działalność opozycyjna bez wpadki nie była możliwa, kiedyś to musiało nastąpić?**

– Rzeczywiście tak się zdarzyło, że w 1987 r. zostałem złapany przez prymitywną ulotkę. Przed chwilą chwaliłem wysoki poziom tekstów z naszych biuletynów. A tu okazało się, że wraz z kolegą, który miał pseudonim Rambo i nosił go nieprzypadkowo, bo straszny był z niego raptus, odczytany w pamiętnikach powstańców i dość dosłownie tę tradycję traktujący – dowiedzieliśmy się o planowanej demonstracji. W starym Krakowie, nie u nas w Hucie. Przygotowa-

liśmy na drukarence byle jakie ulotki z PZPR na szubienicy. Ruch Wolność i Pokój coś robił pod pomnikiem Mickiewicza na Rynku. Rzuciliśmy wtedy te ulotki, które ze sobą wzięliśmy. Do tramwaju wsiadaliśmy już oczywiście zgodnie z wymogami konspiracji osobno. I wtedy zauważyłem, że za mną pakuje się na Basztowej do wagonu jednoznacznie się prezentujący facet. Potem widzę samochód jadący równo z tramwajem. Ostentacyjnie już. Zorientowałem się szybko, że szanse mam niewielkie. Gdy wysiadłem, już w Nowej Hucie zacząłem biec. Znałem teren, liczyłem jak zwykle na przechodnie klatki budynków osiedla. W końcu nie dałem już rady. Facet wyrósł przede mną jak spod ziemi. Ciągnie mnie do suki i mówi: będziesz siedział.

– **Co działo się dalej?**

– Zapakowali mnie na Siemiradzkiego. Czytałem wiele razy „Małego konspiratora”, jak się w podobnych wypadkach zachować. Wiedziałem, żeby na żadne pytania konkretnie nie wolno odpowiadać. Jednak jak się okazało, nawet nie zostałem przesłuchany. Posadzili mnie z przestępcami na dołku. Tam byli jacyś złodzieje, pijacy po różnych burdach. Podest był, żeby się położyć i koc. Zasnąć jednak się nie dało z powodu emocji. Wiedziałem przecież, że w domu mam bibułę, więc bałem się o mamę. Ale Rambo nie złapali, a on oczywiście zachował się jak należy. Poszedł do mnie do domu, powiedział mamie, że trzeba mieszkanie wyczyścić. Zatrzymali mnie w piątek po południu. W celi światło się świeciło przez całą noc. Przeszkadzało mi to trochę, podchodzę więc do drzwi i widzę przycisk. Myślę, że to wyłącznik. I zaraz przybiega klawisz. Bo to był przycisk, ale do ich wzywania. Potem śmiechu było w celi z tego powodu co niemiara, że okazałem się nieobyty.

– **Poważnych konsekwencji nie było?**

– Jak się okazało, nawet przesłuchany nie zostałem. Swoje znaczenie miał fakt, że to był już 1987 rok, wtedy ekipa generałów już nie gustowała w twardej represjach, stosowali raczej kolegia. Poza tym esbecy też byli różni. Nie w sensie światopoglądu tylko gorliwości. Zdarzali się ci, co praktycznie pracowali tylko do szesnastej i na takich właśnie trafiłem.

– **Wyszli z założenia, że „dzięki Bogu już piątek” więc fajrant? Termin zatrzymania okazał się szczęśliwy?**

– Rewizji w domu też mi nie zrobili. Za to klawisz pod celą mnie zawołał:

będziesz myć naczynia. Najpierw odmówiłem, że jestem polityczny. Potem jednak uznałem, że lepsze to niż rozpamiętywanie ewentualnych zagrożeń. W niedzielę wieczorem mnie wypuścili, bez przesłuchania. Potem stawałem przed kolegium. Zasadzono 90 tys zł.

– Zapłacił Pan?

– Nie zapłaciłem. Ojciec wtedy strasznie się martwił, że przyjdą i mu telewizor zabiorą. Uspokajałem go, że nie mogą, bo przecież nie jest mój. Przeciągnąłem sprawę aż do 1990 r. kiedy to oficjalnie uznano, że nie muszę grzywny płacić. Za to gorzej, że wtedy w 1987 r. wezwanie na kolegium przyszło w terminie, w którym wybierałem się na spotkanie z Papieżem na Zaspę w Gdańsku. Nadrobiliśmy to na Błoniach, gdzie występowaliśmy wspólnie, po mszy laliśmy się z ZOMO, gdy chcieli nam odbierać transparenty.

– Jerzy Surdykowski, zasłużony dla krakowskiej opozycji, wspominał, że pierwsze dni stanu wojennego pod Wawelem miały dość łagodny przebieg, za to gorzej było zarówno w październiku 1982 r. kiedy zginął Włosiński, a także już pod koniec lat 80, gdy komendantem milicji został gen. Jerzy Gruba?

– Wiedzieliśmy, że Gruba odpowiada za masakrę w kopalni Wujek, wtedy był komendantem wojewódzkim w Katowicach. Gdy nastał w Krakowie, przeżyliśmy swoją chwilę satysfakcji z nim związaną. W „Gazecie Krakowskiej” przyznał bowiem, że niepokoją go rozbudowane u nas struktury Federacji Młodzieży Walczącej.

– Jak przeżył Pan strajk w maju 1988 r. w Hucie, a ściślej jego złamanie przez ZOMO? Dla nas wyglądało to tak, że gdy rozbito protest w Hucie, zastrajkował Uniwersytet Warszawski, klimaty przeważały pogodne, to był sit-in na trawniku, ale dla Was pacyfikacja oznaczała pewnie sporą traumę?

– Pozostawaliśmy radykalni więc nie zachowaliśmy złudzeń co do intencji władzy. Federacja Młodzieży Walczącej wspierała strajk w mieście. Chodziło o to, żeby o strajku powiadamiać i budować dla niego poparcie, więc to właśnie robiliśmy. Atak to był oczywiście szok. Również dla nas, radykałów. Uderzenie okazało się podstępne, przecież trwała mediacja, toczyły się rozmowy. Za to już 31 sierpnia 1988 r. stało się jasne na kolejną rocznicę Solidarności, że idzie zmiana.

UZNAŁEM, ŻE KORNEL REPREZENTUJE BLISKIE MI IDEE

– Jak się Pan wobec niej odnalazł? Czy gdyby nie Okragły Stół, mielibyście poczucie bezradności?

– Naszą ambicją pozostawało, żeby wstrząsnąć człowiekiem. Temu służyła cała nasza maszyna przygotowana na demonstracje. Pudełko od papierosów z nabojem od syfonu i plasteliną w środku. To się zapalało. Jednak Stefan Kisielewski wtedy pisał... o urządzaniu się w dupie. Wiedzieliśmy, że ludzie chcą na Zachód. Wziąłem udział w kampanii Komitetu Obywatelskiego. Poszedłem na wybory 4 czerwca 1989 r. Z czasem przyszło też zająć się sobą – studia kończyłem przecież w dziewięć lat.

– A Lech Wałęsa jakie wtedy odczucia w Panu wzbudzał?

– Już nie miałem wówczas złudzeń co do niego. Ten pociąg odjechał. Potrzeba było kogoś innego, kto ludźmi wstrząśnie.

– I dlatego w 1990 roku już zapisał się Pan do Partii Wolności Kornela Morawieckiego?

– Rzeczywiście taką decyzję podjąłem. Uznałem, że Kornel reprezentuje bliskie mi idee. Gwałtownego zerwania z poprzednim złym systemem. Nie strzelania przecież, bo nie o to chodziło.

– Jednak w tym samym roku 1990 Morawieckiemu nie udaje się zarejestrować swojej kandydatury na prezydenta, mowa o tym, że arkusze z podpisami rozsypały się na schodach w siedzibie Państwowej Komisji Wyborczej?

– Wtedy byłem przekonany, że to robota komuny. Dlatego na tamte wybory już nie poszedłem. Z czasem dowiedziałem się, że z tymi podpisami rzeczywiście był problem. Zresztą moja optyka stopniowo się zmieniała. Wspominałem już, że nadrabiałem zaległości. Ale nie tylko to. 17 października 1990 r. zacząłem pracę w Radiu RMF.

SZKODA, ŻE NIE ZAISTNIAŁ JAKO BUDOWNICZY NOWEJ POLSKI

– Morawiecki był wtedy dla Pana ważną postacią. Zaś teraz napisał Pan jego biografię. W praktyce to najnowsza historia Polski widziana z perspektywy jego działalności?

– Cieszę się, że właśnie tak panowie ją odbieracie.

– Dlaczego właśnie Kornel, tak go nazywajmy, skoro wszyscy byliśmy z nim po imieniu, zresztą łatwo na tę formę przechodził?

– Zawsze miał w moim sercu ważne miejsce. Dla zadymiarzy z FMW ale także uczestników naszych kółek samokształceniowych pozostawał ważną postacią. Gdy Edek Miszczak dał mi szansę pracy w RMF, zaprosiłem Kornela do studia na długą rozmowę, takich już dziś się na antenie nie prowadzi. Wtedy stało się jasne, że zajmę się polityką ale z tej drugiej strony, dziennikarza a nie uczestnika gry.

– Jak zapamiętał Pan Kornela?

– Uczciwy, szczerzy, prostolinijny. Taki był kiedy przyjechał do mnie do studia, na Kopiec.

– Opisuje Pan drogę Kornela Morawieckiego. I stawia Pan tezę, że popełnił błąd, że się nie ujawnił w 1988 r. wrócił nielegalnie i co dalej?

– Nie wierzył komunistom. Sądził, że jeszcze raz spróbują rozwiązania siłowego, jak po Sierpniu 1980 w grudniu 1981 r. Kornel zakładał, że stanie się rezerwą strategiczną dla Solidarności. Nie zaistniał jednak jako budowniczy nowej Polski. Powrócił wówczas z banicji, przez Wiedeń, na lewym paszporcie kolegi. Jego przyjaciel Andrzej Myc mówił, że można było to inaczej rozegrać. Zwołać konferencję prasową w Warszawie, powiedzieć: „chcieliście mnie wyrzucić z Polski, a oto jestem”. Kornel jednak zdecydował, że pozostanie w podziemiu. Jego rywale zarzucali mu, że schował się do mysiej dziury. Pewnie też inaczej wyglądało to z perspektywy warszawskiej, niż u niego we Wrocławiu, a tam zawsze cieszył się najsilniejszym poparciem, chociaż oczywiście struktury Solidarności Walczącej działały też mocno w innych miastach jak Maciej Frankiewicz w Poznaniu. Zresztą trzeba mu oddać, że pewne oceny Kornela nie były oparte na przesłankach fałszywych, skoro Służba Bezpieczeństwa do stycznia 1990 r. rozpracowywała jego i SW.

KTO INNY SIEJE, KTO INNY ZBIERA PŁONY

– Czego zabrakło Kornelowi Morawieckiemu, żeby zaistnieć po 1989 r. na miarę roli, jaką wcześniej pełnił przez całe lata 80. w antykomunistycznej opozycji?

– Kornel to polityk idei. Nie pragnął władzy. Decydujące były wybory pre-

zydenckie z 1990 r. PKW zakwestionowała mu zebrane podpisy. Uznała, że jego komitet nie zebrał 100 tysięcy.

– Leszek Moczulski wtedy wystartował, wziął swoje 2,5 proc, co dało mu szóste miejsce, ale zaistniał?

– I w pierwszych wolnych wyborach KPN, która sromotnie przegrała w czerwcu 1989 r. jesienią 1991 r. wprowadziła do Sejmu 50 posłów.

– Zaś dawną diagnozę Kornela Morawieckiego przejęli inni, najpierw Jan Olszewski?

– W polityce nieznana jest kategoria praw autorskich. Część haseł przejął nawet Wałęsa, gdy rzucał hasło przyspieszenia. Profesor Andrzej Wiszniewski ujmował to w ten sposób, że kto inny sieje, kto inny zbiera plony. Warto pamiętać, że pod koniec lat 80. zarówno Jerzy Giedroyc jak Jan Nowak-Jeziorański byli gotowi wspierać Kornela Morawieckiego i w jego działalność inwestować. Wiemy, że to on miał rację, a nie prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush Senior, który już po czerwcowych wyborach 1989 r. przekonywał Wojciecha Jaruzelskiego, żeby broń Boże nie rezygnował z ubiegania się tu o prezydenturę. W Kornelu było coś pięknego, charyzma i szlachetność, ale nie miał szans w nowej polityce.

WCHODZI DO SEJMU, W KTÓRYM NIE MA JUŻ KOMUNISTÓW

– Powrócił jednak. W 2015 r. I to niezależnie od formacji politycznej syna Mateusza, za to w barwach Kukiz'15?

– Jak feniks z popiołów. Ze wzruszeniem słuchałem wtedy jego wystąpienia. Było inne niż wszystkie pozostałe. Oto Kornel wchodzi do Sejmu, w którym nie ma już komunistów.

– Symboliczne zwycięstwo?

– To był moment chwały. Dostał satysfakcję życiową. Dla niego to było jednak za mało. Nigdy nie patrzył na rzeczywistość z punktu widzenia własnego interesu. Zawsze aktywny, nie potrafił siedzieć z założonymi rękami. Nie było też tak, że zawsze chwalił syna. Potrafił go zganić choćby za wypowiedź z Monachium. Wprawdzie w spółkach Skarbu Państwa nie brakuje dawnych działaczy SW, ale Kornel był ostatnią osobą, z którą ich awanse omawiano.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

WYZWANIE I SPŁATA DŁUGU WdzięCzności

ROZMOWA Z JANEM JÓZEFEM KASPRZYKIEM,
MINISTREM - SZEFE M URZĘDU DO SPRAW
KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

– W chwili, gdy obejmował Pan Urząd ds. Kombatantów, cała sfera związana z tą tematyką kojarzyła się raczej z zaniedbaniami czy zaniechaniami. Jeśli rzecz ująć najkrócej, zwyczajny Polak, niezależnie od przynależności do któregoś z elektoratów, spostrzegął, że zwycięzcy zimnej wojny – bo tak można nazwać weteranów opozycji antykomunistycznej – mają standard życia zwykle niższy niż jej przegrani: służący poprzedniemu ustrojowi. W jakim stopniu brał Pan pod uwagę konieczność przełamania tej opinii, gdy podjął Pan wyzwanie?

– Uważałem to wyzwanie za spłatę długu wdzięczności. I traktowałem bardzo osobiście, bo jako syn żołnierza Armii Krajowej i więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych Gross-Rosen i Buchenwald-Dora, od najmłodszych lat wychowywany byłem w poczuciu wdzięczności wobec pokoleń, które potrafiły poświęcić wszystko dla wolności wspólnoty jaką jest naród i państwo. Dzięki mojemu śp. Ojcu i jego znajomym, a później jako działacz organizacji strzeleckich i piłsudczykowskich, poznałem bardzo dobrze środowisko kombatantów wojennych. Ogromną rolę dla kształtowania moich postaw życiowych odegrali poznani przeze mnie w latach 90-tych gen. Antoni Heda „Szary”, legendarny dowódca partyzancki z lat wojennych i powojennych, płk Zbigniew Brym, dowódca Żelaznej Reduty w Powstaniu Warszawskim i dr Zbigniew Motyczyński, oficer Kedywu, który wciągnął mnie do Związku Piłsudczyków, a potem wyznaczył swym następcą na stanowisku prezesa tej organizacji. Znałem też dość dobrze środowisko dawnych działaczy opozycji antykomunistycznej, a to



za sprawą moich wieloletnich przyjaciół Antoniego Piekalkiewicza i Wojciecha Pęgiela, działaczy KPN z Krakowa i Edwarda Mizikowskiego, tragicznie zmarłego w 2017 r. działacza MRKS i Solidarności Walczącej. Gdy w 2015 r. parlament przyjął ustawę o działaczach opozycji antykomunistycznej i osobach represjonowanych w PRL z powodów politycznych, z jednej strony cieszyłem się, że wreszcie ta grupa stała się podopiecznymi Urzędu, tak jak kombatancki wojenni, z drugiej – czuło się ogromny wstyd, że III Rzeczypospolita, dopiero po ćwierćwieczu zajęła się bohaterami Solidarności, KPN i innych formacji, którym Polska zawdzięcza wolność.

– **Również tymi, którym się w życiu nie powiodło?**

– Przede wszystkim nimi, bo życie nie ułożyło im się dlatego, że np. wyrzucano ich z pracy, kiedy mniej aktywni koledzy uzyskiwali premie i talony. A oni sami swoje siły i czas poświęcili działaniom opozycyjnym. Gdy przychodziłem do pracy w Urzędzie w 2015 r., zwycięzcy zimnej wojny, jak słusznie ich panowie określają, bo oni mają do tego tytułu pełne prawo, w nagrodę otrzymywali legitymację i znaczek. Kiedy znajdowali się w naprawdę trudnej sytuacji bytowej, o co wobec nadszarpniętego z powodu rozmaitych represji





zdrowia nietrudno – starać się mogli o czterysta złotych miesięcznie, o co na każdy kolejny rok zmuszeni byli wnioskować ponownie. Oczywiście mogli się też ubiegać o jakieś dodatkowe wsparcie, ale na to wszystko składały się żmudne procedury.

– Mitręga biurokratyczna, jaką niepodległe państwo polskie fundowało tym, którzy je wywalczyli? I wtedy doszedł Pan do wniosku, że tak daleko być nie może?

– Jedną z pierwszych rzeczy, co do których byłem przekonany i zdeterminowany, aby ją zmienić, gdy obejmowałem urząd, najpierw jako pełniący obowiązki a potem szef UdsKiOR, była konieczność zrównania w uprawnieniach działaczy opozycji antykomunistycznej z kombatanami czasu wojny. Bo choć po 1956 r. nie walczyli już z bronią w ręku, to walczyli przecież o to samo – o Niepodległość.

Prace nad nowelizacją ustawy trwały półtora roku. Nie z powodu czyjejkolwiek złej woli, tylko dlatego, że sejmowe młyny nie miały szybko. Zanim znalazłem się w Urzędzie, nie ukrywam – zupełnie inaczej sobie procedury legislacyjne wyobrażałem. Wreszcie jednak dopięliśmy swego. Dla nas to była



honorowa sprawa. Spłata długu wdzięczności, który wszyscy wobec bohaterów zaciągnęliśmy. Duża nowelizacja ustawy, z 2017 r. dała dawnym uczestnikom oporu antykomunistycznego prawa takie, jakimi cieszą się kombatanci czasu wojny. Comiesięczne świadczenia, bez względu na posiadane dochody, prawo do pierwszeństwa przy obsłudze medycznej, zniżki komunikacyjne, możliwość korzystania z pomocy doraźnej i okresowej, dofinansowanie pobytów w sanatoriach itp.

NIKT Z NAS NIE WIEDZIAŁ, ILU BĘDZIE KOMBATANTÓW

– Zapewne początkowy kłopot wiązał się z oceną liczby opozycjonistów? Zawsze mówiło się przecież o 10 milionach członków Solidarności?

– Okazało się to mitem. Ustawa wyklucza zresztą z grona beneficjentów działaczy NSZZ „Solidarność” z czasów „karnawału” lat 1980–81, którzy po prostu należeli do legalnego związku zawodowego, ale już po 13 grudnia 1981 r. i po delegalizacji podziemnej działalności nie podjęli. Status działacza opozycji antykomunistycznej może otrzymać ten, kto przez co najmniej rok prowadził działalność niepodległościową, a za tę aktywność mógł być narażony na

wszelkiego rodzaju represje ze strony aparatu bezpieczeństwa państwa komunistycznego. I oczywiście osoby, które dotknęły represje w postaci aresztowań, zatrzymań, internowania, pobicia, utraty pracy. Gdy w 2015 r. przyjmowano ustawę, z rozmaitych badań opinii publicznej wynikało, że działacze antykomunistycznych będzie nawet 300 tysięcy, ale przy dokładniejszej weryfikacji żadną miarą tej liczby nie dało się obronić. Pomocą w urealnieniu danych wykazał się Instytut Pamięci Narodowych, szacujący liczbę kombatantów antykomunistycznych na 50–60 tys. Jednak najbliżsi prawdy okazali się autorzy Encyklopedii Solidarności, szacujący, że było ich raczej 20–30 tys. Pamiętać też należy, że osoba ubiegająca się o uprawnienia musi najpierw przejść procedurę lustracyjną. Podczas mojej ośmioletniej bytności w urzędzie status uzyskało 17,5 tys. osób. W tej chwili żyje 15 tys. z nich.

– Czy pojawiły się jakieś napięcia między starszymi kombatantami wojennymi a nowymi antykomunistycznymi?

– Nie. I ogromna w tym zasługa nestora kombatantów, Żołnierza Armii Krajowej i kanclerza Kapituły Orderu Orła Białego sędziego Bogusława



Nizieńskiego, który zgodził się przewodniczyć powołanej przeze mnie Radzie do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Jego życiorys dobrze pokazywał, że wielokrotnie ci, którzy w czasie wojny walczyli z bronią w ręku, w latach 80-tych – tak jak on – włączyli się w wielki ruch Solidarności. Wiem natomiast z relacji urzędników, że gdy po raz pierwszy jeden z moich poprzedników śp. Janusz Krupski podjął inicjatywę włączenia działaczy opozycji antykomunistycznej do grona podopiecznych Urzędu, spotkało się to z oporem części środowisk kombatanckich. Wyróżniał się w tym ówczesny prezes Związku Kombatantów RP i byłych Więźniów Politycznych gen. Wacław Szklarski. Trudno mu się zresztą dziwić, bo sam był jednym z najbardziej zatwardziały komunistów i jednym z architektów stanu wojennego. Na szczęście, ja już nie musiałem przekonywać kombatantów, że grono podopiecznych Urzędu powiększy się o tych, którzy w sposób bezoreźny kontynuowali ich walkę o wolność. Przy wprowadzaniu dodatkowych rozwiązań służących opozycjonistom ogromnego wsparcia udzielił Kornel Morawiecki, który zgodził się przewodniczyć powołanej przeze mnie Radzie do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej i Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych. W dużej mierze dzięki







jego determinacji i pomocy, ale także dzięki osobistemu zaangażowaniu w ten temat prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, przeforsowaliśmy świadczenie wyrównawcze, dotyczące emerytur.

UBEK NIE MOŻE DOSTAWAĆ WIĘCEJ NIŻ TEN, KOMU SZKODZIŁ

– Jak najkrócej określić zasadę tych zmian?

– Przyjeliśmy założenie, że ubek nie może zarabiać więcej niż ten, kto był jego ofiarą. Dezubekizacja obniżyła temu pierwszemu świadczenia do najwyżej 2 tys. zł miesięcznie. Jeśli natomiast o prześladowanych chodzi, to wielu z nich pobierało świadczenia w granicach 1,5 tys. zł. Zasady naliczania długo okazywały się dla nich niekorzystne. Trzeba więc było to zmienić. Dlatego w 2020 r. na rocznicę Sierpnia przeprowadziliśmy nowelizację ustawy. Na jej mocy działacz opozycji nie może mieć emerytury mniejszej niż dwukrotność najniższej emerytury. Dziś daje to kwotę 3040 zł. Sucho to może brzmieć, jak wszelka mowa liczb, ale dla wielu ludzi oznacza świadomość uhonorowania a także rozwiązanie wielu życiowych problemów. Kolejna nowelizacja dotyczyła naliczania na nowo okresów składkowych. Kto tracił pracę, ze względu



na zaangażowanie opozycyjne, może ubiegać się o to, żeby emeryturę obliczono mu na nowo. Dodatkowo kwota należnego comiesięcznego świadczenia, bez względu na posiadane dochody wynosiła początkowo 400 złotych i ulegała corocznym waloryzacji. Dzięki naszym staraniom w lipcu 2023 r. nastąpiła znacząca zmiana. Comiesięczne świadczenie wynosić będzie 1580 zł. i będzie co roku rewaloryzowane. To wszystko oznacza, że działacz opozycji antykomunistycznej i osoba represjonowana w PRL będzie miała łącznie minimum 4 600 zł. dochodu. Nasze cztery duże nowelizacje ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej spełniły wymogi likwidowania niesprawiedliwości, jakie pozostawiono niestety również w pierwszym ćwierćwieczu III Rzeczypospolitej. Staraliśmy się sprostać wyzwaniu, o jakie spytałeś panowie na początku naszej rozmowy.

NASI PODOPIECZNI TO OSTATNI ŻYJĄCY ŚWIADKOWIE HISTORII

– W jaki sposób nowe funkcje Pana urzędu, bo ze słów Pana Ministra wynika, że obejmują one zakres szerszy niż za czasów poprzedników,



wpisują się w politykę historyczną państwa? Czy może nawet starają się na nowo ją zdefiniować?

– Podstawowym zadaniem UdsKiOR pozostaje zapewnienie godnych warunków życia naszym podopiecznym. Rozszerzeniem tych zadań pozostaje sfera upamiętnień, gdzie działania podejmujemy w porozumieniu z Instytutem Pamięci Narodowej, MON i Ministerstwem Kultury. Nawiązujemy w ten sposób również do tradycji Janusza Krupskiego, którego praca jako szefa UdsKiOR pozostaje dla nas drogowskazem i wzorem. Na pewno są to zadania niesprzeczne. Nasi podopieczni pozostają przecież ostatnimi żyjącymi świadkami historii. Niezmiernie ważne, żeby ich niepowtarzalne doświadczenie zaistniało również w dialogu między pokoleniami. Osobiste przeżycia pozostają najbardziej wiarygodnym świadectwem. Jeśli przed młodymi ludźmi stają uczestnicy zdarzeń, które tym nowym rocznikom wydają się czasem na pół legendarne, to taki przekaz nie znajduje konkurencji. Nawet najnowocześniejsze techniki czy multimedia nie zastąpią walorów podobnego bezpośredniego spotkania.

– **Czy młodzi nadal się przeszłością interesują? Na początku obecnego stulecia obserwowaliśmy wzmożone zainteresowanie rekonstrukcjami historycznymi. Jak je podtrzymać w dobie portali społecznościowych?**

– Granty dla organizacji pozarządowych na organizowanie widowisk i rekonstrukcji historycznych, konkursów, przedsięwzięć multimedialnych, wydawnictw to z punktu widzenia interesów Polski najlepiej wydane pieniądze. Byłem nie tylko świadkiem ale i uczestnikiem rekonstrukcyjnego boomu, który panowie wspominacie. Miałem zaszczyt współpracować przy odtwarzaniu wydarzeń roku 1918 czy Bitwy Warszawskiej z sierpnia 1920 r. ze znakomitym aktorem Januszem Zakrzeńskim. Nikt nie ożywił postaci Józefa Piłsudskiego równie barwnie i przekonująco jak on. Warto o historii mówić młodym ludziom w tych miejscach, gdzie ona się wydarzyła. Bo to pozostanie z pewnością w ich pamięci. A dodatkowym walorem jest stworzenie możliwości, aby spotkali się w tych miejscach z ostatnimi świadkami historii. Ja miałem do szczęścia, że przed laty poznałem ostatnich legionistów, powstańców wielkopolskich i żołnierzy wojny z bolszewicką Rosją. Takich chwil nie zapomina się.





Wyciskają piętno na całe życie. Kombatanci pozostają najlepszymi narratorami historii, bo w Polsce od zawsze szanuje się tego, kto narażał własne życie. Nie ma lepszego sposobu kształtowania świadomości obywateli niż ożywanie w podobny sposób zdarzeń sprzed lat. Budowanie z nich „eventu” całkiem współczesnego. Rekonstrukcja historyczna Bitwy Warszawskiej pobudza patriotyzm, co oczywiste, wpisuje się we współczesne konteksty, los napadniętej Ukrainy i nasze własne obawy. Zaś gdy przedmiotem odtworzenia staje się Powstanie Warszawskie – mamy do czynienia z niezwykle spotkaniem pokoleń. Ostatni już żyjący uczestnicy warszawskiej insurekcji obserwują jak młodzi w wieku ich wnuków, czasem prawnuków – odgrywają ich dawne role. Z przyjemnością i wzruszeniem, na pewno obopólnym.

KOMBATANCI SĄ NAJLEPSZYMI AMBASADORAMI

– Niby wszyscy ludzie dobrej woli w wolnym świecie wiedzą, po której stronie walczyli Polacy w II wojnie światowej, ale szczegóły już warto przypominać. Na ile skuteczna okazuje się polityka historyczna skierowana, jeśli można tak powiedzieć, na eksport?



– Zasada, że staramy się być wszędzie tam, gdzie walczył żołnierz polski, odnosi się w oczywisty sposób też do zagranicznych pól bitew. Obchody na Monte Cassino stanowią znakomity i udany przykład. Na Monte Cassino dwukrotnie był z nami prezydent Andrzej Duda. I raz prezydent Włoch Sergio Mattarella. A warto dodać, że nie wszystko tam odbywa się oficjalnie i z „zadęciem”. Na przykład włoscy mieszkańcy Casino z sympatią a nawet rozrzuwieniem słuchali i obserwowali, jak polski chór wojskowy na rynku miasteczka śpiewał pieśni w ich języku. Wiele upamiętniających wydarzeń organizowaliśmy na szlaku bojowym dywizji gen. Stanisława Maczka, od Francji po holenderską Bredę, także z pomysłową wystawą w Królewskim Muzeum Armii w Brukseli. Kombatanci okazują się najlepszymi ambasadorami polskich spraw. Gdy znalazłem się w Izraelu w zaszczytnym towarzystwie ostatnich żyjących Sprawiedliwych Wśród Narodów i razem odwiedziliśmy m.in. Instytut Yad Vashem – nikt w naszej obecności nie próbował lansować interpretacji fałszujących historię. Kombatanci to soft power. Nasza miękka siła. Także i pod tym względem możemy z nich być dumni.

– **A jak ich rolę najprecyzyjniej określić?**



– Trzeba przypomnieć Europie, ile Polsce zawdzięcza. Nikt za nas tego nie zrobi. Zależy nam przecież na tym, aby rola Polski nie była pomniejszana, czy fałszowana. To Polacy wyzwali Europę i niesli wolność ciemnym narodom. Nie wszyscy zostali docenieni jak należy, a blokady pojawiały się nie tylko ze strony cudzoziemców. Podam przykład: w Holiszowie w Czechach na sam koniec wojny miało miejsce niezwykle i szerzej nieznane wydarzenie. Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych wyzwoliła 5 maja 1945 r. obóz kobiecy, wśród których wiele było Żydówek. Niemiecy oprawcy obalali już nawet baraki benzyną z zamiarem podpalenia. A żołnierze Brygady Świętokrzyskiej ocalili zgromadzone tam kobiety przed eksterminacją. Weszli za druty i uratowali więźniarki. W 2016 r. udało się nam się zorganizować w miejscu dawnego obozu po raz pierwszy duże uroczystości. Wcześniej była tam tylko tablica po czesku, bo – co ciekawe – tylko mieszkańcy tej miejscowości pamiętali o heroicznym czynie naszych żołnierzy z NSZ. Do 2016 r. nikt z naszych dyplomatów w Czechach nie interesował się tym miejscem, bo... „NSZ do faszyci”. Gdy podjęliśmy się zadania organizacji tam dużych uroczystości z udziałem Wojska Polskiego, zdumiewała mnie mocno postawa

polskiej placówki w Pradze, która tak dużemu upamiętnieniu sprzeciwiała się jak mogła. Dopiero interwencja wiceministra spraw zagranicznych Jana Dziedziczaka zrobiła swoje.

– Wspomniał Pan, że wolny świat ma Polsce wiele do zawdzięczenia. Paradoksalnie można powiedzieć, że ten dawny dług z czasów II wojny światowej ale i Solidarności jeszcze się zwiększył, za sprawą pomocy wojennym uchodźcom z Ukrainy, udzielanej im solidarnie przez całe polskie społeczeństwo. Nie o Zachód jednak warto to spytać, lecz o Wschód. Czy to obecne braterstwo przyczyni się do umocnienia prawdziwej narracji choćby dotyczącej rzezi wołyńskiej i innych drastycznych wydarzeń?

– Nie tylko Ukrainy problem dotyczy. Białoruś oczywiście z racji takich a nie innych władz nie staje się łatwym partnerem, ale gdy parę lat temu relacje Mińska z Moskwą się skomplikowały, nam udało się wykorzystać tę okazję i wyremontować tamtejsze upamiętnienia roku 1920, przywracając je do stanu z międzywojnia. W kontaktach z Litwą nastąpiła znacząca zmiana. Jeszcze kilka lat temu byłoby niemożliwe, aby wspólnie czcić pamięć Józefa Piłsudskiego. A tymczasem z okazji obchodów rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego na Rosie odegrano po raz pierwszy od 1939 r. „Pierwszą Brygadę”, a na grobach poległych żołnierzy polskich z 1920 r. na Antokolu wartę zaciągnęli wspólnie żołnierze polscy i litewscy. Podobnie było podczas obchodów 75 rocznicy Operacji Ostra Brama. Z Ukrainą, a konkretnie z udziałem samorządowców ukraińskich, dopóki sytuacji nie skomplikowała szalejąca pandemia, a potem wojna, udawało się co roku organizować obchody rocznicy rzezi Huty Pieniackiej. Co do Wołynia, jasno stawiam sprawę. Jeśli naród i państwo chcą się znaleźć w europejskim obszarze instytucji politycznych i kulturalnych, musi przyjąć zasadę, że umarłych należy pochować pod znakiem oddającym to, kim za życia byli. Nie ma od tego wyjątków. O tym też mówią rodziny ofiar. Trzeba stanąć w prawdzie. Obchody wołyńskiej tragicznej rocznicy, 11 lipca, z roku na rok przebiegają coraz lepiej. Każda ofiara ma prawo do pochówku i upamiętnienia, te słowa zresztą wypowiedział niedawno w moim gabinecie, właśnie tu, gdzie rozmawiamy, ambasador Ukrainy.

– A lepsze wspólne doświadczenia, choćby te sprzed stu lat, z pewnością warto o nich pamiętać?



– Pandemia niestety udaremniła upamiętnienie 100 rocznicy wyparcia bolszewików z Kijowa w 1920 roku na taką skalę, na jaką zwycięstwo to zasługiwało. Ale i tak udało się zorganizować wspólne polsko–ukraińskie obchody w Warszawie i Kijowie. Polacy byli na grobach żołnierzy Petlury, spoczywających w Warszawie i Łańcucie, Ukraińcy na grobach żołnierzy polskich spoczywających na cmentarzu w Kijowie.

– **Kombatanci rozsiani są po całym świecie. Polski Londyn to legenda, ale znamy więcej skupisk patriotycznej emigracji. W jakim stopniu jesteście w stanie do nich dotrzeć?**

– Każdy kombatant objęty jest opieką Urzędu, bez względu na to, czy żyje w kraju czy za granicą. Działamy tu w oparciu o nasze placówki konsularne i attachaty wojskowe. Staramy się docierać również do młodych Polaków mieszkających na obczyźnie, aby przypomnieć im o korzeniach. Niedawno zorganizowaliśmy w polskich szkołach sobotnich w Wielkiej Brytanii, imienia Dywizjonu 303 w Londynie i generała Alfonsa Maćkowiaka w Oksfordzie duże spotkania z udziałem kombatantów. Mam nadzieję, że pomogło to wszczepić najmłodszym w takim niepowtarzalnym międzypokoleniowym

dialogu wartości patriotyczne. To również nasza misja i rola. Podobnie jak zawsze smutny, ale konieczny obowiązek dopomożenia najbliższym w sprowadzeniu szczątków zmarłych za granicą kombatantów do ojczyzny jeśli sobie tego życzyli, bądź jeśli sami o tym nie zadysponowali w testamencie, ale pragnie tego najbliższa rodzina.

– **Prezydentów londyńskich również to dotyczy?**

– W Świątyni Opatrzności Bożej powstała krypta prezydentów na uchodźstwie, gdzie w listopadzie 2022 spoczęły ich doczesne szczątki. Stało się to dobrą okazją do przypomnienia misji, jaką przez pół wieku pełnili strażnicy legalnej Konstytucji kwietniowej z 1935 r. Podobnie po królewsku żegnaliśmy ostatnią Prezydentową II Rzeczypospolitej Karolinę Kaczorowską. Te pogrzeby to nie tylko wypełnienie woli zmarłych i ich rodzin. To także czytelne pokazanie, że chcemy odwoływać się do tradycji II RP, tej z okresu międzywojennego i tej, która przetrwała w „Polskim Londynie”.

– **Powstanie Warszawskie to nasz największy dramat XX wieku. Jak Pan ocenia zmiany w polskiej świadomości, które go dotyczą, również w czas kolejnej rocznicy, jaką właśnie obchodzimy?**

– Decyzja Lecha Kaczyńskiego o utworzeniu Muzeum Powstania Warszawskiego okazała się w III RP przełomowa w myśleniu zarówno o Powstaniu, jak i w realizacji nowoczesnej polityki historycznej – polityki pamięci. Wcześniej dwa razy wybory prezydenckie w kraju wygrywał Aleksander Kwaśniewski z hasłem „Wyberzmy przyszłość”. Hasło nie oznaczało może zupełnego zapomnienia o przeszłości, ale przechodzenia nad nią do porządku dziennego – już tak. Dla mnie bliższe pozostaje przesłanie Jana Pawła II, który powtarzał, że naród musi mieć korzenie, czyli przeszłość, drzewo co z nich wyrasta, czyli terażniejszość oraz liście i owoce, które są przyszłością. W poemacie „Myśląc Ojczyzna” Karol Wojtyła wskazywał, że aby wyrazić siebie, trzeba się zakorzenić. Muzeum Powstania wypełniło to przesłanie papieskie. Ponadto pokazało, że o historii najbardziej przekonująco opowiada się z użyciem nowoczesnych środków wyrazu. Dlatego traktuję rok 2004 r. jako przełomowy w sposobie myślenia i uprawiania polityki pamięci, także w obszarze muzealnym. Przełomowe było wtedy także potraktowanie weteranów Powstania. Uczyniono z nich postaci najważniejsze. I tak już jest zawsze. Wcześniej, jak wiemy, różnie

to bywało. Pamiętam oficjalne obchody 50-lecia w 1994 r: wydzielone staranie miejsca w sektorze dla VIP-ów zarezerwowane dla oficjeli, a powstańcy sfłoczeni za barierkami. Miałem zaszczyt w 2003 r. zostać członkiem pierwszego zespołu pełnomocnika Prezydenta Warszawy do spraw tworzenia Muzeum Powstania Warszawskiego, powołanego przez Lecha Kaczyńskiego. Moją rolą było między innymi włączenie w tę inicjatywę kombatanatów. Ze szczególną przyjemnością wspominam ówczesne kontakty z pułkownikiem Zbigniewem Brymem, dowódcą Żelaznej Reduty. Byłem też wtedy koordynatorem projektów, które miały wciągnąć w to przedsięwzięcie młodych ludzi. Wymyśliliśmy konkurs na napisanie przez nich... pamiętnika z Powstania Warszawskiego. Wśród jurorów konkursu, w którym wzięła udział młodzież z całej Warszawy był m.in. śp. Tomasz Merta. Wśród innych tematów było np. wykonanie komiksu o Powstaniu. Znaczące, że kombataneci nie uznawali tych inicjatyw za obrazoburcze, a podobało im się, że o ich walce młodzież opowiada się za pośrednictwem współczesnych środków wyrazu. Podobne formy zainteresowania historią stosowaliśmy przez lata w Związku Piłsudczyków, np. w roku 2000 ogłosiliśmy ogólnopolski konkurs literacki na napisanie podręcznika historii z założeniem, że to bolszewicy a nie Polacy wygrali w 1920 r. pod Warszawą... Efekty były niezwykle, inwencja młodych ludzi zadziwiająca, a znajomość dziejów naprawdę spora.

– **Historia alternatywna?**

– Młodzież rozumiała tę grę i po swoim ją podjęła, podobne zamierzenia uczą myślenia historycznego, chociaż zwykle na seminariach przestrzega się przed spekulowaniem, „co by było gdyby”, bo historia to „res gestae”, czyny dokonane tworzą dzieje...

– **Często podkreśla Pan znaczenie rodzinnej tradycji dla swojego światopoglądu. Jakie segmenty się na to składały?**

– Byłem późnym dzieckiem. Jako syn żołnierza Armii Krajowej i więźnia obozów niemieckich Gross-Rosen i Buchenwald-Dora dorastałem w atmosferze, w której od rodziców i ich znajomych otrzymywało się informacje, których inni musieli dopiero sami szukać. Jedno z pierwszych dziecięcych jeszcze wspomnień dotyczy odsłonięcia w kościele Wszystkich Świętych tablicy ku czci więźniów Gross-Rosen, na którym byłem z rodzicami. I coroczne odwiedziny



Powązek w „Godzinę W”. Tych pierwszych z połowy lat 70-tych oczywiście nie pamiętam, bo byłem przywieziony na nie w wózekku dzieciennym. Od strony taty tradycje sięgały piłsudczykowskiej lewicy niepodległościowej. Dziadek był bojowcem Polskiej Partii Socjalistycznej w Świętokrzyskiem. Z kolei ze strony mamy, dziadek walczył w kampanii wrześniowej i potem został internowany na Węgrzech, a dwóch wujków było w Narodowych Siłach Zbrojnych, w Brygadzie Świętokrzyskiej. Jeden zginął w walce z Niemcami w styczniu 1945 r. Dlatego nawet moje doświadczenie rodzinne nie pozwala mi wierzyć w propagandę komunistyczną o współpracy NSZ z Niemcami. Drugi wujek przeszedł cały szlak bojowy z Brygadą Świętokrzyską, aż po amerykańską służbę wartowniczą po zakończeniu wojny i emigrację w Kanadzie. To wszystko mnie „zakorzeniło”, jeśli mogę użyć zacytowanego wcześniej papieskiego określenia.

KOMENDANT MARSZU PIERWSZEJ KADROWEJ

– **Jak zaczęła się Pana przygoda z Marszem Pierwszej Kadrowej?**

– Jako jedenastoletek w 1986 r. byłem wraz z rodziną na wakacjach w Kielcach i stałem się tam świadkiem niezwykłego zdarzenia. Podczas mszy

w katedrze spostrzegłem, że do środka wchodzi mężczyźni w historycznych maciejówkach. Organista zagrał „Pierwszą Brygadę”, a mnie już wtedy nikt nie musiał tłumaczyć, co to za melodia. A gdy wyszliśmy, wokół katedry zobaczyłem suki milicyjne. Rodzice wytłumaczyli mi szczegóły: że to rocznica wejścia I Kompanii Kadrowej do Kielc. Potem już sam witałem „kadrówkę” w Kielcach. Jednego z organizatorów marszu, Wieska Gęsickiego, poznałem pod warszawskim pomnikiem „Gloria Victis” na początku lat 90-tych. Zachęcił mnie do wzięcia udziału w Marszu. Pojechałem do Krakowa i w 1993 r. przeszedłem całą trasę, wiedząc, że to już będzie zawsze część mojego życia. I tak też się stało. Nie ma sierpnia bez Kadrówki! W roku 1998 jako 23-latek zostałem wybrany komendantem marszu w roku następnym. Pamiętam pytanie dziennikarki jednej ze stacji telewizyjnych, która zagadnęła mnie, czy przypadkiem nie jestem za młody. A ja przypomniałem sobie, co zresztą jej powiedziałem, że jestem dokładnie w wieku dowódcy I Kadrowej z 1914 r. – Tadeusza Kasprzyckiego. Bo wtedy o wolność walczyli właśnie ludzie w tym wieku i młodszy. I potem przez piętnaście lat byłem rokrocznie wybierany na komendanta Marszu. Marsz to fascynujące wydarzenie, jego niepowtarzalność oddaje dobrze film Macieja Gawlikowskiego „Marsze Niepodległości”. To było piętnaście lat społecznej pracy, aby pozyskać dla Marszu fundusze i uczynić, co udało się z sukcesem, żeby stał się wydarzeniem o randze państwowej, tak jak było to przed wojną. Klimat – jakbyśmy teraz powiedzieli – rekonstrukcji historycznej zawsze mi odpowiadał.

– **Skąd się to wzięło?**

– Rekonstrukcje historyczne to forma teatru, w dobrym tego słowa znaczeniu. A teatr był też miejscem, które kształtowało mnie od najmłodszych lat. Gdy miałem dziesięć lat i byłem uczniem szkoły muzycznej, zostałem wybrany przez Kazimierza Dejmka do drobnej roli dziecięcej w „Żywocie Józefa” Mikołaja Reya. Rzecz wystawiana była w Teatrze Polskim, gdzie grali wtedy najlepsi z najlepszych, a jednocześnie zaangażowani w bojkot komunistycznej telewizji mistrzowie sceny: Mieczysław Voit, Andrzej Szczepkowski, Jan Englert, Gustaw Holoubek, Andrzej Łapicki. Niezwykłe miejsce, w którym miałem przyjemność spędzać prawie każdy wieczór przez kilka lat, grając dziecięce role w „Kordianie” w reżyserii Jana Englerta, w „Adwokacie i różach”, „Fantazym”.



Stamtąd wyłowił mnie Ignacy Gogolewski. Wystawił w 1988 r. w Teatrze Rozmaitości przedwojenną „Gałązkę rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego. Zabawną, ale i wzruszającą opowieść o plutonie legionowym, maszerującym z Oleandrów przez Kielce, Łowczówek aż nad Nidę. Prawdziwy żar panował, gdy ze sceny dało się słyszeć „Pierwszą Brygadę”. Ludzie stawali na baczność. A na widowni wywieszano transparenty Solidarności. Żar był tak wielki, że Teatr Rozmaitości w grudniu 1988 r. spłonął. Powtarzano powszechnie, że nie był to przypadek. Premiera „Gałązki” miała miejsce w czerwcu 1988 r...

– ...**pomiędzy jedną falą strajków a drugą.**

– To był niezwykle czas. Grałem w „Gałązce” rolę wiejskiego dzieciaka, którego wypoczywający nad Nidą legionieści uczą patriotycznych pieśni, żeby nimi przywitać Komendanta. A nauka ta idzie dość opornie. Wyśpiewywałem: „Warczą karabiny i dzwonią pałasze” dziesiątki razy, „gromiony” przez nauczyciela. Aż wreszcie wyśpiewałem elegancko, gdy na pozycje legionowe przyjechał Komendant, którego w spektaklu grał Jerzy Molga, świetnie znany z filmowej roli generała Sikorskiego w „Katastrofie gibraltarskiej”. Graliśmy „Gałązkę rozmarynu” kilkaset razy również w Teatrze na Wyspie w Łazienkach

i po pożarze Teatru Rozmaitości na deskach Teatru Buffo. Siłą spektaklu była strona muzyczna – pieśni legionowe, które po raz pierwszy od półwiecza mogły wybrzmiewać oficjalnie. Oprawę muzyczną spektaklu przygotował Waldemar Kazanecki, autor słynnego walca z „Nocy i dni” Jerzego Antczaka według Marii Dąbrowskiej, filmu, który otarł się o Oscara, chociaż go nie dostał... Wracając jednak do zasadniczego naszego tematu rozmowy. Sceniczne otrząskanie, nawet w dziecięcym tylko wieku, przydało mi się na pewno po latach, gdy szukać trzeba było pomysłów na uatrakcyjnienie Marszu. Wiadomo, że Marsz zrodzony w międzywojniu, odrodził się w 1981 roku, potem im bardziej milicja przeszkadzała wraz z bezpieką, tym chętniej uczestniczyli w nim działacze KPN i Solidarności. Jednak po zmianie stroju szeregi uczestników topniały. I tak nowych formatów trzeba było szukać.

– Jakie one były?

– Przypomniałem sobie, jaki pomysł przedstawiono Józefowi Piłsudskiemu, gdy miał się odbyć pierwszy marsz w 1924 r. Nie drętwe defilady, tylko pogodny, ale i pełen sportowej rywalizacji przemarsz na historycznej trasie. I to bardzo się Marszałkowi spodobało. Do tamtej przedwojennej formuły odwołał się w 1999 r. Staralem się też, żeby Marsz stał się wydarzeniem nie tylko dla jego uczestników, ale i mieszkańców miast, przez które przechodzi. W Słownikach mówiłem miejscowym, że w sierpniu 1914 r. ich miasteczko stało się na kilka godzin i dni pierwszą stolicą odradzającej się Polski – i byli bardzo przejęci z tego powodu. Podobnie czyniłem w Miechowie, Jędrzejowie, Chęcinach. I to przynosiło efekty. Marszowi zaczęły towarzyszyć festyny, pikniki, koncerty... W historii Kadrówki społeczności lokalne zaczęły odnajdywać swoją historię. Historię „małych ojczyzn” bez której nie ma historii „wielkiej Ojczyzny”. Żadna przecież sztuka przejść tak, żeby tylko kurz się podniósł i nic po sobie nie pozostawić. Lepiej doprowadzić do tego, żeby Marsz stał się również świętem lokalnym. O to się staraliśmy i to się udało. A jeżeli chodzi o uczestników Marszu spod znaku organizacji strzeleckich – uczyliśmy ich odpowiedzialności za siebie i innych, działania w grupie. W tym sensie Marsz stawał się szkołą życia, a wielu młodych uczestników Marszu sprawdziło się później podejmując służbę w Policji, w wojsku, w Straży Granicznej...

PODZIWIAM LUDZI KPN ZA TO, CZEGO DOKONUJĄ

– W Marszu szli zawsze KPN–owcy. Uznawali go za swój.

– I słusznie, bo to w dużej mierze oni tworzyli społeczność marszową w najtrudniejszym dla Kadrówki okresie, jakim były lata 80-te po wprowadzeniu stanu wojennego. Na Kadrówce poznałem wielu z nich – Wojciecha Pęgiela, sześciokrotnego komendanta Marszu, wspaniałego człowieka z „ułańską fantazją”, z którym do końca jego życia łączyła mnie przyjaźń. Na Marszu poznałem wypróbowanych po dziś dzień przyjaciół: Antoniego Piekalkiewicza, Andrzeja Fischera. Powiem wprost, że choć nie byłem członkiem KPN, to środowisko i formowało mnie i było mi najbliższe ideowo. Niestety, moja sympatia dla tej formacji stopniała, gdy Leszek Moczulski uczestniczył w odwołaniu rządu Jana Olszewskiego. A to wydarzenie bardzo głęboko przeżyłem. Portretowe zdjęcie Lecha Wałęsy, które wcześniej w moim domu wisiało na ścianie, trafiło wtedy właśnie, po 4 czerwca 1992 r. do szuflady. I już tam zostało. Jednak w głębi serca oczywiście sympatia pozostała.

– Dzisiaj KPN–owcy nie mają już własnej partii. Jak pan ocenia ich zaangażowanie w życie publiczne?

– Podziwiam ich dokonania. Angażują się w wiele udanych i cennych patriotycznych przedsięwzięć. Chodzi mi o pismo „Opinia”, świetnie redagowane przez Andrzeja Anusza i kontynuujące wielką tradycję drugoobiegowego tytułu z lat 70-tych, a także o Instytut Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoi–Owsianego, o zaangażowanie w wiele piśsudczykowskich inicjatyw. Bardzo przeżyłem niedawne odejście Bohdana Urbankowskiego, myśliciela i poety, z którym spotkania i rozmowy były też dla mnie formacyjne i niezwykle ubogacające, a także śmierć Krzysztofa Lancmana, którego aktywność na polu czuwania nad narodową pamięcią historyczną była imponująca.

– Jakie widzi Pan perspektywy dla urzędu? Panu pewnie nie wypada tego mówić, ale przecież ludzie wiedzą, że przez ostatnie lata został podniesiony na wyższy poziom, połączył zadania, o których wielu Pana poprzednikom się nie śniło. Co dalej?

– Ostatnie lata to był czas przede wszystkim ustanawiania godnych warunków życia dla działaczy dawnej opozycji antykomunistycznej. Ale były też inne sukcesy. Po latach starań uprawnienia kombatanckie zyskali żołnierze–górnicy,



czyli ludzie pochodzący ze środowisk uznawanych przez komunistów za klasowo wrogie i odbywający służbę w stalinowskich czasach w krańcowo trudnych niewolniczych wręcz warunkach. Udało się przyznać uprawnienia tym, którzy po upadku Powstania Warszawskiego trafili do obozu przejściowego w Pruszkowie. Udało się wypłacić odszkodowania Sybirakom za lata zesłania na nieludzkiej ziemi, co oczywiście nie rekompensuje potworności, jakich tam zaznali, ale starali się o to od lat i stało się dopiero trzy lata temu. Zwiększyliśmy środki – o dodatkowe 850 zł ekwiwalentu – na rzecz inwalidów wojennych. Znacząco zmieniły się też środki, które możemy przyznawać podopiecznym w formie pomocy okresowej, czy jednorazowej. Gdy przychodziłem do Urzędu budżet na ten cel wynosił rocznie zaledwie 8 mln zł. Teraz jest to 135 mln zł, co z pewnością świadczy o znaczącej progresji. Chcielibyśmy jeszcze wprowadzić bezpłatne leki dla naszych podopiecznych, możliwość dwukrotnego w ciągu roku pobytu w sanatorium, a także jednorazową choćby pomoc dla wdów i wdowców po kombatantach z dawnej opozycji antykomunistycznej, bo pod tym względem nie zostali zrównani w uprawnieniach z kombatantami wojennymi. Ku rozwadze na przyszłość, warto zarekomendować problem, czy kierowanie i koordynowanie polityki historycznej, tak aby była skuteczna, nie powinno zostać skupiona w jednym miejscu, w jednej instytucji. Być może w przyszłości warto to rozważyć. Na razie hierarchia spraw, którymi się zajmujemy, pozostaje znana. Na pewno podstawowymi zadaniami urzędu pozostaną: opieka nad świadkami historii, organizacja pomocy, pamięć o przeszłości, upowszechnianie zainteresowania nią wśród młodzieży.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

„ZARZUCALI MI, ŻE AMERYKANIZUJĘ MŁODZIEŻ”

ROZMOWA ZE STEFANEM MIZIELIŃSKIM, TRENEREM I DZIAŁACZEM SPORTOWYM

– Dlaczego zajął się Pan właśnie kulturystyką, dlaczego właśnie ona stała się Pana życiową pasją, a Pan jej wielkim propagatorem w Polsce?

– Byłem wąty. I z rocznika, który przyszedł na świat w czasie wojny. Mama wyszła po mleko dla mnie i już do domu nie wróciła. Została wzięta, do niewoli, działo się to dokładnie 1 sierpnia 1944 r. w Warszawie. Zabrali ją i wywieźli do Niemiec. Ojciec był w Armii Krajowej, tego dnia koło Dworca Gdańskiego grał w pikuty i starał się sprawiać wrażenie człowieka, mającego wiele wolnego czasu, naprawdę jednak spoglądał na przejeżdżające niemieckie transporty wojskowe, wagony i sprzęt. Gdy powstanie wybuchło, został na dobę uwięziony w restauracji przy Żelaznej. Schronił się tam na chwilę przed ostrzałem. Nagle kelnerzy ostrzegli: – Idą Niemcy. I skierowali gości do piwnic. Zwykli żołnierze niemieccy bali się w tym czasie do warszawskich piwnic schodzić. Dzięki temu ojciec przeżył. Gdy po 24 godzinach wreszcie wyszedł z tej piwnicy, udał się do domu, ale mnie już tam nie zastał. Rodzina domyśliła się, co się stało z matką i zabrała mnie do Młocin. Gdy ojciec się u nich pojawił, żeby mnie wreszcie zobaczyć – do Warszawy już nie mógł wrócić. Wujek potem wspominał w rozmowie z ojcem, jak ten zjawił się na Młocinach: – Przyszedłeś obwieszony granatami, powiedziałeś, że jak ci syna zmarnujemy, to nam pokażesz. Ojciec nie przedostał się z powrotem do Warszawy, bo z tamtej strony stało wielkie działo zwane przez Polaków krową, ostrzeliwało miasto, więc Niemcy tego odcinka szczególnie pilnowali, tak, że nie udało się prześlizgnąć. Ojciec trafił więc do Puszczy Kampinoskiej,

„ZARZUCALI MI, ŻE AMERYKANIZUJĘ MŁODZIEŻ”



POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAN
Nr. B. Inf. I/853/57
Konto w NBP IV Oddział Miejski
Nr 1528-9-46507

Warszawa, dnia 10.10.1947
Mokotowska 10. Tel. 28-80-00
Adres pocztowy: Warszawa 10, skrytka

Odpowiedź na pismo
Nr z dnia

WYCIĄG Z DOKUMENTÓW

Nazwisko MIZIELIŃSKA ----- Imiona Zofia -----
Data urodzenia 14.V.1922 r. ----- Miejsce urodzenia Młociny -----
Imiona rodziców ----- Zawód -----
Ostatni adres ----- Stopień
i przydz. wojsk. -----
Data aresztowania
wzięcia do niewoli ----- w ----- przez -----
Data przekazania ----- z -----
Do ----- przez -----
Numer więzienia
jeńca ----- kategoria więzienia -----

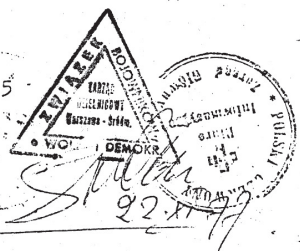
~~Exposicja:~~ Od dnia 29.VIII.1944 r. pracowała w firmie Rheinmetall-Borsig
w Warszawie, ul. Marymoncka 53 m. 5.

Ostatnia wzmianka
w dokumentach: -----

Uwagi: Z uwagi na niekompletną dokumentację jaka się zachowała z czasu wojny innych informacji dotyczących zatrudnienia, jak n.p.d. do zakończenia pracy, nie udało się uzyskać.

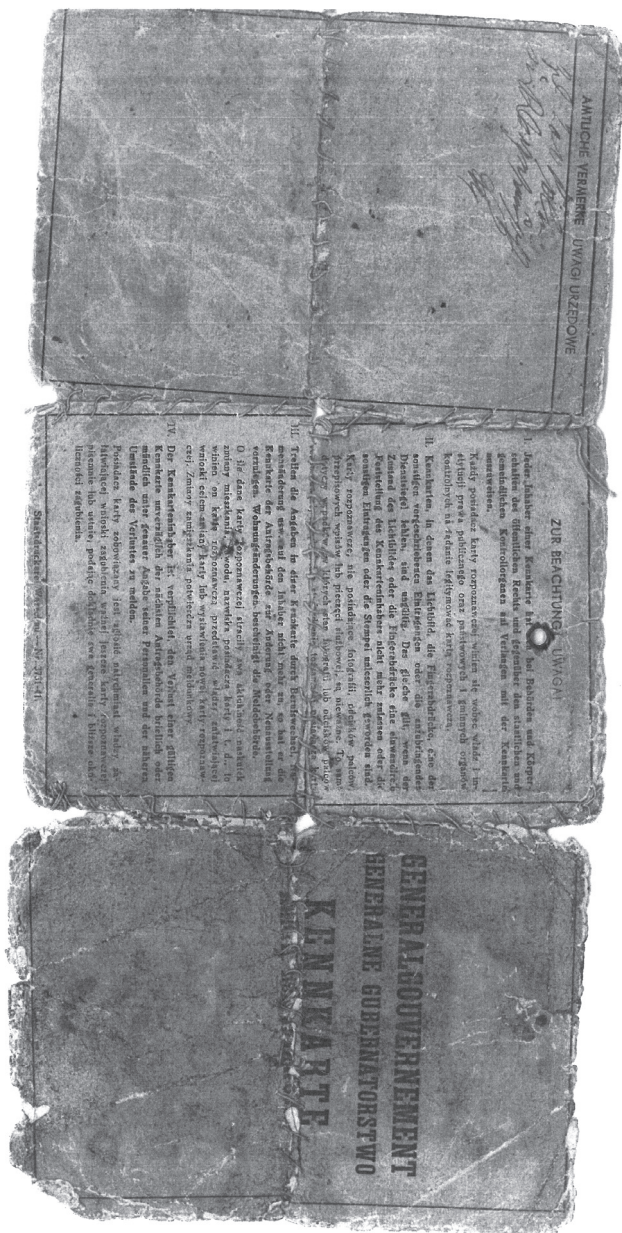
Podstawa: Dz. str. B. Inf. PCK nr 34278.

Adresat: Pani
Zofia MIZIELIŃSKA
ul. Marymoncka 53 m. 5
01-802 WARSZAWA



Kierownik Biura
Informacji i Poszukiwan
A. Sztonborkowa

KS



Kenkarta z okresu okupacji niemieckiej mamy Stefana Mizielińskiego

gdzie była AK przez chwilę w jakimś zamieszaniu znalazł się nawet w AL, co pewnie uratowało mu życie po wojnie.

– **Polskie życiorysy?**

– O wielu sprawach dowiedziałem się dopiero po wielu latach. Choćby o tym, że w rodzinnym mieszkaniu ukrywana była żydowska rodzina z Radomia.

– **Czy przeżyli wojnę?**

– Przeżyli, udało się ich uratować. Gdy po wojnie ojciec i wujek spotykali się, pili wódkę, restauracji wtedy przecież nie było, bo kraj został zrujnowany, albo było ich niewiele i bardzo drogie, więc Polaków rozmowy odbywały się w domach – często nie rozumiałem o czym mówią, bo czasy były takie, że porozumiewali się aluzjami, półsłówkami dla nich oczywistymi, ale nie dla dziecka. Siedzą, wódka jeszcze jest, a tu śledzie się kończą. Wtedy ojciec rzuca: – Idź do beczki. I obaj z wujkiem w śmiech. Pojęcia nie miałem, jako dzieciak, co ich tak bawi, zwykła beczka ze śledziami? Później dowiedziałem się, że w czasie wojny właśnie beczka zastawiała kryjówkę żydowskiej rodziny z Radomia, żeby



Propaganda kulturystyki na terenie Mazowsza, lata 60-te. Stefan Mizieliński trzeci od lewej.

się do nich dostać, trzeba było ją odsunąć. Po latach już do mnie do klubu „Herkules” przyszedł list, który oddałem wujkowi Stefanowi Mizielińskiemu, od tych ocalonych.

– **Sam Pan miał dzieciństwo, można powiedzieć, za sprawą wojny barwne i niełatwe?**

– Przez chwilę przecież bez mamy, wtedy wychowywała mnie babcia... Zaś brat grał mi na harmonii, często, bo podobno za każdym razem jak zaczynał, natychmiast przestawałem płakać. Matka pracowała wtedy jako robotnica przymusowa w fabryce zbrojeniowej w Niemczech. Gdy po wojnie wróciła, z początku krzychałem i plułem, jak to dziecko, nie poznawałem jej przecież.

– **O przyczynach zainteresowania sportem już Pan nam powiedział. Był Pan wątłym dzieckiem z wojennego jeszcze rocznika.**

– Tuż po wojnie warunki były niezwykle skromne. Nie zawsze o tym pamiętamy. Najlepsze jedzenie dla dziecka po wojnie to był chleb zamoczony w wodzie i cukrze. W szkole podstawowej za sprawą wojennych doświadczeń i późniejszych niedoborów byłem dzieckiem chorym, więc zwalnianym z lekcji wuefu.

– **Ale to się zmieniło, bo po wojnie za wielu sukcesów nie mieliśmy, a w sporcie akurat tak,**



Prezentowanie sylwetki w Herkulesie. Stefan Mizieliński, lata 60-te.

w 1953 r. w Mistrzostwach Europy w Hali Mirowskiej bokserzy zdobyli pięć złotych medali, więcej niż ZSRR, co oddziaływało na wyobraźnię?

– Wziąłem się za sport na tyle intensywnie, że zawałem szkołę. Treningi stały się dla mnie najważniejsze. Kulturystyka pochłonęła mnie bez reszty. Dlatego kończyłem szkołę średnią wieczorową, przeznaczoną głównie dla robotników, którym w pracy nakazano uzupełnić wykształcenie, żeby mogli awansować. Panowała wtedy opinia, że po tym technikum nigdy nie uda się dostać na dzienne studia. Przełamałem ten stereotyp, zdałem egzaminy na AWF. I od razu wziąłem się do roboty nie tylko na uczelni. Pracowałem w Hucie Warszawa, oczywiście nie przy wielkim piecu, tylko prowadziłem tam sekcję kulturystyki. Potem badałem też piłkarzy z Hutnika na potrzeby prac, pisanych na uczelni. W trakcie studiów pracowałem też jako bramkarz w studenckich klubach. W Stodole, Mospanie, u Medyków. Szefem Stodoły był Pudłowski, świetny menedżer. Po kilkudziesięciu latach jestem w Białymstoku, to było już po czasie mojej pracy w Ministerstwie Sportu, wtedy już jestem zatrudniony w Pracowniach Konserwacji Zabytków – a tu dyrektorem muzeum w Białymstoku okazuje się dawny znajomy i kierownik ze Stodoły. Oczywiście wszystko, co miał do konserwacji, dawał nam.

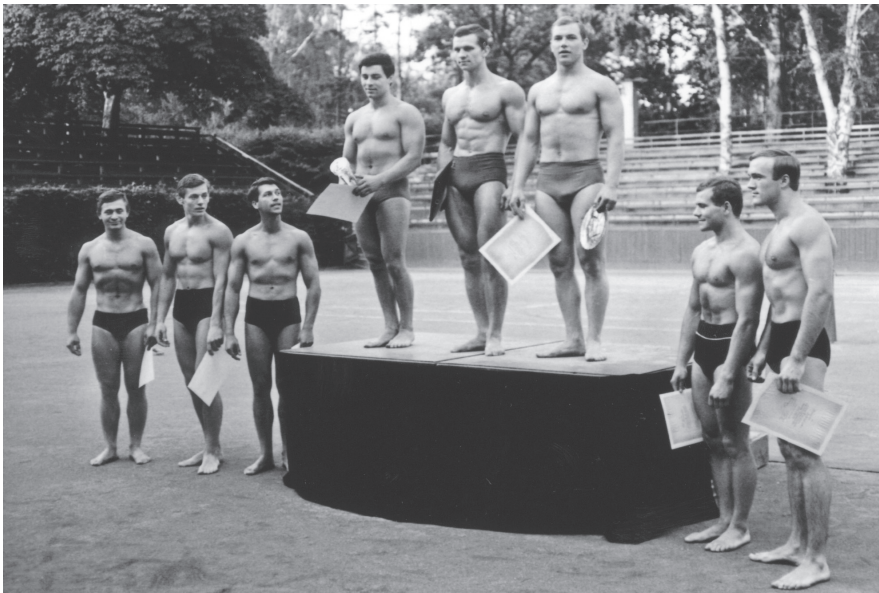
– Stał się Pan celebrytą? Sportowiec i bramkarz z modnych klubów, który zna wszystkich?

– Rzeczywiście spotykałem się wtedy z Kasią Sobczyk. Już była gwiazdą, zależało jej na mnie. Ale po próbie czy występie ciągnęła mnie do restauracji, a ja musiałem rano wstać na zajęcia, na trening. Poza tym zostałem tak wychowany, że mężczyzna musi zarobić, nie korzystać z pieniędzy partnerki, a ja przecież byłem studentem i tylko dorabiałem. Spotykaliśmy się więc coraz rzadziej, wydzwaniała do mnie do domu, aż mama ją jakoś subtelnie zniechęciła. Wtedy w Stodole poznałem Basię. Obiecałem, że zrobię z niej gwiazdę. Słowa dotrzymałem, robiłem jej zdjęcia, które zamieściłem w swojej książce. Studiowała na uniwersytecie, więc na samym początku z jej rodzicami nie poszło mi łatwo. Oczywiście powiedziałem im, że studiuje na Akademii Wychowania Fizycznego. I usłyszałem: – A co będziesz potem robić, młody człowieku? Koziółki fikać? Ja jednak wiedziałem, co robię. Musiałem się starać. W czasie studiów nie

tylko praktycznie zajmowałem się kulturystyką, ale pracowałem w naukowym kole anatomicznym. Również przy krajaniu trupów.

– Jak na medycynie? Opłacało się?

– Wiedza, którą tam pozyskałem bez przesady przydaje mi się do dzisiaj. Przez całe życie zawodowe. Gdy rozmawiamy o kulturystyce, czasem ludzi dziwi, że potrafię używać z sensem fachowych terminów. Tu mięsień piersiowy wielki, tam mostkowo-obojczykowy. Znam do dziś terminologię łacińską. Odróżnianie tego wszystkiego pomagało w takim ustawieniu ćwiczeń, żeby nie doznać kontuzji. Potrafię powiedzieć, które ćwiczenia należy wykonywać w pełnym napięciu, jakie z rozluźnieniem. Dziennikarze sportowi zwykle tego nie wiedzą, podobnie szkoleniowcy. Gdy słyszę w telewizji, w jakimś popularnym programie śniadaniowym, jak trener personalny opowiada, że ćwiczy z businesswoman pośladki, to mnie to śmieszy. Gdyby się znał, powiedziałby: mięśnie pośladkowe, to oczywiste. Ale nie wszyscy o tym wiedzą. Podobnie olimpiada – to czas, jaki upływa między igrzyskami, a nie same igrzyska, jak często mylnie mówią dziennikarze sportowi czy działacze. Napisałem pierwszą w Polsce pracę magisterską na temat



Mistrzostwa Polski Juniorów w Sopocie. 4. miejsce Stefan Mizieliński.



Pierwsza w Polsce praca magisterska na temat kulturystryki. Badanie sprawności fizycznej.

który po latach został trenerem amerykańskich sztangistów, Norbert Ozimek, Janusz Dudziuk, który wykładał w Austrii, Andrzej Kulesza, który znalazł się jako naukowiec w Kanadzie. Prowadziłem drużynę, a po zajęciach przyjeżdżaliśmy do mnie do domu. Nie jestem pewien, jakie inne nagrody otrzymał Waldemar Baszanowski za złoty medal olimpijski, ale z puli AZS AWF dostał dywan – wiem o tym, bo osobiście go kupowałem. Lekarzem był dr Flisowicz. W sukcesie Baszanowskiego miał swój wielki udział, wykurował go, gdy mistrz naderwał nerw. Baszanowski mistrzem olimpijskim zostawał dwukrotnie – w Tokio (1964) i Meksyku (1968). To postać wielka ale i tragiczna, w czasie gdy odnosił największe sukcesy, prowadzony przez niego samochód wpadł w poślizg pod Łowiczem, zginęła wtedy jego żona, dziecko zostało ran-

kulturystryki, w 1970 r. Ale na studiach nie było kulturystryki jako osobnej specjalności. Musiałem iść na ciężary, gdzie szefem katedry był Augustyn Dziedzic. Katedra Ciężkiej Atletyki, tak się trochę po staroświecku nazywała.

– **To trener Dziedzic namówił późniejszego złotego medalistę olimpijskiego i sportowca roku w plebiscycie Przeglądu Sportowego Zygmunta Smalcerza, żeby został sztangistą. W podnoszeniu ciężarów Polska była wtedy potęgą światową.**

– Zawodnicy byli wspalniali: Waldemar Baszanowski, Zygmunt Smalcerz,

ne. Pod koniec życia przecenił swoje siły, wszedł na drabinę, przycinał drzewo w ogrodzie, spadł i został niemal całkowicie sparaliżowany. Zygmunt Smalcerz był mistrzem olimpijskim na igrzyskach w Monachium (1972), a w Montrealu (1976) kiedy miał sporą szansę to powtórzyć doznał pechowej kontuzji podczas treningu. 48 kilogramów to była dla Smalcerza naturalna waga, podczas gdy liczni rywale, startujący w jego kategorii, musieli wagę zbijać co oczywiście ich osłabiało. To niezwykle sportowcy. Więzy między nami nie były tylko formalne. W lidze dzięki różnym staraniom staliśmy się najlepiej ubraną drużyną, sprzączki do pasów sam zamawiałem u ślusarza, a pasy u cenionego kaletnika na Targowej, przecież nie mogli nasi mistrzowie wyjść na pomost w byle czym.. Niestety sekcja podnoszenia ciężarów AZS AWF z czasem się rozpadła, do czego przyczyniła się Legia Warszawa, wykorzystująca swoje bez porównania większe możliwości i kaptująca zawodników. Dlatego do dziś nie za bardzo lubię Legię. Studia na AWF to był niezwykle czas, wystarczy wskazać, że zajęcia z piłki nożnej miał z nami Andrzej Strelau, a do legendarnego trenera Feliksa Stamma, twórcy polskiej szkoły boksu, mogliśmy po prostu podejść i o dowolną rzecz go spytać, zwłaszcza że uprzejmy był niezwykle.

– Kolejnym po AZS AWF rozdziałem Pana kariery stał się Herkules, klub kulturystyki. Jak Pan tam trafił?

– Instruktor Stanisław Taszyński znał mnie z ciężarów, to on zaproponował – Zajmij się Herkulesem. Przychodzę, a tam jedna żarówka, ubikacja brudna, bieda. Zarząd dzielnicy Praga Południe na początek wziął mnie na umowę-zlecenie. Taszyński akurat jechał na staż do Stanów. W Herkulesie było jeszcze zatrudnionych dwóch instruktorów. Klimat wokół kulturystyki nie był najlepszy. Jacek Żemantowski napisał wtedy, że ćwiczymy przed lustrem, bo jesteśmy narcyzami, po tym nas można poznać. Odpowiedziałem wtedy spokojnie, że jeśli ćwiczymy przed lustrem, to dlatego, żeby lepiej obserwować i kontrolować pracę mięśni. Wiedza, którą wypracowaliśmy, okazywała się pożyteczna również dla sportowców innych dyscyplin, przydatna choćby po to, żeby unikać kontuzji.

– A władza jaki miała do Was stosunek?

– Zarzucali mi, że amerykanizuję młodzież. Herkules, założony w latach 60 był kultowym klubem, co nie wszystkim się podobało. Prezes Andrzej Jasiński, mistrz Polski, stał się obiektem wielu ataków. Zniszczono go. Wiedzieliśmy, że



Widok ogólny klubu Herkules, lata 90-te.

różne służby kręcą się wokół. Gdy zająłem się Herkulesem, część tych dawnych ataków po prostu przeszła na mnie. Henryk Jasiak napisał artykuł „Herkules na glinianych nogach”, że młodzież źle się tam wychowuje... A w Herkulesie było 4,5 tysiąca ćwiczących. Płacili składkę i osobno opłatę za ćwiczenia. Pisałem o kulturystyce w różnych gazetach, od „Wiadomości Sportowych” aż po „Żołnierza Polskiego”, wielu chętnych zgłaszało się na ćwiczenia po przeczytaniu artykułów. Kulturystyka stała się stylem i sposobem życia. Proszę pamiętać o tym, że młodzież nie miała wtedy tyle sposobów na spędzanie wolnego czasu, co dziś.

– **A jak władza reagowała na Waszą wzrastającą popularność?**

– Przestali się czepiać, że amerykanizują polską młodzież dopiero wówczas, gdy udzieliłem wywiadu pismu „Polsza”. To był magazyn poświęcony Polsce, wydawany po rosyjsku i trafiający do obywateli ZSRR.

– **Ale co w tym nadzwyczajnego, że wywiad przeprowadzili?**

– Nadzwyczajna okazała się reakcja czytelników. Po ukazaniu się wywiadu listonosz całymi workami przynosił listy od czytelników z ZSRR. Rosjanie

zwłaszcza młodzi, pisali, że ćwiczą, relacjonowali jak to robią i prosili o porady. Dziewczyny pytały, jak dbać o sylwetkę. Klubów fitness przecież w ZSRR nie było. U nas też jak się okazało mieliśmy fanów w wojsku, w marynarce wojennej. Przekonałem się o tym w trakcie wizyty na łodzi podwodnej, gdzie zaprosił mnie admirał przy okazji regat w klasie finn. Wtedy zobaczyłem swoje artykuły o treningu w kulturystyce, planach ćwiczeń, którymi marynarze powyklejali swoje szafki. Gdy dowiedzieli się, że to ja jestem ich autorem, prosili o autografy. Ale przybysze z Zachodu też się nami interesowali. Hiszpanie, Niemcy, Francuzi przychodzili do Herkulesa, podpatrywali albo od razu zapisywali się na ćwiczenia, mieliśmy markę i renomę. Cykl zawodów, system odżywek, program ćwiczeń – z kulturystyką wiązała się przecież konkretna wiedza, myśmy ją mieli. A naprawdę nie jest powszechnie znana. Gdy słyszę, jak znany trener mówi w wywiadzie, że przed zawodami robi trening siłowy, zastanawiam się, czy wie, że osłabia on szybkość, więc stosowny jest w okresie przygotowawczym, kiedy da się to jeszcze później nadrobić. Czy panowie wiedzą, że jeśli się źle ćwiczy, wbrew naturalnym ruchom żeber – można się nabawić nawet nadciśnienia, o zwykłej kontuzji nawet nie mówię?



Zwycięzcy kategorii OPEN. Zawody organizowane przez Herkulesa, zwycięzca Stach Peter (Czechosłowacja).



Przygotowania do Mistrzostw Świata lata 70-te. Stefan Mizieliński koryguje ustawienie mięśnia dwugłowego lewego ramienia u Andrzeja Urbańskiego. Przygląda się Paweł Przedlacki.

Ktoś to wszystko musiał zbadać i opisać, żeby zmniejszyć urazowość i czynić trening przyjemnością, a nie tylko mordęgą. Lęk był zawsze jakoś wpisany w ciężkie ćwiczenia. Pamiętam, jak kiedyś jeden z zawodników przymierzał się do solidnego ciężaru. Nagle w sali zgasło światło. I wszyscy słyszymy jego przestraszony głos: – Chłopaki, chyba wzrok straciłem. Wybuchł prawdziwy rechot, ale jemu przez ten moment wcale do śmiechu nie było, na sztandze miał naprawdę potężny ciężar. A nasze odkrycia czyniły trening względnie bezpiecznym. Nie tylko w kulturystyce.

– ***Know how* mieliście, zgoda, ale skąd braliście tak przydatne w kulturystyce odżywki w gospodarce niedoborów w PRL?**

– Miałem wspaniałych zawodników, którzy je z zagranicy przywozili. Część zasobów pochodziła od przyjaciół. Z Niemiec przyjechał Klaus Jerzy Salamon. Mówił po polsku, sam określał siebie mianem Europejczyka, na wiele lat przed

Maastricht, gdy kontynent był jeszcze podzielony, stał mur berliński. Zapraszał nas na zawody do Niemiec. Zapamiętałem z nich Władimira Putina, o którym wtedy oczywiście nikt nie słyszał. Rzucił mi się jakoś w oczy, taki jasnowłosy chłopak, typowy Rosjanin, utrwaliło mi się jego nazwisko, zanim stało się znane. Zawody w Essen, przeogromne, zawodowe mistrzostwa świata, transmitowane były do wielu krajów. Za ostatnie miejsce płacono tam 1500 marek. A za finał 6 tys DM. Załatwiłem chłopakom zaproszenia u Klausu. Mnie zaproponowano, żebym usiadł i zawody sędziował. Z wyjazdów na Zachód oczywiście przywoziło się odżywki, o które panowie pytają, potem sprzedawało się je dalej, nieźle zarabiając. Ale też zawsze kupiło się sporo dla żony i dzieciaków. Pamiętamy, jaki był przelicznik twardej waluty na ówczesną złotówkę. A ja nie byłem tylko trenerem i sędzią. Robiłem zdjęcia dla „Athletic Sport Journal”. Za najmniejsze fotografie brałem po 20 marek. Za zdjęcie okładkowe mogłem dostać nawet 1500 marek. Pamiętacie panowie, że w tamtych czasach za 100 dolarów, czyli 200 marek można było zrobić w Peweksie takie zakupy, żeby zorganizować



Trening Czesława Langa po kontuzji w Herkulesie.

całej rodzinie luksusowe święta. Porządny magnetofon kosztował 120 dolarów w Peweksie. W Londynie, dokąd pojechałem samochodem z Essen, wygrałem konkurs fotograficzny. Mieszkałem tam w hotelu „Churchill”. Jak na tamte czasy, wszystko to były luksusy niewyobrażalne, ale ja byłem zarówno fotoreporterem jak głównym korespondentem mocnego branżowego pisma. Za okładkowe zdjęcie zdarzało mi się brać 750 dolarów.

– **Rzeczywiście brzmi to oszałamiająco w zestawieniu z krajową bryndzą. Był Pan królem zycia?**

– Nie da się ukryć, że przy ówczesnych przelicznikach można było mieć wrażenie, że za to da się całą Polskę kupić. Jeździłem samochodem roku, wtedy był nim Volkswagen Sirocco. Telewizor jaki miałem w domu był marki Sony, a nie radziecki, który wybuchał, zdarzały się takie wypadki.

– **I wciąż obracał się Pan wśród celebrytów, jak w czasach Hybryd?**

– Z Marylą Rodowicz byłem na jednym roku na AWF. Przychodziła na zajęcia, wyróżniała się: długie nogi, buty za kolana, ale mnie się nie podobała. Wtedy w Relaksie powstał klub Szejtany. Grzesiek, jej ówczesny partner grał tam na perkusji. A ona do niego przychodziła i za bardzo nie miała co tam robić. Aż Grzesiek zaproponował: zaśpiewaj. Z początku efekt nie prezentował się wcale rewelacyjnie. Z czasem dopiero się to zmieniło.

– **Jak to się stało, że po latach musiał Pan odejść z Herkulesa?**

– To już miało związek z Lechem Wałęsą.

– **Niech Pan opowie.**

– Jeszcze w latach 80 byłem na winobranii we Francji. Czarnoskóry kolega spytał mnie wtedy, skąd jestem. Jak się dowiedział, że z Polski od razu wykrzyknął *Walesa* i o nim coś dobrego. A o Jaruzelskim – całkiem odwrotnie. W Herkulesie miałem 4,5 tys członków i zostałem też szefem dzielnicowego TKKF Praga-Południe. Gdy zaczęła się prezydencka kampania Wałęsy w 1990 r, wynająłem dla sztabu na Jakubowskiej do wykorzystania dwa pomieszczenia i numery telefoniczne. Sporo z nich dzwoniło, również za granicę. Zarzucono mi niegospodarność. Tak rozstałem się z klubem.

– **Czy również z polityką?**

– Działalem jeszcze w Polskiej Partii Przyjaciół Piwa.

– **Wtedy był pomysł, żeby Porozumienie Centrum i Polska Partia Przy-**



Stefan Mizieliński jako fotoreporter na zawodach sportowych. Po lewej stronie Jan Rozmarynowski

jaciół Piwa zablokowały listy, ordynacja stwarzała takie możliwości, dzięki czemu byłoby więcej mandatów, KPN z tego skorzystała i jej sojusznicy Jarosław Kaczyński wstępnie na to przystał. Potem zmienił zdanie po rozmowie ze Sławomirem Siwkiem, że niby co biskupi na to powiedzą?

– Nie miał racji, w Bawarii politycy pokazują się na spotkaniach w piwiarniach i na Oktoberfest, nie szkodzi to chrześcijańsko-demokratycznej tożsamości koalicji CDU-CSU, księża przeciw temu nie protestują, wszyscy wiedzą, że ten land słynie z piwa i ilu ludziom ta branża daje pracę. Choć do blokowania list nie doszło Polska Partia Przyjaciół Piwa odnotowała niezły wynik, weszła do Sejmu. Potem Leszek Bubel zepsuł wszystko. Lepszego zdania jestem o Januszu Rewińskim, który był popularny, dawał twarz naszym ówczesnym działaniom. Polacy wtedy takiej formacji potrzebowali. Z listy PPPP do Sejmu wszedł też Jerzy Dziewulski, który wcześniej u mnie trenował. Kandydowałem z Sieradzkiego, ale sam do Sejmu się nie dostałem. Nie żałuję jednak, że próbowałem, rok 1991 to był moment, kiedy Pola-



Obok Stefana Mizielińskiego Ben Wilder, prezes Światowego Związku Kulturystryki z wizytą w Herkulesie.

cy potrzebowali czegoś nowego, do śmiertelnie poważnej polskiej polityki wprowadzono za sprawą Polskiej Partii Przyjaciół Piwa element luzu, co zwykle dobrze ludzie przyjmowali. Spotykałem się wtedy z licznymi oznakami sympatii.

– Następny kontakt z polityką oznaczała dla Pana już w czasach AWS praca w Urzędzie Kultury Fizycznej i Sportu, którym kierował wtedy Jacek Dębski. To postać tragiczna i kontrowersyjna?

– Niewielu znałem tak zaprzysięgłych fanów sportu jak Jacek Dębski. Chodził nawet na trzecioligowe mecze piłkarskie. Zachowałem o nim pozytywną opinię, już po odejściu z funkcji zginął, bo chciał zarobić parę groszy, a zamiast zwrotu powierzonych pieniędzy dostał kulę... Gdy urząd znalazł się w sporze z Polskim Związkiem Piłki Nożnej, kojarzony wtedy z układami rodem jeszcze z poprzedniego ustroju, miał za sobą poparcie kibiców. Problem stanowiło to, że pracowało u nas zbyt mało osób bezpośrednio związanych

ze sportem, dla wielu była to przechowalnia. Po Dębskim urzędem kierował Mieczysław Nowicki, wielki kolarz, brązowy medalista olimpijski z Montrealu w wyścigu indywidualnym i srebrny w drużynowym. Wtedy to był urząd a nie ministerstwo jak dzisiaj. Na pewno za sukces w karierze urzędniczej poczytuję sobie skuteczne przypomnienie, że godłem Polski jest biały orzeł na czerwonym polu.

– A inni o tym zapozniali?

– Przy okazji promocji projektu igrzysk w Zakopanem pojawił się piękny logotyp, tyle, że orzeł był srebrny. Uparłem się, wskazałem, że musi być biały.

– Dlaczego największe sukcesy w sporcie odnosiliśmy w czasach poprzedniego systemu, mam na myśli igrzyska olimpijskie w Montrealu w 1976 r. oraz trzecie miejsce, które wywalczyli w 1974 r. w mistrzostwach świata piłkarze Kazimierza Górskiego i w 1982 r. drużyna Antoniego Piechniczka? Irena Szewińska, spytana w okresie PRL na konferencji prasowej przez zachodniego dziennikarza, czy biega dla ustroju, odpowiedziała: – Biegam dla siebie.

– Sportowcy mieli wtedy wielką motywację, w trudnych czasach była to możliwość awansu, wyjazdu za granicę. Ale również kwestia patriotyzmu. Wiedzieli, że znękanym trudnościami życia codziennego ludziom dają radość. Wte-



Stefan Mizeliński i Rafael Santocha z Hiszpanii. Prezes Światowego Związku Kulturystryki.

dy piłkarze śpiewali hymn narodowy w taki sposób, że mało im serce z piersi nie wyskoczyło. Teraz razi mnie, gdy oglądam mecz siatkówki i dostrzegam, że nie wszyscy reprezentanci śpiewają hymn. Dziwi mnie, że nie zwraca na to uwagi tak podkreślający swój patriotyzm Ryszard Czarnecki, który przecież jest wiceprezesem związku. Dobrze, jeśli decydenci zdają sobie sprawę, że to coś wspaniałego, gdy za sprawą występów drużyny narodowej łąza się w oku kręci. Ale piłkarze hymn śpiewają nadal i to ludziom się podoba, łączymy się w pozytywne emocjach.

– Ale sport to nie tylko przeżycie zbiorowe, indywidualne losy też zmienia, nie tylko w wymiarze kariery, możliwości wyjazdu za granicę?

– Samemu angażując się, nie tylko zostałem mistrzem Europy, nie tylko uznano mnie za człowieka roku w swojej dyscyplinie, ale też dzięki sportowi poznałem wspaniałych ludzi, takich jak Irena Szewińska, o którą panowie pytacie. Miała charyzmę i niezwykle dar, który sprawiał, że gdziekolwiek się pojawiała, atmosfera zmieniała się jakby na cieplejszą. Z Januszem Szewińskim jeździłem na zawody. Razem z Kazimierzem Górskim i Michałem Listkiewi-



Stefan Mizieliński odznaczany przez prezesa Światowego Związku Kulturystyki Bena Wildera.

„ZARZUCALI MI, ŻE AMERYKANIZUJĘ MŁODZIEŻ”

czem promowałem już po zmianie ustroju halową piłkę nożną. Zaszczycem było z nimi współpracować. Sport pozostaje też szkołą charakteru, sam mam poczucie, że głównie dzięki niemu udało mi się wyjść z ciężkiej choroby, chociaż w pewnym momencie lekarze byli bardzo zatroskani, a rokowania niekorzystne. Dziś czuję się człowiekiem tak zdrowym, że mógłbym znów wziąć się do pracy. A kiedy Polacy wygrywają, sport okazuje się najlepszą promocją narodu. Polak utożsamia się z tymi, którzy zwyciężają w jego imieniu, podnosi to dumę narodową, wciąż bardzo nam potrzebną.

PS. Bardzo dziękujemy Panu Janowi Rozmarynowskiemu za zgodę na wykorzystanie fotografii jego autorstwa.

ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

W TENISIE DECYDUJE INSTYKNT GRY

ROZMOWA Z BERNARDEM REJNIAKIEM,
ZNAWCĄ I PROPAGATOREM TENISA,



„W stanie wojennym graliśmy w hali Skry od godz. 22 do szóstej rano. Całą godzinę milicyjną spędzaliśmy na korcie” – opowiada członek zarządu stowarzyszenia „Tie Break”

– Kiedy spotkał Pan po raz pierwszy Igę Świątek?

– Iga Świątek pierwsze swoje tenisowe kroki stawiała właśnie u nas. Jej siostra tu grała. I pewnego dnia przyprowadziła ją do mnie, na ursynowskie korty.

Zapamiętałem jak Iga Świątek się u nas pojawiła, z wielką rakieta, w porównaniu do jej wzrostu. Jak tu przyszła, miała siedem lat. Na korty przy Koncertowej, nie tutaj na Kabaty, gdzie teraz rozmawiamy. Mam jej zdjęcie z tego

okresu, tutaj w klubie. Realizowałem wtedy program „Twoja Era” jeden z wielu wprowadzanych przeze mnie w życiu w celu wyławiania zdolnej tenisowej młodzieży i umożliwienia jej sportowego rozwoju.

– **Od razu się Pan na niej poznał?**

– Na pewno kiedy widziałem ją w finale Mistrzostw Polski w kategorii wiekowej do 14 lat, widziałem w niej już potencjał większy, niż w Agnieszce Radwańskiej. I tak już zostało. Z całą pewnością trafiła na dobry czas i w pewnym sensie trwa on do dzisiaj. Nawet jeśli później Aryna Sabalenka czy Jelena Rybakina przewyższały ją ogólną sprawnością a forhendy czy bekhendy grają takie same, ona je z kolei zdystansowała zwinnością przecież a nie siłą. Trudno się z nią gra.

– **Wiele talentów tenisowych ginie po drodze czy raczej zanika. Od czego zależy, że ona tego swojego czasu nie straciła? Szczęściu trzeba pomagać?**

– Jedna rzecz okazuje się konieczna przy porządnej karierze. Sam zawodnik, który musi chcieć. Trener, który pomaga. I rodzice, którzy wspierają. Jeśli o Igę Świątek chodzi, to za sprawą tak mnie, jak wszystkich ludzi, którzy w jej karierę uwierzyli i umiejętnie w nią zainwestowali - wygrała juniorski Wimbledon i już w wieku 16–17 lat grała jak seniorka.

– **A teraz, co zdecydowało, że dostarcza nam tyle radości, bo rozmawiamy akurat w momencie, kiedy po raz kolejny wygrała Roland Garros, Międzynarodowe Mistrzostwa Francji, jeden z czterech najbardziej prestiżowych turniejów, zaliczanych do Wielkiego Szlema?**

– Teraz już wszyscy się jej boją, co ma zasadnicze znaczenie dla jej zwycięstw. W tenisie, gdy gra się z kimś mocnym, trzeba zagrać coś nadzwyczajnego. Rywal wie o tym. Stara się więc wyjątkowo i wtedy właśnie... popełnia błędy. To zapewne nieuniknione. Bo rywal tego wielkiego zawodnika czy zawodniczki wie, że jeśli zagra, jak potrafi – to przegra. A gdy stara się to zrobić lepiej, niż naprawdę umie – to mu nie wychodzi.

– **Jak to wygląda w praktyce?**

– Wyobraźcie sobie Panowie, że dostajecie w trakcie meczu piłkę na forhend. Łatwą dla Was do zagrania. W każde miejsce na korcie, z większą lub mniejszą rotacją. Każdy zawodnik zagra piłkę tak, że zawsze da się to ocenić w czterech płaszczyznach z punktu widzenia możliwości wygrania akcji. To

nietrudna klasyfikacja. Są zagrania bardzo dobre, dobre, obojętne i wreszcie te złe, nawet jeśli nie zepsuje się piłki.

– **Co decyduje, że podobną piłkę zagrywa się dobrze albo źle?**

– Z punktu widzenia skuteczności rozstrzygającym elementem okazuje się instynkt gry. Trzeba tak go nazwać. Przecież zanim się piłkę odbije, nie ma czasu na analizę sytuacji.

– **Bo tenis to nie szachy?**

– W szachach również czas do namysłu pozostaje ograniczony, nawet jeśli nie jest to partia błyskawiczna. Oczywiście w tenisie decydują umiejętności a nie cechy nadprzyrodzone, bo nie zagra się piłki z prędkością 110 km na godzinę, jeśli nie jest się w stanie tego zrobić. Liczy się, w który punkt kortu uda się uderzyć. Gdy dokona się tego skutecznie, otrzymuje się oczywisty bonus. Ty decydujesz, nie przeciwnik, za to on musi się bronić. I wtedy zwykle wygrywasz.

– **Czy da się porównać Ięgę Świątek do Roberta Lewandowskiego? Kiedyś nie brakowało zawodników z problemami, nawet jeden z orłów Kazimierza Górskiego rozbił zakupione z rabatem za udział w zdjęciach reklamowych BMW w okolicznościach, tak to ujmijmy, niechlubnych, i przestał w kadrze grać pomimo zasług. A Lewandowski pozostaje perfekcyjny, wszystko służy jego karierze: dietę ma opracowaną drobiazgowo, a żonę celebrytkę, która go wspiera?**

– Lewandowski łączy dwie rzeczy bezcenne. Wie, że musi być akceptowany przez drużynę. W Borussi Dortmund był jedynym, którego zadaniem pozostawało zdobywać bramki. I to właśnie robił. Cały zespół akceptował tę jego rolę. Trudno, żeby działo się inaczej, skoro w pamiętnym półfinale Ligi Mistrzów trzynaście lat temu strzelił Realowi Madryt cztery gole. Ale ma też instynkt, w związku z tym dogrywali mu piłki. Podobnie działo się w monachijskim Bayernie, w którego barwach sześć razy zostawał królem strzelców Bundesligi. Natomiast już w Barcelonie nie przyjęto go jako bezdyskusyjnego lidera, na którego się kreował. To tworzy różnice między jego statusem w kolejnych klubach. To, co kiedyś nazywano geniuszem Kazimierza Deyny też da się opisać. Zawodnik dostaje piłkę. Może dograć podanie do sześciu zawodników: wykonać to bardzo dobrze, dobrze, obojętnie lub źle. Ale nie analizuje przecież

pozycji tych sześciu piłkarzy, czasu na to brakuje. Gracz, co nie ma instynktu – poda do pierwszego, który znajduje się najbliżej. I to nie jest optymalne zagranie. Zwykle tworzy się problem, skutkujący utratą piłki. A podania Deyny okazywały się najlepsze z możliwych i to sprawiło, że wybrano go w 1974 r. trzecim piłkarzem Europy w ankiecie „France Football”. W wojsku rzecz wygląda podobnie. Zazwyczaj nie ma czasu na mozolne podejmowanie decyzji, czy dywizja ma w dwóch rzutach czy trzech przeprowadzić atak. Nawet na poligonie, nie mówię już o współczesnym polu walki. Podobnie jest w biznesie. Człowiek wie wszystko, czuje się naładowany wiadomościami. Ale w krótkim czasie, jaki mu pozostaje na podjęcie decyzji, nie ma możliwości, żeby z nich skorzystać, nie rozważy wszystkich przesłanek, bo jeśli tak postąpi, spóźni się z rozstrzygnięciem. Tenis jest sportem indywidualnym, chociaż na sukces osoby wybitnej jak Iga Świątek pracuje oczywiście też jej zaplecze, które zespołem można nazwać. Różnica z piłką nożną pozostaje jednak oczywista. Natomiast jeśli chodzi o instynkt gry, to zestawienie Igi Świątek z Robertem Lewandowskim okazuje się zasadne, bo oboje go objawiają.

– **Czy można ten instynkt wytrenować?**

– Każdy, kto jest go pozbawiony, będzie działał co najwyżej poprawnie. Instynkt daje szansę, żeby osiągnąć coś więcej. Poprzez trening poprawia się umiejętności. Sąsiad był wiele dekad temu szefem biura konstrukcyjnego w Kasprzaku. Jego konikiem były głośnice magnetofonowe. Mnóstwo miał na nie pomysłów. Ale ja mu mówiłem, bez złośliwości przecież: i tak kupicie te głośnice od Japończyków. I tak rzeczywiście musieli w końcu zrobić i byli zadowoleni. Wiecie już na pewno panowie, dlaczego ten przykład przytaczam. Taktyką zawodniczek, kiedy w tenisie dominowała Steffi Graff było zwykle to, żeby grać tak, aby ona nie trafiła z forhendu kolejnych piłek, ponieważ wtedy na dziesięć wygrywała osiem. I po meczu. Z siostrami Williams działa się podobnie. Zawsze trzeba pamiętać w tenisie, że z jednej strony są nasze działania – a z drugiej przeciwnik. I jeśli z dziesięciu piłek wygra się sześć, to cały mecz również.

– **Dochodzimy do psychologii tenisa. Sposób liczenia w im punktów pozostaje specyficzny. Czy istnieją punkty węzłowe?**

– Nie ma piłek ważnych i nieważnych. Jak trzysetowy mecz składa się

z dwustu akcji i jeden zawodnik wygra z nich 105 a drugi 95, to zwykle zwycięża ten, kto więcej akcji na swoją korzyść rozstrzygnął.

– **Ale przecież nie o każdą piłkę walczy się z taką samą determinacją?**

– To znowu kwestia zaufania do umiejętności. Pete Sampras w swoim najlepszym okresie meczów do zera nie wygrywał. Przełamywał konkurenta i wygrywał własny serwis. Wystarczy zwyciężyć trzy razy po 6:4. W czasie wojny gen. Douglas MacArthur nie zdobywał wysp oddzielnie, jedna po drugiej. Zajmował jedną a potem ruchem konika szachowego następne. Niektóre mniej znaczące odpuszczał.

– **Drugi raz przywołuje Pan przykład z dziedziny wojskowości. A na ile wiedza tenisowa okazuje się przydatna w biznesie?**

– Wiele podobnych reguł da się również tam zastosować. Jeżeli rozważamy decyzję biznesową, gdzie dane środki zainwestować, nie analizujemy przecież wszystkich gospodarek świata, bo czas byśmy stracili, a inni nas by ubiegli. Coś rozstrzyga o tym, że postanowimy ten biznes otworzyć akurat w Tajlandii, a nie gdzie indziej. Z wykształcenia jestem ekonomistą, wiem, że przy podejmowaniu decyzji jednym z elementów są warunki ograniczające. Sztab ludzi może je badać, bo te warunki stanowią istotny element: jak siła robocza, transport, dostawy. Mówisz sobie: idę do przodu, ale tu zaraz, zaraz, słyszysz wewnętrzny głos. Ważne pozostaje ryzyko. Profity okażą się wyższe, gdy jest ono większe. W Stanach Zjednoczonych jeśli nie zrobisz kariery do 35 roku życia, ludzie widzą, że coś poszło nie tak. Element pionierski polega na tym, że kto pierwszy rzecz wymyśli, ten zarobi. Szanse czasem okazują się równe, czasem mniej. Na początku XX wieku w Ameryce Południowej 95 proc zasobów należało do magnatów, stanowiących 5 proc populacji. W Ameryce Północnej 95 proc to były firmy rodzinne, popatrzmy na to z punktu widzenia akumulacji kapitału. Chiny to państwo bogate ale ludzie są tam biedni. Niemcy to ludzie zamożni ale i państwo mają silne. Nic nie dzieje się przypadkiem. Ten element, który się liczy w tenisie, w życiu gospodarczym też odgrywa ważną rolę: obojętnie, czy wszyscy mają równe możliwości więc warto się wykazać instynktem żeby uciec do przodu, czy raczej posłużyć on nadrabianiu dystansu do tych, których nazwać można uprzywilejowanymi.

– **Dochodzimy więc do związków sportu z życiem, tym poza kortem czy**

boiskiem. Kariera w sporcie wyczynowym w pewnym momencie dobiega końca. Z tego, co już Pan powiedział, wynika, że instykt gry znany ze sportu może pomóc w ekonomii, czy może w polityce też?

– Zanim jeszcze kariera się skończy, sportowcy już się do biznesu biorą: Leo Messi czy Agnieszka Radwańska tworzą biznesy, Świątek kupuje ziemię, siostry Williams próbowały robić ubrania sportowe. Rafael Nadal kazał przygotować 20 kortów, tworzy akademię tenisową i wznosi hotel dla zawodników. Nie wszyscy sportowcy zostają trenerami. Charakter, objawiony w grze, przydaje się w biznesie. O istnieniu relacji, o którą Panowie pytacie przekonane są osoby prowadzące szkoły biznesu, zamawiający u mnie wykłady i szkolenia. Związki biznesu ze sportem masowym okazują się oczywiste. W Polsce sprzedaje się milion rowerów rocznie. Nakręca to rynek. Trudno się dziwić, że BGŻ sponsorował Tour de Pologne.

– A jaka była Pana droga do tenisa? Od niego Pan zaczął czy najpierw miał się Pan innych dyscyplin?

– Próbowałem grać w piłkę ręczną. Uznano mnie za obiecującego juniora. Niestety zerwałem ścięgna barku i ten uraz zastopował moją karierę. A u mnie w Mławie były dwa korty. Siedziałem przy siatce i patrzyłem jak grają. Kiedy przyjechałem do Warszawy, sam zacząłem grać i to w niebyle jakim towarzystwie. Z Lechem Falandyszem, Włodzimierzem Tramsem, przychodził też na te korty Tadeusz Ślusarski. Falandysz wtedy właśnie przyjechał ze stypendium ze Stanów, po grze biegał po szampany. W 1984 r. pojechałem do Niemiec. Komuś brakowało partnera na korcie, spodobała mu się moja gra i tak zostałem instruktorem. Jakby mnie w klubie zatrudnili na pełen etat, to tam bym został, pięć kilometrów od Baden-Baden, bo tam mieścił się mój tenisowy ośrodek. A tak aż do lat 90. jeździłem do Niemiec na 5–6 miesięcy a przez resztę roku odpoczywałem. Wiadomo, jaki był kurs marki pod koniec lat 80. i jakie możliwości to stwarzało. W 1990 roku przyjechałem do Polski, na SGH podjąłem studia podyplomowe z marketingu i zarządzania. Pytaliście mnie Panowie o politykę. Wtedy właśnie zwrócił się do mnie ktoś z Urzędu Rady Ministrów. Potrzebujemy ludzi – mówi. Działo się to przecież zaraz po zmianie ustrojowej. Garnitur i krawat kupiłem. Jacek Ambroziak powiedział, że potrzebuje w URM dyrektora gospodarstwa pomocniczego.

Dla porządku spytałem: ile płacicie? Dla mnie po tych Niemczech były to śmieszne pieniądze. Wchodzę, tam do URM, wokół ludzie w garniturach, a pod nogami świecące posadzki. Wyszedłem. I z budki telefonicznej naprzeciwko zadzwoniłem, że jednak nie.

– **Czyli jednak tenis, tak Pan wybrał?**

– Wynająłem korty przy Instytucie Psychoneurologicznym na Sobieskiego. Potem przy Koncertowej koło metra Stokłosa. W dobrym okresie działalności zatrudniałem



28 trenerów. Zainwestowałem w budowę pięciu kortów. Gdy dałem ogłoszenie w „Expressie”, w 12 godzin miałem 60 chętnych do gry. Ryzyko okazało się niewielkie, miałem pieniądze zarobione jeszcze w Niemczech. Działalem etapami. Zapełniałem jeden obiekt, brałem się za drugi. Szedłem za klientem. Gdy postawiono to osiedle, Kabaty, gdzie teraz rozmawiamy, wokół nie było kortów. Do 2002 r. udało mi się je zbudować. I otwarte, gotowe. Na początku trafiłem do Ery. Znałem Monikę Olejnik, umówiła mnie z Antkiem Mielniczukiem a on mnie skierował do prezesa. Prezes w tenisa nie grał. Jednak ja siedzę i opowiadam. Nagle on mnie pyta: – Ile? W głowie miałem to, żeby nie przestrzelić. Mówię więc: trzysta. Finansowali mnie ze 6–7 lat. Za sprawą Andrzeja Dopieraty trafiłem do PKO BP. Także do BGŻ do Sikory. Zaczę-

łem organizować turnieje dla bankowej kadry kierowniczej. Potem ruszyłem z przekazem, że grać będzie młodzież. Selekcjonowaliśmy dzieci z Ursynowa, Mokotowa, Żoliborza i Gocławia, kiedyś też z całej Pragi. Już przedszkolaki, bo nasi trenerzy do przedszkoli chodzili i oceniali. Robiliśmy test sprawnościowy. Zapraszaliśmy, żeby dzieci przychodziły z rodzicami. Rodzice płacili połowę tego, co w innych klubach. W ten sposób miałem 400–500 dzieciaków na wszystkich obiektach. Pojawiła się klasa sportowa w szkole podstawowej przy ulicy ZWM. W rankingu tenisistów do 14 roku życia w pierwszej setce było 25 graczy od nas, z „Tie-Breaka”, naszego klubu. Z każdym rokiem wzrastała liczba dzieci, a więc i koszty. Wymuszało to dodatkowy rozmach przedsięwzięcia. A te korty, na których rozmawiamy, powstały jak w 2002 r. był dołek inwestycyjny. Deweloper bał się wtedy, że mieszkań nie sprzeda. A ja wiedziałem, że wokół na Kabatach mieszkają ludzie, którzy grają w tenisa. Stąd dzierżawa od Dom Development. Korty i parę jabłoni wokół. Taka oaza zieleni – i sportu, pośrodku osiedla. Pierwszą umowę zawarłem na dziesięć lat. I jak Panowie widzicie, ludzie również teraz grają.

– Wykorzystał Pan moment, kiedy Polacy wychodzili z komunizmu, a tenis kojarzył się z lepszym światem?

– Na pewno tak się działo, chociaż oczywiście pierwsza wysoka fala popularności tenisa w Polsce przypadła jeszcze na lata 70. czas Edwarda Gierka, chociaż oczywiście nie z jego osobą się wiązała lecz z sukcesami Wojciecha Fibaka. Kolejna nastąpiła po zmianie ustrojowej. Z czasem jednak zdarzało się coraz częściej, że słyszeliśmy od sponsorów: priorytety się zmieniły, teraz to w koszykówkę zamierzamy inwestować. Chociaż był to czas, kiedy co dwa tygodnie występowałem w sportowych programach w telewizji. Doskonały okres. PZT miał mniejszy budżet niż moja firma. Ja 1,2 mln dolarów, oni 800 tys. Mogłem kupić, tak, by banki i sektor IT w tym partycypowały, kilkanaście hektarów ziemi pod Kopą Cwila, trzeba było zainwestować 20–30 mln. W grze był Tamex, Janusz Wójcik, oni później budowali różne obiekty sportowe, także hotele, teraz halę w Piasecznie. Zarabiają. Zaś ja podchodzę do sprawy nieco inaczej. To jest misja, chociaż trzeba też pieniądze zarabiać. Stać mnie było nawet, żeby Bugatti kupić. Jaki jednak z tego pożytek, lepiej po sobie konkretne przedsięwzięcie pozostawić, jak to szkolenie tysięcy dzieciaków. Fajna rzecz.

Wciąż wiele się w polskim tenisie dzieje, odbywa się w obsadzie międzynarodowej turniej Bohdana Tomaszewskiego.

– **Pana dzieci też grają?**

– Średnia córka Olga była 16. juniorką na świecie. Wydałem na tenisowe plany córek ok. dwóch milionów, samemu pozostając ich trenerem. I mając własny obiekt.

– **Czego trzeba na start w drodze po sukces?**

– Przede wszystkim pieniędzy. Jednak one niewiele pomogą, jeśli motywacji zabraknie. Pieniądze to nie wszystko, liczy się zacięcie i chęć. Jeśli chodzi o mój program, to chłopaki i dziewczyny przeze mnie wyselekcjonowani byli w kategorii do 14 lat najlepsi w Polsce.

– **Z czasem przysły po dłuższej od ery Fibaka przerwie sukcesy Polaków w światowym tenisie, efekt wspomnianego boomu ale też działań takich jak Pańskie?**

– Jest o czym rozmawiać. Hubert Hurkacz nie pochodzi z bogatej rodziny. Klub niewiele do niego dopłacał ale jego karierę chronił. Gdy się patrzy na sposób chodzenia Hurkacza, nigdy by się nie pomyślało, że to tenisista. Na korcie jednak jest tygrysem. Inny przykład stanowi Łukasz Kubot. Wstawał o 4. rano i z Brzegu dojeżdżał do Wrocławia na trening o 6. rano. Determinacja to pierwszy warunek. Kto udaje, ten odpada, trzeba się zaangażować. Jerzy Janowicz opowiadał, jak musiał trenować w szopach. Ale z czasem dwaj Polacy spotkali się w ćwierćfinale Wimbledonu. I właśnie Janowicz wtedy w półfinale zagrał. Po latach powtórzył to Hurkacz.

– **Co na fali sukcesów Świątek i Hurkacza uda się zrobić dla tenisa w Polsce?**

– Jediną szansą, żeby coś zrobić, jest zrobić to prywatnie. Miejscami, gdzie się gra w tenisa, nie zarządza klub, lecz dzierżawca. Musi pieniądze zarobić. Jediną szansą to żeby powstała firma. Projekt zakrojony na dziesięć lat. To nie tak, że pójdę do ministra i on mi da na ten cel 20 milionów. Bo wtedy ja powinienem zapytać, czy za trzy lata dostanę następne pieniądze. I on musi mi odpowiedzieć, że tego nie wie, bo nie ma pewności, czy wtedy ten sam gabinet będzie jeszcze zajmował. Gdy rozdmucha się program, ma się w nim tysiąc osób, to się za wszystko odpowiada. Nie powie im się przecież: zamykam i gaszę światło. Kiedy jeździłem do Niemiec, podziwiałem,

jak tam się organizuje rozgrywki tenisowe z udziałem 830 tys ludzi. Pozostaje przeciwnikiem sponsoringu 100-procentowego. Gdy rodziców kariera dziecka nic nie kosztuje, nie dopilnują, żeby trenowało, zamiast pójść wieczorem do dyskoteki.

– **Pana pomysłem jest także pismo „Tenisklub”?**

– Magazyn uruchomiliśmy, mam piszącego zięcia Adama, córka Magda jest prezeską spółki, zajęła się stroną organizacyjną, więc to w znacznej mierze rodzinne przedsięwzięcie, miesięcznik z przerwą świąteczną, który się bilansuje. W Polsce od 500 do 600 tys ludzi gra w tenisa rekreacyjnie, mają prawo mieć swoje pismo. W pewnym momencie miałem pomysł, żeby wzorem Niemców, złożyć turnieje w system. Utworzyliśmy z PZT spółkę Amatorski Tenis Polski, KIA została sponsorem turniejów.

– **Kiedyś tenis kojarzył się z lepszym światem, trochę już o tym rozmawialiśmy?**

– Lepszy, inny świat, stroje, piłki, ceremonia... Finał turnieju Masters 1976 r. z udziałem Wojciecha Fibaka i Manuela Orantesa Telewizja Polska transmitowała w obu programach. Wtedy Fibak przegrał, chociaż niewiele mu zabrakło do zwycięstwa. Wtedy zainteresowanie tenisem niebywale wzrosło. Masowo budowano korty. Młodzi ludzie chętnie obnosili się po mieście z rakietami. To Wojciech Fibak dał pierwszy impuls do rozwoju i poważnego traktowania tenisa w Polsce.

– **Tenis i polityka... Już raz ten wątek zaczęliśmy?**

– Kiedy wprowadzono stan wojenny, byłem wiceprezesem Skry. Spotykaliśmy się na jej kortach, graliśmy od godziny 22, kiedy zaczynała się godzina milicyjna aż do szóstej rano, kiedy się kończyła. W tym zawiera się pewnie częśćka odpowiedzi na pytanie, do czego tenis potrzebny jest ludziom, co w nim widzą.

CZEGO JESZCZE MOŻEMY SIĘ DOWIEDZIEĆ

Z ANDRZEJEM ANUSZEM ROZMAWIA ŁUKASZ PERZYNA

– Pojęcie wypełniania białych plam pozostawało modne w drugiej połowie lat 80, kiedy w ZSRR za Michaiła Gorbaczowa zaczęła się najpierw głośność czyli jawność a potem pierestrojka, przebudowa. Oczywiście Związek Radziecki rozpadł się nie tylko z powodu ujawnienia komunistycznych zbrodni, skoro wcześniej okazało się, że dane mu było nie tylko przetrwać Raport Chruszczowa (1956) ale nawet po jego wygłoszeniu posłać w Kosmos pierwszego Sputnika i kosmonautę Jurija Gagarina – tylko dlatego, że wobec niedowładu gospodarki i przegranego wyścigu zbrojeń niemożliwe stało się osiągnięcie programowego celu socjalizmu realnego czyli zaspokojenie potrzeb społecznych. Czy jeśli poznamy zawartość archiwów rosyjskich co dziś mało prawdopodobne albo amerykańskich na co pewnie szanse są większe, zmieni to radykalnie nasz sposób postrzegania najnowszej historii?

– Poznanie wielu szczegółów na pewno okaże się atrakcyjne, chociaż raczej nie zmieni naszych utrwalonych ocen historycznych procesów. Jeśli mówimy o tym, czego jeszcze nie znamy, można skorzystać z analogii z tym, co już poznaliśmy. Archiwa, przekazane Polsce na polecenie Borysa Jelcyna a dotyczące eksterminacji przez NKWD polskich oficerów po 17 września 1939 r. dopomogły w policzeniu ofiar i wskazaniu miejsc ich kaźni jednak nie zmieniły całokształtu naszej wiedzy o rozmiarach i mechanizmach stalinowskiego ludobójstwa. Znanych dzięki historykom emigracyjnym i ludziom pióra tak wybitnym jak Józef Czapski czy Józef Mackiewicz. Podobnie dokumenty z posiedzeń kierownictwa Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, ujawnione przez Władimira Bukowskiego, podważają wprawdzie alibi generała Wojciecha

Jaruzelskiego, który wprowadzenie stanu wojennego tłumaczył zagrożeniem radziecką interwencją, ale dla naszej świadomości nie stanowią wielkiej rewolucji. Bo już wcześniej w tłumaczenia generała wątpiliśmy. W parę lat po wprowadzeniu stanu wojennego Jerzy Giedroyc ujawnił świadectwo płk. Ryszarda Kuklińskiego [Wojna z narodem widziana od środka, „Kultura” nr 4/475, 1987], ewakuowanego z Polski przez Amerykanów późną jesienią 1981 r. że zagrożenie interwencją państw Układu Warszawskiego (bo oprócz radzieckich Polskę miały najechać dywizje z NRD i Czechosłowacji) pojawiło się, ale rok wcześniej, w grudniu 1980 r. Oznacza to, że w rok później Jaruzelski straszyl czymś, o czym wiedział, że nie nastąpi.

– **Jednak oceny tak Jaruzelskiego (bronil władzy PZPR czy ocalil Polskę przed najgorszym) jak Kuklińskiego (bohater czy zdrajca) wydaja się tak spolaryzowane, że trudno sobie wyobrazić dokumenty, władne je zmienić? 35 lat temu pożyczylem Ewie Milewicz, wtedy pracowaliśmy razem w „Gazecie Wyborczej”, książkę Jaruzelskiego „Stan wojenny dlaczego”, nie oddala mi jej do dzisiaj, a ja chociaż wcale nieśmiały nie jestem, nie mam potrzeby, aby się o nią upomnieć, bo mam wrażenie, że zawarte tam argumenty znam na pamięć, podobnie zresztą jak te wyliczane przez oskarżycieli generała?**

– Dokumenty jakie możemy jeszcze poznać pisane są w nowo-mowie komunistycznej, co nie uniemożliwia oczywiście ich zrozumienia, ale utrudnia jednoznaczna ocenę, znów wnioskuje na podstawie tego, co już udało się odkryć, bo nie ma żadnych podstaw, żeby sądzić, że z resztą materiałów rzecz ma się inaczej.

– **Breżniew raz mówi w zachowanych protokołach politbiura „wejdziemy”, kiedy indziej „nie wejdziemy” i co o tym myśleć?**

– Oddaje to jego ówczesny stan umysłu, także zdrowia fizycznego, wiadomo, że zdarzało się, iż musieli go podczas oficjalnych spotkań podtrzymywać przywódcy innych państw jak kanclerz Helmut Schmidt, żeby sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego się nie przewrócił. W dodatku radzieckie kierownictwo partyjne rzeczywiście za Breżniewa funkcjonowało kolegialnie. w znacznej mierze z tego powodu pozwolono mu rządzić całe 18 lat. Jak się Breżniew wypowiadał w konkretnej sprawie, mógł świadomie

zwlekać z zajęciem stanowiska, albo w ogóle czynić je niemożliwym do odgadnięcia, starał się najpierw poznać opinię marszałków zwłaszcza Dmitrija Ustinowa, szefa KGB Jurija Andropowa czy głównego ideologa partii Michaiła Susłowa. Wiedział, że nie rządzi sam. A sprawy polskie wcale go szczególnie nie zajmowały, nie ma przynajmniej żadnych dowodów na to, żeby się nimi interesował.

– Zapewne jednak dla bezkrytycznych wielbicieli Ameryki, których tak w polskiej polityce jak historiografii wielu, nie było szokiem stało się ujawnienie i to przez samego prezydenta George’a Busha Seniora w autobiografii, że podczas pobytu w Polsce w 1989 r. namawiał gen. Wojciecha Jaruzelskiego, żeby pomimo klęski PZPR w wyborach z 4 czerwca nie rezygnował z ubiegania się o prezydenturę?

– Nie wiem, czy wywołuje to szok aż tak wielki. Wiadomo bowiem po pierwsze, że George Bush Senior, wcześniej przez osiem lat wiceprezydent przy Ronaldzie Reaganiu, nie był postacią na jego miarę. A sam Reagan, chociaż położył tak wielkie zasługi dla pokonania komunizmu i wspierał na wszelkie sposoby opozycję antykomunistyczną w Polsce, nie ostrzegł jednak swoich przyjaciół z Solidarności o terminie wprowadzenia stanu wojennego, chociaż znał go dzięki pułkownikowi Ryszardowi Kuklińskiemu. Wiadomo, jak bardzo amerykańska opinia publiczna obawiała się destabilizacji w Rosji, również konserwatywni republikańscy prezydenci musieli się liczyć z jej obawami. Odbywali kolejne szczyty najpierw z Gorbaczowem: w Genewie, Reykjavíku i kolejnych miastach, potem z Jelcynem. Nawet Clintonowi, co z jego autobiografii wynika, przecież nie łatwowiernego wobec Kremla, skoro Polskę do Sojuszu Atlantyckiego przyjął, za co musimy być mu wdzięczni – Jelcyn opowiadał, że powracający z krajów Europy Wschodniej gdzie stacjonowali, oficerowie rosyjscy muszą mieszkać w namiotach i przed zimą potrzebuje amerykańskiej pożyczki, żeby dla nich domy zbudować, zanim się zbuntują. Wspomniał Pan o wystrzeleniu pierwszego Sputnika w 1957 r., co stało się przyczyną szoku tym spowodowanego u zwykłych Amerykanów...

– ...że zostali przez tych Azjatów, bo tak wtedy Rosjan odbierali, wyprzedzeni w kosmicznym wyścigu. Wtedy masowo budowano w USA schrony przeciwatomowe, na prywatnych posesjach, gdzieś w Kansas czy Wyoming?

– Jednak amerykańskie obawy ani lęki tym razem z końca lat 80. a nie 50. nie muszą w decydujący sposób rzutować na oceny posłów i senatorów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, którzy unieważniając głosy dopomogli w wyborze Jaruzelskiego. Chociaż nie znali przecież treści jego rozmowy z Bushem. Andrzej Machalski chociaż dopomógł wtedy w wyborze generała na prezydenta, nie przyjął później jego podziękowań za to i podkreślił, że wcale nie osobiste walory kandydata przyczyniły się do jego decyzji. Tylko chęć zachowania stabilizacji w kraju. Jego argumenty nie muszą nas wcale przekonywać. Jeśli jednak nawet je odrzucimy całkowicie, ocena ta nie podważa wcale historycznych zasług dla zwycięstwa wyborczego Solidarności, bo to właśnie Andrzej Machalski pokierował tak skutecznie kampanią przed 4 czerwca 1989 r. Podobnie jeśli nawet w sprawie prezydentury Jaruzelskiego się z Machalskim nie zgodzimy, możemy podzielać jego ocenę, że najbardziej udane dla Polski okazało się pierwsze 10 lat transformacji ustrojowej. Zamyka tę dekadę przyjęcie nas do NATO, na czym także teraz nasze bezpieczeństwo opieramy, więc ocena ta wydaje się nader rozsądna.

– W ostatnich latach pojawiły się przekazy, jak reportaż TVN o domniemanej odpowiedzialności Karola Wojtyły za ukrywanie przypadków pedofilii wśród księży, jeszcze kiedy przyszedł Papież był biskupem krakowskim. Czy można tu mówić o historycznej sensacji, czy raczej rzucaniu grudką błota w jeden z nielicznych wspólnych Polakom autorytetów?

– Reportaż atakujący dobrą pamięć Polaków o Janie Pawle II oparty był na materiałach, jakie pozostawiła po sobie komunistyczna służba bezpieczeństwa. Zadziwiające, że tym razem uwierzyły im środowiska, które zwykle wiarogodność esbeckich archiwów kwestionowały, czy chodziło o przeszłość Lecha Wałęsy czy niektórych polityków dawnej Unii Wolności. Reportaż TVN okazał się jednostronny. W istocie bowiem Wojtyła jako ówczesny arcybiskup krakowski nie tylko nie tolerował smutnych wypadków pedofili wśród księży, ale tych, wobec których pojawiały się podobne podejrzenia, natychmiast odsuwał od pracy z dziećmi i młodzieżą, przenosił z parafii na mniej eksponowane funkcje. Co więcej, kiedy został już Papieżem Janem Pawłem II – okazał się pierwszym na Stolicy Piotrowej, który podjął systemowe przeciwdziałanie wypadkom pedofilii w Kościele katolickim. Nie robili tego nawet wybitni prze-

cież jego poprzednicy jak Paweł VI czy Jan XXIII, zaś do Jana Pawła I trudno mieć z tego powodu pretensje, skoro jego pontyfikat potrwał niestety zaledwie kilkadziesiąt dni. Sensacyjny, wątki faktograficznie i mało rzetelny reportaż, o który Pan pyta nie zmienił w niczym, chociaż był tak żywo dyskutowany, ocen Jana Pawła II przez Polaków. W 21 lat po śmierci nasz Papież pozostaje dla rodaków największym autorytetem społecznym współczesności. Sondáže, które zwykle TVN przywołuje tak ufnie, jasno tę ocenę potwierdzają.

– Napisał Pan książkę „Kościoł Obywatelski”, zna Pan opinie, że właśnie najnowsza historia Kościoła i związanych z nim instytucji wiele tajemnic skrywa. Czy je poznamy?

– Sądzę, że zwolennicy tego stereotypu mogą się zawieść, zwłaszcza, że znana i doceniana jest dyplomacja watykańska z czasów Jana Pawła II i jego wysiłki choćby na rzecz zapobieżenia radzieckiej interwencji w Polsce, kiedy to Ojciec Święty współdziałał m.in. w tym celu ze Zbigniewem Brzezińskim. Opisują to renomowani nie tylko polscy papiescy biografowie jak dawny demaskator afery Watergate Carl Bernstein i watykanista Marco Politi. Dziś to już żadna tajemnica, chociaż możemy jeszcze poznać szczegóły, które okażą się pasjonujące.

– Ocena Jana Pawła II się nie zmienia, czy ta stabilność dotyczy również innych ważnych dla polskiego Kościoła postaci?

– W moim przekonaniu z biegiem lat coraz bardziej doceniamy rolę prymasa Józefa Glempa w pokojowych przemianach w Polsce, chociaż od początku oczywisty pozostawał patronat naszego Kościoła nad społecznym dialogiem z lat 80 podobnie jak ujmowanie się za pokrzywdzonymi.

– Jednak kardynał Glemp pozostawał w cieniu Jana Pawła II?

– Wbrew temu, co piszą zwykle bardzo rzeczowi w innych kwestiach biografowie Wojtyły Politi i Bernstein, prymas i Ojciec Święty nie prowadzili rozbieżnych polityk, ich działania doskonale się uzupełniały z korzyścią nie tylko dla Kościoła ale całego społeczeństwa. Nie wszyscy wiedzą, że to Prymas Tysiąclecia Stefan Wyszyński wyznaczył Józefa Glempa na swojego następcę, chociaż wtedy był on raczej mało znany a wśród hierarchów polskiego Kościoła nie brakowało postaci charyzmatycznych. Miał on trudne zadanie, ale nie zawiódł oczekiwań. Sporo do naszej wspólnej wiedzy o działaniach prymasa Glempa, zwłaszcza tych dyskretnych, wnosi niedawno opublikowana biografia

autorstwa Mileny Kindziuk. Ale znowu można powiedzieć, że żadnej tajemnicy nie stanowi ogromna, często sprawcza – jeśli zważyć konsekwencje wyboru Wojtyły a potem papieskich pielgrzymek z 1979, 1983 i 1987 r. – rola Kościoła w wolnościowych przemianach w Polsce. Na wiele detali wciąż jeszcze jednak czekamy.

– Zwycięstwo tego co Pan nazywa narracją Solidarności i szerzej ustanowienie demokracji w Polsce stało się częścią szerszego ogólnoswiatowego procesu. Upadały dyktatury nie tylko komunistyczne, także prawicowe jak na Filipinach, do czego zresztą również Kościół katolicki się przyczynił. W Chile bezkrwawo, za to w Rumunii po kilku dniach dramatycznych walk. Polskie wybory z 4 czerwca 1989 r. wpisują się w tezę Francisa Fukuyamy o końcu historii, jaki miał stanowić globalny sukces demokracji?

– Fukuyama pozostaje raczej publicystą niż historykiem czy filozofem. Swada i optymizm jego opinii nie wytrzymały jednak próby czasu. Zaprzeczyły im zarówno atak Al-Kajdy na Dwie Wieże w Nowym Jorku 11 września 2001 jak Władimira Putina na Ukrainę 24 lutego 2022 r. Zresztą zarówno udział polskich żołnierzy w akcjach w Afganistanie czy Iraku jak polska „miękką siłą” jaką objawiliśmy masowo pomagając wojennym uchodźcom ukraińskim pokazują nie tylko zwycięski sens ale również aktualność narracji Solidarności. W tym sensie, w jakim zachęcała ona do niezgody na zło, wspólnego działania, budowania lub odtwarzania społecznych więzi. Jednak z pewnością potęgę przemocy, która nie zanika, lepiej od zanadto optymistycznego Fukuyamy opisał raczej Samuel Huntington, przestrzegając przed wojną cywilizacji. Podobnie jak Jan Paweł II w swoim nauczaniu społecznym ostrzegł nas przed „cywilizacją śmierci” chociaż jak wiemy nie lubował się w mocnych określeniach, a jako filozof i dramaturg doskonale znał wagę słów. Wiemy, co chciał nam przekazać, kiedy oglądamy telewizyjne zdjęcia zniszczeń na Ukrainie, zburzonych domów ludzko podobnych do tych, w których sami mieszkamy. Albo ofiar zamachów terrorystycznych. W tym sensie również okazuje się przydatna, że uczy nas, jak zło pokonywano w przeszłości. Zbrojnie jak w 1920 roku, pokojowo jak w latach 80. Zwycięski paradoks Solidarności polega na tym, że w żadnym jej dokumencie przed 1989 r. nie zapisano jasno, że walczymy o niepodległość Polski. Chociaż Konfederacja Polski Niepodległej otwarcie ten cel postawiła sobie

NA ZAKOŃCZENIE

już w 1979 r. Natomiast o odzyskaniu po 50 latach niepodległości nie mówiło się głośno na spotkaniach wyborczych nawet w kampanii Komitetu Obywatelskiego przed 4 czerwca 1989 r, którą znam doskonale nie tylko jako historyk bo prowadziłem ją wtedy na Żoliborzu Jackowi Kuroniowi. Na spotkaniach z wyborcami nie gadało się o suwerenności i wyjściu wojsk radzieckich. Znów nie dlatego, żeśmy tego nie chcieli, bo Niezależne Zrzeszenie Studentów, które wtedy reprezentowałem, jeszcze w 1981 r, na zjeździe w Krakowie, określiło swoje niepodległościowe stanowisko. Tylko z tego powodu, że i wtedy pewien podział ról się zaznaczał, trochę podobnie jak między Piłsudskim a Dmowskim w 1918 roku, czy Papieżem o prymasem Glempem w latach 80., jak już o tym rozmawialiśmy. Powiedzmy, że Leszek Moczulski i inni działacze nurtu niepodległościowego wyznaczyli pewne zadanie Polakom a drużyna Solidarności je zrealizowała w dziesięć lat później, głośno o nim nie krzycząc. To dowód, że można osiągać nawet cele, których publicznie się nie nazywa, bo zaszkodziłoby to ich wprowadzeniu w życie. Ale też na to, że człowiek nie musi być pionkiem w historii, tylko – poprzez skutecznie budowaną wspólnotę – jej uczestnikiem i współtwórcą.